

JACK KEROUAC

W

DRODZE

Przełożyła Anna Kołyszko  
Tytuł oryginału: *On the Road*

# Część pierwsza

## 1

Deana poznałem w niedługim czasie po rozstaniu z żoną. Wyszędłem właśnie z ciężkiej choroby, o której nie chce mi się nawet wspominać, poza tym, że w pewnym stopniu złożyły się na nią potwornie męczące rozejście się z żoną i moje poczucie, że wszystko skończone. Wraz z przyjazdem Deana Moriarty'ego zaczął się nowy rozdział mojego życia, który można by nazwać życiem w drodze. Od dawna już marzyłem o wyjeździe na Zachód, żeby zobaczyć kawałek Stanów, ale zawsze kończyło się na mglistych planach i podróż nigdy nie doszła do skutku. Dean jest facetem wprost stworzonym do wędrownego życia, bo właściwie urodził się w drodze, kiedy w 1926 roku jego rodzice jechali starym gruchotem przez Salt Lake City do Los Angeles. Pierwszy raz usłyszałem o Deanie od Chada Kinga, który pokazał mi kilka jego listów pisanych z poprawczaka w Nowym Meksyku. Listy ogromnie mnie zaintrygowały, bo Dean tak mile i naiwnie prosił w nich Chada, żeby opowiedział mu wszystko, co wie o Nietzschem i rozmaitych wspaniałościach intelektualnych, na których się zna. Pamiętam rozmowę z Carlem o tych listach – zastanawialiśmy się wtedy, czy kiedyś będziemy mieli okazję poznać tego dziwnego Deana Moriarty'ego. Ale to dawne czasy, kiedy Dean wcale nie był tym co dzisiaj, kiedy był jeszcze młodym kryminalistą otoczonym mgiełką tajemniczości. Potem doszły nas słuchy, że Dean wyszedł z poprawczaka i po raz pierwszy w życiu ma przyjechać do Nowego Jorku; mówiło się też, że właśnie się ożenił z dziewczyną imieniem Marylou.

Pewnego dnia, włócząc się po miasteczku uniwersyteckim, dowiedziałem się od Chada i Tima Graya, że Dean mieszka w jakiejś obskurnej norze we wschodniej części Harlemu – w Harlemie Hiszpańskim. Poprzedniego wieczoru przyjechał po raz pierwszy do Nowego Jorku ze swoją śliczną i bystrą Marylou; wysiedli z autobusu Greyhound przy Pięćdziesiątej Ulicy, skręcili za róg, rozglądając się, gdzie by można coś zjeść, i poszli prosto do Hectora; odtąd

knajpka Hectora jest dla Deana wielkim symbolem Nowego Jorku. Zafundowali sobie wspaniałe lukrowane ciastka i ptysie z kremem.

Dean wciąż powtarzał Marylou:

– Kochanie, jesteśmy już w Nowym Jorku i chociaż nie powiedziałem ci właściwie wszystkiego, co mi chodziło po głowie, kiedy przejeżdżaliśmy przez Missouri, a zwłaszcza kiedy mijaliśmy poprawczak w Booneville, który przypominał mi pobyt za kratkami, musimy teraz bezwzględnie odłożyć na później wszelkie sprawy miłosne i natychmiast zacząć obmyślać dokładne i rzeczowe plany na przyszłość... – i tak dalej, jak to miał wówczas w zwyczaju.

Poszedłem z chłopakami do tej jego nory; Dean otworzył nam w samych spodenkach. Marylou zeskoczyła z łóżka; Dean posłał gospodarza mieszkania do kuchni, przypuszczalnie po to, żeby zaparzył kawy, a sam zaczął się rozwódzić nad miłością, że dla niego seks jest jedyną świętą i istotną wartością, chociaż dobrze się trzeba napocić i nauwijać, żeby zarobić na życie. Pragnąc dać temu wyraz, stał i kiwał głową, ze wzrokiem wbitym w ziemię, potakując niczym młody bokser uwagom trenera, aby sprawić wrażenie, że wsłuchuje się w każde słowo, powtarzając bez przerwy swoje „Tak” i „Dobrze mówisz”. Na pierwszy rzut oka wydał mi się bardzo podobny do Gene’a Autry’ego za młodu – szczupły, wąskie biodra, błękitne oczy, baki i akcent prosto z Oklahomy – prawdziwy bohater ośnieżonego Zachodu. Zresztą pracował rzeczywiście na ranchu, u Eda Walla w Kolorado, zanim ożenił się z Marylou i przyjechał na Wschód. Marylou była ładną blondynką o bujnych kędzierzawych włosach jak złote morze; siedziała ze zwieszonymi rękami na brzeżku kanapy, niebieskie, przydymione oczy miała szeroko otwarte, bo znalazła się w ponurej, wstrętnej melinie nowojorskiej, jednej z tych, o których słyszała jeszcze na Zachodzie, i zastygła tu w oczekiwaniu niby chuda, wydłużona, surrealistyczna kobieta Modiglianiego na tle surowego pokoju. Ale mimo że śliczna i miła, była przy tym głupia jak but i zdolna do najgorszych rzeczy. Owej nocy piliśmy piwo, siłowaliśmy się na rękę i gadaliśmy aż do świtu, a rano, kiedy siedzieliśmy w szarym świetle ponurego dnia, paląc w milczeniu pety z popielniczek, Dean zerwał się nerwowo, przemierzył w zamyśleniu pokój i oświadczył, że dobrze by było, gdyby Marylou zrobiła śniadanie i zamiotła podłogę.

– Innymi słowy, kochanie, musimy bardzo zważać na to, co mówię, bo wszystko się nam rozchwieje i nie poznamy do głębi prawdy ani nie skryształujemy planów.

Po tych jego słowach wyszedłem.

Kilka dni później Dean wyznał Chadowi Kingowi, że musi koniecznie nauczyć się od niego pisać; Chad powiedział mu, że to ja jestem pisarzem i że po wszelkie rady powinien się

zgłaszać do mnie. Tymczasem Dean dostał robotę na parkingu, pożarł się z Marylou w ich nowym mieszkaniu w Hoboken – diabli wiedzą, po co się tam przenieśli – co doprowadziło ją do takiej wściekłości, że chcąc się zemścić, wniosła na policję jakąś histeryczną, całkowicie wyssaną z palca skargę, i Dean musiał wiać z Hoboken. Został więc bez dachu nad głową. Przyjechał prosto do Paterson w New Jersey, gdzie mieszkałem z ciotką, i któregoś wieczoru, kiedy ślecząłem nad książkami, rozległo się pukanie do drzwi, a po chwili w mrocznym korytarzu ukazał się Dean, cały w ukłonach, niepewnie przestępując z nogi na nogę, i wyrzucił z siebie:

– Cześć, przypominasz mnie sobie? Jestem Dean Moriarty. Przyjechałem z prośbą, żebyś mnie nauczył, jak się pisze książki.

– A gdzie Marylou? – spytałem. W odpowiedzi usłyszałem, że podobno zarobiła dupą kilka dolarów i wróciła do Denver – „ta dziwka!”. No więc skoczyliśmy do baru na piwo, bo nie moglibyśmy rozmawiać jak należy przy ciotce, która siedziała w bawialni z nosem w gazecie. Rzuciła tylko jedno spojrzenie na Deana i raz na zawsze uznała go za wariata.

W barze zacząłem go wypytywać:

– Słuchaj, stary, dobrze wiem, że nie zjawiłeś się u mnie tylko dlatego, że chciałbyś zostać pisarzem, a zresztą i tak gówno się na tym znam, trzeba w tym siedzieć z zapalem nałogowca, i tyle.

A on na to:

– Jasne, wiem, co chcesz przez to powiedzieć, i zdaję sobie sprawę ze wszystkich trudności, ale konkretnie chodzi mi o uświadomienie sobie pewnych czynników, bo gdyby się polegało na dychotomii Schopenhauera w wypadku każdego wewnątrznie uświadomionego... – i dalej w tym stylu, czego nie rozumiałem ani w ząb, podobnie zresztą jak on. W owym czasie Dean sam właściwie nie wiedział, co mówi; był młodym chłopakiem, który niedawno wyszedł z poprawczaka, i urzekła go cudowna perspektywa, że mógłby zostać prawdziwym intelektualistą, dlatego uwielbiał mówić takim tonem i używać mądrych słów, zasłyszanych u „prawdziwych intelektualistów”, choć w rzeczywistości plótł bzdury, ale trzeba wam wiedzieć, że poza tym nie był wcale naiwny i wystarczyło mu parę miesięcy z Carlem Marksem, żeby opanować całą tę gadkę wraz ze wszystkimi terminami. Niemniej jednak rozumieliśmy się na innych płaszczyznach szaleństwa, zgodziłem się więc, żeby u mnie został, dopóki nie znajdzie pracy, a w dodatku ustaliliśmy, że kiedyś wybierzemy się razem na Zachód. Było to w zimie 1947 roku.

Pewnego wieczoru, kiedy stukąłem jak wariat na maszynie, Dean wstał od kolacji – pracował już wówczas na parkingu w Nowym Jorku – pochylił się nade mną i powiedział:

– Chodź już, stary, dziewczyny nie będą czekać, pośpiesz się.

– Poczekaj sekundę – odparłem – już idę, tylko skończę rozdział. – I to był jeden z najlepszych rozdziałów w całej książce.

Ubrałem się i ruszyliśmy do Nowego Jorku na spotkanie z dziewczynami. Jadąc autobusem przez fosforyzującą niezwykłym światłem próżnię Tunelu Lincolna, nachyleni ku sobie, wymachiwaliśmy rękami, krzyczeliśmy i rozmawialiśmy z wielkim ożywieniem, aż poczułem, że dostaję takiego samego bzika jak Dean. Był po prostu młodym chłopakiem niesamowicie rozentuzjasmowanym życiem, blagierem, chociaż blagował tylko dlatego, że tak bardzo chciał żyć pełnią życia i poznawać ludzi, którzy inaczej nie zwróciliby na niego uwagi. Mnie też naciągał (na mieszkanie, jedzenie i „co zrobić, żeby pisać”), ale wiedziałem o tym i on wiedział, że ja wiem (co poniekąd stanowiło podstawę naszych stosunków), więc się nie przejmowałem i świetnie się dogadywaliśmy – bez żadnych awantur, ale i bez cackania się ze sobą; chodziliśmy wokół siebie na palcach jak dwaj świeżo upieczeni serdeczni przyjaciele. Uczyłem się od niego pewno nie mniej, niż on się uczył ode mnie. O mojej pracy mówił tak: – Wszystko, co piszesz, jest genialne, tylko tak dalej. – Kiedy pisałem opowiadania, zaglądał mi przez ramię, wykrzykując: – Jasne! Bomba! O rany, stary! – albo: – No, no! – i ocierał chustką twarz. – Kurczę, stary, tyle rzeczy można zrobić, tyle napisać! Ale jak tu zacząć spisywać to wszystko bez zahamowań, bez obawy przed literackimi konwencjami i błędami gramatycznymi...

– Jasne, chłopie, teraz gadasz do rzeczy. – I widziałem coś w rodzaju świętej błyskawicy, którą rozpałał jego entuzjazm i wizje opisywane przez niego w takim zapamiętaniu, że pasażerowie autobusów odwracali głowy, chcąc zobaczyć tego „rozgorączkowanego pomyleńca”. Na Zachodzie jedną trzecią czasu spędzał na bilardzie, jedną trzecią w więzieniu, a resztę w bibliotece publicznej. Widywano go, jak pędzi zimowymi ulicami na bilard, z gołą głową, z książkami pod pachą, albo jak wspina się na drzewa, żeby się dostać na poddasze do któregoś z kumpli, gdzie przesiadywał całymi dniami, czytając lub też kryjąc się przed policją.

Dotarliśmy do Nowego Jorku – nie bardzo już pamiętam, chodziło bodajże o dwie czarne dziewczyny, otóż nie było ich; miały się spotkać z Deanem w jakiejś knajpce, ale się nie pokazały. Udaliśmy się na jego parking, gdzie musiał zrobić parę rzeczy – przebrać się w komórce na zapleczu i doprowadzić do porządku przed popękany lustrem – i dopiero wtedy ruszyliśmy na miasto. Tego wieczoru Dean poznał Carla Marksa. Zdarzyło się wówczas coś niesamowitego. Spotkały się dwa chłonne umysły – obaj z miejsca przypadli sobie do gustu. Dwoje przenikliwych oczu wpatrzonych w drugą parę przenikliwych oczu – święty blagier, z

promiennym umysłem, i pełen smutku, liryczny blagier, z mrocznym umysłem, czyli Carlo Marx. Od tamtej pory przestałem niemal widywać Deana i trochę mi było przykro. Zapal jednego zważył się z zapalem drugiego, byłem przy nich ciemniakiem, nie mogłem dotrzymać im kroku. Właśnie wtedy zaczął się cały ten opętający wir nadchodzących zdarzeń; miał wciągnąć wszystkich moich przyjaciół i pozostałych jeszcze przy życiu członków mojej rodziny w wielki tuman kurzu rozpostarty nad Nocą Ameryki. Carlo opowiedział mi o Starym Byku Lee, Elmerze Hasselu i Jane: Lee hoduje marychę w Teksasie, Hassel na Wyspie Riker, a Jane włóczy się po Times Square w benzedrynowych halucynacjach, z malutką córeczką na ręku, i ląduje w szpitalu Bellevue. A Dean opowiedział Carlowi o nieznanym ludziach z Zachodu, takich jak Tommy Snark, szpotawy rekin sal bilardowych, namiętny karciarz i bożyszczę pedałów. Opowiedział mi też o Royu Johnsonie, Dużym Edzie Dunkelu, o swoich kumplach z dzieciństwa, o kolegach z ulicy, o niezliczonych dziewczynach, które miał, o orgietkach i zdjęciach pornograficznych, o swoich idolach, o przygodach. Ganiłi razem po mieście jak opętani, zachwycając się wszystkim dokoła, jak to wówczas mieli w zwyczaju, co później wywoływało w nich znacznie więcej smutku, refleksji i pustki. Ale wtedy jeszcze tańczyli na ulicach, jakby mieli kuku na muniu, a ja kuśtykałem za nimi, tak jak przez całe życie kuśtykam za fascynującymi mnie ludźmi, bo dla mnie prawdziwymi ludźmi są szaleńcy ogarnięci szałem życia, szałem rozmowy, chęcią zbawienia, pragnący wszystkiego naraz, ci, co nigdy nie ziewają, nie plotą banałów, ale płoną, płoną, płoną, jak bajeczne race eksplodujące niczym pająki na tle gwiazd, aż nagle strzela niebieskie jądro i tłum krzyczy „Oooo!”. Jak nazywano takich młodych ludzi w Niemczech Goethego? Pragnąc gorąco nauczyć się pisać tak jak Carlo, Dean zaczął go od samego początku atakować z żarliwością właściwą tylko takim blagierom jak on. – Carlo, daj mi coś wreszcie powiedzieć. Bo ja uważam, że... – Znikli mi z oczu na jakieś dwa tygodnie i przez ten czas scementowali swoją przyjaźń gorączkowymi rozmowami, ciągnącymi się dzień i noc.

Nadeszła wiosna, pora wprost wymarzona do podróżowania, i wszyscy z naszej rozproszonej paczki szykowali się do jakiegoś wyjazdu. Pochłaniała mnie praca nad powieścią, a kiedy doszedłem do połowy, po powrocie z Południa od mojego brata Rocco, którego odwiedziłem razem z ciotką, po raz pierwszy w życiu byłem gotów ruszyć na Zachód.

Dean wyjechał wcześniej. Odprowadziliśmy go z Carlem na dworzec autobusowy przy Trzydziestej Czwartej Ulicy. Na piętrze znajdowała się kabina, w której za ćwierć dolara można było sobie zrobić zdjęcie. Carlo zdjął okulary i miał ponury wyraz twarzy. Dean ustawił się profilem, sfotografował się, po czym rozejrzał kokieteryjnie. Ja się

sfotografowałem en face i wyszedłem jak trzydziestoletni Włoch, gotów zabić każdego, kto powie złe słowo na jego matkę. Carlo i Dean rozcięli żyłką to zdjęcie równiutko na pół i każdy z nich schował swoją połówkę do portfela. Z okazji wielkiej podróży powrotnej do Denver Dean miał na sobie garnitur biznesmena z Zachodu; jego pierwszy wypad do Nowego Jorku dobiegł końca. Mówię wypad, ale właściwie harował tylko jak wół roboczy na parkingach. W obsłudze samochodów na parkingach nie ma sobie równych – potrafi cofnąć samochód z prędkością ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę w ciasny przesmyk, zatrzymać się tuż przy ścianie, wyskoczyć, wylawirować między błotnikami, wskoczyć do następnego wozu, wykręcić w wąziutkim miejscu z osiemdziesiątką na liczniku, cofnąć na skrawek wolnej przestrzeni, stop, szarpie ręczny, aż widać, jak dreszcz wstrząsa autem, a on już wypada i puszcza się mistrzowskim sprintem do kantoru, wydaje kwit, wskakuje do nowego wozu, zanim się z niego wygramoli właściciel, wślizgując się dosłownie pod nim, kiedy ten wysiada, zapala motor, strzelając jednocześnie drzwiczkami, i wrywa w kierunku następnego wolnego miejsca, slalom, hamulec, zapłon, wysiadka, bieg; pracował tak dzień w dzień po osiem godzin bez przerwy, po południu w godzinach szczytu i podczas wieczornego natężenia ruchu, kiedy ludzie wychodzą z kin i teatrów, w lepkiem od brudu kombinezonie, postrzępionej kurtce na futrze i złachanych, klapiących butach. Na powrót natomiast kupił sobie nowy granatowy garnitur z tenisu, z kamizelką i wszystkim co trzeba – jedenaście dolarów w magazynie przy Trzeciej Alei, z zegarkiem kieszonkowym na dewizce, oraz walizkową maszynę do pisania, na której miał zacząć pisać w domu noclegowym w Denver, jak tylko dostanie pracę. Na obiad pożegnalny zjedliśmy parówki z fasolką u Rikera przy Siódmej Alei, Dean wszedł do autobusu z tabliczką „Chicago” i odpłynął w ciemną noc. Tak odjechał nasz kowboj. Obiecałem sobie, że ruszę w tę samą trasę, jak tylko wiosna rozkwitnie w całej pełni i drogi staną otworem.

Tak się właśnie zaczęło moje włóczęgowskie życie, a wypadki, które miały nastąpić potem, są zbyt niezwykle, żeby je przemilczeć.

Chciałem poznać lepiej Deana, ale nie tylko dlatego, że jestem pisarzem i wciąż szukam nowych doświadczeń, a moje życie polegające na obijaniu się po miasteczku uniwersyteckim zrobiło pełny obrót i utknęło w martwym punkcie, ale też dlatego, że pomimo różnicy charakterów przypominał mi jakiegoś dawno utraconego brata; jego koścista smutna twarz z długimi bakami i umięśniony, spocony kark przypominały mi chłopięce lata spędzone w kanałkach, gliniankach, nad brzegami rzek w Paterson i nad Passaic. Brudne ubranie robocze pasowało do niego tak świetnie, że lepszego nie skroiłby sam mistrz krawiecki, bo na takie ubranie trzeba sobie zasłużyć u Krawca Natury, który kroi z Radości Życia, jaką miał

Dean w swoich uniesieniach. A w jego pełnym zapału sposobie mówienia słyszałem głosy swoich dawnych kolegów i braci z młodości pod mostem, wśród motocykli, na podwórkach zawieszonych bielizną i na gankach, ospałych popołudniową godziną, gdzie chłopaki grali na gitarach, kiedy ich starsi bracia pracowali w fabrykach. Moi pozostali przyjaciele z owego okresu byli „intelektualistami” – Chad, nietzscheański antropolog, Carlo Marx ze swoimi zwariowanymi, surrealistycznymi, poważnymi rozmowami, prowadzonymi przyciszonym głosem, cedzący słowa Stary Byk Lee, wiecznie krytyczny, wszystkiemu przeciwny, lub też ukradkowi przestępca jak Elmer Hassel ze swoim zimnym szyderstwem czy Jane Lee, podobnego pokroju, rozwalona na egzotycznej kapie przykrywającej łożko, parszająca śmiechem przy lekturze „New Yorkera”. Dean dorównywał im w każdym calu wybitną, błyskotliwą i wszechstronną inteligencją, pozbawioną zarazem ich nużącego intelektualizowania. A jego „przestępczość” nie miała w sobie nic z posępności ani z szyderstwa; była dzikim, pełnym afirmacji wybuchem amerykańskiej radości; pochodziła z Zachodu, była zachodnim wiatrem, pieśnią Wielkiej Równiny, czymś nowym, od dawna prorokowanym i oczekiwanym (krał samochody jedynie dla frajdy, jaką sprawiały mu takie przejażdżki). Poza tym wszyscy moi przyjaciele z Nowego Jorku przyjmowali koszmarną, negatywną postawę odcinania się od społeczeństwa, podając przy tym nudne, książkowe, polityczne bądź psychoanalityczne powody, tymczasem Dean wprost lgnął do ludzi, spragniony chleba i miłości; niczym się nie przejmował – „dopóki mogę mieć tę małą z tym jej cackiem między nogami, stary” i „dopóki, chłopie, mam co włożyć do gęby, kapujesz? Jeść mi się chce, umieram z głodu, chodźmy coś wrzucić na ruszt!” – pędziliśmy więc, żeby coś zjeść, gdyż jak powiada Eklezjasta: „Niemasz nic lepszego człowiekowi pod słońcem”.

Dean był zachodnim krewniakiem słońca. Mimo ostrzeżeń ciotki, że napytam sobie przez niego biedy, słyszałem nowy zew, widziałem nowy horyzont, przy czym mój młody wiek pozwalał mi w to wszystko wierzyć; a ta garść kłopotów czy nawet ostateczne odwrócenie się Deana ode mnie, które nastąpiło później, porzucenie mnie jako kumpla na głodnych ulicach i łóżach boleści – czy to było ważne? Byłem młodym pisarzem i chciałem się zerwać do lotu.

Wiedziałem, że gdzieś na tej drodze czekają mnie dziewczyny, wizje, wszystko; gdzieś na tej drodze odnajdę swoją perłę.

W lipcu 1947, mając odłożone około pięćdziesięciu dolarów z remuneracji za udział w wojnie, byłem gotów ruszyć na Zachodnie Wybrzeże. Mój przyjaciel Remi Boncoeur napisał do mnie z San Francisco, zapraszając, żebym przyjechał i wyruszył razem z nim w podróż transatlantykiem dookoła świata. Obiecywał, że ulokuje mnie w maszynowni. Odpisałem, że zadowolę się starym frachtowcem, bylebym mógł odbyć kilka długich rejsów po Pacyfiku i zarobić tyle, żeby się po powrocie utrzymać u ciotki do czasu, aż skończę pisanie książki. Odpowiedział na to, że ma chatę w Mill City i że będę mógł pisać, ile dusza zapragnie, przez ten czas, kiedy będziemy się rozglądać za statkiem. Pisał, że mieszka z dziewczyną imieniem Lee Ann, która pierwszorzędnie gotuje, i że nieźle się zabawimy. Remi, mój dobry kolega jeszcze z liceum, Francuz wychowany w Paryżu, był zdrowo pomyłony – jeszcze wtedy nie wiedziałem, jak bardzo. Spodziewał się mnie za dziesięć dni. Ciotka wyraziła zgodę na moją podróż na Zachód; uważała, że mi to dobrze zrobi, bo pracowałem ciężko przez całą zimę, prawie nie wychodząc z domu; nie narzekała nawet, kiedy się dowiedziała, że część drogi będę musiał odbyć autostopem. Chciała tylko, żebym wrócił zdrowy i cały. Zatem pewnego ranka zdjąłem po raz ostatni pościel z wygodnego domowego łóżka i zostawiając na biurku pokazną część książki w maszynopisie, wyruszyłem z brezentowym workiem, do którego spakowałem tylko niezbędne rzeczy, i z pięćdziesięcioma dolarami w kieszeni w stronę Pacyfiku.

W Paterson przez wiele miesięcy ślęczałem nad mapami Stanów Zjednoczonych, czytałem nawet książki o pionierach i delektowałem się takimi nazwami jak Platte czy Cimarron; przez mapę samochodową przebiegała długa czerwona linia oznaczająca trasę 6, prowadząca z Cape Cod prosto do Ely w Nevadzie i dalej aż do Los Angeles. Powiedziałem sobie, że będę się trzymał trasy 6, i z ufnością ruszyłem przed siebie. Żeby się dostać na tę autostradę, musiałem jechać na północ do Góry Niedźwiedziej. Snując marzenia o tym, co będę robił w Chicago, w Denver, a potem w San Francisco, wsiałem do metra przy Siódmej Alei, dojechałem do stacji końcowej przy Dwieście Czterdziestej Drugiej Ulicy, a potem trolejbusem do Yonkers; w centrum Yonkers przesiadłem się w inny trolejbus i dojechałem do przedmieść na wschodnim wybrzeżu rzeki Hudson. Gdyby tak wrzucić różę do Hudsonu u jego tajemniczych źródeł w Adirondacks, proszę tylko pomyśleć, ile musiałaby minąć miejscowości, żeby przepaść na zawsze w morzu – proszę pomyśleć o przepięknej dolinie Hudsonu. Wyszedłem na szosę. Pięćdziesięcioma samochodami dotarłem do upragnionego mostu

przy Górze Niedźwiedziej, gdzie zakręcała trasa 6 biegnąca z Nowej Anglii. Kiedy wysiadłem, lunął deszcz. Okolica była górzysta. Trasa 6 przecinała rzekę, omijała sieć ulic miasta i znikła hen na pustkowiu. Na drodze nie było żadnego ruchu, na dobitkę stałem w strugach deszczu, nie mając się gdzie schronić. Musiałem szukać kryjówki pod sosnami, ale nie na wiele się to zdało; zacząłem płakać, kłać i walić się po głowie, że okazałem się takim skończonym durniem. Znajdowałem się sześćdziesiąt pięć kilometrów na północ od Nowego Jorku; przez całą drogę martwiłem się, że w tym wielkim dniu rozpoczynającym podróż posuwam się wciąż na północ, zamiast na upragniony zachód. Utknąłem w martwym punkcie wysuniętym daleko na północ. Przebiegłem pół kilometra do opuszczonej stacji benzynowej w angielskim stylu i stanąłem tam pod okapem ociekającym deszczem. Wysoko nad moją głową olbrzymia włochata Góra Niedźwiedzia zsyłała na dół grzmoty napawające mnie strachem bożym. Widziałem tylko przydymione drzewa i posępne pustkowie wznoszące się ku niebu. „Co ja tu, do diabła, robię?” – kłamię, płakałem, chciałem już być w Chicago. „Oni się pewno w tej chwili świetnie bawią, a mnie tam nie ma; kiedy ja wreszcie dojadę?” – i tak dalej. W końcu przy opustoszałej stacji benzynowej zatrzymał się jakiś samochód; jadący nim mężczyzna i dwie kobiety chcieli sprawdzić coś na mapie. Wszedłem na deszcz i zacząłem gestykulować; naradzili się; wyglądałem zapewne jak wariat z mokrą głową i w przemoczonych butach. Włożyłem, jak idiota, meksykańskie *huarache*, sandały z łyka, zupełnie nieodpowiednie na dżdżystą amerykańską noc na wiejskiej drodze. Na szczęście ci ludzie zawieźli mnie z powrotem do Newburgha, co uznałem za lepsze wyjście niż spędzenie nocy na pustkowiu w okolicy Góry Niedźwiedziej. – Zresztą na trasie 6 nie ma prawie ruchu – powiedział mężczyzna. – Jeżeli chce się pan dostać do Chicago, radzę jechać Tunelem Holland w Nowym Jorku i dalej w kierunku Pittsburgha. – Wiedziałem, że ma rację. Tyle że rozwiął się mój sen, idiotyczny pomysł, który mi przyszedł do głowy w ciepłe domowego ogniska, że byłoby cudownie trzymać się jednej czerwonej linii biegnącej przez całą Amerykę, zamiast próbować różnych dróg i autostrad. W Newburghu przestało padać. Poszedłem nad rzekę i musiałem dojechać do Nowego Jorku autobusem, który wiozł grupę nauczycieli wracających z weekendu w górach – gadu gadu, pytlu pytlu – i ja, przeklinający stracony czas i pieniądze, a przy tym wściekły, bo chciałem jechać na zachód, a przez cały dzień i część nocy jeździłem w górę i w dół, na północ i na południe jak coś, co nie może wystartować. Przysiągłem sobie, że nazajutrz będę w Chicago, choćby się paliło i waliło; pojedę autobusem, wydam większość pieniędzy na bilet, ale gównu mnie to obchodzi, bylebym nazajutrz znalazł się w Chicago.

To była zwykła podróż autobusem w słonecznym skwarze, z płaczącymi dziećmi i wieśniakami wsiadającymi w kolejnych miastach Pensylwanii, dopóki nie dotarliśmy do równiny w Ohio i naprawdę nie pomknęliśmy na północ, mijając Ashtabulę, i dalej, już w nocy, prosto przez Indianę. Przyjechałem do Chicago wczesnym rankiem, dostałem nocleg w YMCA i położyłem się spać, mając już bardzo mało pieniędzy. Przespałem cały dzień, po czym ruszyłem na podbój miasta.

Wiatr od jeziora Michigan, bop w obrębie Loop, długie spacery po South Halsted i North Clark i jeden długi nocny spacer po dzielnicy włóczęgów, gdzie krążył za mną patrol policyjny, biorąc mnie za podejrzanego typa. W owym czasie, w 1947 roku, bop szalał w całej Ameryce. Chłopcy z Loop dmuchali w rury, ale szło im to niemrawo, gdyż bop znajdował się gdzieś między okresem *Ornithology* Charliego Parkera a następnym okresem, zapoczątkowanym przez Milesa Davisa. I kiedy siedziałem tam, wsłuchując się w muzykę nocy, której symbolem stał się dla nas bop, myślałem o przyjaciółach porzucanych po całej Ameryce i o tym, że właściwie wszyscy prowadzą równie gorączkowe życie na tym samym ogromnym śmietniku, wciąż się śpiesząc w niezrozumiałym pędzie przed siebie. A następnego popołudnia po raz pierwszy w życiu znalazłem się na Zachodzie. Dzień był ciepły i wymarzony wprost do autostopu. Żeby się wydostać z nieprzebytej gęstwiny ruchu ulicznego w Chicago, wsiadłem w autobus do Joliet w Illinois, minąłem tamtejsze więzienie; poszedłem rozkołysanymi ulicami pełnymi zieleni na skraj miasta i stanąłem na szosie, wskazując kciukiem kierunek jazdy. Całą drogę z Nowego Jorku do Joliet odbyłem autobusem i wydałem już ponad połowę pieniędzy.

Najpierw trafiła mi się ciężarówka z czerwoną flagą, wioząca materiały wybuchowe; jakieś pięćdziesiąt kilometrów od wielkiego, zielonego Illinois kierowca pokazał mi miejsce, gdzie trasa 6, którą jechaliśmy, krzyżuje się z trasą 66, zanim obie pomkną na zachód, pokonując niewiarygodne odległości. Gdzieś koło trzeciej po południu zjadłem właśnie szarlotkę z lodami w przydrożnym barku, kiedy zatrzymała się na mój znak jakaś kobieta w małym samochodzie. Serce aż mi podskoczyło z radości, gdy ruszyłem biegiem do samochodu. Ale okazało się, że to starsza pani, mająca synów w moim wieku, która jechała do Iowa i chciała, żeby ktoś na zmianę z nią prowadził samochód. W sam raz dla mnie. Iowa! Niedaleko jest Denver, a skoro dostanę się do Denver, będę mógł odpocząć. Przez pierwszych kilka godzin prowadziła ona, aż w pewnym momencie postanowiła, że musimy gdzieś tam

zwiedzić stary kościół, jak gdybyśmy byli turystami; wówczas ja przejąłem kierownicę i chociaż jestem marnym kierowcą, pokonałem bez problemów całą drogę do Davenport w Iowa, mijając po drodze Rock Island. Tam po raz pierwszy w życiu zobaczyłem ukochaną Missisipi, wyschniętą w upalnej mgiełce, z niskim poziomem wody, z ostrym, przenikliwym zapachem nagiego cielska Ameryki, którą omywa. Rock Island – tory kolejowe, chałupy, niewielkie centrum; a za mostem do Davenport podobne miasto, gdzie unosił się wszędzie zapach nagrzanym słońcem trocin. Stamtąd kobieta jechała dalej do swego rodzinnego miasta w Iowa, więc wysiadłem.

Słońce już zachodziło. Po kilku kolejkach zimnego piwa ruszyłem pieszo w kierunku przedmieścia; odwaliłem kawał drogi. Mężczyźni w czapkach kolejarskich, baseballowych i różnych innych nakryciach głowy wracali samochodami po pracy do domów, co można o tej porze zobaczyć w każdym innym mieście. Jeden z nich podwiózł mnie i wysadził przy pustym skrzyżowaniu dróg na skraju prerii. Widok był wspaniały. Przejeżdżały tamtędy jedynie samochody farmerów; ich właściciele rzucali mi podejrzliwe spojrzenia i oddalali się ze szczękiem blaszanych baniek; krowy wracały do zagrod. Ciężarówki ani na lekarstwo. Przemknęło kilka samochodów. Minał mnie sportowym wozem młody zapaleniak z powiewającym szalikiem. Słońce zginęło za widnokregiem, otoczył mnie fioletowy mrok. Miałem już stracha. W okolicy nie było żadnych świateł, jeszcze chwila, a nikt mnie nie dojrzy. Na szczęście jakiś facet jadący w kierunku Davenport podrzucił mnie do centrum. Tyle że znalazłem się dokładnie tam, skąd wyruszyłem.

Usiadłem na dworcu autobusowym, żeby się zastanowić. Zjadłem następny kawałek szarlotki i porcję lodów; właściwie nic innego nie jadłem podczas całej podróży przez Stany – było to pożywne i oczywiście pyszne. Postanowiłem zaryzykować. W centrum Davenport wsiadłem do autobusu, spędziwszy przedtem pół godziny na przyglądaniu się kelnerce w kawiarni dworcowej, i dojechałem na przedmieścia, ale tym razem stanąłem w pobliżu stacji benzynowych. Przejeżdżały tamtędy z rykiem i wizgiem wielkie ciężarówki, i po dwóch minutach jedna zjechała na bok i zatrzymała się. Podbiegłem do niej jak na skrzydłach. Co to był za kierowca – potężny, barczysty facet z wyłupiastymi oczami i szorstkim, chrapliwym głosem; trzasnął tylko drzwiczkami, wdepnął gaz i ruszył, nie zwracając prawie na mnie uwagi. Mogłem więc trochę odpocząć, jednym bowiem z największych utrapień na autostopie jest konieczność rozmowy z całym mnóstwem ludzi, przekonania ich, że nie popełnili błędu, zabierając autostopowicza, niemal zabawiania, co wymaga nie lada wysiłku, jeżeli się jedzie bez przerwy i nie planuje noclegów w hotelach. Facet przekrzykiwał ryk silnika, a ja musiałem mu tylko odkrzykiwać i obaj byliśmy na luzie. Tak pędziliśmy prosto do Iowa, a on

opowiadał prześmieszne historie o tym, jak omija przepisy w każdym mieście, które ma bezsensowne ograniczenie prędkości, powtarzając w kółko: – Te cholerne gliny mogą mnie pocałować gdzieś! – Kiedy wjeżdżaliśmy do Iowa, zauważył jadącą za nami inną ciężarówkę, a ponieważ sam musiał skręcić w bok, zamrugał tylnymi światłami do tamtego gościa i zwolnił, żebym mógł wyskoczyć, co też uczyniłem, ściskając w ręku swój worek, a tamten kierowca, najwyraźniej godząc się na tę wymianę, zatrzymał się i w mgnieniu oka znalazłem się znów w wielkiej ciężarówce, mając przed sobą perspektywę przejechania w ciągu nocy setek kilometrów. Nie posiadałem się z radości. Kierowca był taki sam wariat jak poprzedni, też bez przerwy wrzeszczał, a ja mogłem się wyciągnąć i spokojnie jechać przed siebie. Teraz już pod gwiazdzistym niebem majaczyło przede mną Denver niczym ziemia obiecana, choć dzieliły mnie od niego prerie Iowa i równiny Nebraski; oczyma wyobraźni widziałem też San Francisco mieniające się niby klejnoty w mroku. Kierowca dociskał gaz do dechy i wciąż opowiadał mi różne historie, a potem, w pewnym miasteczku, w którym wiele lat później Deana i mnie zatrzymano pod zarzutem kradzieży cadillaca, skulił się na siedzeniu i spał kilka godzin. Ja też się przespałem i zrobiłem krótki spacer wzdłuż samotnie stojącego muru z cegieł, oświetlonego jedną tylko latarnią; przy końcu każdej takiej uliczki ciągnęła się preria, a zapach kukurydzy unosił się w powietrzu jak wieczorna rosa.

O świcie kierowca obudził się nagle. Ruszyliśmy, a w godzinę później za zielonymi polami kukurydzy ukazały się dymy nad Des Moines. Kierowca zatrzymał się, chciał zjeść bez pośpiechu śniadanie, więc podjechałem cztery kilometry prosto do Des Moines z zatrzymanymi po drodze chłopcami z Uniwersytetu Iowa; dziwnie się czułem, siedząc w nowiutkim, wygodnym samochodzie i przysłuchując się ich rozmowie o egzaminach. Po chwili wjechaliśmy gładko do miasta. Teraz chciałem się porządnie wyspać. Poszedłem do YMCA, żeby wynająć pokój, ale nie mieli wolnych miejsc, wiedziony zatem instynktem ruszyłem w kierunku torów kolejowych – a w Des Moines jest ich mnóstwo – trafiłem do starego, obskurnego hoteliku w pobliżu parowozowni i spędziłem tam cały długi dzień, śpiąc na wielkim, twardym, czystym białym łóżku, z wyskrobanymi na ścianie tuż nad moją głową sprośnymi napisami i ze zniszczonymi żółtymi storami zasłaniającymi zadymiony krajobraz torowisk. Kiedy się obudziłem, słońce było już purpurowe; przeżyłem wówczas coś przedziwnego, jedyną tego rodzaju chwilę w życiu, w której nie wiedziałem, kim jestem – byłem z dala od domu, w nieznanym mi pokoju taniego hoteliku, przemęczony i znużony podróżą, słyszałem syk pary za oknem, skrzypienie starego drewna w hotelu, kroki na górze, patrzyłem na popękany sufit i przez blisko piętnaście sekund naprawdę nie miałem pojęcia, kim jestem. Nie czułem strachu; po prostu byłem kimś innym, jakimś nieznanym, a całe

moje życie przypominało pasmo udręki, życie upiora. Znajdowałem się w połowie drogi, w samym środku Ameryki, na linii dzielącej Wschód mojej młodości od Zachodu mojej przyszłości i może dlatego spotkało mnie to właśnie w owym czasie i w owym miejscu, tego dziwnego purpurowego popołudnia. Ale musiałem ruszać w dalszą drogę i przestać się nad sobą użalać, wziąłem więc worek, pożegnałem się ze staruszką hotelarzem siedzącą przy spluwacze i poszedłem coś zjeść. Zjadłem szarlotkę z lodami – im dalej posuwałem się w głąb Iowa, tym szarlotki stawały się większe, a lody smaczniejsze. Owego popołudnia w Des Moines wszędzie, gdzie tylko spojrzełem, widziałem grupki najpiękniejszych dziewczyn, wracających ze szkoły do domu, ale nie miałem czasu na takie myśli, przyrzekłem sobie natomiast, że zabawię się w Denver. Carlo Marx jest już w Denver, Dean również, Chad King i Tim Gray mieszkają tam, bo Denver to ich rodzinne miasto, Marylou też tam jest; mówiło się o większej paczce Raya Rawlinsa i jego pięknej złotowłosej siostry – Babe Rawlins; są tam również dwie kelnerki – siostry Bettencourt, znajome Deana, a nawet Roland Major, mój stary kumpel ze studiów, z którym pisywaliśmy do siebie. Z radością i utęsknieniem czekałem na spotkanie z nimi. Minąłem więc pośpiesznie śliczne dziewczyny, a trzeba przyznać, że w Des Moines mieszkają najpiękniejsze dziewczyny na świecie.

Podjechałem kawałek pod górę czymś w rodzaju szopy na kółkach, ciężarówką pełną narzędzi, z facetem, który prowadził na stojąco jak dawniej mleczarze, a stamtąd od razu zabrał mnie farmer jadący z synem do Adel w Iowa. Tam, pod olbrzymim wiązem przy stacji benzynowej, poznałem innego autostopowicza, typowego mieszkańca Nowego Jorku, Irlandczyka, który pracował przez wiele lat jako kierowca furgonu pocztowego, a teraz jechał do dziewczyny do Denver, żeby rozpocząć nowe życie. Przypuszczalnie uciekał przed czymś z Nowego Jorku, najprawdopodobniej przed policją. Był to prawdziwy młody, trzydziestoletni pijak z czerwonym nosem; w normalnych warunkach nudziłby mnie okropnie, ale łaknąłem ludzkiej życzliwości. Był ubrany w złachany sweter i workowate spodnie; nie miał przy sobie żadnej torby – jedynie szczoteczkę do zębów i chustki do nosa. Powiedział, że powinniśmy trzymać się razem. Może głupio zrobiłem, że się zgodziłem, bo wyglądał niezbyt zachęcająco. Ale zgodziłem się i zabraliśmy się z milczącym kierowcą do Stuart w Iowa, miasta, w którym utknęliśmy na dobre. Staliśmy przed budynkiem dworcowym w Stuart, czekając na coś jadącego w naszym kierunku ładne pięć godzin aż do zachodu słońca. Dla zabicia czasu najpierw snuliśmy opowieści o sobie, potem on opowiadał sprośne historyjki, a wreszcie już tylko kopaliśmy kamyki, wydając przy tym rozmaite idiotyczne pomruki. Zaczęliśmy się nudzić. Postanowiłem wydać dolara na piwo; poszliśmy do starego baru i wypiliśmy kilka kolejek. Mój towarzysz upił się, jak się zwykle upijał

wieczorem przy Dziewiątej Alei w Nowym Jorku, i radośnie wykrzykiwał mi wprost do ucha wszystkie przyziemne marzenia swojego życia. Polubiłem go jakoś, zresztą nie dlatego że był dobrym chłopakiem, o czym przekonałem się później, ale dlatego że miał w sobie tyle entuzjazmu. Zapadł już zmrok, kiedy wróciliśmy na drogę, i naturalnie nikt się nie zatrzymał, a w ogóle prawie nikt tamtędy nie przejeżdżał. Czekaliśmy tak do trzeciej rano. Przez jakiś czas usiłowaliśmy zasnąć na ławce w poczekalni dworcowej, ale nie zmrużyliśmy oka, bo przez całą noc stukał telegraf, a za oknami przetaczały się z hukiem pociągi towarowe. Nie wiedzieliśmy, do którego wskoczyć; żaden z nas nie robił tego przedtem; nie wiedzieliśmy, który z nich jedzie na wschód, a który na zachód, i jak się tego dowiedzieć, ani też który wagon towarowy, platformę czy chłodnię wybrać. Toteż kiedy tuż przed świtem przejeżdżał tamtędy autobus do Omaha, wsiedliśmy i przyłączyliśmy się do śpiących pasażerów – opłaciłem przejazd za nas obu. Miał na imię Eddie. Przypominał mi mojego kuzyna z Bronksu, dlatego się go trzymałem. Czułem się, jak gdybym podróżował ze starym znajomym, uśmiechniętym, pogodnym chłopakiem, z którym można porozrabiać.

O świcie przyjechaliśmy do Council Bluffs. Wyjrzałem przez okno. Przez całą zimę naczytałem się o wielkich składach pociągów, które zbierają się tu, zanim wyruszą do Oregonu i Santa Fe, a zobaczyłem jedynie rozmaite zgrabne podmiejskie domki, wyłaniające się z posępnej szarości świtu. Następnie Omaha, gdzie, jak pragnę zdrowia, po raz pierwszy w życiu zobaczyłem kowboja w wielgachnym kapeluszu i wysokich skórzanych butach, kroczącego wzdłuż ponurych murów hurtowni mięsa; gdyby nie strój, można by go wziąć za beatnika idącego o poranku w wielkomejskiej scenerii stanów wschodnich. Wsiedliśmy z autobusu, wspięliśmy się na szczyt rozległego wzgórza formowanego od tysiącleci przez potężną Missouri, nad którą leży Omaha, wyszliśmy za miasto i podnieśliśmy kciuki. Podjechaliśmy kawalek z bogatym farmerem w kapeluszu imponujących rozmiarów. Farmer twierdził, że dolina rzeki Platte jest równie rozległa jak dolina Nilu w Egipcie, a gdy to mówił, ujrzałem w oddali wysokie drzewa rosnące wzdłuż wijącego się koryta rzeki oraz olbrzymie połacie zielonych pól i byłem skłonny przyznać mu rację. Kiedy staliśmy na kolejnym skrzyżowaniu dróg, a niebo zaczynało się chmurzyć, przywołał nas inny kowboj, ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, w kapeluszu przeciętnych rozmiarów, i spytał, czy któryś z nas umie prowadzić. Eddie naturalnie umiał i posiadał prawo jazdy, a ja nie. Kowboj miał ze sobą dwa samochody, które musiał odstawić do Montany. Chciał, żebyśmy odprowadzili jeden z nich do Grand Island, gdzie czeka jego żona i przejmie od nas wóz. Dalej jechał na północ, więc musielibyśmy się tam rozstać. Ale mogliśmy zrobić dobre sto sześćdziesiąt kilometrów do Nebraski, toteż chętnie się zgodziliśmy. Eddie prowadził sam, a za nim

jechaliśmy my, kowboj i ja; kiedy tylko znaleźliśmy się za miastem, Eddie z czystej fantazji przyspieszył do stu czterdziestu kilometrów na godzinę. – Jasna cholera, co ten chłopak wyprawia! – krzyknął kowboj i pognął za nim. Zaczął się wyścig. Przez chwilę myślałem, że Eddie usiłuje zwać z samochodem – może zresztą miał taki zamiar. Ale kowboj jechał za nim, dopędził go i nacisnął klakson. Eddie zwolnił. Kowboj zatrąbił, żeby się zatrzymał.

– Opanuj się, chłopie, przy takiej prędkości łatwo złapać gumę. Nie możesz jechać trochę wolniej?

– Niech mnie licho, naprawdę jechałem sto czterdzieści? – zdziwił się Eddie. – Droga jak stół, człowiek nie czuje prędkości.

– Nie pędź tak, to dojedziemy cało do Grand Island.

– Jasne.

I ruszyliśmy w dalszą drogę. Eddie się uspokoił, a nawet chyba ogarnęła go senność. Przejechaliśmy więc sto sześćdziesiąt kilometrów przez Nebraskę wzdłuż krętej rzeki Platte.

– W czasie kryzysu – opowiadał kowboj – przynajmniej raz na miesiąc skakałem do pociągów towarowych. Widywało się wówczas setki mężczyzn podróżujących w wagonach-platformach czy w wagonach towarowych, i nie byli to zwykli włóczędzy, ale różni ludzie przenoszący się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu pracy albo po prostu jadący przed siebie. Tak było na całym Zachodzie. Kolarze nikogo się wtedy nie czepiali. Nie mam pojęcia, jak jest teraz. Nie znoszę Nebraski. W latach trzydziestych nie było tam nic, tylko jak okiem sięgnąć wielki tuman kurzu. Dosłownie nie dało się oddychać. Ziemia była czarna. Mieszkałem tu wtedy. Dla mnie to mogą oddać Nebraskę Indianom. Nie ma na świecie drugiej okolicy, której bym tak nie cierpiał jak Nebraski. Teraz mieszkam w Montanie, w Missoula. Przyjeżdż tam kiedyś, to zobaczysz raj na ziemi.

Późnym popołudniem, kiedy się zmęczył gadaniem, zasnąłem; muszę przyznać, że mówił ciekawe rzeczy.

Zatrzymaliśmy się po drodze, żeby coś zjeść. Kowboj poszedł dać do wulkanizacji zapasowe koło, a Eddie i ja wstąpiliśmy do małej knajpki. W pewnej chwili rozległ się tubalny śmiech, najbardziej tubalny śmiech świata i wszedł stary farmer, hodowca bydła z Nebraski, z całą paczką podobnych facetów; jego chrapliwe okrzyki niosły się ponad równinami, ponad całym ich szarym światem. Wtórował mu śmiech pozostałych. Farmer był beztroski i traktował wszystkich bardzo przyjaźnie. Powiedziałem sobie w duchu: „O rany, posłuchaj tylko, jak ten gość się śmieje. To właśnie jest Zachód i ja tu wreszcie dotarłem”. Wszedł z hałasem do knajpy, przywołując od progu „mamuśkę”, która piekła najsmaczniejszy placek z czereśniami w całej Nebrasce, ja też zjadłem kawałek tego placaka z górką lodów na

wierzchu.

– Mamuśka, skombinuj mi coś do zarcia, bo zaraz chyba zjem się żywcem albo zrobię coś jeszcze gorszego. – Po czym klapnął z rozmachem na stołku i zaczął rechotać. – I dorzuć trochę fasoli.

Oto siedział tuż przy mnie ucieleśniony Zachód. Chętnie bym poznał całe twarde życie tego człowieka i dowiedział się, co, u diabła, robił przez te wszystkie lata, poza tym, że tak się śmiał i wrzeszczał. Ja też wydałem w duchu radosny okrzyk, a niebawem zjawił się kowboj i ruszyliśmy do Grand Island.

Dojechaliśmy tam piorunem. Kowboj wrócił z żoną, po czym ruszył w swoją stronę, a my z Eddiem w swoją. Zabrała nas grupka młodych ludzi – kowbojów, nastolatków, chłopców z prowincji, podróżujących skleconym gruchotem, którzy wysadzili nas gdzieś na trasie. Zaczęło mżyć. Następnie jakiś starszy gość, który nie odezwał się ani słowem – Bóg raczy wiedzieć, po co nas wziął – podrzucił nas do Shelton. Eddie stał smętnie przy drodze, na wprost grupki krępych, gapiących się na nas Indian Omaha, którzy nie mieli dokąd iść ani co ze sobą zrobić. Po przeciwnej stronie drogi przebiegały tory kolejowe, a na zbiorniku z wodą widniał napis SHELTON.

– Niech mnie diabli – powiedział ze zdumieniem Eddie – byłem już kiedyś w tym mieście. To było wiele lat temu, w czasie wojny, nocą, późną nocą, kiedy wszyscy spali. Wyszedłem na peron, żeby zapalić, i widzę, że jesteśmy na pustkowiu, ciemno jak w piekle; podniosłem głowę i zobaczyłem tę nazwę Shelton wypisaną na zbiorniku z wodą. Jedziemy w stronę Pacyfiku, wszyscy cholerni frajerzy chrapią, postaliśmy tylko kilka minut i hajda w drogę. Niech mnie diabli, Shelton! Od tamtego czasu nie znoszę tej dziury!

I tak utknęliśmy w Shelton. Podobnie jak w Davenport, nieliczne przejeżdżające auta należały do farmerów, a raz na jakiś czas trafiał się samochód z turystami, co jest jeszcze gorsze, bo za kierownicą siedzą starsi panowie, a ich żony pokazują palcami widoki albo wtykają nosy w mapy, albo znów siedzą sztywno, patrząc na wszystko podejrzliwie.

Mżawka się nasiliła i Eddie dostał kataru; nie bardzo miał co włożyć na grzbiet. Wyłowiłem ze swojego brezentowego worka flanelową koszulę w kratę; włożył ją i poczuł się nieco lepiej. Ja też się podziękowałem. W jakimś lichym indiańskim sklepiku kupiłem pastylki na kaszel. Obok na malutkiej poczcie, otwartej od drugiej do czwartej, kupiłem kartkę pocztową i napisałem do ciotki. Wróciliśmy na szarą drogę. I znów mieliśmy przed sobą „Shelton” na zbiorniku z wodą. Przejechał pociąg do Rock Island. Przed oczami mignęły nam twarze pasażerów z wagonów sypialnych. Pociąg z łoskotem pomknął przez równiny w wymarzonej przez nas kierunku. Rozpadało się nie na żarty.

Wysoki, kościsty gość w galonowym kapeluszu zatrzymał samochód po nieprzepisowej stronie i ruszył w naszym kierunku; wyglądał na szeryfa. Układaliśmy już w duchu wyjaśnienia. Wolniutko zbliżył się do nas.

– Chłopcy, jedziecie z jakimś określonym celem czy tak sobie?

Nie zrozumieliśmy pytania, mimo że było cholernie precyzyjne.

– A bo co? – spytaliśmy.

– Jestem właścicielem niedużego wesołego miasteczka rozłożonego o parę kilometrów stąd; szukam chłopaków, którzy chcieliby popracować i zarobić parę dolarów. Mam koncesję na ruletkę i na grę w drewniane obręcze, no wiecie, celuje się do kukiełek i można wygrać fant. Jeżeli zgodzicie się u mnie pracować, będziecie dostawali trzydzieści procent wpływów.

– Z noclegiem i wyżywieniem?

– Łóżko dostaniecie, ale jeść będziecie musieli na mieście. Trochę też podróżujemy.

Namyślaliśmy się.

– To niezła okazja – dodał i czekał cierpliwie, aż się zdecydujemy. Czuliśmy się głupio i nie wiedzieliśmy, co odpowiedzieć; bo ja na przykład wcale nie miałem ochoty wiązać się z wesołym miasteczkiem. Pilno mi było spotkać się z ferajną w Denver.

– Nie wiem – powiedziałem. – Śpieszy mi się. Nie bardzo mam czas.

Eddie powiedział to samo, więc gość pomachał nam tylko ręką, wolno oddalił się do samochodu i odjechał. Tyle go widzieliśmy. Śmieliśmy się przez chwilę, zastanawiając się, jak by to wyglądało. Oczyma wyobraźni zobaczyłem ciemny, pełen kurzu wieczór na równinach, twarze przechadzających się rodzin z Nebraski, zaróżowione policzki dzieci rozglądających się z lękiem dokoła, i wiedziałem, że czułbym się jak szarlatan, nabierając ich na te tanie kuglarskie sztuczki. Wyobraziłem sobie diabelski młyn obracający się w ciemnościach, smętną muzykę karuzeli i siebie, stęsknionego za dotarciem do celu, śpiącego w jakimś pozłacanym wozie cyrkowym na posłaniu z konopnych worków.

Eddie okazał się kumplem dość roztargnionym. Nadszedł zabawny, stary wehikuł prowadzony przez staruszkę. Zrobiony z czegoś w rodzaju aluminium, czworokątny jak skrzynia, niewątpliwie przypominał pojazd, ale dziwaczny, rozklekotany pojazd własnej roboty. Jechał bardzo wolno i zatrzymał się. Rzuciliśmy się do niego; staruszek oznajmił, że może zabrać tylko jednego z nas; Eddie bez słowa wskoczył do środka i wolno znikł mi z oczu, ubrany w moją flanelową koszulę. Cóż, trudno, pożegnałem się z nią; zresztą miała dla mnie tylko wartość pamiątkową. Potem jeszcze długo, wiele godzin, czekałem w naszym przeklętym Shelton i zdawało mi się, że zapada już zmierzch; w rzeczywistości było dopiero wczesne popołudnie, tyle że mroczne. Denver, Denver, czy ja w końcu dojadę do Denver? Już

miałem się poddać i usiąść gdzieś przy kawie, kiedy zatrzymał się całkiem nowy samochód prowadzony przez młodego chłopaka. Podbiegłem jak szalony.

– Dokąd jedziesz?

– Do Denver.

– Mogę cię podrzucić jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów.

– Bomba, uratowałeś mi życie.

– Sam kiedyś jeździłem stopem, dlatego zawsze zabieram stojących przy drodze.

– Ja bym też zabierał, gdybym miał wóz.

Rozgadaliśmy się; opowiedział mi swoje życie, które nie było zbyt ciekawe, potem przespałem się trochę i obudziłem się tuż przed Gothenburgiem, gdzie mnie wysadził.

## 4

Tam właśnie miała mi się trafić najgenialniejsza jazda w życiu: odkryta ciężarówka, a na niej rozwalonych sześciu czy siedmiu chłopaków; w szoferce siedzieli kierowcy, dwaj młodzi blondyni, farmerzy z Minnesoty, którzy brali każdą duszę napotkaną po drodze – uśmiechnięci od ucha do ucha, weseli, przystojni kmiotkowie, co to od razu podbijają ludzkie serca; obaj tylko w bawełnianych koszulach i spodniach ogrodniczkach; obaj mieli potężne łapska i serca na dłoni, a także szerokie uśmiechy „jaksiemasz” na widok wszystkich i wszystkiego, z czym los ich zetknął. Podbiegłem i spytałem: – Macie miejsce? – Na co oni: – Jasne, wskakuj, starczy miejsca dla wszystkich.

Jeszcze nie zdążyłem się wgramolić na platformę, a już ciężarówka ruszyła z łoskotem; zatoczyłem się, jeden z pasażerów mnie złapał, usiadłem. Ktoś mi podsunął flaszkę hary, w której zostało coś na dnie. Pociągnąłem, zachłysnąłem się obłądnym, lirycznym, dżdżystym powietrzem Nebraski.

– Fruuu, jedziemy! – rozdarł się szczeniak w baseballowej czapce, chłopaki wrzucili sto dziesięć i wyprzedzali wszystkich na szosie. – Jedziemy już tym draństwem od Des Moines. Ci faceci w ogóle nie stają. Co jakiś czas trzeba wrzeszczeć, żeby się dali odlać, bo inaczej człowiek musiałby chyba lać w powietrze, no i trzymać się, brachu, dobrze się trzymać.

Przyjrzałem się towarzystwu. Dwóch młodziutkich farmerów z Północnej Dakoty w czerwonych czapkach baseballowych, czyli w nakryciu głowy typowym dla młodych

farmerów z Północnej Dakoty. Jechali na żniwa. Ich stary pozwolił im się wypuścić na całe lato. Jechało też dwóch chłopczków z Columbus w Ohio, licealistów grających w szkolnej drużynie futbolowej; obaj żuli gumę, mrugali oczami, śpiewali na wietrze i mówili, że w czasie wakacji objeżdżają stopem całe Stany Zjednoczone.

– Jedziemy do Los Angeles! – krzyknęli.

– A co tam będziecie robić?

– Kurza dupa, nie wiemy. Czy to ważne?

Jechał też wysoki chudzielec o wyglądzie cwaniaczka.

– Skąd jesteś? – spytałem.

Leżałem obok niego na platformie; nie dało się usiedzieć, żeby nie polecieć na łeb na szyję, bo ciężarówka nie miała poręczy. Chudzielec odwrócił się powoli do mnie, otworzył usta i rzekł:

– Z Mon-ta-ny.

Jechał wreszcie Gene Missisipi i jego podopieczny. Gene Missisipi był to niski brunet, który jeździł pociągami towarowymi po kraju, trzydziestoletni tramp o młodzieńczym wyglądzie, trudno więc było dokładnie określić, ile ma lat. Siedział po turecku na deskach, zapatrzone w mijane pola, nie odzywał się przez setki kilometrów, aż w końcu odwrócił się do mnie i spytał:

– A dokąd ty jedziesz?...

Odparłem, że do Denver.

– Mam tam siostrę, alem jej nie widział ładne parę lat.

Mówił wolno i melodyjnie. Był cierpliwy. Miał pod opieką szesnastoletniego blondynka, podobnie jak on w łachach trampa; to znaczy mieli na sobie stare ciuchy, całe już usmolone i zszargane od tego jeżdżenia w wagonach towarowych i spania na ziemi. Blondynek też siedział cicho, sprawiał wrażenie, jak gdyby przed czymś uciekał, wyglądało na to, że przed policją, bo tak patrzył przed siebie i oblizywał usta w niespokojnym zamyśleniu. Raz na jakiś czas chudzielec z Montany zagadywał ich z sardonycznym, aluzyjnym uśmiechem. Ale oni nie zwracali na niego uwagi. Chudzielec był jedną wielką aluzją. Miałem stracha przed tym jego głupkowatym uśmieszkiem, który posyłał człowiekowi prosto w twarz, po czym zastygał jak jakiś półdebel.

– Masz forse? – zwrócił się do mnie.

– Ni cholery. Starczyłoby najwyżej na pół litra whisky, zanim się dotelepię do Denver.

A ty?

– Wiem, gdzie można skombinować.

– Gdzie?

– Gdziekolwiek. Zawsze można obrobić jakiegoś gościa w ciemnej uliczce, no nie?

– Pewno tak.

– Wcale nie jestem od tego, kiedy naprawdę potrzebuję szmalu. Jadę do Montany zobaczyć się z ojcem. Będę musiał wysiąść z tej bryki w Cheyenne i ruszyć na północ jakoś inaczej. Ci wariaci jadą do Los Angeles.

– Prosto?

– Jak strzelił. Jeśli chcesz jechać do LA, trafiła ci się okazja.

Zastanowiłem się chwilę; na samą myśl o tym, że mógłbym tak całą noc pruć przez Nebraskę, Wyoming, rano przez pustynię Utah, a najprawdopodobniej po południu przez Nevadę, i w rzeczywistości krótkim czasie dotrzeć do Los Angeles, omal nie zmieniłem planów. Ale musiałem jechać do Denver. Też więc będę musiał wysiąść w Cheyenne i złapać coś na sto kilkadziesiąt kilometrów do Denver.

Ucieszyłem się, kiedy dwaj młodzi farmerzy z Minnesoty, właściciele ciężarówki, postanowili zatrzymać się w North Platte, żeby coś zjeść; chciałem ich zobaczyć. Wyszli z szoferki i uśmiechnęli się do całej naszej zgrai.

– Można się odlać! – ogłosił jeden.

– Czas na wyżerkę! – zawtórował drugi.

Ale z całego towarzystwa tylko oni mieli forszę na jedzenie. Poczłapaliśmy za nimi do restauracji prowadzonej przez kilka kobiet, gdzie usiedliśmy nad hamburgerami i kawą, kiedy tamci wtrząchali olbrzymi posiłek, zupełnie jakby znaleźli się z powrotem w kuchni u mamusi. Byli braćmi; wozili maszyny rolnicze z Los Angeles do Minnesoty, zbijając na tym niezłą forszę. Kiedy więc mieli pusty przelot na wybrzeże, zabierali wszystkich po drodze. Jechali tak już chyba szósty raz i klawo się przy tym bawili. Wszystko im się podobało. Uśmiech nie schodził im z twarzy. Usiłowałem z nimi pogadać – ot, taka idiotyczna próba z mojej strony, żeby się zaprzyjaźnić z kapitanami naszej łajby – ale w odpowiedzi posłali mi jedynie słoneczne uśmiechy, szczerząc zdrowe, białe zęby.

Wszyscy poszli za nimi do restauracji oprócz dwóch trampów, Gene'a i jego podopiecznego. Kiedy wróciliśmy, tamci wciąż siedzieli w ciężarówce, zapomniani jak te dwie sieroty. Zapadał już zmrok. Kierowcy przystanęli na papierosa; nagle strzeliło mi do głowy, żeby kupić butelkę whisky, może nas rozgrzeje, bo noc zapowiadała się zimna. Uśmiechnęli się, kiedy ich o to zagadnąłem.

– Dobra, leć, tylko się pośpiesz.

– Też będziecie mogli sobie gołnąć – zapewniłem ich.

– Co to, to nie. My nie pijemy. Ale ty leć.

Chudzielec z Montany i dwaj licealiści krążyli ze mną ulicami North Platte, dopóki nie znalazłem sklepu z whisky. Coś dorzucili, Chudzielec też coś kapnął, no więc kupiłem flachę trzy czwarte litra. Sprzed budynków o nieproporcjonalnie wybujałych fasadach przypatrywali nam się wysocy, posępni mężczyźni; główną ulicę tworzyły dwa rzędy kwadratowych pudełek domów. Za każdą smutną ulicą ciągnęły się niezmierzone połacie równin. W powietrzu North Platte wyczułem jednak coś innego. Z początku nie wiedziałem, co to jest. Dopiero po pięciu minutach wszystko się wyjaśniło. Wróciliśmy do ciężarówki i ruszyliśmy z łoskotem w drogę. Wkrótce się ściemniło. Ledwie zdążyliśmy sobie gołnąć, aż tu nagle zielone pola Platte zaczęły znikać, a w ich miejsce pojawiły się jak okiem sięgnąć rozległe płaskie nieużytki, sam piach i bylica. Zdumiałem się.

– Co to, u diabła, takiego? – krzyknąłem do Chudzielca.

– Zaczyna się preria, chłopie. Daj jeszcze pociągnąć.

– Hurra! – zawołali licealiści. – Zegnaj, Columbus! Co by Iskra i chłopaki powiedzieli, gdyby tu byli. Jeju!

Kierowcy zamienili się miejscami; teraz wypoczęty brat piłował gaz do dechy. Droga też się zmieniła – pośrodku wyboista, miała z obu stron miękkie pobocza, a dalej rowy przeszło metr głębokości, ciężarówka więc podskakiwała i huśtała się z jednej strony na drugą – cudem tylko trzymała się szosy, kiedy nie jechało nic z przeciwka – wciąż myślałem, że za chwilę wszyscy fikniemy kozła. Ale bracia byli niesamowitymi kierowcami. Jak ta ciężarówka uporała się z pofałdowaniami Nebraski – pofałdowaniami, które zachodzą aż na Kolorado! Zaraz też uprzytomniłem sobie, że dotarłem wreszcie do Kolorado, chociaż formalnie nie przekroczyliśmy jeszcze granicy stanu, ale patrząc na południowy zachód, Denver jest kilkaset kilometrów stamtąd. Zawyłem z radości. Puściliśmy w obieg butelkę. Na niebo wyszły duże płonące gwiazdy, zamazały się niknące hen, w oddali piaszczyste wzgórza. Czułem się jak strzała zdolna pomknąć do celu.

Nagle odwrócił się do mnie siedzący po turecku Gene Missisipi, wyrwawszy się ze swej cierplivej zadumy, otworzył usta, nachylił się bliżej i rzekł:

– Jak widzę te równiny, to czuję w żyłach Teksas.

– Jesteś z Teksasu?

– Coś ty, człowieku, jestem z Grin-vyl Muz-sipy. – Tak właśnie to wymówił.

– A skąd jest ten chłopak?

– W coś się tam wplątał w Missisipi, no to obiecałem, że mu pomogę. Nigdzie się dotąd sam nie wypuszczał. Opiekuję się nim jak umiem, toż to jeszcze dzieciak.

Chociaż Gene był biały, miał w sobie coś z mądrego, steranego życiem Murzyna, a także coś z Elmera Hassela, nowojorskiego narkomana, tyle że był Hasselem kolejowych szlaków, tułającym się epickim Hasselem, który rok w rok przemierzał tam i z powrotem cały kraj, w zimie na południe, w lecie na północ, i tylko dlatego że nie znał takiego miejsca, gdzie mógłby osiąść, nie umierając przy tym z nudów, no i dlatego że nie miał się dokąd udać, jak tylko przed siebie, gwiazdy wciąż go gnały naprzód, przeważnie zresztą gwiazdy Zachodu.

– Parę razy byłem w Og-den. Jakbyś chciał podskoczyć do Og-den, mam tam kilku kumpli, u których znalazłaby się chata.

– Z Cheyenne jadę do Denver.

– Diabła tam, jedź od razu na drugi brzeg, nie co dzień trafia się taka gratka.

Też mnie to kusiło. Co było w Ogden?

– Co jest w Ogden? – spytałem.

– Przejeżdża tamtędy większość chłopaków i zawsze się tam spotykają. Kogo tam nie ma...

Kiedyś byłem już nad oceanem z wysokim, kościstym facetem z Luizjany, na którego mówili Duży Chudy Hazard. William Holmes Hazard był trampem z własnego wyboru. Jako mały chłopiec widział raz, jak do jego matki podszedł tramp i poprosił o kawałek ciasta, matka go poczęstowała, a kiedy już się oddalił, mały chłopiec spytał:

– Mamo, co to za pan?

– A, to taki tramp.

– Mamuś, ja też chcę zostać trampem.

– Co ty wygadujesz, to nie dla takich jak my, Hazardowie.

On jednak nigdy nie zapomniał tamtego dnia, no więc kiedy podrósł, najpierw krótko grał w drużynie futbolowej Uniwersytetu Stanu Luizjana, a potem rzeczywiście został trampem. Duży Chudy i ja przegadaliśmy wiele nocy, plując tytoniem do papierowych pojemników. Zachowanie Gene'a Missisipi tak mi nieodparcie przypominało Dużego Chudego Hazarda, że aż zapytałem:

– Nie spotkałeś gdzieś przypadkiem faceta zwanego Dużym Chudym Hazardem?

– Takiego wysokiego z tubalnym śmiechem?

– To by się zgadzało. Pochodził z Ruston w stanie Luizjana.

– Aha, czasem mówili na niego Chudy z Luizjany. A jakże, pewno, że spotkałem Dużego Chudego.

– I pracował dawniej na polach naftowych we wschodnim Teksasie?

– Zgadza się. A teraz pogania krowy.

Wszystko zgadzało się co do joty; ale nadal nie mogłem uwierzyć w to, że Gene naprawdę zna Chudego, którego szukałem, no w pewnym sensie szukałem, od lat.

– I pracował kiedyś na holownikach w Nowym Jorku?

– A tego to już nie wiem.

– Pewno go znałeś tylko na Zachodzie.

– Tak się składa. Nigdy nie byłem w Nowym Jorku.

– Niech mnie dunder świśnie, nie mogę się nadziwić, że go znasz. Przecież to wielki kraj. Ale od początku wiedziałem, że musisz go znać.

– A jakże, znam Dużego Chudego, i to nieźle. Zawsze sypał forszą, jak tylko miał coś przy duszy. Ale też ostry, twardy był z niego gość. Raz widziałem, jak jednym ciosem rozłożył gliniarza na torowiskach w Cheyenne.

To mi pasowało do Dużego Chudego; zawsze trenował ten cios w powietrzu; wyglądał zupełnie jak Jack Dempsey, tyle że młody Jack Dempsey, który nie stroni od kieliszka.

– Niech mnie cholera! – zawołałem w ten wiatr, znów pociągnąłem z butelki, i teraz już było mi dobrze. Każdy łyk ulatniał się na wietrze hulającym po otwartej ciężarówce, ulatniały się jego złe wpływy, a dobre osiadały mi w żołądku. – Cheyenne, już do ciebie jadę! – zaśpiewałem. – Denver, wypatruj swego chłopaka.

Chudzielec z Montany odwrócił się do mnie, wskazał palcem na moje buty i zapytał: – Myślisz, że jakbyś je zasadził w ziemi, to by coś wyrosło? – a wszystko to, oczywiście, bez cienia uśmiechu. Inni usłyszeli i zarechotali. A były to najbardziej żalosne buty w całej Ameryce; wziąłem je specjalnie w trasę, bo nie chciałem, żeby mi się pociły nogi na rozgrzanych drogach, i zresztą, pominąwszy ulewę na Górze Niedźwiedziej, okazały się najlepsze z możliwych w tej podróży. Śmiałem się razem z chłopakami. Teraz buty były już w opłakanym stanie, wystawały z nich strzępy kolorowej skóry niczym kawałki świeżego ananasa, a z przodu przeświecały duże palce u nóg. Znów sobie pociągnęliśmy i znów się roześmieliśmy. Mknęliśmy jak we śnie przez małe miasteczka na skrzyżowaniach dróg, które migały tylko w ciemnościach, mijaliśmy długie zastępy pomocników żniwnych i kowbojów szwendających się po nocy. Rejestrowali nasz przejazd jednym ruchem głowy, a myśmy widzieli, jak się klepią po udach w odmętach mroku, już z drugiej strony miasteczka – nasza banda musiała przedstawiać niezły widok.

O tej porze roku do tej części kraju zjeżdżało mnóstwo mężczyzn; był czas żniw. Chłopcy z Dakoty siedzieli już jak na szpilkach.

– Chyba wysiadziemy, jak znów staną, żeby się odlać. Sporo tu pewnie roboty w okolicy.

– Kiedy tu się skończy, wystarczy przejechać kawałek na północ – doradził im Chudzielec z Montany – i tak się przenosić za żniwami aż do Kanady.

Chłopcy pokiwali bez przekonania głowami; nie wzięli sobie zbyt do serca jego rady.

Młody blondynek, uciekinier, przez całą drogę siedział bez ruchu; co jakiś czas Gene wrywał się ze swojego buddyjskiego transu nad przemykającymi ciemnymi równinami i szeptał coś dobrotliwie chłopcu do ucha. Chłopak kiwał głową. Gene się nim opiekował, rozpraszał jego nastroje i obawy. Zastanawiałem się, dokąd, u diabła, się udadzą i co będą robić. Nie mieli papierosów. Tak mi jakoś przypadli do serca, że roztrwoiłem na nich całą swoją paczkę. Byli mi wdzięczni i przy tym pełni wdzięku. Ani razu nie poprosili, sam im podsuwałem. Chudzielec z Montany miał własne papierosy, ale nikogo nie częstował. Przemknęliśmy przez kolejne miasteczko na skrzyżowaniu dróg, minęliśmy kolejny zastęp tyczkowatych facetów w dzinsach, zbitych w gromadkę w tym półmroku niczym ćmy na pustyni, po czym znów wpadliśmy w niesamowite ciemności, a gwiazdy nad głowami świeciły czystym, jasnym blaskiem, bo w miarę jak sunęliśmy pod górę na tym zachodnim płaskowyzu, wlokąc się, jak się to mówi, w żółtym tempie, powietrze stawało się coraz rzadsze i żadne drzewa nie przesłaniały nisko zawieszonych gwiazd. Kiedy tak przemykaliśmy, raz tylko zobaczyłem w przydrożnych trawach melancholijną krowę z białym pyskiem. Jazda przypominała podróż koleją, jechało się równie stabilnie i równie prosto.

Niezdługo zbliżyliśmy się do miasteczka, zwolniliśmy trochę, na co Chudzielec z Montany ucieszył się:

– O, będzie się można odlać.

Ale zuchy z Minnesoty wcale nie stanęły, minęliśmy zabudowania.

– Cholera, muszę się wyszczać – powiedział Chudzielec.

– To szczaj za burtę – poradził mu ktoś.

– Żebyś wiedział, że tak zrobię – odparł Chudzielec i pomału, na naszych oczach, wycofał się zadkiem centymetr po centymetrze na tył platformy, trzymając się z całych sił, aż wreszcie spuścił nogi za burtę. Ktoś zapukał do okienka szoferki, żeby zwrócić na to uwagę braciom. Odwrócili się i wyszczerzyli na ten widok zęby. Po czym właśnie kiedy Chudzielec miał się zabrać do rzeczy, a i tak przedsięwzięcie było dość karkołomne, zaczęli zygzakować po szosie z prędkością chyba stu dziesięciu kilometrów na godzinę. W jednej chwili padł na wznak; zobaczyliśmy tylko w powietrzu fontannę jak z wieloryba; z trudem wrócił do siedzącej pozycji. Kierowcy zarzucili. Prask, upadł na bok, zalewając się cały od stóp do głów. Przez ten łoskot dobiegały nas jego słabe przekleństwa niczym jęki człowieka zza

wzgórz w oddali. – Jasna cholera... jasna cholera... – Nie miał pojęcia, że robimy to umyślnie; po prostu walczył, beznadziejnie jak Hiob. Kiedy skończył, był przemoczony do suchej nitki, na dobitkę musiał się teraz wtarabanić z powrotem; przedstawiał naprawdę żalony widok, a wszyscy poza tym jednym smutnym blondynkiem ryczeli ze śmiechu, również farmerzy w szoferce. Podałem Chudzielcowi butelkę, żeby mu to jakoś wynagrodzić.

– Co u diabła – spytał – czy oni to robili celowo?

– Pewnie, że tak.

– Niech mnie cholera, nie wiedziałem. Bo kiedyś spróbowałem tego w Nebrasce i nie miałem nawet w połowie takich kłopotów.

Naraz wjechaliśmy do miasteczka Ogallala i dopiero tutaj ci z szoferki ogłosili: „Odlewamy się!” – i to z dużą radochą. Chudzielec stał markotnie przy ciężarówce, przeklinając w duchu zmarnowaną okazję. Chłopcy z Dakoty pożegnali się z wszystkimi, bo uznali, że najmą się tam do zniw. Patrzyliśmy za nimi, jak odchodzą w noc ku chatom na skraju miasta, gdzie paliły się światła; nocny stróż w dżinsach powiedział im, że tam zastaną werbunkowego. Musiałem kupić papierosy. Gene i blondynek poszli ze mną, żeby rozprostować nogi. Zaszedłem do najbardziej nieprawdopodobnego lokalu pod słońcem, czegoś w rodzaju samotnego baru równin dla miejscowych nastolatków. Kilka osób tańczyło przy muzyce z szafy grającej. Kiedy weszliśmy, w środku panowała ospała atmosfera. Gene i Blondas po prostu stali, nie patrząc na nikogo; chodziło im tylko o papierosy. Było tam kilka niebrzydkich dziewcząt. Jedna z nich wlepiała oczy w Blondasa, ale on nie zauważył, a gdyby nawet, i tak by go to nie wzięło, bo taki był zasepiony i nieobecny.

Kupiłem każdemu po paczce, podziękowali. Ciężarówka była gotowa do odjazdu. Nadciągnęła północ, a wraz z nią zimnica. Gene, który objechał kraj więcej razy, niż potrafiłby zliczyć na palcach obu rąk i nóg, doradził, że najlepiej teraz skulić się razem pod wielkim brezentem, bo przemarzniemy na kość. I w ten sposób, rozpijając butelkę do dna, jakoś się rozgrzewaliśmy, kiedy przeniknął nas siarczysty ziąb, który aż szczypał w uszy. Im wyżej pięliśmy się na przedgórza, tym jakby jaśniej świeciły gwiazdy. Byliśmy już w Wyoming. Leżąc na wznak, wpatrywałem się we wspaniały firmament, a zarazem napawałem się chwilą, rozkoszowałem tym, jak daleko w końcu jestem od smętnej Góry Niedźwiedziej, i podniecałem się myślą, co mnie czeka w Denver – cokolwiek, dosłownie cokolwiek to będzie. Gene Missisipi zaczął śpiewać. Ciągnął piosenkę melodyjnym, cichym głosem, z nadrzecznym akcentem, a słowa, bardzo proste, szły tak: „Mam cud dziewczynę, szesnaście ma latek, cudniejszej nikt nie widział jak świat światem”, co powtarzał w kółko, wtrącając inne strofki o tym, jak daleko go poniosło i jak bardzo by chciał do niej wrócić, ale ją stracił z

oczu.

Powiedziałem:

- Wiesz, Gene, to przepiękna piosenka.
- Najurokliwsza, jaką znam – odparł z uśmiechem.
- Życzę ci, żebyś dotarł tam, dokąd jedziesz, i żebyś tam zaznał szczęścia.
- Zawsze jakoś sobie radzę i tak czy siak jadę przed siebie.

Chudzielec z Montany spał. Obudził się i odezwał do mnie:

– Hej, Czarny, a może byśmy tak dziś wieczór zabalowali razem w Cheyenne, zanim pojedziesz do Denver?

– Jasna sprawa.

Byłem tak pijany, że poszedłbym na wszystko.

Kiedy ciężarówka dotarła na przedmieścia Cheyenne, zobaczyliśmy wysoko czerwone światła miejscowej radiostacji i zaraz potem telepaliliśmy się przez wielki tłum ludzi ciągnący po obu stronach jezdni.

– Jak rany koguta, to tydzień Dzikiego Zachodu – powiedział Chudzielec.

Olbrzymie tłumy biznesmenów, opasłych biznesmenów w kowbojskich butach i wielgachnych kapeluszach, z krzepkimi żoneczkami również w kowbojskich strojach, przewalały się i pokrzykiwały na drewnianych chodnikach starego Cheyenne; nieco dalej lśniły długie sznury bulwarowych świateł w centrum miasta, ale uroczystości skupiły się na Starym Mieście. Huknęły salwy armatnie. Ludzie wylewali się z barów aż na ulicę. Byłem oszołomiony, a zarazem czułem, że jest w tym coś śmiesznego. Przy pierwszym wypadzie na Zachód zobaczyłem na własne oczy, do jakich się ucieka idiotycznych pomysłów, żeby zachować tradycje, którymi się tak szczyci. Musieliśmy zeskoczyć z ciężarówki i pożegnać się; bracia z Minnesoty nie mieli zamiaru się tam zatrzymywać. Smutno mi się zrobiło na duszy, kiedy patrzyłem, jak odjeżdżają, bo zdałem sobie sprawę z tego, że nigdy żadnego z nich więcej nie zobaczę, ale tak to już w życiu jest.

– Dziś wieczór odmroziecie sobie kupry – przestrzegłem ich. – A jutro po południu przypiecze je wam na pustyni.

– Mnie tam pasuje, byle się tylko wyrwać z tej zimnej nocy – odparł Gene. Ciężarówka odjechała, torując sobie drogę wśród tłumów, i nikt nie zwracał uwagi na dziwną bandę chłopaków pod brezentem, spozierających na miasto niczym niemowlaki spod kołderki. Patrzyłem w ślad za nią, jak znika w mroku nocy.

W towarzystwie Chudzielca z Montany zacząłem się snuć po barach. Miałem przy sobie jakieś siedem dolarów, z czego pięć przepuściłem idiotycznie owego wieczoru. Najpierw zabawialiśmy się z tymi wszystkimi turystami odstrychniętymi na kowbojów, z nafcierzami i właścicielami rancz, w barach, w bramach, na chodniku; potem na jakiś czas pozbyłem się Chudzielca, który toczył się ulicą z lekka kołowaty po whisky i piwie – taki był z niego pijak; oczy mu się zaszklily, jeszcze chwila, a zacznie opowiadać rozmaite rzeczy przygodnie spotkanemu człowiekowi. Wstąpiłem do knajpki chili, kelnerowała tam śliczna Meksykanka. Zjadłem, po czym na odwrocie rachunku napisałem do niej liścik miłosny. W knajpce ani żywej duszy; wszyscy bawili się gdzie indziej, głównie popijali. Powiedziałem dziewczynie, żeby odwróciła rachunek. Przeczytała i roześmiała się. Był to krótki wierszyk o tym, jak bardzo chciałbym, żeby wyszła ze mną obejrzeć tę noc.

- Też bardzo bym chciała, Chiquito, ale mam randkę ze swoim chłopakiem.
- Nie możesz go odprawić?
- Nie, nie mogę – powiedziała ze smutkiem w głosie, co mi się szalenie spodobało.
- No to kiedy indziej tu wpadnę – odparłem.
- Kiedy tylko zechcesz, mały.

Mimo to siedziałem tam nadal, żeby sobie na nią popatrzeć, wypłem następną kawę. Wszedł jej chłopak z posępną miną i zapytał, kiedy kończy pracę. Dziewczyna zakrzętnęła się, żeby szybko zamknąć lokal. Musiałem wyjść. Na odchodnym uśmiechnąłem się do niej. Ulice buzowały takim samym szaleństwem jak przedtem, tyle że grubi balowicze coraz bardziej się upijali i coraz głośniej pokrzykiwali. Bardzo to było śmieszne. Tu i ówdzie snuli się wodzowie indiańscy w dużych pióropuszech, naprawdę poważni wśród tych rozognionych, pijanych twarzy. Zobaczyłem Chudzielca zataczającego się po chodniku i dalej poszliśmy razem.

– Właśnie napisałem kartkę do swojego tatusia w Montanie. Dałbyś radę znaleźć skrzynkę i wrzucić?

Dziwna to była prośba; wręczył mi kartkę i wtoczył się przez wahadłowe drzwi do baru. Wziąłem kartkę, poszedłem do skrzynki, ale przedtem rzuciłem okiem na tekst.

„Kochany Tatusiu! W środę wracam do domu. U mnie wszystko dobrze, mam nadzieję, że u Ciebie też. Richard”.

Od razu zmieniłem o nim zdanie; miał taki sympatyczny i układny stosunek do ojca.

Wszedłem do baru, przysiadłem się do Chudzielca. Poderwaliśmy dwie dziewczyny, śliczną młodą blondynkę i pulchną brunetkę. Obie były głupie i posępne, ale mieliśmy ochotę je zaliczyć. Wzięliśmy je do lichego klubu nocnego, który zresztą już zamykano, gdzie na szkocką dla nich i piwo dla nas wydałem wszystko poza dwoma dolarami. Byłem coraz bardziej pijany, niczym się nie przejmowałem; wszystko grało. Całą swoją duszę i energię kierowałem na blondyneczkę. Z całej siły pragnąłem w nią wejść. Obściskiwałem ją, chciałem jej to powiedzieć. Klub zamknięto, wyszliśmy całą ferajną na rozkołysane, zakurzone ulice. Spojrzałem w niebo; czyste, wspaniałe gwiazdy świeciły tam nadal. Dziewczyny chciały iść na dworzec autobusowy, no więc poszliśmy wszyscy, ale okazało się, że miały się tam spotkać z marynarzem, który na nie czekał, kuzyn tej pulchnej, a marynarzowi towarzyszyli jego kumple. Spytałem blondynkę: „Co jest?”. Wyjaśniła mi, że chce wracać do domu w Kolorado, tuż za linią graniczną stanu na południe od Cheyenne.

– Odwiozę cię tam autobusem – zaproponowałem.

– Nie, autobus staje na autostradzie, musiałabym sama przejść przez tę cholerną prerię. Całe popołudnie patrzę na to cholerne pustkowie, nie mam zamiaru iść tamtędy dziś wieczór.

– Posłuchaj, zrobimy sobie miły spacer wśród kwiatów prerii.

– Tam nie ma żadnych kwiatów – odparła. – Chcę jechać do Nowego Jorku. Mam już tego wszystkiego po dziurki w nosie. Nie mam dokąd pojechać, tylko do Cheyenne, a w Cheyenne nie ma nic.

– W Nowym Jorku też nic nie ma.

– Chrzanisz – ucięła, wydymając pogardliwie usta.

Dworzec autobusowy był zatłoczony po brzegi. Najrozmaitsi ludzie czekali na autobusy albo po prostu sobie stali; pełno tam było Indian, którzy obserwowali wszystko kamiennym wzrokiem. Dziewczyna nie chciała słuchać mojej gadki, przyłączyła się do marynarza i jego kumpli. Chudzielec drzemał na ławce. Usiadłem. Podłogi dworców autobusowych są takie same w całym kraju, zawsze pokryte petami i śliną, zawsze napawają człowieka smutkiem właściwym tylko dworcem autobusowym. Przez chwilę poczułem się zupełnie, jakbym był w Newark, tyle że na zewnątrz ciągnęła się ta olbrzymia przestrzeń, którą tak pokochałem. Przeklinałem się w duchu za to, że zbrukałem czystość całej swojej podróży, nie oszczędzając żadnych dziesięciu centów, zmitrężyłem tylko czas, zamiast naprawdę zrobić sobie frajdę, zmarnowałem go z tą smutną dziewczyną i przepuściłem forszę. Aż mi się rzygać chciało. Ale za długo już nie spałem, żeby teraz złorzeczyć i zamartwiać się, więc walnąłem się spać; zwinąłem się na ławce z brezentowym workiem pod głową i tak przespałem do ósmej rano pośród sennych pomruków, odgłosów dworca i setek

przewijających się tamtędy ludzi.

Obudziłem się z potężnym bólem głowy. Chudzielec się zmył – pewnie do Montany. Wszedłem na dwór. I tam na przejrzystym niebie zobaczyłem po raz pierwszy w oddali wielkie ośnieżone szczyty Gór Skalistych. Zaczerpnąłem głęboko powietrza. Musiałem natychmiast jechać do Denver. Najpierw zjadłem skromne śniadanie, jajko z grzanką i kawę, po czym wypuściłem się z miasta na szosę. Festiwal Dzikiego Zachodu trwał nadal; rozgrywało się rodeo, a zaraz miały się zacząć od nowa pokrzykiwania i podrygi. Ale zostawiłem to wszystko. Chciałem się już spotkać ze swoją paczką w Denver. Przeszedłem mostem kolejowym i dotarłem do skupiska chałup, gdzie szosa się rozwidła; obie drogi prowadziły do Denver. Wybrałem tę bliżej gór, żeby móc na nie patrzeć, i skierowałem się w ich stronę. Od razu trafiła mi się okazja, młody chłopak z Connecticut, który objeżdżał kraj swoim gruchotem, malując; był synem wydawcy ze Wschodu. Usta mu się nie zamykały; a mnie aż zemdlilo od alkoholu i od tej wysokości. W pewnej chwili musiałem dosłownie wysadzić głowę przez okno. Ale kiedy miał mnie wyrzucić w Longmont, w Kolorado, znów poczułem się normalnie, zacząłem mu nawet opowiadać o swoich podróżach. Życzył mi powodzenia.

Longmont okazało się bajeczne. Pod olbrzymim starym drzewem ciągnął się zielony trawnik należący do stacji benzynowej. Spytałem obsługującego, czy mógłbym się tam przespać, zapewnił mnie, że tak; rozłożyłem więc flanelową koszulę, wtuliłem w nią twarz, wystawiłem łokieć i przez chwilę patrzyłem jednym okiem na ośnieżone góry w gorącym słońcu. Zaraz jednak zasnąłem na dwie błogie godziny i tylko czasem dokuczały mi mrówki. „No to jestem wreszcie w Kolorado! – myślałem w upojeniu. – Niech mnie licho! Niech mnie licho! Dobijam do mety!”. A po odświeżającym śnie, wypełnionym pajęczynowymi snami z mojej przeszłości na Wschodzie, wstałem, umyłem się w męskiej toalecie na stacji benzynowej i ruszyłem w drogę jak młody bóg, jeszcze w przydrożnej knajpie kupiłem sobie pyszny zimny koktajl mleczny, żeby ochłodzić nieco swój rozgrzany, udręczony żołądek.

Nawiasem mówiąc, mieszała mi ten koktajl śliczna dziewczyna z Kolorado, też cała w uśmiechach; błogosławiłem los, ten dzień wynagrodził mi poprzedni wieczór. Powiedziałem sobie: „Jeju! A co dopiero będzie w Denver!”. Wszedłem na rozgrzaną drogę i złapałem nowiutki wóz prowadzony przez denwerskiego biznesmena w wieku około trzydziestu pięciu lat. Jechał sto dziesięć na godzinę. Aż mnie przechodziły ciarki; liczyłem minuty i odejmowałem kilometry. Już niedługo ponad falującymi łanami pszenicy całej w złocie pod odległymi śniegami Estes miałem w końcu zobaczyć stare Denver. Wyobraziłem sobie, że jeszcze tego dnia wieczorem będę siedział tam w Denver w barze z całą paczką, że ferajna

będzie na mnie patrzeć jak na dziwnego obdartusa, a zarazem proroka, który przemierzył wszerz cały kraj, żeby przynieść ciemne Słowo, jedyne zaś słowo, jakie miałem w zanadru, brzmiało: „Jeju!”. Ów człowiek i ja odbyliśmy długą, serdeczną rozmowę na temat naszych planów życiowych, zanim się więc zorientowałem, już przejeżdżaliśmy przez targi owocowe dla hurtowników pod Denver; dalej kominy fabryczne, dym, torowiska, kamieniczki z czerwonej cegły, a w oddali szare gmachy centrum, i już byłem w Denver. Wysadził mnie przy ulicy Larimer. Z najbardziej psotnym uśmiechem radości pod słońcem wmieszałem się w tłum starych włóczęgów i zmarnowanych kowbojów ulicy Larimer.

## 6

W owym czasie nie znałem jeszcze Deana tak dobrze jak teraz, dlatego chciałem najpierw odszukać Chada Kinga, co też uczyniłem. Zadzwoiłem do jego domu, pogadałem z matką, przywitała mnie słowami: „Mój ty świecie, Sal, co ty tu robisz w Denver?”. Chad jest szczupłym blondynem o dziwacznej twarzy szamana, która świetnie pasuje do jego zainteresowań antropologią i prehistorycznymi Indianami. Haczykowaty nos rysuje się miękko, niemal pastelowo pod złocistą burzą włosów; Chad odznacza się urodą i wdziękiem prężnego syna Zachodu, który chodzi na tańce w przydrożnych knajpach i gra czasem w futbol. Kiedy mówi, z gardła dobywają mu się wibrujące nosowe dźwięki.

– Co mi się zawsze podobało w Indianach z Równin, Sal, to ten ich wyraz zmieszania na twarzach, kiedy przechwalali się liczbą zdobytych skalpów. Ruxton w *Życiu na Dalekim Zachodzie* opisuje takiego Indianina, który cały aż staje w pąsach, bo zdobył tyle skalpów, pędzi więc jak wicher na równiny, żeby napawać się swoimi czynami w ukryciu. Cholera, to mnie naprawdę wzięło!

Matka Chada znalazła go w to ospałe popołudnie przy pracy nad wyplataniem indiańskich koszyków w miejscowym muzeum. Zadzwoiłem tam do niego; przyjechał po mnie swoim starym sportowym fordem, którym wypuszczał się w góry w poszukiwaniu indiańskich przedmiotów. Zajechał na dworzec autobusowy w dżinsach, uśmiechnięty od ucha do ucha. Siedziałem na podłodze na swoim worku i rozmawiałem z marynarzem, którego poznałem na dworcu autobusowym w Cheyenne. Dopytywałem się, co się stało z tamtą blondyneczką. Był tak znudzony, że nawet nie odpowiedział. Chad i ja wskoczyliśmy do wozu, ale on musiał jeszcze wpaść po jakieś mapy do urzędu stanowego. Potem musiał

odwiedzić swojego dawnego nauczyciela, i tak dalej, a ja marzyłem tylko o piwie. W głowie kołatała mi się idiotyczna myśl. Gdzie jest Dean i co akurat w tej chwili porabia? Z jakiegoś niezrozumiałego powodu Chad postanowił zerwać przyjaźń z Deanem, nie wiedział więc nawet, gdzie tamten mieszka.

– A Carlo Marx jest w mieście?

– Tak.

Ale z nim też już nie rozmawiał. To był początek wycofywania się Chada Kinga z naszej paczki. Po południu miałem się przespać u niego. Doszły mnie słuchy, że Tim Gray trzyma dla mnie mieszkanie przy Colfax Avenue, mieszka już w nim Roland Major i czeka na mnie. Czułem w powietrzu jakiś spisek, a ten spisek dzielił naszą paczkę na dwie grupy: czyli Chad King, Tim Gray i Roland Major wraz z Rawlinsami zgadzali się ogólnie co do jednego, żeby zignorować Deana Moriarty'ego i Carla Marksa. Wpadłem w sam środek tej jakże ciekawej wojny.

Wojna miała swój podtekst społeczny. Dean był synem moczymordy, jednego z najbardziej zapijaczonych szlifibruków ulicy Larimer i okolic, gdzie zresztą Dean na ogół się wychowywał. W wieku sześciu lat błagał w sądzie, żeby wypuszczono jego ojca na wolność. Zebrał na rogach Larimer i chyłkiem zanosił pieniądze ojcu, który czekał ze swoim starym kolegą wśród potłuczonych butelek. Kiedy Dean podrośł, sam zaczął zbijać bąki w salach bilardowych Glenarm; był notowany przez policję Denver za kradzież samochodów i trafił do poprawczaka. Lata między jedenastym a szesnastym rokiem życia spędził przeważnie w domach poprawczych. Specjalizował się w kradzieży samochodów, polowaniu na wychodzące ze szkoły licealistki, które następnie wywoził w góry, gdzie je przelatywał, i wracał, żeby się przespać w pierwszej lepszej hotelowej wannie w mieście. Jego ojciec, niegdyś szanowany, ciężko pracujący blacharz, wpadł w alkoholizm, a na dobitkę upijał się winem, które wpędza w jeszcze gorszy nałóg niż whisky, toteż zupełnie się stoczył, zimą jeździł pociągami towarowymi do Teksasu, latem zaś z powrotem do Denver. Dean miał braci przyrodnych ze strony nieżyjącej matki – odumarała go, kiedy był mały – ale go nie lubili. Tak naprawdę kolegował się tylko z chłopakami z sal bilardowych. Dean, tryskający niespożytą energią amerykańskiego świętego nowego typu, i Carlo wespół z paczką bywalców sal bilardowych stanowili owego sezonu w Denver bandę podziemnych potworów, co najlepiej symbolizował fakt, że Carlo zajmował mieszkanie w suterenie przy ulicy Granta, gdzie spędziliśmy niejedną noc aż do świtu – Carlo, Dean, ja, Tom Snark, Ed Dunkel i Roy Johnson. O tych innych będzie później.

Pierwsze popołudnie w Denver przespałem w pokoju Chada Kinga. Jego matka

krzątała się na dole, a Chad pracował w miejskiej bibliotece. Było gorące lipcowe popołudnie, typowe dla przedgórza. Na pewno bym nie zasnął, gdyby nie wynalazek ojca Chada Kinga. Ten ujmujący, kruchy starszy pan, chudy i wymizerowany, gołębiego serca, dobrze po siedemdziesiątce, opowiadał wolniutko, z upodobaniem, rozmaite historie; a opowiadał bardzo ciekawie, chociażby o swoim dzieciństwie na równinach Północnej Dakoty w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy dla rozrywki jeździł na oklep na kucykach i ganiał z pałąką za kojotami. Później został nauczycielem wiejskim na „cyplu” Oklahomy, a wreszcie biznesmenem w Denver, prowadzącym różne interesy. Nadal miał swoje stare biuro nad warsztatem samochodowym kilka domów dalej przy tej samej ulicy – nadal stało tam biurko z żaluzjowym zamknięciem, a na nim sterty zakurzonych dokumentów, dowodów niegdysiejszych mrzonek o wielkiej fortunie. Wynalazł specjalny klimatyzator. Wstawił zwykły wentylator we framugę okna i przepuścił jakoś zimną wodę przez spiralę przed turkoczającymi łopatkami. Osiągnął doskonały rezultat – w odległości półtora metra od wentylatora, bo dalej w upalne dni woda zamieniała się w parę, toteż na parterze domu było równie gorąco jak zawsze. Ale ja leżałem na łóżku Chada tuż pod wentylatorem, z boku przyglądało mi się wielkie popiersie Goethego, i zasnąłem bez przeszkód, tyle że po dwudziestu minutach obudziłem się przemarznięty na kość. Naciągnąłem koc, ale i tak było mi zimno. W końcu tak zziębłem, że nie mogłem spać, zszedłem więc na dół. Starszy pan zapytał, jak się sprawdza jego wynalazek. „Znakomicie” – odparłem, a w duchu dodałem, że tylko do pewnych granic. Spodobał mi się ten człowiek. Zżerały go wspomnienia.

– Zrobiłem kiedyś wywabiacz plam, który później zerznęły ode mnie wielkie firmy na Wschodzie. Już od ładnych kilku lat usiłuję wydusić z nich za to pieniądze. Gdyby mnie było stać na porządnego adwokata...

Było jednak za późno na najmowanie porządnego adwokata; starszy pan siedział więc przygnębiony w domu. Wieczorem zjedliśmy pyszną kolację, którą przygotowała matka Chada, befsztyk z sarny upolowanej w górach przez wuja Chada. Ale gdzie był Dean?

## 7

Kolejne dziesięć dni było, jak się wyraził W.C. Fields, „najeżone wybitnymi niebezpieczeństwami”... i szalone. Zamieszkałem z Rolandem Majorem we wdechowym mieszkaniu należącym do starych Tima Graya. Każdy z nas miał własną sypialnię, była też

niewielka kuchenka z żarciem w lodówce oraz olbrzymi salon, gdzie Major przesiadywał w swoim jedwabnym szlafroku, układając najnowsze opowiadanie w stylu Hemingwaya – krępy choleryk z czerwoną twarzą, nienawidzący wszystkiego dokoła, który przybierał najzyczliwszy i najbardziej czarujący uśmiech pod słońcem, kiedy wieczorem stykał się z urokami prawdziwego życia. Ślęczał tak przy biurku, ja zaś podskakiwałem wokół na grubym, miękkim dywanie, w samych szortach. Właśnie napisał opowiadanie o facecie imieniem Phil, który po raz pierwszy przyjeżdża do Denver. Towarzyszy mu w podróży tajemniczy, spokojny facet, który ma na imię Sam. Phil wychodzi, żeby spenetrować Denver, i od razu ma do tyłu, bo się nadziewa na artychów. Wraca do hotelu i oznajmia grobowym głosem: „Wiesz, Sam, oni są i tutaj”. A Sam wygląda tylko markotnie przez okno. „Wiem – powiada – wiem”. Rzecz w tym, że Sam wcale nie musiał wychodzić z pokoju, żeby się przekonać. Bohema panoszyła się w całej Ameryce, wysysając jej krew. Major i ja zostaliśmy bliskimi kumplami; uważał, że w niczym nie przypominam takich artychów. Major lubił dobre wina, zupełnie tak samo jak Hemingway. Wspominał swoją niedawną podróż do Francji.

– Och, Sal, gdybyś tak posiedział ze mną w górzystym kraju Basków przy zimnej butelce poignon dix-neuf, to zrozumiałbyś, że istnieje na świecie coś jeszcze poza wagonami towarowymi.

– Wiem. Ale ja kocham te wagony, uwielbiam czytać na nich napisy: Missouri Pacific, Great Northern, Rock Island Line. Jezuniu, Major, gdybym ci tak mógł opowiedzieć wszystko, co mi się zdarzyło, kiedy jechałem tu stopem.

Rawlinsowie mieszkali kilka przecznic dalej. Stanowili wspaniałą rodzinę – dość młoda matka, współwłaścicielka walącego się hotelu w wymarłym miasteczku, oraz jej pięciu synów i dwie córki. Pomyłencem w rodzinie był Ray Rawlins, kolega Tima Graya jeszcze z czasów dzieciństwa. Ray wkroczył z hukiem, żeby mnie zabrać, i od razu przypadliśmy sobie do gustu. Wyszliśmy razem, żeby się napić i powłóczyć po barach Colfax. Jedna z sióstr Raya, śliczna blondynka zwana Babe, grała w tenisa, surfowała, prawdziwa laleczka z Zachodu. Chodziła z Timem Grayem. Z kolei Major, który bawił w Denver przejazdem i trzymał fason, zajmując tamto mieszkanie, chodził z siostrą Tima Graya, Bertą. Ja jeden nie miałem dziewczyny. Wciąż się dopytywałem: „Gdzie jest Dean?” – ale wszyscy uśmiechali się tylko i kręcili głowami.

Wreszcie nastąpiło to, co miało nastąpić. Zadzwoił telefon, odezwał się Carlo Marx. Podał mi swój adres w suterenie.

– Co robisz w Denver? – spytałem. – To znaczy, co w ogóle robisz? Co tu się dzieje?

– Poczekaj, wszystko ci opowiem.

Pognałem na spotkanie. Pracowałem na nocną zmianę w domu towarowym May; stuknięty Ray Rawlins zadzwonił tam do niego z baru, każąc innym stróżom uganiać się za Carlem z wiadomością, że ktoś umarł. Carlo natychmiast pomyślał, że to ja umarłem. Ale Rawlins powiedział mu od razu przez telefon: „Sal jest w Denver” – po czym podał mu mój adres i numer telefonu.

– A gdzie jest Dean?

– Dean jest w Denver. Zaraz ci wszystko opowiem. – I powiedział mi, że Dean kocha się z dwiema dziewczynami na przemian, czyli z Marylou, swoją pierwszą żoną, która czeka na niego w pokoju hotelowym, i z Camille, nową dziewczyną, która też czeka na niego w pokoju hotelowym. – W wolnych chwilach przybiega do mnie, bo nie skończyliśmy jeszcze swoich spraw.

– A co to za sprawy?

– Dean i ja rozpoczęliśmy niesamowity wspólny okres. Usiłujemy sobie przekazać z bezwzględną szczerością i bez reszty wszystkie swoje myśli. Musieliśmy wziąć benzedrynę. Siedzimy na łóżku po turecku naprzeciw siebie. Nauczyłem wreszcie Deana, że może robić, co mu się żywnie podoba, zostać burmistrzem Denver, ożenić się z milionerką albo stać się największym poetą od czasów Rimbauda. Ale on w kółko lata oglądać wyścigi miniaturowych samochodów. A ja z nim. Podskakuje i krzyczy, cały podniecony. Wiesz, Sal, że Dean ma dosłownie fioła na punkcie takich rzeczy.

I Marx głęboko się nad tym zamyślił.

– Jaki jest plan? – spytałem. Bo w życiu Deana zawsze był jakiś plan.

– Plan wygląda tak: wracam z pracy, mija pół godziny. W tym czasie Dean pieprzy się w hotelu z Marylou, daje mi czas na to, żebym się przebrał. Punkt o pierwszej wybiega od Marylou do Camille... oczywiście żadna z nich nie wie, co jest grane... i wykręca z nią jeden numer, dając mi czas, żebym zdążył przyjechać na pół do drugiej. Wtenczas wychodzi ze mną... przedtem jeszcze musi udobruchać Camille, która już zaczęła mnie nienawidzić... i przychodzimy tutaj gadać do szóstej rano. Przeważnie spędzamy ze sobą więcej czasu, ale wszystko coraz bardziej się wikła, a jemu coraz trudniej znaleźć czas. Potem o szóstej wraca do Marylou... a jutro ma cały dzień biegać po mieście, żeby załatwić papiery potrzebne do rozwodu. Marylou jest absolutnie za tym, tylko nalega, żeby się tymczasem jeszcze trochę popieprzyli. Twierdzi, że go kocha, podobnie zresztą jak Camille.

Następnie opowiedział mi, jak Dean poznał Camille. Znalazł ją w barze Roy Johnson, chłopak z sali bilardowej, i zabrał ze sobą do hotelu; duma przyćmiła mu rozum, zaprosił

więc całą paczkę chłopaków, żeby ją poznali. Wszyscy zasiedli wkoło, gadając z Camille. Jeden Dean przez cały czas wyglądał przez okno. Później, kiedy wszyscy wyszli, Dean spojrzał po prostu na Camille, wskazał na swój przegub, wystawił cztery palce (co miało znaczyć, że wróci tam o czwartej) i wyszedł. O trzeciej Roy Johnson zastał drzwi zamknięte. O czwartej otworzyły się dla Deana. Wzięła mnie ochota, żeby natychmiast wyjść i zobaczyć się z tym wariatem. Poza tym już dawno obiecał, że mi załatwi panienkę; znał wszystkie dziewczyny w Denver.

Carlo i ja wypuściliśmy się tego wieczoru na rozkołysane ulice Denver. Było ciepło, gwiazdy tak piękne, obietnica każdego brukowanego zaułka tak kusząca, że czułem się jak we śnie. Doszliśmy do pensjonatu, w którym Dean handryczył się z Camille. Był to stary dom z czerwonej cegły, otoczony drewnianymi garażami i starymi drzewami wystającymi zza ogrodzenia. Weszliśmy po wyłożonych chodnikami schodach. Carlo zapukał, po czym odskoczył, żeby się schować; nie chciał, żeby Camille go zobaczyła. Ja stałem w drzwiach. Dean otworzył nagusieńki. Zobaczyłem na łóżku brunetkę, jedno śliczne kremowe udo odziane w czarne koronki; podniosła wzrok z umiarkowanym zdziwieniem.

– Jak rany, Saaal! – zawołał Dean. – No tak, hm, ehe, jasne, przyjechałeś, ty stary draniu, w końcu wypuściłeś się na tę naszą starą drogę. No to czekaj, musimy, tak, tak, i to zaraz, musimy, naprawdę musimy! Czekaj, Camille... – i odwrócił się do niej. – To jest Sal, mój stary kumpel z Nowego Jorku, to jego pierwszy wieczór w Denver. Czyli bezwzględnie muszę go wziąć na miasto i nadać mu panienkę.

– A kiedy wrócisz?

– Teraz jest... – spojrzał na zegarek – ...dokładnie pierwsza czternaście. Wrócę dokładnie o trzeciej czternaście na godzinkę błogich marzeń, naprawdę błogich marzeń, kochanie, a potem, jak wiesz, jak ci już mówiłem, jak oboje ustaliliśmy, muszę wyjść, żeby się zobaczyć z tym jednonogim adwokatem w sprawie papierów, a żeby było dziwniej, w środku nocy, ale ci to już szczegółowo wyjaśniłem. – (To był parawan dla jego spotkania z Carlem, który tkwił w ukryciu). – Muszę się więc w tej chwileczce ubrać, wskoczyć w spodnie, wrócić do życia, to znaczy do życia na zewnątrz, na mieście i tak dalej, jak oboje ustaliliśmy, jest już pierwsza piętnaście, a czas leci, leci...

– No dobrze, Dean, ale proszę cię, bądź tu na pewno o trzeciej.

– Tak jak powiedziałem, kochanie, tylko pamiętaj, nie o trzeciej, ale o trzeciej czternaście. Mamy jasność w najgłębszych, najcudowniejszych zakamarkach naszych dusz, moje ty najdroższe kochanie?

Podszedł i pocałował ją kilka razy. Na ścianie wisiał olbrzymi portret Deana, z

kutasem po kolana i całą resztą, narysowany przez Camille. Nie posiadałem się ze zdziwienia. Wszystko było takie zwariowane.

No więc ruszyliśmy w tę noc; w zaułku dołączył do nas Carlo. Zapusciliśmy się w najwęższą, najdziwniejszą, najbardziej krętą miejską uliczkę, jaką widziałem w życiu, w samym sercu meksykańskiej dzielnicy Denver. Rozmawialiśmy głośno w tej sennej ciszy.

– Sal – powiedział Dean – mam taką jedną panienkę w sam raz, która w tej chwili na ciebie czeka, jeżeli tylko skończyła pracę. – Zerknął na zegarek. – To kelnerka, Rita Bettencourt, niezła dupenia, ma trochę do tyłu, no wiesz, kilka problemów z seksem, próbowałem je nawet wyprostować, ale sądzę, że dasz sobie radę, taki z ciebie bombowy kochaś. Pojedziemy tam zaraz, tylko musimy skoczyć po piwo, chociaż nie, na pewno u nich się znajdzie jakiś browar, i w cholere! – powiedział, waląc się pięścią w dłoń. – Dzisiaj muszę przelecieć tę jej siostrę, Mary.

– Co takiego? – obruszył się Carlo. – A ja myślałem, że będziemy gadać.

– Tak, tak, ale później.

– Ech, ta chandra z Denver! – zawył Carlo do nieba.

– Czy to nie najgenialniejszy, najcudowniejszy facet pod słońcem? – zapytał Dean, dając mi szturchańca w żebra. – Spójrz na niego. Spójrz tylko na niego!

A Carlo rozpoczął swój małpi taniec na ulicach życia, który odstawiał już przy mnie tyle razy w najróżniejszych zakątkach Nowego Jorku.

Ja zaś potrafiłem się tylko zdobyć na pytanie:

– Ale co my, u diabła, robimy w Denver?

– Od jutra, Sal, wiem, gdzie ci mogę znaleźć robotę – rzekł Dean, przybierając poważny ton. – Wpadnę do ciebie, jak tylko wyrwę się na godzinę od Marylou. Zaraz przylecę do tego twojego mieszkańca, przywitam się z Majorem i zabiorę cię trolejbusem (cholera, że też nie mam wozu) na targ Camargo, gdzie możesz od razu stanąć do pracy, a w najbliższy piątek zgarniesz wypłatę. Wszyscy jesteśmy splukani do cna. Od wielu tygodni nie mam kiedy pracować. W piątek wieczór wszyscy trzej... stara trójka: Carlo, Dean i Sal... musimy obowiązkowo wybrać się na wyścigi miniaturowych samochodów. Załatwię, żeby nas tam podrzucił taki jeden gość z centrum...

I tak nadawał w tę noc.

Dotarliśmy do domu, w którym mieszkały siostry kelnerki. Ta dla mnie nie wróciła jeszcze z pracy; druga, na którą miał chrapkę Dean, była w domu. Usiedliśmy na kanapie. O tej porze miałem zadzwonić do Raya Rawlinsa. No więc zadzwoniłem. Natychmiast do nas przyjechał. Ledwo wszedł za próg, zdjął koszulę i podkoszulek, po czym zaczął obściskiwać

zupełnie sobie nieznaną panienkę, Mary Bettencourt. Po podłodze turlały się butelki. Zrobiła się trzecia godzina. Dean popędził na swoją godzinkę marzeń z Camille. Wrócił na czas. Zjawiała się druga siostra. Potrzebny nam był teraz wóz, poza tym robiliśmy tam za dużo hałasu. Ray Rawlins zadzwonił do kumpla z samochodem. Przyjechał. Zabraliśmy się wszyscy, Carlo usiłował prowadzić na tylnym siedzeniu zaplanowaną rozmowę z Deanem, ale wokół panował zbytni rozgardiasz.

– Jedźmy na moją chatę! – zawołałem. Tak też uczyniliśmy; gdy tylko samochód zatrzymał się pod domem, wyskoczyłem i stanąłem na trawniku na głowie. Wypadły mi wszystkie klucze; nigdy ich już nie znalazłem. Wbiegliśmy rozkrzyczani do budynku. Roland Major stanął na progu w jedwabnym szlafroku, zagradzając nam wejście.

– Nie dopuszczę do takich ekscesów w mieszkaniu Tima Graya.

– Co? – zawołaliśmy jak jeden mąż. Nastąpiło zamieszanie. Rawlins kotłował się w trawie z jedną z kelnerek. Major za nic nie chciał nas wpuścić. Zaklinaliśmy się, że zadzwonimy do Tima Graya powiedzieć mu o prywatce i jego też zaprosimy. W końcu jednak pojechaliśmy z powrotem do centrum Denver, żeby się powłóczyć po knajpach. Nagle znalazłem się na ulicy sam bez forsy. Poleciał mi ostatni dolar.

Pokonałem na piechotę osiem kilometrów do Colfax, do swojego wygodnego łóżka w sławetnym mieszkaniu. Teraz Major musiał mnie wpuścić. Zastanawiałem się, czy Dean i Carlo wywnętrzają się przed sobą. Później się dowiem. Noce w Denver są chłodne, spałem jak suseł.

## 8

Nagle wszyscy zaczęli planować niesamowitą wyprawę w góry. Pomysł powstał z rana, a tuż potem był do mnie telefon, który skomplikował dodatkowo sprawy – mój dawny kumpel z drogi, Eddie, który zadzwonił do mnie na wariata; zapamiętał kilka nazwisk, które mu wspomniałem. Miałem więc szansę odzyskać swoją koszulę. Eddie zatrzymał się ze swoją dziewczyną w jakimś domu pod Colfax. Chciał się dowiedzieć, czy nie wiem przypadkiem, gdzie można by znaleźć pracę, zaprosiłem go, żeby przyjechał, bo uznałem, że Dean mu coś poradzi. Dean wpadł, jak zwykle zagoniony, kiedy jadłem z Majorem przyrządzone naprędce śniadanie. Nie chciał nawet usiąść.

– Czekam na tysiąc spraw do załatwienia, właściwie nie bardzo mam czas podrzucić

was do Camargo, ale dobra, jedźmy, stary.

– Zaczekajmy na mojego kumpla z drogi, Eddiego.

Majora rozbawił ten nasz wieczny pośpiech. Przyjechał do Denver, żeby popisać sobie w spokoju. Traktował Deana z powagą. Dean natomiast nie zwracał na niego uwagi. Major rozmawiał z Deanem w ten sposób:

– Moriarty, co to ja słyszę? Śpisz z trzema dziewczynami naraz?

Na co Dean przebierał nogami na dywanie i powiadał:

– Ano tak, ano tak, jakoś tak się składa.

I spoglądał na zegarek, a Major fukał przez nos. Czułem się głupio, że tak wybiegam z Deanem – Major twierdził, że Dean jest imbecylem i durniem. Była to oczywista bzdura, co chciałem wszystkim jakoś udowodnić. Spotkaliśmy się z Eddie. Dean na niego też nie zwracał uwagi, pojechaliśmy więc razem trolejbusem w to gorące południe w Denver, żeby znaleźć robotę. Mierziła mnie sama myśl o pracy. Eddie swoim zwyczajem gadał jak nakręcony. Na targowisku spotkaliśmy człowieka, który zgodził się przyjąć nas obu; praca zaczynała się o czwartej z rana i trwała do szóstej po południu. Ów człowiek oświadczył:

– Lubię chłopaków, którzy lubią pracować.

– To dobrze pan trafił – odparł Eddie, ale ja nie miałem takiej pewności co do siebie.

Po prostu nie będę spał – postanowiłem. Tyle było innych ciekawych rzeczy do roboty. Eddie stawiał się tam nazajutrz rano, ja nie. Miałem gdzie spać, Major nakupił jedzenia do lodówki, a ja w zamian gotowałem i zmywałem. Tymczasem wciągnąłem się w cały układ. Pewnego wieczoru u Rawlinsów odbyła się wielka prywatka. Matka Rawlinsów wyjechała w podróż. Ray Rawlins obdzwonił wszystkich znajomych i kazał im przynieść whisky; następnie przeleciał swój notes w poszukiwaniu dziewczyn. Przeważnie ja odstawiałem gadkę. Zjawilo się mnóstwo panienek. Zadzwoiłem do Carla, żeby się dowiedzieć, co akurat porabia Dean. Miał przyjść do Carla o trzeciej nad ranem. Poszedłem tam po prywatce.

Suterena Carla mieściła się przy ulicy Granta w starym pensjonacie z czerwonej cegły przy kościele. Trzeba było iść zaułkiem, potem w dół po kilku kamiennych schodkach, otworzyć stare, rozklekotane drzwi, a następnie przejść przez coś w rodzaju piwnicy, zanim się doszło do jego drzwi z desek. Pokój przypominał celę rosyjskiego świętego: jedno łóżko, paląca się świeca, kamienne ściany ociekające wilgocią i zwariowana niby to ikona, jego dzieło. Przeczytał mi swój poemat. Nosił tytuł *Chandra z Denver*. Carlo obudził się rano i usłyszał „wulgarne gołębie” trzaskające dziobami na dworze; zobaczył kiwające głowami na gałęziach „smętne słowiki”, które przypominały mu matkę. Całe miasto spowił szary całun. Góry, te wspaniałe Góry Skaliste, które widać na zachodzie z każdej dzielnicy, były „z

papier-mâché”. Calutki świat był szalony, pokręcony i niesłychanie dziwny. Carlo pisał o Deanie jako o „dziecku tęczy”, które dźwiga swój krzyż w udreńczonym fallusie. Nazywał go „Edypem Eddiem”, który musi „zeskrobywać gumę do żucia z szyb okiennych”. Ślęczał w swojej suterenie nad wielkim dziennikiem, w którym codziennie zapisywał wszystkie zdarzenia – wszystko, co Dean zrobił i powiedział.

Dean zjawił się punktualnie.

– Wszystko gra – oznajmił. – Biorę rozwód z Marylou, żenię się z Camille i wyjeżdżam z nią do San Francisco. Przedtem jednak ja i ty, drogi Carlo, skoczymy do Teksasu, bo muszę się załapać na Starego Byka Lee, tego bombowego facia, którego nie miałem dotąd okazji poznać, a o którym tyle mi opowiadaliście, i dopiero wtedy ruszę do San Fran.

Po czym przeszli do swoich spraw. Usiedli po turecku na łóżku, patrząc sobie prosto w oczy. Zapadłem się obok w fotelu i wszystko widziałem. Rozpoczęli od abstrakcyjnej myśli, omówili ją; przypomnieli sobie inną abstrakcyjną kwestię, zapomnianą w natłoku zdarzeń; Dean się kajał, ale twierdził, że może do niej w każdej chwili wrócić i uporać się z nią, podsuwając przykłady.

– I właśnie kiedy przejeżdżaliśmy przez Wazee – rzekł Carlo – chciałem ci się zwierzyć, co myślę na temat twojego bzika na punkcie miniaturowych samochodów, i właśnie wtedy, pamiętasz, pokazałeś mi tamtego starego włóczęgę w workowatych spodniach i powiedziałeś, że wygląda wypisz, wymaluj jak twój ojciec?

– Tak, tak, jasne, że pamiętam. Poza tym mnie samemu nasunęła się wówczas pewna myśl, naprawdę szalona myśl, którą chciałem się z tobą podzielić, ale uleciała mi z głowy, a tyś mi ją teraz przypomniał...

I tak zrodziły się dwa nowe tematy. Przelecieli je szybko. Następnie Carlo spytał Deana, czy jest szczerzy, a zwłaszcza czy jest w głębi duszy szczerzy wobec niego.

– Czemu znów o to pytasz?

– Chcę się dowiedzieć najważniejszego...

– Sal, mój drogi, siedzisz tam i słuchasz, zapytajmy Sala. Co ty na to?

Odpowiedziałem więc:

– Najważniejszego nigdy się nie dowiesz, Carlo. Nikt nie może się dowiedzieć najważniejszego. Wciąż karmimy się nadzieją, że poznamy to raz na zawsze.

– Nie, nie, nie, gadasz bzdury. Romantyczne brednie w stylu Wolfe’a, gównno warte! – zawołał Carlo.

A Dean dodał:

– Wcale nie o to mi chodziło, ale niech sobie Sal rozumuje na swój sposób, bo czy nie sądzisz, Carlo, że jest w tym jakaś godność, jak on tam siedzi i załapuje się na nas, ten wariat przemierzył cały kraj, żeby tu przyjechać... stary Sal nie powie, stary Sal nie powie.

– Nie tyle nie powiem – zaproponowałem – ile nie mam pojęcia, do czego zmierzacie ani co chcecie osiągnąć. Wiem, że każdego by to przerastało.

– Wszystko, co mówisz, jest na nie.

– No to co próbujecie osiągnąć?

– Powiedz mu.

– Nie, ty mu powiedz.

– Tu nie ma nic do powiedzenia – stwierdziłem i roześmiałem się. Miałem na głowie kapelusz Carla. Nasunąłem go sobie na oczy. – Chce mi się spać.

– Biednemu Salowi zawsze się chce spać.

Nie odezwałem się. No więc znów zaczęli swoje.

– Kiedyś pożyczyłeś ode mnie pięć centów, żeby móc zapłacić za tamte pieczone kurczaki...

– Coś ty, człowieku, za chili! Pamiętasz, Teksas Star?

– Pomyliło mi się z wtorkiem. Kiedy pożyczyłeś te pięć centów, powiedziałaś, słuchasz mnie, powiedziałaś: „Carlo, po raz ostatni cię wykorzystuję”, jakbyś sugerował, bo sugerowałaś, że ustaliłem z tobą coś takiego jak koniec wykorzystywania.

– Nie, nie, nie, wcale nie o to mi chodziło. Cofnij się, z łaski swojej, mój drogi, do tamtego wieczoru, kiedy Marylou płakała w pokoju, a ja odwróciłem się do ciebie i uderzając w przesadną szczerłość, która, jak obaj wiemy, była wybiegiem, ale miała czemuś służyć, czyli grając, wykazałem, że... Ale zaraz, nie w tym rzecz.

– Oczywiście, że nie w tym! Bo zapominasz, że... Ale od teraz przestaję cię oskarżać. Zgadzam się z tobą...

I tak gadali w kółko przez całą noc. O świcie podniosłem wzrok. Zamykali już ostatnie poranne wątki.

– Kiedy ci powiedziałem, że muszę iść spać z powodu Marylou, to znaczy spotkania z nią o dziesiątej, wcale nie użyłem stanowczego tonu w odniesieniu do tego, co mi właśnie powiedziałaś o zbyteczności snu, tylko, powtarzam, tylko i wyłącznie dlatego, że bezwzględnie, najzwyczajniej, po prostu, bez żadnych „ale” muszę się teraz przespać, to znaczy, stary, oczy same mi się zamykają, są przekrwione, zmęczone, piekące, sfatygowane...

– Ech, co za dzieciak – odparł Carlo.

– Musimy się teraz przespać. Zatrzymajmy tę maszynę.

– Tej maszyny nie da się zatrzymać! – ryknął Carlo na całe gardło.

Szczebiotały już pierwsze poranne ptaki.

– Kiedy podniosę rękę – powiedział Dean – przestajemy gadać. Obaj uznajemy w czysty sposób i bez żadnych awantur, że najzwyczajniej przestajemy gadać, bo idziemy spać.

– Tej maszyny nie da się tak po prostu zatrzymać.

– Zatrzymajcie tę maszynę – odezwałem się. Obaj spojrzeli na mnie.

– On cały czas nie spał i słuchał. Co sobie myślałeś, Sal?

Powiedziałem, że moim zdaniem są niebywałymi pomyłkami i że przez całą noc słuchałem ich jak ktoś, kto przygląda się mechanizmowi zegarka, który dotarł na sam szczyt przełęczy Berthoud, chociaż został wykonany z najmniejszych trybików najbardziej delikatnych zegarków pod słońcem. Uśmiechnęli się. Wymierzyłem w nich palec i oznajmiłem:

– Jeżeli będziecie to ciągnąć dalej, obaj dostaniecie kręćka, ale dajcie mi znać, co się będzie działo po drodze.

Wyszedłem i wróciłem trolejbusem do swojego mieszkania, a góry z papier-mâché Carla Marksa oblała czerwień, kiedy zza wschodnich równin wychynęło olbrzymie słońce.

## 9

Wieczorem zaangażowałem się w tamtą wyprawę w góry, toteż przez pięć dni nie widziałem Deana ani Carla. Babe Rawlins dostała na weekend do dyspozycji wóz swojego szefa. Wzięliśmy ze sobą garnitury, powiesiliśmy je na oknach samochodu i ruszyliśmy do Central City z Rayem Rawlinsem za kierownicą. Tim Gray rozwalił się na tylnym siedzeniu, Babe jechała z przodu. Po raz pierwszy zobaczyłem Góry Skaliste od środka. Central City to stara osada górnicza, zwana dawniej Najbogatszą Miłą Kwadratową Świata, gdzie stare łążęgi, faceci, którzy włączyli się po górach, trafili na prawdziwą żyłę srebra. Z dnia na dzień zbili majątek, zbudowali więc śliczną małą operę pośród swoich chałup na stromym zboczu. Gościła tam nawet Lillian Russell i gwiazdy operowe z Europy. Później Central City stało się miastem widmem, aż energiczni panowie z Izby Handlowej nowego Zachodu postanowili ożywić to miejsce. Odrestaurowali budynek opery, toteż każdego lata przyjeżdżały tu i występowały gwiazdy z Metropolitan. Były to dla wszystkich znakomite wakacje. Zewsząd ściągali turyści, nawet hollywoodzkie gwiazdy. Wjechaliśmy wysoko pod górę i trafiliśmy na

wąskie uliczki zapchane po brzegi odpicowanymi turystami. Przypomniał mi się Sam od Majora, Major miał rację. Był tam zresztą we własnej osobie, szczerząc do wszystkich zęby w szerokim, towarzyskim uśmiechu, reagując na wszystko najbardziej szczerymi oczami i achami.

– Sal – zawołał, łapiąc mnie za ramię – spójrz tylko na to stare miasteczko. Pomyśl, jak musiało wyglądać sto... do diabła, zaledwie osiemdziesiąt, sześćdziesiąt lat temu. Mieli nawet operę!

– Aha – potwierdziłem, małpując jednego z jego bohaterów – ale są tutaj.

– Niech ich krew zaleje – zaklął. Ale poszedł bawić się dalej z Betty Gray, uwieszoną na jego ramieniu.

Babe Rawlins była przedsiębiorcza. Znała taki jeden stary górniczy dom na skraju miasta, w którym chłopaki mogliby spać przez weekend; wystarczyło tylko posprzątać. Moglibyśmy też urządzić tam huczne prywatki. Była to stara chałupa pokryta w środku kilkucentymetrowym kurzem; z przodu ganek, z tyłu studnia. Tim Gray i Ray Rawlins zakasali rękawy i zabrali się do sprzątania; ogarnięcie wszystkiego z grubsza zabrało im całe popołudnie i część wieczoru. Ale zorganizowali sobie wiadro pełne butelek piwa, i wszystko grało.

Co do mnie, miałem po południu towarzyszyć Babe do opery. Włożyłem na tę okazję garnitur Tima. Zaledwie przed kilkoma dniami przyjechałem do Denver jak ostatni włóczęga; teraz paradowałem w garniturze, z piękną, elegancką blondynką pod rękę, kłaniałem się dygnitarzom i gawędziłem w foyer pod żyrandolami. Ciekawe, co by powiedział Gene Missisipi, gdyby mnie tam zobaczył.

Grali *Fidelia*.

„Jak tu ponuro!” – zapłakał baryton, wychodząc z lochu pod jęczącym głazem. Zapłakałem i ja, bo podobnie widzę życie. Tak się wciągnąłem w operę, że przez chwilę zapomniałem o swoim zwariowanym życiu i zatraciłem się we wspianych, smętnych dźwiękach Beethovena i soczystych rembrandtowskich tonach jego opowieści.

– Sal, no i jak ci się podobało tegoroczne przedstawienie? – spytał z dumą już na ulicy Denver D. Doll. Miał powiązania z towarzystwem operowym.

– Jak tu ponuro, jak tu ponuro – odparłem. – Coś wspianego!

– Teraz musisz koniecznie poznać członków zespołu. – Przybrał oficjalny ton, ale na szczęście był tak zajęty innymi sprawami, że o tym zapomniał, a potem się ulotnił.

Babe i ja wróciliśmy do chaty górniczej. Wskoczyłem z tych ciuchów i zabrałem się z chłopakami do sprzątania. Była to nie lada harówka. Roland Major siedział pośrodku

wysprzątanego już salonu i nie miał zamiaru pomagać. Na stoliku przed nim stała butelka piwa i szklanka. Kiedy myśmy się uwijali z wiadrami wody i szczotkami, on wspominał:

– Gdybyście tak kiedyś ze mną pojechali, popili cinzano, posłuchali muzyków z Bandolu, to dopiero zakosztowalibyście życia. A w lecie Normandia, saboty, pyszny stary calvados. No, Sam – zwrócił się do swojego niewidzialnego kumpla. – Wyjmij wino z wody, zobaczymy, czy się dostatecznie schłodziło, kiedy byliśmy na rybach.

Gadka prosto z Hemingwaya.

Zawołaliśmy dziewczyny przechodzące ulicą.

– Chodźcie pomóc nam wysprzątać chatę. Wieczorem zapraszamy wszystkich na prywatkę.

Przyszły. Pracowała więc dla nas cała zgraja ludzi. W końcu zjawily się śpiewaczki z chóru operowego, przeważnie młode panienki, i też się zabrały do dzieła. Słońce zaszło.

Kiedy dzień pracy dobiegł końca, Tim, Rawlins i ja postanowiliśmy się wysztafirować na ten wielki wieczór. Poszliśmy przez całe miasto do pensjonatu, w którym zatrzymały się gwiazdy opery. Doleciały nas pierwsze dźwięki wieczornego przedstawienia.

– Pora w sam raz – powiedział Rawlins. – Łapcie się za golarki i ręczniki. Trochę się odświeżymy. – Wzięliśmy też szczotki do włosów, wody kolońskie, płyny do golenia i tak obładowani poszliśmy do łazienki. Wykapaliśmy się ze śpiewem. – I co, nie pysznie? – powtarzał Tim Gray. – Mamy do dyspozycji łazienkę gwiazd operowych, ręczniki, płyn do golenia i maszynki elektryczne.

To był cudowny wieczór. Central City jest położone trzy tysiące metrów nad poziomem morza; z początku człowiek upaja się samą wysokością, potem odczuwa zmęczenie, a następnie gorączkę duszy. Doszliśmy wąską ciemną uliczką do świateł gmachu opery; skręciliśmy w prawo i trafiliśmy na stare bary z wahadłowymi drzwiami. Większość turystów bawiła akurat w operze. Zaczęliśmy od kilku dużych piw. W pierwszym barze stała pianola. Za tylnymi drzwiami rozciągał się widok na zbocza górskie w poświacie księżyca. Wydałem okrzyk „Ju-huuu!”. Wieczór się rozpoczął.

Wróciliśmy szybko do naszej chaty górniczej. Trwały już przygotowania do wielkiej prywatki. Dziewczyny, Babe i Betty, gotowały jakieś danie z fasoli i parówek, po czym ruszyliśmy do tańca i piwa, teraz już na całego. Po przedstawieniu zaczęły do nas walić tłumy młodych dziewcząt. Rawlins, Tim i ja aż się oblizywaliśmy. Porwaliśmy je do tańca. Nie było muzyki, same tańce. Chałupa się wypełniła. Ludzie zaczęli przynosić butelki. Wyrwaliśmy się na trochę, żeby przelecieć się po barach, i znów popędziliśmy z powrotem. Ogarniała nas gorączka szalonej nocy. Żałowałem, że nie ma tam z nami Deana i Carla – po czym

uprzytomniłem sobie, że nie pasowaliby do obrazka i czuliby się nieszczęśliwi. Przypominali owego człowieka z kamiennego lochu, wychodzącego z podziemi, co mu tak ponuro – nędzni hipsterzy Ameryki, nowe pokolenie beatników, do którego powoli sam się przyłączałem.

Zjawili się chłopcy z chóru. Zaczęli śpiewać *Sweet Adeline*. Wyśpiewywali również takie kwestie jak: „Podaj mi piwo” i „Co ty tu robisz z tą zakapiorską twarzą?”, a także zawodzili barytonem „Fi-de-lio!”. „O rany, jak tu ponuro!” – zaśpiewałem. Dziewczyny były genialne. Wychodziły na podwórko i obściskowały się z nami. W innych pokojach, zakurzonych, których nie zdążyliśmy sprzątnąć, stały łóżka, posadziłem tam jedną dziewczynę i rozmawiałem z nią; raptem z opery nadciągnęła fala młodych żigolaków, którzy po prostu chwyтали dziewczyny i całowali je bez żadnych ceregieli. Małolaty – pijane, rozmamłane, podniecone – rozwalily nam prywatkę. Po pięciu minutach wyniosły się wszystkie dziewczyny co do jednej i zaczęła się męska biba z porykiwaniem i waleniem butelkami piwa.

Ray, Tim i ja postanowiliśmy powłóczyć się po barach. Major się zmył, Babe i Betty też. Ruszyliśmy chwiejnie w tę noc. Towarzystwo z opery zapełniło szczelnie wszystkie knajpy od baru aż po drzwi. Major krzyczał nad głowami ludzi. Entuzjastyczny okularnik, z Denver D. Doll, ściszał wszystkim ręce i mówił: „Dobry wieczór, witam, witam” – a kiedy nadeszła północ, mówił: „Dobry wieczór, serdecznie witam”. W pewnej chwili zauważyłem, że wychodzi dokądś z którymś dygnitarzem. Po jakimś czasie wrócił z kobietą w średnim wieku; a już za chwilę rozmawiał na ulicy z parą młodych żigolaków. Po chwili uściśnął mi rękę, wcale mnie nie poznając, i powiedział: „Szczęśliwego Nowego Roku, mój chłopcze”. Wcale nie był pijany alkoholem, tylko pijany tym, co lubił – ludzkim młynem. Wszyscy go znali. „Szczęśliwego Nowego Roku” – wołał, a czasem: „Wesołych Świąt”. Powtarzał to w kółko. W Boże Narodzenie życzył Wesołego Alleluja.

W barze siedział tenor otaczany przez wszystkich wielkim szacunkiem; Doll z Denver nalegał, żebym go poznał, a ja chciałem uniknąć spotkania; nazywał się D'Annunzio czy jakoś podobnie. Towarzyszyła mu żona. Siedzieli markotnie przy stole. Przy barze stał jakiś argentyński turysta. Rawlins dał mu sójkę w bok, żeby się posunął; odwrócił się i warknął. Rawlins wręczył mi do potrzymania swoją szklanekę i jednym ciosem powalił tamtego na mosiężną balustradę. Facet momentalnie stracił przytomność. Rozległy się krzyki; Tim i ja szybko wyprowadziliśmy Rawlinsa na dwór. Nastąpiło takie zamieszanie, że szeryf nie mógł się nawet przedrzeć przez tłum, żeby znaleźć ofiarę. Nikt nie potrafił zidentyfikować Rawlinsa. Poszliśmy do innych barów. Major zataczał się na ciemnej ulicy.

– Co, do diabła? Trzeba kogoś załatwić? Wystarczy mnie tylko wezwać.

Ze wszystkich stron rozbrzmiewał gromki śmiech. Byłem ciekaw, co też sobie myśli Duch Gór, zadarłem więc głowę, zobaczyłem smukłe sosny w poświacie księżyca, widma starych górników i zamyśliłem się. Na całej ciemnej wschodniej ścianie Wododziału panowała tej nocy cisza i tylko szeptał wiatr, z wyjątkiem wąwozu, w którym myśmy huczeli; z drugiej strony Wododziału ciągnęło się wielkie Zachodnie Zbocze i olbrzymi płaskowyż, który dochodził aż do Źródeł Parowych, po czym opadał i prowadził na pustynię wschodniego Kolorado oraz na pustynię Utah; wszystko to teraz spowijały ciemności, kiedy tak rozrabialiśmy i wrzeszczeliśmy w naszym górskim zakątku, narwani, pijani Amerykanie na swej potężnej ziemi. Znajdowaliśmy się na dachu Ameryki, lecz potrafiliśmy chyba tylko krzyknąć – w tę noc, na wschód od Równin, a gdzieś tam kroczył zapewne ku nam siwowłosy starzec ze Słowem, który mógł w każdej chwili nadejść i nas uciszyć.

Rawlins upierał się, żebyśmy wrócili do baru, w którym wszczął bójkę. Tim i ja mieliśmy opory, ale nie puściliśmy go samego. Rawlins podszedł znów do D'Annunzia, tego tenora, i chlusnął mu whisky z wodą w twarz. Wyciągnęliśmy go stamtąd siłą. Przyłączył się do nas pewien baryton z chóru, razem poszliśmy do typowego baru w Central City. Tam z kolei Ray nazwał jakąś kelnerkę dziwką. Bar obsiadła grupa ponurych mężczyzn; nienawidzili turystów. Jeden z nich powiedział: – Wynoście się stąd lepiej, chłopcy, zanim policzę do dziesięciu. – Tak też uczyniliśmy. Powlekliśmy się z powrotem do naszej chałupy i rąbnęliśmy się spać.

Rano obudziłem się i przewróciłem na bok; z materaca wzbil się wielki tuman kurzu. Rzuciłem się do okna; zabite gwoździemi. Tim Gray jeszcze leżał w łóżku. Obaj kasłaliśmy i kichaliśmy. Na śniadanie wypiliśmy zwietrzałe piwo. Babe wróciła ze swojego hotelu, spakowaliśmy więc manatki do odjazdu.

Wszystko zaczęło się sypać. Kiedy szliśmy do samochodu, Babe poślizgnęła się i upadła prosto na twarz. Biedna dziewczyna była przemęczona. Ray, Tim i ja pomogliśmy jej wstać. Wsiadliśmy do samochodu; dołączyli do nas Major i Betty. Zaczęła się smutna jazda z powrotem do Denver.

Raptem znaleźliśmy się u podnóża góry, skąd rozciągał się widok na wielką równinę miasta Denver; buchnął żar jak z pieca. Zaczęliśmy śpiewać. Zatęskniłem za dalszą podróżą do San Francisco.

Wieczorem odnalazłem Carla, który ku mojemu zdumieniu powiedział, że poprzedniego dnia był z Deanem w Central City.

– Co tam robiliście?

– No wiesz, włóczyliśmy się po barach, a potem Dean ukradł wóz, no i zjechaliśmy górskimi zakolami z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę.

– Nigdzie was nie widziałem.

– Nie wiedzieliśmy, że tam jesteś.

– Wiesz, stary, jadę do San Francisco.

– Dean przygadał ci na wieczór Ritę.

– No to odłożę wyjazd.

Nie miałem pieniędzy. Wysłałem lotniczy do ciotki z prośbą o pięćdziesiąt dolarów, przyrzekając, że po raz ostatni proszę ją o pieniądze; odtąd już tylko będzie dostawać pieniądze ode mnie, jak tylko zaciągnę się na statek.

Poszedłem na spotkanie z Ritą Bettencourt, zabrałem ją do siebie do mieszkania. Po długiej rozmowie w ciemnym salonie znaleźliśmy się w sypialni. Miła z niej była dziewczyna, prosta i szczerą, a przy tym śmiertelnie bała się seksu. Powiedziałem jej, że to coś cudownego. Chciałem jej tego dowieść. Dała mi szansę, ale zbyt byłem na nią napalony i niczego nie dowiodłem. Westchnęła tylko w ciemnościach.

– Czego chcesz od życia? – spytałem, bo zawsze pytam o to dziewczyny.

– Nie wiem – odparła. – Chyba pracować jako kelnerka i jakoś pchać tę biedę.

Ziewnęła. Położyłem jej rękę na ustach i poprosiłem, żeby nie ziewała. Usiłowałem jej powiedzieć, że wszystko mnie w życiu podnieca, ileż to rzeczy moglibyśmy razem robić; tak mówiłem, a przecież za dwa dni zamierzałem wyjechać z Denver. Odwróciła się ode mnie ze znużeniem. Leżeliśmy na wznak wpatrzyli w sufit i zastanawialiśmy się, co też Bóg najlepszego zrobił, sprawiając, że życie jest takie smutne. Zaczęliśmy się dość mgliście umawiać na spotkanie we Frisco.

Mój czas w Denver dobiegał końca, czułem to wyraźnie, kiedy odprowadzałem ją do domu; w drodze powrotnej wyciągnąłem się na trawniku przed starym kościołem obok bandy trampów, a słuchając ich rozmów, zapragnąłem znów się znaleźć w drodze. Co jakiś czas jeden z nich wstawał i naciągał przechodnia na dziesięć centów. Rozmawiali o tym, że żniwa przesuwały się na północ. Było ciepło i przyjemnie. Miałem ochotę pójść znów po Ritę,

powiedzieć jej znacznie więcej niż przedtem i tym razem naprawdę się z nią kochać, rozwiązać jej lęki wobec mężczyzn. Amerykańska młodzież ma smutny żywot, bo od początku stawia sobie przesadne wymagania w dziedzinie seksu bez porządnej rozmowy wstępnej. Nie chodzi mi o flirt, lecz o prawdziwą, szczerą rozmowę na temat duszy, albowiem życie jest święte, a każda chwila bardzo cenna. Słyszałem, jak lokomotywa z Denver i Rio Grande wjeżdża z rykiem w góry. Zapraǳiałem podążyć dalej za swoją gwiazdą.

Około północy Major i ja wdaliśmy się w smętne rozmowy.

– Czytałeś *Zielone wzgórza Afryki*? To najlepsza książka Hemingwaya.

Życzyliśmy sobie nawzajem powodzenia. Spotkamy się we Frisco. Zobaczyłem Rawlinsa na ulicy pod ciemnym drzewem.

– Do widzenia, Ray. Kiedy się znów spotkamy?

Poszedłem odszukać Carla i Deana – nigdzie ich nie mogłem znaleźć. Tim Gray wyrzucił rękę do góry i powiedział:

– A więc wyjeżdżasz, Jo.

Obaj mówiliśmy do siebie nawzajem „Jo”.

– Aha.

Przez następnych kilka dni snułem się po Denver. Wciąż mi się zdawało, że każdy włóczęga na ulicy Larimer może być ojcem Deana Moriarty’ego; nazywali go Starym Deanem Moriartym, Blacharzem. Zaszedłem do hotelu Windsor, gdzie niegdyś mieszkali ojciec z synem i gdzie pewnej nocy zdarzył się koszmar, Deana wyrwał ze snu beznogi facet na deskorolce, który dzielił z nimi pokój; podjechał, dudniąc tymi strasznymi kółkami, żeby dotknąć chłopaka. Na rogu Curtis i Piętnastej zobaczyłem gazetarkę, karlicę z krótkimi nogami. Minąłem smętne speluny ulicy Curtis; szczeniaki w dżinsach i czerwonych koszulach; łupiny fistaszków, markizy kin, strzelnice. Za rozjarzoną światłami ulicą ciągnęły się ciemności, a dalej za nimi – Zachód. Trzeba mi było ruszać w drogę.

O świcie znalazłem Carla. Poczytałem trochę jego imponujący dziennik, przespałem się u niego, a rankiem, dżdżystym i szarym, wparował wysoki, metr osiemdziesiąt, Ed Dunkel z Royem Johnsonem, przystojnym chłopaczkiem, i z Tomem Snarkiem, szpotawym rekinem sal bilardowych. Usiedli w kółku i ze speszonymi uśmiechami słuchali, jak Carlo Marx czyta swoje apokaliptyczne, szalone wiersze. Zapadłem się w fotelu, kompletnie wykończony.

– Ech, wy ptaki z Denver! – zawołał Carlo.

Zmylił się stamtąd i poszliśmy typowym brukowanym zaułkiem Denver między piecami do palenia śmieci wypuszczającymi powoli dym. „W tym zaułku turlałem jako smarkacz kółko” – powiedział mi kiedyś Chad King. Chętnie bym go przy tym zobaczył;

chętnie zobaczyłbym Denver sprzed dziesięciu lat, kiedy wszyscy byli jeszcze dziećmi i w słoneczny wiosenny poranek kwitnącej wiśni pod Górami Skalistymi turlali kółka w kipiących radością zaułkach pełnych nadziei – cała ferajna. No i Deana, obdartego i brudnego, jak grasuje samotnie, trawiony gorączką natłoku spraw.

Roy Johnson i ja łaziliśmy w mżawce; poszedłem do domu dziewczyny Eddiego, żeby odebrać swoją flanelową koszulę w kratę, koszulę z Shelton w stanie Nebraska. Znalazłem ją tam zwiniętą w kłębek, przedstawiała smętny widok. Roy Johnson zapowiedział, że spotka się ze mną we Frisco. Wszyscy się tam wybierali. Wróciłem do mieszkania i okazało się, że nadeszły dla mnie pieniądze. Wzeszło słońce, Tim Gray odwiózł mnie trolejbusem na dworzec autobusowy. Kupiłem sobie bilet do San Fran, wydając połowę mojej pięćdziesiątki, wsiałem do autobusu o drugiej po południu. Tim Gray pomachał mi na pożegnanie. Autobus wytoczył się z zatłoczonych sklepami, żarliwych ulic Denver. „Jak Boga kocham, muszę tu wrócić i zobaczyć, co się jeszcze zdarzy!” – przyrzekłem sobie w duchu. Tuż przed odjazdem Dean powiedział mi przez telefon, że może dojedzie do mnie z Carlem na wybrzeże; zadumałem się nad tym i uprzytomniłem sobie, że przez cały ten czas nie gadałem z Deanem dłużej niż pięć minut.

## 11

Na spotkanie z Remim Boncoeuem spóźniłem się dwa tygodnie. Podróż autobusem z Denver do Frisco minęła bez wstrząsów, tyle że przez cały czas dusza wyrywała mi się do Frisco, im bardziej się do niego zbliżaliśmy. Znowu Cheyenne, tym razem po południu, i dalej na zachód przez łańcuch gór; Wododział przejechaliśmy o północy, w Creston, a o świcie dotarliśmy do Salt Lake City – miasta spryskiwaczy na trawnikach, zupełnie niepasującego na miejsce urodzin Deana; i dalej do Nevady w upalnym słońcu, o zmierzchu Reno z migoczącymi chińskimi uliczkami; i znowu pod górę do Sierra Nevada, sosny, gwiazdy, pensjonaty górskie, hołubiące romanse z Frisco – mała dziewczynka na tylnym siedzeniu zamęczająca matkę:

– Mamusiu, kiedy dojedziemy do domu, do Truckee?

Wreszcie samo Truckee, przytulne miasteczko, i znowu z góry na równiny Sacramento. Naraz zdałem sobie sprawę, że jestem w Kalifornii. Ciepłe, palmowe powietrze – powietrze, które chciałoby się całować – i palmy. Wzdłuż spiętrzonej rzeki Sacramento autostradą; znowu

górzysta okolica; w górę, w dół; i naraz rozległa przestrzeń zatoki (tuż przed świtem), a po drugiej stronie girlandy sennych świateł Frisco. Kiedy przejeżdżaliśmy w Oakland przez most na zatoce, po raz pierwszy od wyjazdu z Denver zapadłem w prawdziwy sen; toteż gdy autobus zajechał na dworzec przy Market i Czwartej, ocknąłem się raptownie ze świadomością, że znajduję się pięć tysięcy sto kilometrów od domu ciotki w Paterson, w New Jersey. Wyszedłem na miasto jak jakiś wynędzniały duch, i oto przede mną Frisco – długie, smutne ulice z drutami tramwajowymi, spowite mgłą i bielą. Pokręciłem się trochę po ulicach. Niesamowici włóczędzy o świcie (przy Mission i Trzeciej) nagabywali mnie o dziesięć centów. Skądś dobiegły dźwięki muzyki. „O raju, ale ja się w tym będę nurzał! Teraz jednak muszę odszukać Remiego Boncooura”.

Mill City, gdzie mieszkał Remi, to skupisko chat w dolinie, dzielnica prymitywnych domków, zbudowana w czasie wojny dla robotników ze stoczni marynarki wojennej; znajdowała się w kanionie, i to dość głębokim, wszystkie zbocza porośnięte gęsto lasem. Dla mieszkańców tej dzielnicy wydzielono pewne sklepy, zakłady fryzjerskie, zakłady krawieckie. Było to podobno jedyne skupisko ludzi w Ameryce, w którym biali i Murzyni mieszkali razem z własnej woli, a przy tym tak szalone i wesołe osiedle, jakiego już nigdy potem nie widziałem. Na drzwiach chaty Remiego znalazłem kartkę przypiętą przed trzema tygodniami.

”SAL PARADISE! [wielkimi, drukowanymi literami] Jeśli nikogo nie będzie w domu, wejdź przez okno.

Podpisano

Remi Boncoeur”.

Kartka była już wyświechtana i poszarzała.

Włazłem więc do środka i zastałem go tam śpiącego z dziewczyną, Lee Ann – na łóżku ukradzionym ze statku handlowego, jak mi powiedział później; wystarczy sobie wyobrazić mechanika pokładowego na statku handlowym, jak w środku nocy przekrada się przez burtę z łóżkiem na plecach, po czym kolebie się i macha zawzięcie wiosłami w stronę brzegu. Ale to jeszcze nie daje obrazu Remiego Boncooura.

Opisuję tak szczegółowo wszystko, co się zdarzyło w San Fran, dlatego że wiąże się to z całym dalszym biegiem spraw. Remiego Boncooura poznałem przed laty w szkole średniej; ale tak naprawdę połączyła nas dopiero moja była żona. Remi pierwszy ją znalazł. Pewnego wieczoru wszedł do mojego pokoju w internacie i powiedział:

– Paradise, wstawaj, przyszedł cię odwiedzić twój stary mistrz.

Wstałem, a kiedy wkładałem spodnie, wypadło mi trochę drobnych z kieszeni. Była czwarta po południu; za czasów szkolnych przeważnie spałem, kiedy tylko mogłem.

– No dobrze, już dobrze, nie syp tak mamoną po całym pokoju. Znalazłem najgenialniejszą panienkę pod słońcem i wieczorem biorę ją prosto do Lion's Den.

I tak wyciągnął mnie na spotkanie z dziewczyną. Po tygodniu chodziła ze mną. Remi był wysokim, ciemnym, przystojnym Francuzem (miał wygląd dwudziestoletniego spekulanta z Marsylii); jako Francuz musiał obowiązkowo używać jazzowej amerykańszczyzny, chociaż mówił nienagannie po angielsku, po francusku zresztą też. Ubierał się szykownie, trochę na studencką modłę, prowadzał się z atrakcyjnymi blondynkami i wydawał mnóstwo pieniędzy. Nigdy nie miał mi za złe, że poderwałem mu dziewczynę; przeciwnie, to nas na zawsze związało; był lojalny wobec mnie, wręcz miał do mnie słabość, Bóg jeden wie dlaczego.

Kiedy owego ranka odnalazłem go w Mill City, okazało się, że popadł w iście beatowa degrengoladę, przechodził zły okres, który dopada młodych facetów w wieku dwudziestu paru lat. Obijał się w oczekiwaniu na statek, a zarabiał na życie jako wartownik w barakach po drugiej stronie kanionu. Jego dziewczyna, Lee Ann, miała cięty język i codziennie wyzywała go od najgorszych. Przez cały tydzień dosłownie oszczędzali centy, a w sobotę przez trzy godziny potrafili przehulać na mieście pięćdziesiąt dolarów. Po domu Remi chodził w szortach i w zwariowanej czapce wojskowej. Lee Ann chodziła w papilotach. Tak wystrojeni przez cały tydzień tylko wrzeszczeli na siebie. Jak żyję, nie słyszałem tylu złorzeczeń. Za to w sobotę wieczór ruszali na miasto, uśmiechając się do siebie rozkosznie niczym para szczęśliwych bohaterów z Hollywood.

Remi obudził się i zobaczył, jak wchodzi przez okno. Zadudnił mi w uszach jego tubalny śmiech, jeden z najbardziej tubalnych śmiechów świata.

– Aaaaa! Paradise wchodzi przez okno, wypełnia polecenia co do joty. Gdzieś ty się podziewał, spóźniłeś się o dwa tygodnie! – Klepnął mnie w plecy, szturchnął Lee Ann w żebra, oparł się o ścianę, śmiejąc się i krzycząc na przemian, i tak walił pięścią w stół, że słyszać go było w całym Mill City, a to jego przeciągłe „Aaaaa!” niosło się echem po całym kanionie. – Paradise! – zawył. – Jeden jedyny, niezastąpiony Paradise!

Właśnie przeszedłem przez małą wioskę rybacką Sausalito, w pierwszych więc słowach powiedziałem:

– W Sausalito musi być dużo Włochów.

– W Sausalito musi być dużo Włochów! – ryknął na całe gardło. – Aaaaa! – Grzmocił się w piersi, wreszcie padł na łóżko i omal nie stoczył się na podłogę. – Słyszałaś, co

powiedział Paradise? W Sausalito musi być dużo Włochów! Aaaaa! Haaa! Uuuu! Oj! Nie mogę! – Był cały czerwony od tego śmiechu. – Dobijasz mnie, Paradise, jesteś najzabawniejszym człowiekiem pod słońcem, oto się zjawiasz, wreszcie tu dotarłeś, wszedł przez okno, sama widziałas, Lee Ann, zgodnie z instrukcją wszedł przez okno. Aaa! Uuuu!

Co dziwniejsze, tuż obok Remiego mieszkał Murzyn, niejaki pan Snow, który miał, przysięgam na Pismo Święte, absolutnie i zdecydowanie najbardziej tubalny śmiech na całym bożym świecie. Ten pan Snow wybuchał śmiechem przy kolacji, kiedy żona rzuciła coś od niechcenia; wstawał, dosłownie się krztusząc, opierał się o ścianę, wznosił oczy do nieba i zaczynał; wytaczał się za drzwi, czepiając się ścian sąsiadów; był po prostu pijany tym śmiechem, zataczał się po całym mrocznym Mill City, wznosząc swe triumfalne pienia do demonicznego boga, który go zapewne do tego przywiódł. Nie wiem, czy kiedykolwiek udało mu się dokończyć kolację. Możliwe, że Remi nieświadomie zaraził się od tego niestęchanego człowieka, pana Snowa. I chociaż Remi miał kłopoty z pracą zawodową i kiepskie życie osobiste u boku kobiety o ciętym języku, to przynajmniej nauczył się śmiać niemal najlepiej na świecie, zapowiadała się więc we Frisco niezła zabawa. Układ był taki: Remi spał z Lee Ann w łóżku po drugiej stronie pokoju, ja zaś spałem na połówce pod oknem. Nie miałem prawa tknąć Lee Ann. Remi od razu palnął mi na ten temat mowę.

– Żebyś was tylko nie przyłapał na figlach, kiedy będziecie myśleli, że nie patrzę. Nie nauczysz starego mistrza grać na nową nutę. To moje oryginalne powiedzonko.

Spojrzałem na Lee Ann. Była łakomym kąskiem, istotą złocistą jak miód, tyle że w jej oczach czaiła się nienawiść do nas obu. Miała ambicje poślubić bogatego człowieka. Pochodziła z małego miasteczka w Oregonie. Przeklinała dzień, w którym związała się z Remim. Podczas jednego ze swych popisowych weekendów wydał na nią sto dolarów, uznała więc, że trafił jej się dziedzic. Tymczasem utknęła w tej chacie i z braku czegoś lepszego musiała tkwić. Miała pracę we Frisco; codziennie dojeżdżała tam autobusem Greyhound z pobliskiej krzyżówki. Nie mogła tego Remiemu wybaczyć.

Ja miałem siedzieć w chacie i pisać błyskotliwy, oryginalny scenariusz dla wytwórni w Hollywood. Remi miał tam polecieć samolotem rejsowym z tym moim cudem pod pachą i zapewnić nam wszystkim bogactwo; Lee Ann miała mu towarzyszyć; miał ją przedstawić ojcu swojego kumpla, słynnemu reżyserowi zaprzyjaźnionemu z W.C. Fieldsem. Toteż przez pierwszy tydzień zaszyłem się w chacie w Mill City, gdzie pisałem jak szalony ponure opowiadanie o Nowym Jorku, które w moim mniemaniu powinno przypaść do gustu hollywoodzkiemu reżyserowi; jedyny szkopał w tym, że było za smutne. Remi prawie nie mógł go przeczytać, toteż po kilku tygodniach zawiózł je po prostu do Hollywood. Lee Ann

była za bardzo znudzona i za bardzo nas obu nienawidziła, żeby w ogóle rzucić na nie okiem. Spędziłem mnóstwo deszczowych godzin, złościąc kawę i gryzmołąc. W końcu oświadczyłem Remiemu, że mi to nie wystarczy; chcę mieć pracę; nawet na papierosy musiałem brać od nich. Po czole Remiego przebiegł cień rozczarowania – zawsze rozczarowywały go najdziwniejsze rzeczy. Miał złote serce.

Załatwił mi taką pracę, jaką sam miał – strażnika w barakach. Przeszedłem stosowną procedurę i ku mojemu zdziwieniu te dranie mnie zatrudniły. Złożyłem przysięgę u miejscowego komendanta policji, dostałem odznakę, pałkę, i teraz byłem specjalnym policjantem. Zastanawiałem się, co by na to powiedzieli Dean, Carlo i Stary Byk Lee. Musiałem nosić granatowe spodnie, czarną marynarkę i czapkę gliniarza. Przez pierwsze dwa tygodnie musiałem się zadowolić spodniami Remiego; ponieważ był wysoki i wyhodował brzuszki od przejadania się z nudów, pierwszej nocy w pracy wyglądałem jak Charlie Chaplin, tak się te portki na mnie majtały. Remi dał mi swoją latarkę i automat kalibru 32.

– Skąd masz tę broń? – spytałem.

– Zeszłego lata w drodze na wybrzeże wyskoczyłem z pociągu w North Platte w Nebrasce, żeby rozprostować nogi, i raptem zobaczyłem na wystawie to wyjątkowe cacko, no więc zaraz kupiłem, ledwo zdążyłem na pociąg.

Ja mu z kolei zacząłem opowiadać, z czym mnie się kojarzy North Platte, jak kupowałem tam whisky z chłopakami, na co klepnął mnie po plecach i powiedział, że jestem najzabawniejszym człowiekiem pod słońcem.

Oświetlając sobie drogę latarką, wspinałem się na strome zbocze południowego kanionu, wychodziłem na autostradę płynącą samochodami zmierzającymi nocą do Frisco, przełaziłem na drugą stronę, omal się nie staczając, i docierałem na dno wąwozu, gdzie nad strumieniem stała mała zagroda i gdzie noc w noc obszczekiwał mnie ten sam cholerny pies. Potem szybki marsz srebrzystą wiejską drogą pod atramentowymi drzewami Kalifornii – drogą taką jak na filmie *Znak Zorro* i taką jak wszystkie drogi znane z westernów drugiej kategorii. W ciemnościach wyjmowałem pistolet i bawiłem się w kowboja. Po czym wspinałem się na jeszcze jedno wzgórze i już byłem przy barakach. Baraki przeznaczono do czasowego zakwaterowania budowniczych wybierających się do pracy za ocean. Zjeżdżali się tu i zatrzymywali w oczekiwaniu na swój statek. Większość jechała na Okinawę. Większość przed czymś uciekała – zwykle przed policją. Były tam silne grupy z Alabamy, kuci na cztery nogi faceci z Nowego Jorku, najrozmaitsze typy zewsząd. Świetnie wiedzieli, co to będzie za koszmar cały rok pracy na Okinawie, dlatego pili. Specjalny strażnik miał za zadanie pilnować, żeby nie roznieśli tych baraków. Nasza stróżówka mieściła się w głównym

budynku, ot, taka drewniana budka z pomieszczeniami biurowymi wykładanymi boazerią. Siedzieliśmy tam przy biurku z żaluzjową górą, zdjąwszy pasy z pistoletami, ziewając, a starzy gliniarze opowiadali rozmaite historie.

Byli to jeden w drugiego straszni faceci, faceci o duszach policjantów, wszyscy z wyjątkiem Remiego i mnie. Remi usiłował tylko zarobić na życie, ja zresztą też, natomiast ci faceci rwali się do aresztowania, żeby potem dostać gratulacje od komendanta miejscowej policji. Twierdzili nawet, że jeżeli nie aresztuje się przynajmniej jednej osoby na miesiąc, to człowieka wyleją z roboty. Aż mnie coś ścisnęło w dołku na myśl o tym, że miałbym kogoś aresztować. W sumie owej nocy, kiedy rozpętało się piekło, byłem tak samo pijany jak wszyscy mieszkańcy baraków.

Zdarzyło się to w nocy; zgodnie z harmonogramem dyżurowałem sam przez sześć godzin – jedyny gliniarz na całym terenie; tej nocy upili się chyba wszyscy mieszkańcy baraków. Pewno dlatego, że nazajutrz rano odpływał ich statek. Pili jak marynarze w przeddzień podniesienia kotwicy. Siedziałem sobie w dyżurce z nogami na biurku i czytałem *Niebieską książkę* o przygodach w Oregonie i na północy, kiedy naraz uprzytomniłem sobie, że spokojna jak zwykle noc teraz buzuje wielkim ożywieniem. Wyszedłem. Praktycznie we wszystkich barakach na terenie paliły się światła. Zewsząd dobiegały krzyki mężczyzn, brzęk tłuczonych butelek. Zrozumiałem, że to dla mnie sprawa życia i śmierci. Wziąłem latarkę, podszedłem pod najbardziej hałaśliwe drzwi, zapukałem. Ktoś je uchylił na jakieś piętnaście centymetrów.

– Czego chcesz?

– Mam dziś w nocy dyżur w tych barakach i przypominam, że powinniście się w miarę możliwości zachowywać cicho – rzuciłem coś w tym duchu albo coś równie głupiego.

Zatrzasnęli mi drzwi przed nosem. Stałem tak, patrząc na drewno tuż przed sobą. Poczulem się zupełnie jak w westernie; nadszedł czas, żeby się wykazać. Zapukałem jeszcze raz. Otworzyli, tym razem szeroko.

– Chłopaki – powiedziałem – nie chciałbym was tu nachodzić, ale stracę robotę, jak będziecie za bardzo hałasowali.

– A coś ty za jeden?

– Jestem tu strażnikiem.

– Nigdy cię nie widzieliśmy.

– Oto moja odznaka.

– Co ty tu robisz z tą spluwą przy dupie?

– To nie moja – wytłumaczyłem się. – Pożyczona.

– Golnij sobie, jak rany Boga.

Wcale nie byłem od tego. Od razu wychyliłem dwie szklanki.

– No dobra, chłopcy – powiedziałem. – Będziecie teraz cicho? Bo mi się dobrać do skóry.

– Nie ma sprawy, mały – zapewnili mnie. – Idź na ten swój obchód. Jak ci wyschnie w gardle, znów do nas wpadnij.

W ten sposób obszedłem wszystkie drzwi i już wkrótce sam byłem pijany tak jak cała reszta. O świcie do moich obowiązków należało wciągnięcie flagi amerykańskiej na dwudziestometrowy maszt, ale tego ranka wywiesiłem ją do góry nogami i poszedłem do domu spać. Kiedy wieczorem znów się stawiłem do pracy, zawodowi policjanci siedzieli smętnie w dyżurce.

– Powiedz nam, chłopcze, co tu były za hałasy wczoraj w nocy? Dostaliśmy skargi od ludzi mieszkających po drugiej stronie kanionu.

– Nie mam pojęcia – odparłem. – Teraz jest chyba dość spokojnie.

– Bo cały kontyngent wyjechał. Wczoraj w nocy miałeś tu pilnować porządku, komendant jest na ciebie wściekły. I jeszcze jedno. Czy wiesz, że można pójść do więzienia za wywieszenie flagi amerykańskiej do góry nogami na rządowym maszcie?

– Do góry nogami? – Aż mnie przeszły ciarki. Oczywiście nie zdawałem sobie z tego sprawy. Codziennie rano wciągałem ją mechanicznie.

– A i owszem – powiedział gruby gliniarz, który przepracował dwadzieścia dwa lata jako strażnik w Alcatraz. – Za coś takiego można pójść do więzienia.

Inni groźnie pokiwali głowami. Zawsze siedzieli tak wokół biurka na tyłkach; byli dumni ze swojej pracy. Wiecznie bawili się bronią i wciąż o niej gadali. Korciło ich, żeby kogoś zastrzelić. Najchętniej Remiego i mnie.

Gliniarz z Alcatraz miał pokaźny brzuszek, sześćdziesiątkę na karku, i chociaż był już na emeryturze, nie mógł się wyzwolić od tej atmosfery, która przez całe życie stanowiła pożywkę dla jego jałowej duszy. Co wieczór jechał do pracy fordem rocznik 35, odbijał punktualnie kartę zegarową i zasiadał przy żaluzjowym biurku. Wypełniał mozolnie prosty formularz, który wszyscy musieliśmy wypełniać co wieczór – pory obchodów, co się zdarzyło i tak dalej. Następnie odchyłał się na krześle i opowiadał różne historie.

– Szkoda, że cię tu nie było jakieś dwa miesiące temu, kiedy ja i Sledge – (inny gliniarz, smarkacz, który marzył o tym, żeby zostać policjantem terenowym w Teksasie, ale musiał się zadowolić obecnym losem) – aresztowaliśmy pijaka w baraku G. Szkoda, żeś nie widział, jak krew tryska w powietrze. Wezmę cię tam dzisiaj i pokażę ci plamy na ścianie.

Gość formalnie odbijał się od ściany do ściany. Najpierw rąbnął go Sledge, potem ja, a potem to już się poddał i poszedł jak trusia. Przysiągł, że nas zabije, jak tylko wyjdzie z pudła, dostał trzydzieści dni. Ale mija właśnie sześćdziesiąt, a on się jakoś nie pokazał.

I tu tkwiła wielka pointa jego opowieści. Napędzili facetowi takiego stracha, że ani myślał wracać, żeby ich zabić.

Stary gliniarz przeszedł do nostalgicznych wspomnień na temat potworności z Alcatraz.

– Pędzaliśmy ich na śniadanie w szyku jak pluton wojskowy. Żaden nie pomylił kroku. Wszystko szło jak w zegarku. Trzeba ich było widzieć. Pracowałem tam jako strażnik więzienny przez dwadzieścia dwa lata. Ani razu nie miałem kłopotów. Ci chłopcy wiedzieli, że nie jesteśmy tam od parady. Wielu facetów mięknie przy pilnowaniu więźniów, i właśnie ci najczęściej miewają kłopoty. Bo weźmy na przykład ciebie, już jakiś czas cię obserwuję i tak sobie myślę, że za bardzo jesteś pobłażliwy dla ludzi. – Podniósł fajkę i rzucił mi ostre spojrzenie. – Bo widzisz, oni to wykorzystują.

Świetnie o tym wiedziałem. Wyjaśniłem mu, że nie jestem stworzony na gliniarza.

– Tak, ale sam się zgłosiłeś do tej pracy. Teraz musisz się zdecydować, wte czy wewte, bo daleko nie zajedziesz. To twój obowiązek. Jesteś zaprzysiężony. Tu nie ma miejsca na kompromis. Musi być ład i porządek.

Nie wiedziałem, co powiedzieć; miał rację; a ja marzyłem tylko o tym, żeby zniknąć w tę noc, wyrwać się stamtąd, ruszyć przed siebie i zobaczyć, jak żyją ludzie w całym kraju.

Drugi gliniarz, Sledge, był wysoki, muskularny, miał przystrzyżone na jeża czarne włosy i tik nerwowy w szyi – przypominał boksera, który zawsze wali jedną pięścią w drugą. Stroił się jak niegdysiejszy strażnik teksaski. Nosił rewolwer nisko na biodrach, u boku pas na amunicję, do tego niewielki harap. Cały obwieszony najrozmaitszymi kawałkami skóry, przypominał chodzącą izbę tortur; lśniące buty, długa kurtka, kapelusz z zagiętym rondem, wszystko oprócz butów z cholewami. Wciąż mi pokazywał jakieś chwyt – łapał mnie w kroku i podnosił zwinnie do góry. Jeśli chodzi o siłę, mógłbym go bez trudu podrzucić do sufitu, stosując taki sam chwyt, nie miałem co do tego wątpliwości; ale ukrywałem to przed nim z obawy, że zechce się ze mną zmierzyć. Walka z takim facetem na pewno skończyłaby się strzelaniną. A jestem pewien, że był lepszym strzelcem ode mnie, bo ja nigdy w życiu nie miałem broni. Bałem się ją nawet załadować. No i straszliwie rwał się do aresztowania. Pewnej nocy pełniliśmy służbę tylko my dwaj. Sledge wrócił do dyżurki aż purpurowy ze złości.

– Powiedziałem jednemu chłopakom, żeby byli cicho, a oni dalej rozrabiają.

Powtórzyłem im jeszcze raz. Zawsze daję człowiekowi drugą szansę. Ale nigdy trzeciej. Chodź ze mną, bo muszę tam wrócić, żeby ich aresztować.

– No to ja im dam trzecią szansę – zaproponowałem. – Pogadam z nimi.

– Co to, to nie. W życiu nie dałem nikomu więcej niż dwie szansę.

Westchnąłem. Facet nie popuści. Poszliśmy do niekarnego pokoju, Sledge otworzył drzwi i kazał wszystkim wyjść w dwuszeregu. Bardzo to było żenujące. Rumieniliśmy się wszyscy co do jednego. Oto kwintesencja Ameryki. Wszyscy robią to, co sądzą, że powinni robić. No i co z tego, że kilku mężczyzn trochę głośniejsze pogada lub przepije całą noc? Ale Sledge chciał czegoś dowieść. Wziął mnie ze sobą na wypadek, gdyby chcieli się na niego rzucić. Mogło dojść i do tego. Wszyscy byli braćmi, wszyscy pochodzili z Alabamy. Poszliśmy na komisariat, Sledge z przodu, ja z tyłu.

Jeden z chłopaków poprosił mnie:

– Powiedz temu skurczysynowi z uszami jak jaja, żeby nam odpuścił. Za coś takiego możemy wylecieć i nigdy nie dojedziemy na Okinawę.

– Pogadam z nim.

W komisariacie powiedziałem Sledge'owi, żeby im darował. Odparł tak, żeby wszyscy słyszeli, rumieniąc się przy tym:

– Nie daję nikomu więcej niż dwie szansę.

– Pieska niebieska – rzucił winowajca z Alabamy – a co ci to szkodzi? Możemy stracić robotę.

Sledge się nie odezwał, tylko wypełniał formularze aresztowania. Aresztował w końcu tylko jednego z nich; wezwał sukę z miasta. Gliniarze przyjechali i zabrali chłopaka. Pozostali bracia wyszli stamtąd z grobowymi minami.

– Co na to powie mama? – zastanawiali się.

Jeden z nich znów do mnie podszedł.

– Powiedz temu skurwielowi w Teksas rąbniętemu, że jak mój brat do jutra wieczór nie wyjdzie z pudła, to mu się dobierzemy do dupy.

Przekazałem to Sledge'owi w neutralnej formie, ale się nie odezwał słowem. Brata nazajutrz bez problemu wypuszczono i nic się nie stało. Kontyngent odpłynął; przyjechała nowa banda szmirusów. Gdyby nie Remi Boncoeur, nie zagrałbym tam miejsca nawet dwie godziny.

Ale przez wiele nocy Remi Boncoeur i ja pełniliśmy służbę sami i wtedy wszystko aż chodziło. Pierwszy obchód wieczorem robiliśmy na luzie, Remi próbował wszystkich drzwi, żeby sprawdzić, czy są zamknięte od środka, z nadzieją, że któreś wreszcie będą otwarte.

– Od lat chodzi mi po głowie taki pomysł – mawiał – żeby wyszkolić psa na superzłodzieja, który by włąził do pokojów tych facetów i wyciągał im forszę z kieszeni. Wytresowałbym go, żeby brał tylko zielone. Kazałbym mu je wachać przez calutki dzień. Gdyby to w ogóle było w ludzkiej mocy, nauczyłbym go brać wyłącznie dwudziestki.

Remi miał pełno szalonych conceptów. Przez wiele tygodni mówił o tym psie. Raz jeden zdarzyło mu się trafić na niezamknięte drzwi. Mnie ten jego pomysł nie odpowiadał, poszedłem więc dalej korytarzem. Remi otworzył cichutko. I stanął twarzą w twarz z kierownikiem baraków. Nie cierpiał twarzy tego człowieka. Spytał mnie:

– Jak się nazywa ten rosyjski pisarz, o którym w kółko gadasz? No ten, który wkładał sobie gazety do buta i chodził w cylindrze znalezionym na śmietniku? – Remi wyolbrzymił to, co mu opowiadałem o Dostojewskim. – O, właśnie, zgadza się, Dostojewski. Facet z taką twarzą jak ten cały kierownik może się tylko tak nazywać... Dostojewski.

Jedynie niezamknięte drzwi, na jakie kiedykolwiek trafił, należały do Dostojewskiego. D. spał sobie w najlepsze, kiedy usłyszał, że ktoś manipuluje gałką przy jego drzwiach. Zerwał się w piżamie. Podszedł do drzwi, a wyglądał dwa razy szkaradniej niż zwykle. Kiedy Remi otworzył, zobaczył przed sobą dziką twarz zionącą nienawiścią i tępą furią.

– Co to ma znaczyć?

– Próbowałem tylko drzwi. Myślałem, że to... że... służbówka. Szukałem szczotki.

– Co znaczy, że szukałeś szczotki?

– No, wie pan...

Wtedy podszedłem i włączyłem się:

– Tam na górze w korytarzu jeden facet się porzygał. Musimy posprzątać.

– To nie jest służbówka. To mój pokój. Jeszcze raz mi się coś takiego powtórzy, a każę was przesłuchać i wywalić! Zrozumiano?

– Facet porzygał się na górze – powtórzyłem.

– Służbówka jest dalej w korytarzu. Tam. – Wskazał ręką, odczekał, aż dojdziemy, weźmiemy szczotkę, co posłusznie zrobiliśmy, i zanieśliśmy ją jak idioci na górę.

– Niech to szlag trafi, Remi, zawsze nas wpakujesz w jakieś tarapaty. Może dałbyś już sobie spokój? Dlaczego ty wiecznie musisz kraść?

– Świat jest mi coś niecoś winien, i taka jest prawda. Nie nauczysz starego mistrza grać na nową nutę. Jak będziesz tak gadał, zacznę cię nazywać Dostojewskim.

Remi był jak mały chłopiec. Kiedyś, dawno temu, w samotnych czasach szkolnych we Francji, wszystko mu zabrano; przybrani rodzice posłali go po prostu do szkoły, i tak go zostawili; chłopak czuł się zaszczuty, wyrzucano go z kolejnych szkół; nocami włóczył się po

ulicach, wymyślając przekleństwa ze swojego niewinnego zasobu słów. Potem ruszył w świat, żeby odzyskać wszystko, co stracił; a tym stratom nie było końca, parszywy los ciągnął się w nieskończoność.

Naszym rajem była stołówka w barakach. Najpierw rozglądaliśmy się bacznie, czy nikt nie patrzy, zwłaszcza czy nie zaczęli się gdzieś koledzy gliniarze, żeby nas szpiegować; potem ja kucałem, Remi wspinał mi się na ramiona i podciągał się do góry. Otwierał okno, które zawsze wieczorem zostawiał uchylone, gramolił się do środka i zeskakiwał na kuchenny stół. Ja byłem trochę bardziej zwinny, po prostu podskakiwałem do okna i wślizgiwałem się. Najpierw zawsze szliśmy do lady ze słodyczami. Tam, realizując swoje marzenie z najwcześniejszego dzieciństwa, zdejmowałem pokrywę z pojemnika, wsadzałem całą rękę aż po przegub, nabierałem garść lodów czekoladowych i zlizywałem. Potem dobieraliśmy się do lodów w pudełkach i obżeraliśmy się nimi, polewając je syropem czekoladowym, a czasem też posypując truskawkami; następnie snuliśmy się po kuchni, otwierając różne lodówki, żeby zobaczyć, co da się wynieść w kieszeniach do domu. Często odrywałem sobie kawał pieczeni i zawijałem w serwetkę.

– Trzeba ci wiedzieć, co powiedział prezydent Truman – mawiał Remi. – Musimy obniżyć koszty utrzymania.

Pewnej nocy czekałem długo, aż on napełni olbrzymie pudło różnymi wiktuałami. Ale potem nie mogliśmy go wytaszczyć przez okno. Remi musiał wszystko rozpakować i odłożyć na miejsce. Kiedy już zeszliśmy ze służby i zostałem sam na terenie, zdarzyło się coś dziwnego. Wybrałem się na spacer starą drogą przez kanion w nadziei, że spotkam jelenia (Remi widywał tam jelenie, bo nawet w 1947 roku okolica była dość dzika), gdy wtem dobiegły mnie przeraźliwe odgłosy. Było to jakby dyszenie i sapanie. Myślałem, że w ciemnościach czyha na mnie nosorożec. Chwyciłem za broń. Z pomroków kanionu wyłoniła się wysoka postać; miała olbrzymią głowę. Naraz uświadomiłem sobie, że to Remi z wielgachnym pudłem wiktuałów na ramieniu. Jęczał i stękał pod olbrzymim ciężarem. Znalazł gdzieś klucz do stołówki i wyniósł wiktuały frontowymi drzwiami.

– Remi, sądziłem, że już jesteś w domu. Co ty tu, do diabła, robisz?

– Paradise, tyle razy ci mówiłem, co powiedział prezydent Truman: musimy obniżyć koszty u trzymania. – I tylko dyszał i sapał w ciemnościach. Opisałem już tę okropną drogę do naszej chaty, w górę zboczem kanionu i w dół w dolinę. Schował wiktuały w wysokiej trawie, po czym wrócił do mnie. – Sal, w pojedynkę nie dam rady. Rozłożę to wszystko na dwa pudła i ty mi pomożesz.

– Przecież jestem na służbie.

– Popilnuję terenu, kiedy cię nie będzie. Życie staje się coraz cięższe. Trzeba sobie radzić, jak się da, i tyle. – Otarł twarz. – Ufff! W kółko ci powtarzam, Sal, że jesteśmy kumplami, jedziemy na jednym wózku. Nie ma co do tego dwóch zdań. Wszyscy ci Dostyjowscy, gliniarze, wszystkie te Lee Ann i całe złe nasienie tego świata chętnie obłupiliby nas ze skóry. Musimy sami zadbać o to, żeby nikt nam nie mieszał szyków. A tamci potrafią wytrząsnąć z rękawa coś więcej niż tylko brudne łapska. Zapamiętaj to sobie. Nie nauczysz starego mistrza grać na nową nutę.

– A co ze statkiem? – zapytałem w końcu.

Żyliśmy tak od dziesięciu tygodni. Zarabiałem pięćdziesiąt pięć dolców tygodniowo, ciotce wysyłałem mniej więcej po czterdzieści. Od przyjazdu spędziłem tylko jeden wieczór w San Francisco. Zagrzebałem się w tej chacie, w kłótniach Remiego z Lee Ann, a noce spędzałem w barakach.

Remi zniknął w ciemnościach po kolejne pudło. Uszarpałem się razem z nim na tej starej drodze spod znaku Zorro. Zwaliliśmy niebotyczny stos wiktuałów na kuchennym stole Lee Ann. Dziewczyna obudziła się i przetarła oczy.

– Wiesz, co powiedział prezydent Truman?

Lee Ann była zachwycona.

Naraz zdałem sobie sprawę, że wszyscy w Ameryce są urodzonymi złodziejami. Sam chyba połknąłem bakcyła. Zacząłem nawet sprawdzać na obchodach, czy drzwi są zamknięte. Inni gliniarze nabrali wobec nas podejrzeń; dostrzegli to w naszych oczach; wyczuli niezawodnie, co się święci. Lata doświadczenia wyczuliły ich na ludzi mojego i Remiego pokroju.

Za dnia Remi i ja wyszliśmy na dwór z pistoletem kalibru 32, próbowaliśmy ustrzelić przepiórkę na wzgórzach. Remi podkraść się o metr od kwoktających ptaków i huknął. Spudłował. Po lasach Kalifornii i po całej Ameryce przetoczył się jego niesamowity śmiech.

– Nadszedł czas, żebyśmy poszli się zobaczyć z bananowym królem.

Była sobota; obaj się odpicowaliśmy i poszliśmy na dworzec autobusowy na krzyżówce. Zajechaliśmy do San Francisco, gdzie zaczęliśmy się włóczyć ulicami. Wszędzie rozbrzmiewał tubalny śmiech Remiego.

– Musisz napisać o bananowym królu – zapowiedział groźnie. – Tylko nie próbuj sztuczek ze starym mistrzem, mnie się nie wyłgasz. Masz wziąć na warsztat bananowego króla i już. A oto i on. – Bananowy król to był staruszek, który sprzedawał banany na rogu. Poczuję się śmiertelnie znudzony. Ale Remi co chwila szturchał mnie w żebra, a nawet ciągnął za kołnierz. – Pisząc o bananowym królu, będziesz pisał o ludzkich sprawach w życiu.

Powiedziałem mu, że gównu mnie obchodzi bananowy król.

– Dopóki nie docenisz wagi bananowego króla, nie ma mowy, żebyś zrozumiał ludzkie sprawy tego świata – odrzekł dobitnie Remi.

W zatoce stał na kotwicy stary zardzewiały frachtowiec, używany w charakterze boi. Remi zapalił się, żeby do niego dopłynąć, toteż któregoś dnia Lee Ann spakowała prowiant, wynajęliśmy łódź i wybraliśmy się na ten statek widmo. Remi zabrał ze sobą narzędzia. Lee Ann rozebrała się, wyciągnęła na mostku nawigacyjnym i zaczęła się opalać. Przyglądałem jej się z rufówki. Remi zszedł na sam dół do kotłowni, gdzie śmigały szczury, i zaczął walić młotkiem, żeby się dostać do miedzianej powłoki, której tam zresztą nie było. Ja usiadłem sobie w zniszczonej mesie oficerskiej. Był to bardzo stary statek, niegdyś pięknie wyposażony, miał ślimacznice rzeźbione w drewnie i wbudowane skrzynie denne. Taki duch San Francisco rodem z Jacka Londona. Zacząłem snuć marzenia w nasłonecznionej mesie. Po pentrze biegały szczury. Dawno, dawno temu stołował się tu niebieskooki kapitan.

Zszedłem do Remiego w czeluście statku. Szarpał wszystko, co się tylko dało.

– Ni cholery. Myślałem, że będzie tu miedź, myślałem, że znajdę przynajmniej parę kluczy francuskich. Jakaś banda złodziei ogołociła cały statek.

Stał tak od lat w zatoce. Miedź musiała ukraść ręka, która już dziś nie należała do żywych.

– Chętnie przespałbym się tu pewnej nocy, żeby wszystko zasnuła mgła, cały statek skrzypiał i było słychać głośnie porykiwania boi – powiedziałem do Remiego.

Zdumiało go to; jego podziw dla mnie wzrósł dwukrotnie.

– Sal, dam ci pięć dolarów, jeżeli naprawdę się na to zdobędziesz. Nie rozumiesz, że na takiej łajbie mogą straszyć duchy dawnych kapitanów? Nie tylko dam ci piątala, ale na dokładkę przywiozę cię tu, naszykuję prowiant, pożyczę ci koce i świece.

– Umowa stoi! – powiedziałem.

Remi pobiegł zawiadomić o tym Lee Ann. Miałem ochotę zeskoczyć z masztu i wylądować prosto na niej, ale dotrzymałem obietnicy złożonej Remiemu. Odwracałem od niej wzrok.

Tymczasem zacząłem coraz częściej robić wypadki do Frisco; chwytałem się dosłownie wszystkich sposobów, żeby zaliczyć jakąś dziewczynę. Spędziłem nawet całą noc aż do świtu z pewną dziewczyną na ławce w parku, ale na próżno. Była to blondynka z Minnesoty. Kręciło się tam pełno pedałów. Kilka razy jeździłem do San Fran z pistoletem, a kiedy w męskim sraczu w barze nagabywał mnie pedał, wyciągałem pistolet i pytałem: „Co takiego? Coś ty powiedział?”. Facet czmychał. Do dziś nie wiem, po co to robiłem; znałem

przecież pedałów w całym kraju. Pewno sprawiła to samotność w San Francisco, no i fakt, że miałem broń. Musiałem ją komuś pokazać. Przechodziłem obok sklepu z biżuterią i nagle ogarnęła mnie chętka, żeby strzelić w witrynę, zabrać najładniejsze pierścionki i bransoletki, a następnie podarować je Lee Ann. Wtedy moglibyśmy zwać razem do Nevady. Czas było wyjeżdżać z Frisco, bo w przeciwnym razie chybabym zwariował.

Napisałem długie listy do Deana i Carla, którzy bawili akurat u Starego Byka w chacie na teksaskich mokradłach. Odpisali, że zbierają się, żeby dołączyć do mnie w San Fran, jak tylko to i to załatwią. Tymczasem między Remim, Lee Ann a mną wszystko zaczęło się psuć. Nadciągnęły wrzesniowe deszcze, a wraz z nimi niekończące się spory. Remi polecił z Lee Ann do Hollywood, zabierając ze sobą mój ponury, głupawy scenariusz, ale nic z tego nie wynikło. Słynny reżyser był pijany i nie zwrócił na nich uwagi; pokręcili się przy jego willi na plaży w Malibu, wszczęli kłótnię przy innych gościach i wrócili do domu.

Gwoździem do trumny okazały się wyścigi konne. Remi zebrał wszystkie zaoszczędzone pieniądze, jakieś sto dolarów, wystroił mnie w swoje ciuchy, wziął Lee Ann pod rękę i pojechaliśmy na tor wyścigowy Złote Wrota pod Richmond po drugiej stronie zatoki. Żebyście mieli pojęcie, jakie ten chłopak miał serce – włożył połowę ukradzionych wiktuałów do ogromnej papierowej torby i zaniósł je biednej wdowie w Richmond, osiedlu podobnym do naszego, gdzie pranie powiewa na wietrze pod kalifornijskim słońcem. Poszliśmy razem z nim. Kręciła się tam czeredka smutnych, obdartych dzieci. Kobieta podziękowała Remiemu. Była siostrą marynarza, którego Remi ledwo znał.

– Ależ to nic takiego, pani Carter – powiedział Remi tak szarmancko, jak tylko umiał.  
– Jeszcze sporo zostało u źródła.

Stamtąd pojechaliśmy na wyścigi. Remi robił niesłychane zakłady po dwadzieścia dolarów, żeby wygrać, toteż splukał się już przy siódmej gonitwie. Ostatnie dwa dolary na jedzenie też postawił i też przegrał. Do San Francisco musieliśmy wrócić stopem. Znów się znalazłem na drodze. Podrzucił nas jakiś dżentelmen swoim picerskim wozem. Siedziałem z przodu obok niego. Remi zaczął mu wstawiać mowę, że zgubił portfel na tyłach głównej trybuny na wyścigach.

– Prawda wygląda tak – powiedziałem – że przetraciliśmy wszystkie pieniądze na wyścigach, żeby więc w przyszłości nie musieć wracać stopem z wyścigów, od dzisiaj będziemy chodzić do bukmacherów, co, Remi?

Remi stanął w pąsach. Facet w końcu się przyznał, że jest pracownikiem toru wyścigowego Złote Wrota. Wysadził nas przy eleganckim hotelu Pałace; patrzyliśmy, jak znika wśród kandelabrow, z kieszeniami napchanymi forszą, z wysoko uniesioną głową.

– Aaaa! Uuuu! – ryczał Remi, aż się niosło po wieczornych ulicach Frisco. – Paradise jedzie z facetem, który trzęsie wyścigami, i zaklina się, że teraz zacznie korzystać z usług bukmacherów. Lee Ann, Lee Ann! – Walił ją i tarmosił. – To formalnie najzabawniejszy facet pod słońcem! W Sausalito musi być dużo Włochów. Uuu-hu!

Aż się owinał wokół słupa, żeby się wyśmiać.

Owego wieczoru rozpadało się na dobre, a Lee Ann patrzyła na nas obu morderczym wzrokiem. W domu ani centa. Deszcz bębnił o dach.

– Zanosi się na tygodniówkę – oznajmił Remi. Zdjął już elegancki garnitur; znów miał na sobie obszarpane szorty, wojskową czapkę i podkoszulek. Wielkie smutne piwne oczy wbił w deski podłogi. Pistolet leżał na stole. Przez ten deszczowy wieczór gdzieś z oddali dobiegł nas tubalny śmiech pana Snowa.

– Już mi się rzygać chce, jak słyszę tego skurczybyka – warknęła Lee Ann.

Szykowała się do rozpętania kłótni. Zaczęła prowokować Remiego. Remi szperał zawzięcie w swoim czarnym notesie, gdzie miał zapisane nazwiska ludzi, przeważnie marynarzy, którzy byli mu winni pieniądze. Obok nazwisk wypisywał czerwonym atramentem przekleństwa. Aż mi skóra cierpła na myśl o dniu, w którym miałbym trafić do tego notesu. Ostatnio tyle pieniędzy wysyłałem ciotce, że na zakupy do domu wydawałem tylko cztery, pięć dolarów tygodniowo. W myśl tego, co powiedział prezydent Truman, dokładałem ponadto wiktuały jeszcze za kilka dolarów. Remi jednak uważał, że to wciąż za mało; zaczął więc wywieszać na ścianie w łazience rachunki ze sklepów, długie paski papieru z wyszczególnionymi cenami, żeby tam zobaczyć i wziąć to sobie do serca. Lee Ann była przekonana, że Remi chowa przed nią pieniądze, ja zresztą też. Zagroziła, że od niego odejdzie.

Remi skrzywił się szyderczo.

– I dokąd to pójdziesz?

– Do Jimmy’ego.

– Do Jimmy’ego? Do kasjera z wyścigów? Słyszysz, Sal, Lee Ann ma zamiar odejść i związać się z kasjerem z wyścigów. Tylko nie zapomnij wziąć ze sobą miotły, serdeńko, bo konie w tym tygodniu najadły się do syta owsa za te moje sto dolarów.

Sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej; na dworze szalała ulewa. Lee Ann, która pierwsza zamieszkała w tej chacie, powiedziała Remiemu, żeby pakował manatki i się wynosił. Zaczął się więc pakować. Wyobraziłem sobie, jak zostaję w tej deszczowej chacie sam na sam z nieposkromioną złośnicą. Usiłowałem to załagodzić. Remi pchnął Lee Ann. Ta skoczyła po pistolet. Remi dał mi go i kazał schować; w magazynku było osiem naboju. Lee

Ann zaczęła krzyżeć, w końcu narzuciła płaszcz deszczowy i wybiegła na to blocko sprowadzić gliniarza, i to kogo – naszego starego druha z Alcatraz. Na szczęście nie zastała go w domu. Wróciła przemoczona do suchej nitki. Zaszyłem się w kącie, chowając głowę między kolanami. Boże, co ja tu robię pięć tysięcy kilometrów od domu? Po co tu w ogóle przyjechałem? Gdzie mój statek do Chin?

– I jeszcze jedno, ty kanalio! – wrzeszczała Lee Ann. – Dzisiaj po raz ostatni zrobiłam ci ten twój parszywy mózdzek z jajkami i parszywą wątróbkę z jagnięcia w sosie curry, żebyś mógł sobie napełnić swój parszywy kałdun i utuczyć się jak proszę, tu – na moich oczach.

– W porządku – odezwał się Remi spokojnie. – Wszystko w porządku. Kiedy się z tobą związałem, wcale nie liczyłem na życie usłane różami, więc dzisiejszy dzień mnie nie zaskoczył. Usiłowałem coś dla ciebie zrobić... coś zrobić dla was obojga, ale oboje mnie zawiedliście. I to bardzo – ciągnął z bezbrzezną szczerością. – Sądziłem, że połączy nas cudowny, trwały związek. Staralem się, poleciałem do Hollywood, załatwiłem Salowi pracę, kupiłem ci śliczną suknię, chciałem ci przedstawić najwspanialszych ludzi w San Francisco. Ale tyś wszystko odrzuciła, oboje odrzuciliście moje najskromniejsze życzenia. O nic nie prosiłem w zamian. A teraz proszę cię o ostatnią przysługę i nigdy więcej o nic cię nie poproszę. W przyszłą sobotę wieczór przyjeżdża do San Francisco mój ojczym. Proszę cię tylko, żebyś poszła ze mną na spotkanie i zachowywała się, jakby wszystko było tak, jak mu pisałem w liście. Czyli że ty, Lee Ann, jesteś moją dziewczyną, a ty, Sal, moim przyjacielem. Na sobotni wieczór pożyczam sto dolarów. Już ja się postaram, żeby ojciec miło spędził czas i wyjechał stąd, nie mając powodu się o mnie martwić.

Zaskoczyło mnie to. Ojczym Remiego był znakomitym lekarzem, miał za sobą praktykę w Wiedniu, w Paryżu i w Londynie.

– Chcesz powiedzieć, że zamierzasz wydać sto dolarów na ojczyma? – spytałem. – Przecież on ma więcej forsy, niż ty kiedykolwiek będziesz miał! Człowieku, zadłużysz się po uszy!

– Nie szkodzi – odparł cicho Remi z rezygnacją w głosie. – Proszę cię tylko o jedno. Przynajmniej postaraj się, żeby wszystko wyglądało jak należy, i postaraj się zrobić na nim dobre wrażenie. Kocham swojego ojczyma i bardzo go szanuję. Przyjeżdża ze swoją młodą żoną. Musimy przyjąć go jak należy.

W takich chwilach Remi zachowywał się jak najwytworniejszy dżentelmen. Zaimponowało to Lee Ann, która zaczęła ostrzyć sobie zęby na spotkanie; uznała, że skoro nie wyszło jej z synem, może zdoła usidlić ojczyma.

Nadciągnął sobotni wieczór. Zwolniłem się już z pracy z gliniarzami, bo i tak lada

chwila wyrzuciliby mnie za to, że nie wykazuję się aresztowaniami, miał to więc być mój ostatni sobotni wieczór. Remi i Lee Ann najpierw sami poszli przywitać się z ojczymem w pokoju hotelowym; ja miałem przy sobie pieniądze na podróż i wstawiłem się trochę w barku na dole. Po czym poszedłem do nich, spóźniony jak cholera. Drzwi otworzył mi ojciec Remiego, postawny, dystyngowany pan w binoklach.

– Ach! – zawołałem na jego widok. – *Monsieur Boncoeur*, moje uszanowanie. *Je suis haut!* – dodałem, co miało znaczyć: „Jestem na haju, mam w czubie”, ale po francusku absolutnie nic nie znaczy. Doktor osłupiał. Już skrewiłem wobec Remiego. Jak mnie zobaczył, aż spłoszył.

Poszliśmy do picerskiej restauracji na kolację – do Alfreda w North Beach, gdzie biedny Remi wydał co najmniej pięćdziesiąt dolarów na nas pięcioro, łącznie z trunkami i tak dalej. No i teraz nastąpiło najgorsze. Bo kto siedział przy barze u Alfreda, jak nie mój stary przyjaciel Roland Major! Właśnie przyjechał z Denver i dostał pracę w gazecie w San Francisco. Był wstawiony. I do tego nieogolony. Podbiegł do naszego stołu i klepnął mnie w plecy, właśnie kiedy podnosiłem szklanę whisky do ust. Zwalił się na wyściełane siedzenie obok doktora Boncoeura i nachylił się nad jego zupą, żeby ze mną pogadać. Remi zrobił się czerwony jak burak.

– Nie przedstawisz nam swojego znajomego, Sal? – zapytał ze słabym uśmiechem.

– Roland Major z „Argusa” w San Francisco – usiłowałem z całą powagą dokonać prezentacji. Lee Ann była na mnie wściekła.

Major rozpoczął towarzyską pogawędkę.

– Jak się panu uczy francuskiego w liceum? – ryknął monsieurowi wprost do ucha.

– Pan wybaczy, ale ja wcale nie uczę francuskiego w liceum.

– Ooo, a ja myślałem, że pan uczy francuskiego w liceum.

Specjalnie zachowywał się tak grubiańsko. Przypomni mi się tamten wieczór w Denver, kiedy nie pozwolił nam urządzić prywatki, ale mu wybaczyłem.

Wybaczyłem wszystkim, na wszystko machnąłem ręką i upiłem się. Zacząłem prawie komplementy młodej żonie pana doktora. Piłem tak dużo, że co dwie minuty musiałem biegać do ubikacji, a w tym celu musiałem za każdym razem przeskakiwać przez kolana doktora Boncoeura. Wszystko się posypało. Mój pobyt w San Francisco dobiegał końca. Remi nigdy więcej się do mnie nie odezwie. To mnie przerażało, bo go naprawdę kochałem, a należałem do garstki nielicznych ludzi na świecie, którzy zdawali sobie sprawę, jaki z niego z kośćmi dobry facet. Upłynęło potem wiele lat, zanim mi to darował. Wszystko potoczyło się koszmarnie w porównaniu z tym, co mu pisałem z Paterson, kiedy planowałem swoją podróż

główną trasą numer 6 przez całą Amerykę. Oto znajdowałem się na drugim krańcu Ameryki – tu kończył się ląd – i nie miałem się już dokąd udać, jak tylko z powrotem. Postanowiłem, że przynajmniej wrócę okreśną drogą; właśnie wtedy podjąłem decyzję, że pojedę do Hollywood i dalej przez Teksas, żeby się spotkać na mokradłach ze swoją paczką; a resztę niech szlag trafi.

Majora wyrzucono od Alfreda. Kolacja zresztą dobiegła końca, przyłączyłem się więc do niego; to znaczy Remi podsunął taką propozycję, no więc poszedłem się napić z Majorem. Siedzieliśmy przy stole w Iron Pot i raptem Major powiedział na cały głos:

– Wiesz, Sam, nie podoba mi się tamten pedał przy barze.

– Ach tak, Jake? – powiedziałem.

– Sam – powiedział Major – chyba podejść i mu dosunę.

– Nie, Jake – powiedziałem, ciągnąc tę hemingwayowską podróbkę. – Skup się i czekaj na rozwój wypadków.

Skończyliśmy, zataczając się na rogu ulicy.

Rano, kiedy Remi i Lee Ann jeszcze spali, a ja spojrzałem z niejakim smutkiem na piętrzący się stos brudów, które mieliśmy razem uprać w pralce Bendix w szopie na tyłach domu (co zawsze było wesołą, sympatyczną imprezą w towarzystwie kolorowych kobiet i pana Snowa zaśmiewającego się do rozpuku), postanowiłem wyjechać. Wyszedłem na ganek.

„Nie, do cholery – zmytygowałem się. – Przecież obiecałem sobie, że nie wyjadę, dopóki się nie wdrapię na tamtą górę”.

Było to wielkie zbocze kanionu, które prowadziło w tajemniczy sposób do Pacyfiku.

Zostałem więc jeszcze jeden dzień. Była niedziela. Wielka fala upałów już przechodziła; dzień był piękny, o trzeciej słońce oblało się purpurą. Ruszyłem pod górę i o czwartej dotarłem na szczyt. Na wszystkich zboczach dumały cudne kalifornijskie topole i eukaliptusy. Pod samym szczytem nie było już drzew, tylko skały i trawa. Na skraju wybrzeża pały się krowy. Dalej, kilka wzgórz ode mnie, ciągnął się Pacyfik, niebieski, bezkresny, z olbrzymią ścianą białych oparów unoszących się znad legendarnej Coney Island, gdzie rodzą się mgły San Francisco. Jeszcze godzina, a wyleje się przez Złote Wrota, żeby spowić bielą to romantyczne miasto, a młody człowiek będzie trzymał swoją dziewczynę za rękę i szedł wolno pod górę długim białym chodnikiem z butelką tokaju w kieszeni. To było Frisco; i piękne kobiety w białych drzwiach czekające na swoich mężczyzn; i wieżowiec Coit, i Embarcadero, i ulica Market, i jedenaście wzgórz.

Zakręciłem się w koło, aż dostałem zawrotu głowy; myślałem, że runę w dół, jak we śnie, prosto w przepaść. Och, gdzie ta dziewczyna, którą kocham? – pomyślałem sobie i

rozejrzałem się wokół, tak jak zawsze się rozglądałem po tym małym świecie tam w dole. I oto zobaczyłem przed sobą wielkie nagie cielsko mojego amerykańskiego kontynentu; gdzieś w oddali mroczny, szalony Nowy Jork wypuszczał w niebo tuman kurzu i brunatnej pary. Jest coś brunatnego i świętego we Wschodnim Wybrzeżu; Kalifornia natomiast jest biała jak sznury od bielizny i ma pstro w głowie – przynajmniej tak wtedy sobie pomyślałem.

## 12

Rano, kiedy Remi i Lee Ann jeszcze spali, cicho spakowałem manatki i wymknąłem się przez okno tą samą drogą, którą wszedłem. Tak opuściłem Mill City ze swoim brezentowym workiem. No i nigdy nie spędziłem nocy na starym statku – na „Admirale Czujduch”, jak go nazywano – a Remi i ja byliśmy dla siebie straceni.

W Oakland wypilem piwo wśród włóczęgów oblegających bar z kołem od wozu wywieszonym nad wejściem i znów znalazłem się w drodze. Przemierzyłem całe Oakland, żeby wyjść na drogę do Fresno. Dwoma kolejnymi okazjami dotarłem do Bakersfield, ponad sześćset kilometrów na południe. Najpierw zaliczyłem szaloną jazdę z młodym byczkowatym blondynem w wozie z podrasowanym silnikiem.

– Widzisz mój palec u nogi? – spytał, podrywając brykę do stu trzydziestu i wyprzedzając wszystkich na drodze. – Spójrz tylko. – Palec miał cały zabandażowany. – Właśnie mi go rano amputowali. Te dranie chciały, żebym został w szpitalu. Spakowałem się i uciekłem. Bo co to takiego palec u nogi?

„Niby racja – powiedziałem sobie w duchu – a teraz uważaj i mocno się trzymaj”. W życiu nie widzieliście takiego wariata za kółkiem. Dosłownie piorunem dojechał do Trący. Jest to miasteczko kolejowe; kolejarze jedzą markotnie posiłki w knajpkach przy torach. Pociągi z rykiem przecinają dolinę. Słońce zachodzi długim pasmem czerwieni. Przewinęły się wszystkie magiczne nazwy tej doliny – Manteca, Madera i inne. Wkrótce zapadł zmierzch, winogronowy zmierzch, fioletowy zmierzch nad plantacjami mandarynek i długimi polami melonów; słońce barwy wytłaczanych gron maźnięte burgundową czerwienią, pola barwy miłości i hiszpańskich tajemnic. Wysadziłem głowę za okno i głęboko się zaciągnąłem wonnym powietrzem. Była to najpiękniejsza chwila. Wariat okazał się kolejarzem z linii Southern Pacific, mieszkał we Fresno; miał też ojca kolejarza. Stracił palec u nogi na stacji rozrządowej w Oakland, przedstawiając tory, nie bardzo rozumiałem, w jakich

okolicznościach. Dowiózł mnie do gwarnego Fresno i wysadził w południowej części miasta. Wstąpiłem do sklepiku przy torach na szybką coca-cole, wzdłuż czerwonych wagonów towarowych szedł młody melancholijny Ormianin, w tej samej chwili rozległ się ryk lokomotywy, i wtedy powiedziałem sobie: „No tak, miasto Saroyana”.

Musiałem jechać na południe; wyszedłem na drogę. Zabrał mnie facet w nowiuteńkiej furgonetce. Był z Lubbock w Teksasie, a zajmował się handlem przyczepami.

– Chcesz kupić przyczepę? – zagadnął. – W razie czego zgłoś się do mnie. – Opowiadał rozmaite historie o swoim ojcu w Lubbock. – Pewnego wieczoru mój stary zostawił całodzienny utarg na wierzchu sejfu, na śmierć zapomniał schować. Traf chciał, że w nocy zakradł się złodziej z palnikiem acetylenowym i czym tam jeszcze, włamał się do sejfu, przetrząsnął papiery, wyrzucił kilka krzesel i poszedł. A tysiąc dolarów leżało sobie grzecznie na wierzchu... i co ty na to?

Wyrzucił mnie na południe od Bakersfield, i tam się zaczęła moja przygoda. Zrobiło się zimno. Włożyłem wiatrem podszytą wojskową pelerynę przeciwdeszczową, którą kupiłem w Oakland za trzy dolary, i trząsałem się na drodze jak barani ogon. Stałem przed motelem w napuszonym hiszpańskim stylu, rozjarzonym jak jakiś klejnot. Mijały mnie samochody pędzące w kierunku Los Angeles. Machałem jak opętany. Zimno było nie do wytrzymania. Stałem tak do północy, bite dwie godziny, i kłąłem na czym świat stoi. Znowu czułem się jak w Stuart, w Iowa. Nie miałem innego wyjścia, musiałem wydać trochę ponad dwa dolary na autobus, żeby pokonać te pozostałe kilometry do LA. Wróciłem autostradą do Bakersfield na dworzec, usiadłem na ławce.

Kupiłem już bilet i czekałem na autobus do Los Angeles, gdy wtem moim oczom ukazała się przeurocza Meksykaneczka w spodniach. Wysiadła z jednego z autobusów, które właśnie zajechały na dworzec z głośnym sykiem pneumatycznych hamulców; wysypywali się z nich pasażerowie na krótki postój. Piersi sterczały jej prosto i szczerze; pupa prezentowała się smakowicie; włosy miała długie, lśniącoczarne; a oczy to jedne wielkie błękitne cudeńka przepełnione nieśmiałością. Żałowałem, że nie jadę tamtym autobusem. Aż mnie przeszył ból, jaki zawsze czuję na widok dziewczyny, do której mi się wrywa serce, a która jedzie w przeciwnym kierunku na tym za dużym świecie. Przez głośnik zapowiedziano odjazd autobusu do LA. Złapałem worek, wsiadłem, no i kogo widzę, jeśli nie tę Meksykaneczkę skuloną samotnie na siedzeniu. Usiadłem tuż po drugiej stronie i od razu zacząłem snuć plany. Byłem tak samotny, tak smutny, zmęczony, drżący, podłamany, zmarnowany, że z trudem zebrałem się, żeby zagadnąć nieznaną, ale zadziałąłem. Lecz nawet po podjęciu decyzji jeszcze przez pięć minut biłem się w ciemnościach w uda, kiedy autobus wytaczał się

na szosę.

Musisz, musisz, bo jak nie, to umrzesz! Ty idioto, odezwij się do niej! Co z tobą? Nie jesteś już sobą wystarczająco zmęczony? I zanim się obejrzałem, już przechylałem się do niej przez przejście (usiłowała zasnąć na siedzeniu) i pytałem:

– Może chciałaby pani podłożyć sobie mój płaszcz pod głowę?

Spojrzała na mnie z uśmiechem i odparła:

– Nie, bardzo dziękuję.

Opadłem na swoje miejsce, cały dygocząc; zapaliłem szluga. Oczekałem, aż znów rzuci mi z ukosa to swoje smutne spojrzenie pełne miłości, a wtedy podniosłem się i pochyliłem nad nią.

– Mogę usiąść obok pani?

– Jak pan sobie życzy.

Przysiadłem się skwapliwie.

– Dokąd to?

– Do LA.

Strasznie mi się spodobało, jak powiedziała „LA”; podoba mi się, jak na wybrzeżu wszyscy mówią „LA”; to w końcu ich jedyna prawdziwa perła miast.

– Ja też tam jadę! – zawołałem. – Bardzo się cieszę, że pozwoliła mi się pani przysiąść. Czułem się bardzo samotny, a jestem już w podróży kawał czasu.

I tak zaczęliśmy oboje opowiadać o sobie. Jej sytuacja wyglądała następująco: miała męża i dziecko. Mąż ją pobił, no więc go rzuciła, w miasteczku Sabinal, na południe od Fresno, a teraz jechała do LA pomieszkać trochę z siostrą. Małego synka zostawiła u swojej rodziny, która żyła z winobrania i mieszkała w chacie w winnicach. Teraz nie pozostawało jej nic innego, jak tylko rozmyślać i kipieć gniewem. Natychmiast zapragnąłem ją do siebie przytulić. Usta nam się nie zamykały. Powiedziała, że cudownie jej się ze mną rozmawia. Niedługo potem mówiła z żalem, że też by chętnie pojechała do Nowego Jorku. – Może uda nam się pojechać razem! – roześmiałem się. Autobus, stękając, wturlał się na Winną Przełęcz, po czym zjechaliśmy w wielkie rozlewisko świateł. Bez żadnych wstępnych umów zaczęliśmy się trzymać za ręce i w podobnie milczący, piękny, czysty sposób ustaliliśmy, że kiedy zatrzymam się w hotelu w LA, ona będzie tam ze mną. Pragnąłem jej aż do bólu; wtuliłem głowę w jej piękne włosy. Jej drobne ramiona doprowadzały mnie do szaleństwa; ścisnąłem ją bez końca w objęciach. A ona była wniebowzięta.

– Kocham się kochać – powiedziała, przymykając oczy. Obiecałem jej piękną miłość. Nie mogłem się nią nasycić. Już opowiedzieliśmy sobie swoją przeszłość; teraz zatopiliśmy

się w milczeniu i w błogich, pełnych wyczekiwania myślach. Wszystko było takie proste. Weźcie sobie te wasze dziewczyny – Peach, Betty, Marylou, Ritę, Camille i Inez z całego świata; a to moja dziewczyna, w moim typie, co jej zaraz powiedziałem. Przyznała się, że zauważyła, jak przyglądam jej się na dworcu.

– Pomyślałam, że jesteś układnym studentem.

– Bo jestem studentem! – zapewniłem ją. Autobus zajechał do Hollywood. O szarym, brudnym świecie, takim jak ten, kiedy Joel McCrea poznaje Veronicę Lake w małej knajpce w filmie *Podróże Sullivana*, Meksykaneczka spała na moich kolanach. Wyglądałem pożądliwie przez okno – domy zdobione sztukaterią, palmy, zajazdy, całe to szaleństwo, łachmaniarska ziemia obiecana, niezwykły kraniec Ameryki. Wysiedliśmy z autobusu przy Ulicy Głównej, która nie różniła się od głównej ulicy, kiedy wysiada się z autobusu w Kansas City, Chicago czy Bostonie – kamieniczki, brud, wokół snują się rozmaite indywidua, tramwaje suną ze zgrzytem przez ten beznadziejny świt, kurewski smród wielkiego miasta.

I wtedy coś mi odbiło. Sam nie wiem dlaczego, nabrałem paranoidalnych podejrzeń, że Teresa, czyli Terry – bo tak miała na imię – jest zwykłą kryminalistką, która obskakuje autobusy, żeby obrabiać facetów. Umawiając się z delikwentem tak jak ze mną w LA, sprowadza go do barku śniadaniowego, gdzie już czeka jej alfons, a potem do pewnego hotelu, w którym tamten może go łatwo dopaść z bronią albo z czym tam zechce. Nie przyznałem jej się do tych podejrzeń. Zjedliśmy śniadanie, a jakiś alfons bacznie się nam przyglądał; ubrdałem sobie, że Terry ukradkiem daje mu znaki oczyma. Byłem zmęczony, zagubiony, czułem się obco w tym zapomnianym, obskurnym lokalu. Strach przyćmił mi umysł, kazał mi się zachować haniebnie i małostkowo.

– Znasz tego faceta? – spytałem.

– Jakiego faceta, kootku?

Dałem spokój. We wszystkim, co robiła, była bardzo powolna, miała spóźniony zapłon; jadła też bardzo wolno; żuła z ociąganiem, wpatrzona przed siebie, po czym zapaliła papierosa i znów zaczęła mówić, a ja byłem jak ten niespokojny duch, podejrzliwy wobec każdego jej gestu, przekonany, że ta mała gra na zwłokę. Był to najzwyklejszy atak paranoi. Kiedy szliśmy ulicą, trzymając się za ręce, byłem mokry od potu. W pierwszym napotkanym hotelu znalazł się wolny pokój, zanim się więc obejrzałem, już zamykałem drzwi od środka, a dziewczyna siedziała na łóżku i zdejmowała buty. Pocałowałem ją delikatnie. Lepiej, żeby się nigdy nie dowiedziała. Wiedziałem, że whisky dobrze nam robi na skołatane nerwy, zwłaszcza mnie. Wskoczyłem i przemierzyłem dwanaście przecznic, uganiając się za whisky, aż wreszcie dopadłem pół litra w kiosku z gazetami. Wróciłem jak na skrzydłach do

hotelu. Terry była w łazience, doprowadzała do porządku twarz. Nalałem sporą porcję do szklanki, oboje pociągnęliśmy po łyku. Och, co za rozkosz, opłaciła się cała moja ponura wyprawa. Stałem za Terry przed lustrem i zaczęliśmy tak tańczyć w łazience. Rozgadałem się o swoich znajomych ze Wschodniego Wybrzeża.

– Musisz poznać wspaniałą dziewczynę imieniem Dorie. Ma metr osiemdziesiąt i rude włosy. Jak przyjedziesz do Nowego Jorku, doradzi ci, gdzie szukać pracy.

– Co to za ruda metr osiemdziesiąt? – zaczęła dopytywać się podejrzliwie. – Dlaczego mi o niej mówisz?

W prostocie swojej duszy nie mogła pojąć mojego entuzjastycznego, nerwowego gadania. Dałem spokój. Ale ona zaczęła się upijać w łazience.

– Chodź do łóżka! – prosiłem.

– Ruda metr osiemdziesiąt, co? A ja myślałam, że jesteś układnym studentem. Zobaczyłam cię w tym szykownym swetrze i powiedziałam sobie: „No, no, ale porządny chłopak”. Nie! Nie! I jeszcze raz nie! Na pewno jesteś parszywym alfonsem tak jak wszyscy!

– Co też ci się ubzdurało?

– Tylko mi nie wmawiaj, że ta ruda metr osiemdziesiąt nie jest burdelmama, bo ja się na takiej od razu poznam, wystarczy, że o niej usłyszę, a ty, ty jesteś zwykłym alfonsem, jak wszyscy faceci, których spotykam. Wszyscy są alfonsami.

– Posłuchaj, Terry, nie jestem alfonsem. Przysięgam na Boga, że nie jestem alfonsem. Dlaczego miałbym nim być? Zależy mi tylko na tobie.

– Przez cały czas myślałam, że poznaję porządnego chłopaka. Tak się cieszyłam, błogosławiłam tę chwilę i mówiłam: wreszcie naprawdę porządny chłopak, a nie alfons.

– Terry – błagałem – proszę cię, posłuchaj i zrozum, że nie jestem alfonsem.

Jeszcze przed godziną sam myślałem, że ona jest kryminalistką. Jakie to wszystko smutne. Nasze myśli – przez swoje pokłady szaleństwa – rozeszły się. Co za nędzne życie, jak ja jęczałem i błagałem, a w końcu się wściekłem, bo uznałem, że błagam głupią meksykańską zdzirę, czego nie omieszkałem jej powiedzieć; niewiele myśląc, złapałem czerwone pantofle Terry, cisnąłem w drzwi łazienki i kazałem jej się wynosić. – Idź sobie w diabły!

Prześpię się i zapomnę; mam własne życie, własne smutne, łachmaniarskie życie już na zawsze. W łazience zapadła martwa cisza. Rozebrałem się i wlałem do łóżka.

Terry wyszła ze łzami skruchy w oczach. W swojej prostej, dziwnej główce uznała, że alfons nie rzuca butami kobiety w drzwi i nie każe jej się wynosić. W nabożnej, wruszającej ciszy rozebrała się do naga i wślizgnęła do łóżka. Jej drobne ciało było brązowe jak winogrona. Zobaczyłem jej biedny brzuch z blizną po cesarskim cięciu; biodra miała tak

wąskie, że nie mogła urodzić dziecka, dopóki jej nie rozplatali brzucha. Nogi jak patyczki. Mała, tylko metr pięćdziesiąt wzrostu. Kochałem się z nią w świeżości tego męczącego poranka. Po czym oboje, niczym dwa znużone anioły, pograżone w swym osamotnieniu na szelfie LA, które znalazły razem coś najbardziej intymnego, coś najcudowniejszego w życiu, zasnęliśmy i tak przespaliśmy prawie całe popołudnie.

## 13

Następne piętnaście dni spędziliśmy razem na dobre i na złe. Kiedy się ocknęliśmy, postanowiliśmy wybrać się wspólnie stopem do Nowego Jorku; chciałem wprowadzić tam Terry jako swoją dziewczynę. Przewidywałem szalone komplikacje z Deanem, Marylou i całą resztą – zapowiadał się sezon, nowy sezon. Najpierw musieliśmy jednak popracować, żeby zarobić pieniądze na podróż. Terry chciała ruszać natychmiast z dwudziestoma dolarami, które mi jeszcze zostały. Mnie się ten pomysł nie spodobał. Rozważałem go, jak idiota, przez dwa dni, przesiadując w kawiarniach i barach, gdzie wertowaliśmy ogłoszenia o pracy w zwariowanych gazetach Los Angeles, jakich przedtem na oczy nie widziałem, aż moja dwudziestka skurczyła się do dziesięciu dolarów z ogonkiem. Byliśmy bardzo szczęśliwi w naszym pokoiku hotelowym. W środku nocy wstałem, bo nie mogłem zasnąć, przykryłem nagie śniade ramię mojej małej i ruszyłem w kalifornijską noc. Co za brutalne, gorące, rozbrzmiewające jękiem syren noce panują w LA! Zaraz po drugiej stronie ulicy wydarzyło się coś przykrego. W starym, lichym, podupadłym domu noclegowym rozegrała się tragedia. Podjechał radiowóz, gliny przeszukiwały starszego siwowłosego mężczyznę. Ze środka dobiegał szloch. Wszystko słyszałem, łącznie z brzęczeniem neonu na moim hotelu. Nigdy w życiu nie byłem smutniejszy. LA to najbardziej samotne, najbardziej okrutne z amerykańskich miast; Nowy Jork robi się w zimie diabelnie zimny, ale przynajmniej na niektórych ulicach wyczuwa się ducha narwanego braterstwa, LA to dżungla.

Ulica South Main, którą Terry i ja spacerowaliśmy z hot dogami, stanowiła wspaniałą feerię świateł i szaleństwa. Dosłownie na każdym rogu policjanci w butach z cholewami obszukiwali ludzi. Po chodnikach przewalały się najbardziej zmarnowane typy z całej Ameryki – a wszystko to pod łagodnymi gwiazdami Kalifornii Południowej, które giną w burej aureoli wielkiego obozowiska na pustyni, jakim jest w gruncie rzeczy Los Angeles. W powietrzu unosił się zapach herbaty, trawki, fasoli chili i piwa. Z piwiarni napływały wielkie,

obłądne dźwięki bopu; mieszały się w tę amerykańską noc z najrozmaitszymi rytmami kowbojskimi i boogie-woogie. Wszyscy wyglądali jak Hassel. Obok mnie przeszli ze śmiechem obłądni Murzyni z kozimi bródkami, w jazzowych czapkach; tuż za nimi długowłosi sfatygowani hipsterzy prosto z trasy 66 wiodącej z Nowego Jorku; dalej stare pustynne szczyry obładowane paczkami, zmierzające w stronę ławki przy Plaza; następnie pastorowie od metodystów z wystrzępionymi rękawami, a od czasu do czasu trafiał się „syn natury”, święty z brodą i w sandałach. Chciałem ich wszystkich poznać, ze wszystkimi pogadać, ale Terry i ja zbyt byliśmy zajęci, próbując zarobić trochę forsy.

Pojechaliśmy do Hollywood, żeby postarać się o pracę w sklepiu na skrzyżowaniu Sunset i Vine. Co to był za róg! Na chodniku gromadziły się całe rodziny z głębi kraju przy swoich starych gruchotach, wypatrując gwiazd filmowych, które nigdy się nie zjawiały. Kiedy przejeżdżała limuzyna, wszyscy rzucali się do krawężnika i zaglądali gorliwie do środka: siedział tam jakiś lalusz w ciemnych okularach z blondynką obwieszoną biżuterią. „Don Ameche! Don Ameche!”. „Nie, George Murphy! George Murphy!”. Kłębili się tak, popatrując na siebie nawzajem. Przechadzali się przystojni homoseksualiści, zwilżający sobie szpanersko brwi koniuszkami palców, którzy przyjechali do Hollywood, żeby zostać kowbojami. Obok przemykały wystrzałowe, najpiękniejsze na świecie panienki w spodniach; przyjechały tu, żeby zostać gwiazdkami; przeważnie kończyły w barach dla zmotoryzowanych. Terry i ja też próbowaliśmy szukać pracy w takich barach, ale na próżno. Hollywood Boulevard to jeden wielki zgiekliwy szal samochodów; przynajmniej raz na minutę dochodziło tam do stłuczki; wszyscy pędzili do najdalszej palmy... a dalej była już tylko pustynia i nicość. Hollywoodscy lalusie stali przed picerskimi restauracjami, kłócąc się dokładnie tak samo, jak lalusie z Broadwayu kłócą się na Jacobs Beach w stanie Nowy Jork, tyle że tutaj mieli na sobie letnie garnitury i prowadzili bardziej banalne rozmowy. Trzęsąc się, dreptali wysocy, grobowi kaznodzieje. Tłuste rozwrzeszczane kobiety przebiegały na drugą stronę bulwaru, żeby zająć miejsce w kolejce do teleturniejów. Widziałem, jak Jerry Colonna kupuje samochód w salonie Buick Motors; stał za olbrzymią taflą okna wystawowego, podkrecając węża. Terry i ja jadaliśmy w śródmiejskim barku urządzonym na wzór podwodnej groty. Zewsząd wystawały tryskające metalowe cycki i wielkie bezosobowe kamienne pupy należące do różnych bóstw i pianistego Neptuna. Ludzie siedzący wokół wodospadów jedli smętne posiłki, a twarze mieli zielone od trunkowej melancholii. Wszyscy gliniarze w LA wyglądali jak przystojne żigolaki, najwyraźniej przyjechali do LA, żeby się dostać do filmu. Wszyscy przyjechali tu w tym samym celu, nawet ja. Terry i ja upadliśmy tak nisko, że zaczęliśmy szukać pracy na ulicy South Main wśród zmarnowanych

ekspedientów i pomywaczek, którzy wcale się nie kryli ze swoją biedą, ale i tam nic nie wskóraliśmy. Nadal mieliśmy dziesięć dolarów.

– Człowieku, zabieram swoje ciuchy i jedziemy stopem do Nowego Jorku – rzuciła Terry. – No, mówię ci. Ruszmy się. „Jak nie umiesz boogie-woogie, pokażę ci, jak to się tańczy”.

To z piosenki, którą wciąż śpiewała. Pomknęliśmy do domu jej siostry w dzielnicy posklecanych ruder meksykańskich gdzieś za Alameda Avenue. Czekałem w ciemnym zaułku za meksykańskimi kuchniami, żeby mnie nie zobaczyła jej siostra. Wokół szwendały się psy. Małe latarenki oświetlały małe nędzne zaułki. Słyszałem, jak Terry kłóci się z siostrą w tę cichą, ciepłą noc. Byłem gotów na wszystko.

W końcu Terry wyszła, wzięła mnie za rękę i zaprowadziła na Central Avenue, czyli główny deptak kolorowych w LA. Cóż to jest za dziwna ulica – knajpki tak małe, że z ledwością mieszczą szafę grającą, a szafa wypluwa tylko bluesa, bop i jumpa. Weszliśmy do brudnej kamienicy czynszowej i wspięliśmy się po schodach do pokoju koleżanki Terry, Margariny, która miała zwrócić Terry spódnice i parę butów. Margarina była uroczą Mulatką; jej mąż był czarny jak pik i bardzo serdeczny. Zaraz wyskoczył i kupił pół litra whisky, żeby mnie odpowiednio ugościć. Chciałem coś mu dorzucić, ale odmówił. Mieli dwoje małych dzieci. Dzieciaki skakały po łóżku; to był ich kącik zabaw. Zaczęły mnie obejmować i przyglądały mi się ze zdumieniem. Na zewnątrz huczała i buczała obłędna gwarna noc przy Central Avenue – noc *Central Avenue Breakdown* Hampa. Ludzie śpiewali w korytarzach, w oknach, wszędzie, hulaj dusza, piekła nie ma. Terry zabrała swoje ciuchy, pożegnaliśmy się. Zaszliśmy do jakiegoś lokaliku i puszczałyśmy płyty w szafie grającej. Dwa murzyńskie typy szepnęły mi coś do ucha na temat maryški. Za dolara. No dobra, powiedziałem, przynieście. Wszedł handlarz, zaprosił mnie gestem do ubikacji w piwnicy, gdzie stałem jak ten osioł, a on mnie poganiał:

– Podnieś, człowieku, podnieś.

– Co mam podnieść? – spytałem.

Już miał w ręku mojego dolara. Bał się wskazać na podłogę. To właściwie nie była podłoga, tylko goła ziemia. Leżało tam coś, co wyglądało jak brązowe gówienko. Facet był ostrożny aż do przesady.

– Muszę się pilnować, przez cały ten tydzień ciągle są jakieś smrody.

Podniosłem to gówno, czyli skręta w szarym papierze, wróciłem do Terry, po czym poszliśmy do naszego pokoju w hotelu, żeby się rozkręcić. Nic z tego nie wyszło. To był zwykły tytoń Bull Durham. Plułem sobie w brodę, że tak się dałem wycykać.

Terry i ja musieliśmy postanowić bezwzględnie i bez odwołania, co robić dalej. Postanowiliśmy ruszyć z resztą pieniędzy stopem do Nowego Jorku. Tamtego wieczoru dostała pięć dolarów od siostry. W sumie mieliśmy trzynaście albo mniej. Zanim więc nam stuknęła kolejna doba hotelowa, spakowaliśmy manatki i zabraliśmy się czerwonym wozem do Arcadii w Kalifornii, gdzie u podnóża gór w ośnieżonych czapach znajduje się tor wyścigowy Santa Anita. Była noc. Kierowaliśmy się w głąb amerykańskiego kontynentu. Trzymając się za ręce, pokonaliśmy pieszo kilka kilometrów szosą, żeby się wydostać z dzielnicy mieszkalnej. Była sobotnia noc. Staliśmy pod latarnią uliczną z podniesionymi kciukami, gdy wtem śmignęło obok nas kilka samochodów pełnych młodych szczeniaków z powiewającymi flagami. „Juhu! Juhu! Wygraliśmy! Wygraliśmy!”. Krzyczeli wszyscy. Po czym zaczęli wyć pod naszym adresem, bo bardzo ich ubawił widok faceta z dziewczyną na drodze. Przejechały dziesiątki takich samochodów pełnych młodych twarzy i jak to się mówi, „ochryplych młodzieńczych głosów”. Nienawidziłem ich wszystkich. Za kogo oni się mają, że tak wykrzykują na kogoś przy drodze tylko dlatego, że sami są rozwydrzonymi szczeniakami z liceum, a ich rodzice w niedzielne popołudnia kroją sobie pieczyście? Za kogo oni się mają, że naśmiewają się z dziewczyny w tarapatkach, stojącej z facetem, który chce jej dać miłość?

Ale nie przejmowaliśmy się. Tyle że nic nie złapaliśmy. Musieliśmy wrócić do miasta, a co gorsza, zachciało nam się kawy, wstąpiliśmy więc niefortunnie do jedyne go otwartego lokalu, czyli do barku licealistów, gdzie spotkaliśmy wszystkich tamtych szczeniaków, którzy nas rozpoznali. Teraz zobaczyli, że Terry jest dziką meksykańską kocicą, a jej chłopak jest jeszcze gorszy.

Terry wyszła stamtąd, zadzierając swój piękny nos, i powędrowaliśmy razem w ciemnościach wzdłuż rowów szos. Ja niosłem bagaże. Wdychaliśmy mgły zimnej nocy. W końcu postanowiłem ukryć się z Terry przed światem na jeszcze jedną noc; gwizdźę na to, co będzie nazajutrz. Skręciliśmy na dziedziniec motelu, wynajęliśmy przytulny apartamencik za bodajże cztery dolary – z prysznicem, ręcznikiem kąpielowym, radiem w ścianie i wszystkim, co trzeba. Wtuliliśmy się w siebie. Prowadziliśmy długie, poważne rozmowy, braliśmy kąpiel, omawialiśmy różne sprawy przy zapalonym świetle, a potem przy zgaszonym. Coś sobie udowadnialiśmy, przekonywałem ją do czegoś, na co ona przystała, po czym w ciemnościach przypieczętowaliśmy bez tchu nasze przymierze i padliśmy spokojni jak jagnięta.

Od rana zaczęliśmy śmiało realizować nasz nowy plan. Dojedziemy autobusem do Bakersfield, popracujemy przy winobranii. Dopiero po kilku tygodniach ruszymy do Nowego

Jorku jak ludzie, autobusem. To było cudowne popołudnie, jazda z Terry do Bakersfield. Siedzieliśmy sobie wygodnie, odprężeni, zagadani, wyglądaliśmy przez okno i o nic się nie martwiliśmy. Do Bakersfield dotarliśmy późnym popołudniem. Zgodnie z planem mieliśmy obejść wszystkich plantatorów w mieście. Terry powiedziała, że możemy mieszkać w namiotach przy winnicy. Sama myśl o mieszkaniu w namiocie i zbieraniu winogron w chłodne kalifornijskie ranki bardzo mnie pociągała. Niestety, nigdzie nie było pracy, sporo przy tym zamieszania, bo wciąż ktoś nam dawał jakieś rady, tyle że nie wynikała z tego żadna praca. Mimo to zjedliśmy chiński obiad i tak posileni ruszyliśmy dalej. Przez tory kolejowe Southern Pacific dotarliśmy do meksykańskiego miasteczka. Terry szwargotała ze swoimi ziomkami, rozpytując o pracę. Zapadł już wieczór, meksykańska uliczka była jedną wielką płonącą żarówką: markizy kin, kioski z owocami, salony gier, sklepiki z tandetą i setki zaparkowanych ciężarówek w opłakanym stanie i gruchotów obryzanych błotem. Wokół snuły się całe rodziny zbierających winogrona Meksykanów, zajadały prażoną kukurydzę. Terry nagabywała wszystkich. Ja powoli wpadałem w rozpacz. Musiałem się napić, Terry zresztą też, kupiliśmy więc litrową butelkę kalifornijskiego portwajnu za trzydzieści pięć centów i poszliśmy na torowiska kolejowe, żeby wypić. Znaleźliśmy takie miejsce, gdzie włóczędzy ściągnęli skrzynki do siedzenia przy ognisku. Usiedliśmy tam i popijaliśmy wino. Po lewej stały wagony towarowe, smętne, brudnoczerwone w blasku księżyca; na wprost światła i maszty lotniska Bakersfield; po prawej ogromny aluminiowy magazyn Quonset. Och, to była piękna, ciepła noc, noc picia wina, noc księżycowa, taka, w którą tuli się swoją dziewczynę, gada się, pluje i jest bosko. Tak też czyniliśmy. Terry jak głupia gąska piła równo ze mną, nawet mnie prześcignęła, i rozgadała się aż do północy. Nie ruszaliśmy się krokiem z tych skrzyń. Co jakiś czas przechodzili tamtędy włóczędzy, Meksykanki z dziećmi, przejechała suka, z której wysiadł gliniarz, żeby się odlać, ale przez większość czasu byliśmy sami, a nasze dusze coraz bardziej przenikały się nawzajem, tak że potem rozstanie miało być strasznie trudne. O północy wstaliśmy i wróciliśmy podchmieleni na szosę.

Terry przyszedł do głowy nowy pomysł. Pojedziemy stopem do Sabinal, jej rodzinnego miasteczka, gdzie zatrzymamy się w garażu jej brata. Ja się pisałem na wszystko. Przy drodze kazałem Terry usiąść na moim worku, żeby sprawiała wrażenie bezradnej kobiety, i natychmiast zatrzymała się ciężarówka, podbiegliśmy do niej cali w skowronkach. Prowadził ją dobry człowiek; była to ciężarówka biedaka. Telepała się z rykiem pod górę, pokonując strome wzniesienie doliny. Do Sabinal dojechaliśmy jeszcze przed świtem. Kiedy Terry spała, dopiłem wino i naprawdę nieźle się zaprawiłem. Wysiedliśmy i snuliśmy się po cichym liściastym skwerku kalifornijskiego miasteczka – małej stacyjki kolejowej Southern

Pacific. Poszliśmy do domu kolegi jej brata, żeby nam powiedział, gdzie tamtego szukać. Nie zastaliśmy nikogo. Kiedy zaczynało świtać, leżałem na wznak na trawniku przed ratuszem i w kółko powtarzałem: „Nie powiesz, co on zrobił w Weed, prawda? Co on takiego zrobił w Weed? Nie powiesz, prawda? Co on takiego zrobił w Weed?”. To była kwestia z filmu *Myszy i ludzie*, kiedy Burgess Meredith rozmawia z zarządcą rancza. Terry zanosiła się śmiechem. Podobało jej się wszystko, co robiłem. Mogłem tak leżeć i wygłupiać się, dopóki panie nie wyjdą do kościoła, a jej to nie przeszkadzało. W końcu uznałem, że niedługo się odkujemy, bo jej brat nam pomoże, no więc zabrałem ją do starego hotelu przy torach kolejowych, gdzie poszliśmy nareszcie wygodnie do łóżka.

W rześki, słoneczny poranek Terry zerwała się wcześniej i pobiegła odszukać brata. Ja spałem do południa; kiedy wyjrzałem przez okno, naraz zobaczyłem przejeżdżający pociąg towarowy Southern Pacific z setkami trampów, którzy wylegiwali się na wagonach-platformach, jechali radośnie przed siebie, mając tobołki za poduszki i oczy zatopione w komiksach, niektórzy żuli pyszne kalifornijskie winogrona zerwane na bocznicy.

– Juhu! – zawołałem. – Niech mnie diabli! To jest właśnie ziemia obiecana.

Wszyscy wracali z Frisco; za tydzień wszyscy będą znów tam jechać w tym samym wielkim stylu.

Zjawiła się Terry z bratem, z jego kolegą i ze swoim dzieckiem. Jej brat był jazzowym meksykańskim żrebakiem, który upijał się tylko własnym głodem, wspaniały, dobry chłopak. Jego kolega, wysoki, rozlazły Meksykanin, mówił po angielsku prawie bez akcentu, zachowywał się głośno i aż się narzucał ze swoją serdecznością. Widziałem, że wlepia oczy w Terry. Jej synek Johnny miał siedem lat, ciemne oczy i dużo wdzięku. No więc byliśmy w takim składzie i rozpoczął się kolejny obłądny dzień.

Jej brat, Rickey, miał chevroleta rocznik 38. Wtłoczyliśmy się do środka i ruszyliśmy w nieznaną.

– Dokąd jedziemy? – spytałem.

Kolega mi wyjaśnił. Miał na imię Ponzo, w każdym razie wszyscy tak na niego mówili. Okropnie cuchnął. Dowiedziałem się dlaczego. Zajmował się sprzedażą gnoju farmerom; miał ciężarówkę. Rickey zawsze miał przy duszy trzy albo cztery dolary i nic go nie ruszało. Wciąż powtarzał: „Jasna sprawa, stary, jakoś to leci... jakoś to leci, jakoś to leci!”. I jechał. Pruł starym gruchotem sto dziesięć kilometrów na godzinę, a jechaliśmy do Madery za Fresno, żeby poprosić farmerów o gnój.

Rickey miał butelkę.

– Dzisiaj się pije, jutro się pracuje i jakoś to leci. Masz, stary, golnij sobie!

Terry siedziała z tyłu ze swoim małym; zerknąłem na nią – aż pokraśniała z radości, że wraca do domu. Za oknami migały w szalonym tempie piękne zielone paździenikowe krajobrazy. Krew mi zawrzała w żyłach, znów byłem gotów do drogi.

– Dokąd teraz jedziemy, stary?

– Poszukać farmera, u którego leży gnój. Jutro zajedziemy tam ciężarówką i go zabierzemy. Nie bój złego, stary, zarobimy kupę szmalu.

– Trzymamy się razem! – ryknął Ponzo.

Sam się o tym przekonałem – gdziekolwiek się ruszyłem, wszyscy trzymali się razem. Śmignęliśmy przez szalone ulice Fresno i dalej, w górę doliny, do jakichś farmerów przy bocznych drogach. Ponzo wysiadł z samochodu i prowadził mętne rozmowy ze starymi meksykańskimi farmerami; oczywiście nic z tego nie wyszło.

– Musimy się koniecznie napić! – zawołał Rickey, pojechaliśmy więc do baru na skrzyżowaniu. W niedzielne popołudnia Amerykanie zawsze piją w barach na skrzyżowaniach dróg; przyprowadzają ze sobą dzieci; pytlują, awanturują się przy piwie; i wszystko gra. Kiedy zapada wieczór, dzieciaki zaczynają płakać, a rodzice są pijani. Wracają do domów na miękkich nogach.

Zjeździłem całą Amerykę i wszędzie piją tak całymi rodzinami w barach na skrzyżowaniach dróg. Dzieciarnia zajada prażoną kukurydzę, chrupki ziemniaczane i bawi się z tyłu. My też tak uczyniliśmy. Rickey, ja, Ponzo i Terry siedzieliśmy, popijając i pohukując w takt muzyki; mały Johnny dokazywał z innymi dziećmi przy szafie grającej. Słońce zaczęło się czerwienić. Nic nie wskóraliśmy. A co można było wskórać?

– *Mañana* – powiedział Rickey. – *Mañana*, stary, nam się uda. Golnij sobie jeszcze browar, stary, i jakoś to leci, jakoś leci!

Wytoczyliśmy się na dwór, wsiedliśmy do samochodu; ruszyliśmy do kolejnego przydrożnego baru. Ponzo, potężny, głośny, krzykliwy facet, znał wszystkich w dolinie San Joaquin. Z przydrożnego baru pojechałem z nim, żeby odnaleźć pewnego farmera; zamiast go szukać, trafiliśmy do meksykańskiej dzielnicy Madery, gdzie podziwialiśmy panienki, a nawet usiłowaliśmy poderwać dwie dla niego i dla Rickeya. Po czym, kiedy fioletowy zmierzch ogarnął krainę winogron, siedziałem otepiały w samochodzie, a Ponzo wyklócał się ze starym Meksykaninem przy drzwiach kuchennych o cenę arbuza, który rósł u tamtego w ogródku za domem. Kupiliśmy wreszcie tego arbuza; zjedliśmy go na miejscu, a skórę wyrzuciliśmy na ścieżkę pod domem starego. W zapadających ciemnościach ulicą szły różne śliczne dziewczyny.

– Gdzie my, u diabła, jesteśmy? – spytałem.

– Nic się nie martw, stary – odparł wielki Ponzo. – Jutro zarobimy kupę szmalu, a dzisiaj nie ma co się martwić.

Wróciliśmy po Terry, jej brata i małego, po czym ruszyliśmy szosą pod światłami nocy do Fresno. Wszyscy byliśmy pioruńsko głodni. Przepruliśmy z podskokiem przez tory kolejowe i wpadliśmy prosto w obłęd ulic dzielnicy meksykańskiej Fresno. W oknach wisieli dziwni Chińczycy, podziwiając widoki niedzielnej nocy; stadka meksykańskich dziewcząt w spodniach zadzierały nosa; z szaf grających dochodziły ogłuszające dźwięki mamby; wokół feeria świateł jak w Zaduszki. Weszliśmy do meksykańskiej restauracji, zjedliśmy tacos i placki tortilla nadziewane tłuczoną fasolą pinto; wszystko było pyszne. Wyciągnąłem swój ostatni, nowiusieńki banknot pięciodolarowy, który stał między mną a wybrzeżem w New Jersey, i zapłaciłem za Terry i za siebie. Zostało mi wszystkiego cztery dolary. Terry i ja spojrzeliśmy po sobie.

– Gdzie będziemy dziś spać, kochana?

– Nie wiem.

Rickey był pijany; mówił już tylko: „I jakoś to leci, stary, i jakoś to leci”, tklwym, zmęczonym głosem. Mieliśmy za sobą długie dzień. Nikt z nas nie wiedział, co się dzieje ani co dobry Bóg nam przeznaczył. Biedny mały Johnny zasnął mi na rękę. Wróciliśmy samochodem do Sabinal. Po drodze zatrzymaliśmy się przed zajazdem przy trasie 99. Rickey chciał na dobranoc wypić jeszcze jedno piwo. Na tyłach zajazdu były przyczepy, namioty i kilka lichych pokoi w motelowym stylu. Spytałem o cenę, nocleg kosztował dwa dolary. Spytałem Terry, co ona na to, zgodziła się, bo mieliśmy teraz dzieciaka na rękach i musieliśmy go wygodnie położyć. No więc po kilku piwach w barze, gdzie posepni wyrobnicy z Oklahomy dreptali w takt muzyki zespołu kowbojskiego, Terry, Johnny i ja poszliśmy do pokoju motelowego, żeby uderzyć w kimono. Ponzo jeszcze się kręcił; nie miał gdzie spać. Rickey spał w chacie swojego ojca w winnicy.

– Gdzie mieszkasz, Ponzo? – spytałem.

– Nigdzie, stary. Niby to mieszkam z Dużą Rosey, ale właśnie wczoraj wieczór mnie wyrzuciła. Pójdę po swoją ciężarówkę i będę w niej spał.

Pobrzękiwały gitary. Terry i ja patrzyliśmy razem w gwiazdy i całowaliśmy się.

– *Mañana* – powiedziała. – Jutro wszystko będzie dobrze, prawda, Sal, skarbie?

– Absolutnie, maleńka, *mañana*.

Zawsze wszystko było *mañana*. Przez cały następny tydzień słyszałem tylko to jedno: *mañana*, cudowne słowo, które przypuszczalnie znaczy „niebo”.

Mały Johnny wskoczył do łóżka w ubraniu, tak jak stał, i natychmiast zasnął; z butów

wysypywał mu się piasek, piasek Madery. Terry i ja wstaliśmy w środku nocy i strzepnęliśmy piasek z pościeli. Rano wstałem, umyłem się i przeszedłem po okolicy. Byliśmy osiem kilometrów od Sabinal wśród pól bawełny i winnic. Spytałem grubą, rozłożystą właścicielkę kempingu, czy ma jakieś wolne namioty. Miała jeden wolny, zresztą najtańszy, po dolarze za noc. Wysupłałem tego dolara i zaszyliśmy się w środku. Stało tam łóżko i piecyk, a na słupku wisiało popękane lustro; coś cudownego. Musiałem się schylić, żeby wejść do środka, a kiedy wszedłem, była tam moja maleńka i mój chłopczyk. Czekaliśmy, aż Rickey i Ponzo przyjadą ciężarówką. Zjawili się z butelkami piwa i zaczęli się upijać w namiocie.

– A co z gnojem?

– Dziś już za późno. Jutro, stary, zarobimy kupę szmalu, a dzisiaj golniemy sobie kilka piw. Co powiesz na piwo?

Nie trzeba mnie było namawiać.

– I jakoś to leci, jakoś to leci! – wykrzykiwał Rickey.

Zacząłem pojmować, że nasze plany zarobku na gnoju nigdy się nie urzeczywistnią. Ciężarówka stała zaparkowana przed namiotem. Cuchnęła tak samo jak Ponzo.

Owego dnia Terry i ja poszliśmy do łóżka w cudną, pachnącą noc pod naszym zroszonym namiotem. Właśnie szykowałem się do snu, kiedy zapytała:

– Chciałbyś się teraz ze mną kochać?

– A co z Johnnym?

– Jemu to nie przeszkadza. Śpi.

Wprawdzie Johnny wcale nie spał, ale nie odezwał się słowem.

Nazajutrz chłopcy wrócili z ciężarówką gnoju i pojechali po whisky; po powrocie urządzili sobie bibę w namiocie. Tego wieczoru Ponzo oświadczył, że mu za zimno na dworze, i spał na ziemi w naszym namiocie, owinięty wielką płachtą brezentową, śmierdzącą krowim łajnem. Terry go nienawidziła; twierdziła, że trzyma się jej brata, żeby być bliżej niej.

Przestałem wierzyć, że cokolwiek czeka Terry i mnie poza wizją głodu, toteż z samego rana przeszedłem się po wsiach, rozpytując o pracę przy zbiorze bawełny. Wszyscy mnie odsyłali na farmę po drugiej stronie szosy. Tam też poszedłem. Farmer był w kuchni ze swoimi kobietami. Wszedł, wysłuchał mnie i uprzedził, że płaci tylko po trzy dolary za pięćdziesiąt kilogramów zebranej bawełny. Wyobraziłem sobie, że będę zbierał przynajmniej sto pięćdziesiąt kilo dziennie, i zgodziłem się do tej pracy. Wyciągnął ze stodoły kilka długich brezentowych worków i powiedział, że zbieranie rozpoczyna się o świcie. Popędziłem do Terry cały w skowronkach. Po drodze zobaczyłem ciężarówkę z winogronami, która podskoczyła na wyboju i wielkie kiście wypadły na rozgrzany asfalt. Pozbierałem je i

zaniósłem do domu. Terry bardzo się ucieszyła.

– Johnny i ja będziemy ci pomagać.

– Też coś! – powiedziałem. – Nie ma mowy!

– Ale posłuchaj, zbieranie bawełny to bardzo ciężka praca. Nauczę cię zbierać.

Zjedliśmy te winogrona, a wieczorem Rickey przyniósł bochenek chleba, pół kilograma mielonego mięsa i urządziliśmy sobie piknik. W większym namiocie tuż obok naszego mieszkała cała rodzina wyrobników zbierających bawełnę; dziadek przez cały dzień siedział w fotelu, był już za stary, żeby pracować; syn i córka ze swoimi dziećmi biegli codziennie o świcie przez szosę do pracy na polu mojego farmera. Nazajutrz z samego rana poszedłem z nimi. Twierdzili, że o świcie bawełna jest cięższa z powodu rosy, toteż można więcej zarobić niż po południu. Mimo to pracowali cały dzień od świtu do zachodu słońca. Dziadek przyjechał tu z Nebraski podczas wielkiej plagi w latach trzydziestych – tej chmury pyłu, o której mi opowiadał mój kowboj z Montany – z całą rodziną w rozklekotanej ciężarówce. Od tamtej pory mieszkali w Kalifornii. Ubóstwiali pracować. W ciągu dziesięciu lat syn owego staruszka powiększył liczbę swoich dzieci do czworga, przy czym niektóre z nich były już na tyle duże, że mogły zbierać bawełnę. W tym czasie wzniesli się od poziomu ostatniej nędzy na polach Simona Legree do pogodnej szacowności w lepszych namiotach, i to wszystko. Byli niesłychanie dumni ze swojego namiotu.

– Macie zamiar wrócić do Nebraski?

– Tam nic nie ma. Ale chcemy sobie kupić przyczepę mieszkalną.

Pochyliliśmy się i zaczęliśmy zbierać bawełnę. Było pięknie. Po drugiej stronie pola stały namioty, a dalej, za nimi, spieczone brązowe pola bawełny, które ciągnęły się poza horyzont aż do brązowego pogórza porytego wąwozami i hen, do ośnieżonych Sierras na tle porannego błękitu. Było to znacznie przyjemniejsze niż zmywanie naczyń przy ulicy South Main. Tyle że nie miałem zielonego pojęcia o zbieraniu bawełny. Zbyt dużo czasu zajmowało mi wyłuskiwanie białej kuli z trzeszczącego łożyska; inni robili to w mgnieniu oka. Poza tym zaczęły mi krwawić opuszki palców; przydałyby się rękawiczki albo większe doświadczenie. W polu pracowała z nami para starych Murzynów. Zbierali bawełnę z tą świętą cierpliwością, którą wyrobili sobie ich ojcowie przed wojną domową w Alabamie; posuwali się swoimi zagonami, przygarbieni, smutni, a ich worki pęczniały. Rozbolał mnie krzyż. Ale cudownie było klęknąć i schować się w tej ziemi. Kiedy chciałem odpocząć, wtulałem twarz w poduszkę burej wilgotnej ziemi. Akompaniował nam śpiew ptaków. Z początku sądziłem, że znalazłem pracę życia. W gorące, ospałe południe przyszedł do mnie, machając z daleka przez pole, Johnny i Terry. Zabrali się energicznie do roboty. Niech mnie dunder świśnie, jeżeli

mały Johnny nie był szybszy ode mnie! – no i oczywiście Terry była dwa razy szybsza. Posuwali się przede mną i zostawiali mi stosy czystej bawełny, żebym dorzucił do swojego worka – Terry zostawiała stosy jak robotnik, Johnny małe dziecinne stosiki. Upychałem je do worka z niejakim smutkiem. Co ze mnie za chłop, skoro nie potrafię utrzymać własnej dupy, nie mówiąc już o nich? Spędzili ze mną całe popołudnie. Kiedy słońce się zaczerwieniło, powlekliśmy się z powrotem. Na skraju pola wrzuciłem swój ładunek na wagę; ważył dwadzieścia pięć kilogramów, dostałem półtora dolara. Pożyczyłem wtedy rower od chłopaka z rodziny wyrobników, pojechałem szosą 99 do sklepu na skrzyżowaniu, tam kupiłem puszki z gotowanym spaghetti, pulpety mięsne, chleb, masło, kawę i ciasto, po czym wróciłem z torbą na kierownicy. Na wprost mnie śmigały samochody do LA; wjeżdżały mi na kuper wozy pędzące do Frisco. Kłąłem na czym świat stoi. Spojrzałem w ciemne niebo, zaniósłem modlitwę do Boga o lepszy urlop od życia i o lepszą szansę, żeby coś zrobić dla tych nieboraków, których kochałem. Nikt tam na szosie nie zwracał na mnie uwagi. Stary byłem, a głupi. Dopiero Terry przywróciła mi radość życia; podgrzała jedzenie na piecyku w namiocie i był to jeden z najwspanialszych posiłków, jakie jadłem w życiu, taki byłem głodny i zmęczony. Wzdychając niczym stary Murzyn, zbieracz bawełny, zwałem się na łóżko i zapaliłem papierosa. Noc była chłodna, czekały psy. Rickey i Ponzo przestali wpadać do nas wieczorami do namiotu. Przyjąłem to z ulgą. Terry zwinęła się obok mnie, Johnny usiadł mi na piersi i oboje rysowali zwierzęta w moim notatniku. Światło naszego namiotu płonęło wśród napawającej grozą równiny. Z pobliskiego zajazdu dobiegało brzdąkanie kowbojskich melodii i niosło się po polach, sam smutek. Ale mnie to odpowiadało. Pocałowałem swoją małą i zgasiliśmy światło.

Rano cały namiot aż sflaczał od rosy; wziąłem ręcznik, szczoteczkę do zębów i poszedłem do ogólnej łazienki w motelu, żeby się umyć; następnie wróciłem, włożyłem spodnie, podarte od klękania na ziemi i zacerowane wieczorem przez Terry, włożyłem postrzępiony słomkowy kapelusz, który pierwotnie służył Johnny’emu do zabawy, i ruszyłem przez szosę ze swoim brezentowym workiem na bawełnę.

Codziennie zarabiałem mniej więcej półtora dolara. Wystarczało tylko na to, żeby wieczorem pojechać na rowerze po zakupy. Tak mijały dni. Całkiem zapomniałem o Wschodzie, o Deanie, Carlu i o tej cholernej drodze. Bez przerwy bawiłem się z Johnnym; lubił, jak go podrzucałem do góry i na łóżko. Terry siedziała, cerując ubrania. Byłem człowiekiem tej ziemi, dokładnie jak to sobie wymarzyłem w Paterson. Doszły nas słuchy, że mąż Terry wrócił do Sabinal i mnie szuka. Byłem gotów na to spotkanie. Pewnej nocy wyrobnicy dostali szału w zajęździe, przywiązali jakiegoś mężczyznę do drzewa i zatłukli go

kijami na miazgę. Spałem w tym czasie, toteż o wszystkim dowiedziałem się od ludzi. Od tamtej pory trzymałem przy sobie w namiocie wielki kij na wypadek, gdyby im strzeliło do głowy, że Meksykanie brukają ich obóz przyczep mieszkalnych. Mnie oczywiście też brali za Meksykanina, którym poniekąd się czuję.

Nastał już październik i noce znacznie się ochłodziły. Rodzina wyrobników miała piecyk na drewno i zamierzała tam przezimować. Myśmy nie mieli nic, poza tym zalegaliśmy z opłatą za namiot. Terry i ja z przykrością uznaliśmy, że musimy stamtąd wyjechać.

– Wracaj do swojej rodziny – powiedziałem. – Na miłość boską, nie możesz się pałętać po namiotach z takim szkrabem jak Johnny. Małemu jest zimno.

Terry popłakała się, że krytykuję jej instynkt macierzyński. Nic podobnego nie miałem na myśli. Pewnego szarego popołudnia, kiedy Ponzo podjechał ciężarówką, postanowiliśmy wpaść do jej rodziny, żeby się poradzić. Ja miałem się tam nie pokazywać, tylko ukryć się w winnicy. Ruszyliśmy do Sabinal; ciężarówka się zepsuła, a jednocześnie lunęło jak z cebra. Siedzieliśmy w starej ciężarówce, klnąc w żywe kamienie. Ponzo wysiadł i trudził się na tym deszczu. Mimo wszystko poczciwy był z niego chłopak. Obiecaliśmy sobie jeszcze jedną wspólną bibę. Poszliśmy więc do obskurnego baru w meksykańskiej dzielnicy Sabinal, gdzie przez godzinę sączyliśmy browar. Harówkę przy zbiorze bawełny miałem już za sobą. Czułem, jak mnie wzywa moje własne życie. Wysłałem do ciotki kartkę przez cały kraj z prośbą o kolejnych pięćdziesiąt dolarów. Dojechaliśmy do rodzinnej chaty Terry. Stała przy starej drodze biegnącej między winnicami. Dotarliśmy tam już po ciemku. Wysadzili mnie pół kilometra stamtąd i podjechali pod drzwi. Z drzwi wylało się światło; sześciu pozostałych braci Terry grało na gitarach i śpiewało. Stary popijał wino. Poprzez śpiew dobiegały mnie krzyki i odgłosy kłótni. Wyzywali ją od dziwek, bo zostawiła swojego męża łajdaka i wyjechała do Los Angeles, podrzuciwszy im Johnny'ego. Stary po prostu wrzeszczał. Ale przeważało zdanie smutnej, grubej, śniadej matki, jak to zwykle wśród wielkich fellachów tego świata, i pozwolono Terry wrócić do domu. Bracia zaczęli śpiewać wesole, skoczne piosenki. Kuliłem się na zimnym, deszczowym wietrze i rozglądałem po dolinie pełnej smętnych październikowych winnic. W głowie dźwięczała mi genialna piosenka Billie Holiday *Lover Man*; wysłuchałem w chaszczech własnego koncertu. „Kiedyś znów się spotkamy, osuszysz moje łzy, będziesz mi szeptał czule do ucha, tulił i całował, och, cośmy stracili, mój kochanku, gdzieżeś ty, gdzie”... Może nawet nie tyle biorą mnie słowa, ile wspaniała harmonijna melodia i sposób, w jaki Billie to śpiewa, zupełnie jak kobieta głaszcząca mężczyznę po włosach w ciepłym blasku lampy. Wiatr hulał. Zrobiło się zimno.

Terry i Ponzo wrócili, ruszyliśmy z klekotem starą ciężarówką na spotkanie z

Rickeyem. Rickey mieszkał teraz z kobietą Ponza, Dużą Rosey; wywoływaliśmy go klaksonem w nędznych zaułkach. Ale Duża Rosey wyrzuciła go z domu. Wszystko się waliło. Tej nocy spaliśmy w ciężarówce. Terry, jak zwykle, bardzo się do mnie tuliła i prosiła, żebym nie odchodził. Powiedziała, że będzie pracować przy zbiorze winogron i zarobi na nas oboje; mógłbym się na razie zatrzymać w stodole farmera Heffelfingera przy tej samej drodze co jej rodzina. Nie musiałbym nic robić, tylko siedzieć przez cały dzień w trawie i zajadać winogrona.

– Odpowiada ci to?

Rano przyjechali po nas jej kuzyni inną ciężarówką. Naraz uświadomiłem sobie, że tysiące Meksykanów w całej okolicy wie o Terry i o mnie, że musi to być dla nich frapujący, romantyczny temat. Kuzyni byli bardzo uprzejmi, wręcz serdeczni. Stałem na ciężarówce, cały w uśmiechach, tłumacząc, gdzie byliśmy podczas wojny i na czym polegała ta gra. W sumie było ich pięciu, a wszyscy sympatyczni. Należeli najwyraźniej do tej części rodziny Terry, która nie świrowała tak jak jej brat. Ale ja polubiłem tego szalonego Rickeya. Zaklinał się, że przyjedzie do mnie do Nowego Jorku. Wyobraziłem go tam sobie, jak odkłada wszystko na *mañana*. Tego dnia zapodział się gdzieś w polu, pijany.

Na skrzyżowaniu wysiadłem z ciężarówki, a kuzyni odwieźli Terry do domu. Z progu dali mi kciukiem znak, że wszystko w porządku; ojca i matki nie było w domu, pracowali przy zbiorze winogron. Czyli miałem wolną chatę na całe popołudnie. Były tam cztery izby; nie mogłem wprost pojąć, jak mogą pomieścić tak liczną rodzinę. Nad zlewem fruwały muchy. W oknach nie było siatek tak jak w tej piosence: „A okno diabli wzięli i deszcz pada do środka”. Terry już się poczuła jak u siebie, krzątała się przy garnkach. Jej obie siostry zachichotały na mój widok. Dzieciarnia wrzeszczała na drodze.

Kiedy zza chmur mojego ostatniego popołudnia w dolinie wyjrzało purpurowe słońce, Terry zaprowadziła mnie do stodoły farmera Heffelfingera. Farmer Heffelfinger miał dostatnie gospodarstwo przy tej samej drodze. Zsunęliśmy skrzynki, Terry przyniosła z domu koce, wszystko więc grało poza wielką włochatą tarantulą, która czaiła się w kącie spadzistego dachu stodoły. Terry zapewniła, że tarantula nic mi nie zrobi, jeżeli nie będę jej ruszał. Położyłem się na wznak ze wzrokiem wbitym w to stworzenie. Wyszedłem na cmentarz i wspiałem się na drzewo. Na drzewie zaśpiewałem sobie *Blue Skies*. Terry i Johnny siedzieli na trawie, jedliśmy winogrona. W Kalifornii wysysa się tylko sok z winogron, a skórki wypluwa, prawdziwy luksus. Zapadł zmrok. Terry wróciła do domu na kolację, a o dziewiątej przysłała znów do stodoły z pysznymi plackami tortilla i tłuczoną fasolą. Rozpaliłem ognisko na betonowej podłodze stodoły, żeby rozjaśnić wnętrze. Kochaliśmy się

na skrzynkach. Terry wstała i poszła prosto do domu. Ojciec na nią wrzeszczał; usłyszałem go ze stodoły. Zostawiła pelerynę, żeby mi było ciepło; zarzuciłem ją na ramiona i podkradłem się przez oświetloną księżycem winnicę, żeby zobaczyć, co się dzieje. Podszedłem cichaczem do końca zagonu i ukląknę na ciepłej ziemi. Jej pięciu braci śpiewało po hiszpańsku melodyjne piosenki. Gwiazdy chyliły się nad małym dachem; z kuchennego komina unosił się dym. Poczułem zapach tłuczonej fasoli i chili. Stary zrzędził. Bracia jodłowali jak gdyby nigdy nic. Matka milczała. Johnny i inne dzieci zaśmiewali się w sypialni. Kalifornijski dom; schowałem się w winoroślach odurzony tym wszystkim. Czułem się szczęśliwy, jakby mi kto napluł w kieszeń; napawałem się szaloną amerykańską nocą.

Terry wyszła, trzaskając drzwiami. Podbiegłem do niej na ciemnej drodze.

– Co jest?

– Och, ciągle się kłócimy. Stary chce, żebym jutro poszła do pracy. Mówi, że nie chce, żebym się objęła. Sallie, ja chcę jechać z tobą do Nowego Jorku.

– Ale jak?

– Nie wiem, kochany. Będę za tobą tęskniła. Kocham cię.

– Ale ja muszę jechać.

– Tak, tak. Położmy się jeszcze raz we dwoje, a potem wyjedziesz.

Poszliśmy do stodoły; kochałem się z nią pod tarantulą. Co ta tarantula robiła? Przespaliśmy się chwilę na skrzynkach przy dogasającym ogniu. Terry wróciła do domu o północy; ojciec był już pijany; słyszałem, jak wrzeszczy; kiedy zasnął, zapadła cisza. Gwiazdy spowiły śpiącą okolicę.

Rano farmer Heffelfinger wsadził głowę przez drzwi i spytał:

– Co słyhać, młody człowieku?

– Dziękuję. Mam nadzieję, że panu tu nie zawadzam.

– A gdzieżby. Prowadzasz się z tą meksykańską gąską?

– To bardzo miła dziewczyna

– I bardzo urodziwa. Chyba byk przeskoczył przez płot, bo mała ma niebieskie oczy.

Pogadaliśmy chwilę o jego farmie.

Terry przyniosła mi śniadanie. Wcześniej spakowałem swój brezentowy worek i byłem gotów do podróży do Nowego Jorku, jak tylko odbiorę forszę w Sabinal. Wiedziałem, że musi już tam na mnie czekać. Powiedziałem Terry, że wyjeżdżam. Myślała o tym przez całą noc i zdążyła się z tym pogodzić. Pocałowała mnie beznamiętnie tam, w winnicy, i poszła z powrotem zagonem. Po dwunastu krokach odwróciliśmy się, bo miłość jest jak pojedynek, i po raz ostatni spojrzeliśmy na siebie.

– Do zobaczenia w Nowym Jorku, Terry – powiedziałem.

Za miesiąc miała niby to przyjechać z bratem do Nowego Jorku. Ale oboje wiedzieliśmy, że to nierealne. Po stu krokach obejrzałem się za siebie. Wracała po prostu do chaty, niosąc w jednym ręku talerz po moim śniadaniu. Skłoniłem głowę i patrzyłem za nią. Taki mój los łazika, znowu byłem w drodze.

Poszedłem szosą do Sabinal, jedząc po drodze czarne orzechy prosto z drzewa. Wszedłem na tory Southern Pacific i balansowałem na szynie. Minąłem wieżę ciśnień i fabrykę. Coś się skończyło.

Skierowałem się do kolejowego biura telegraficznego po swój przekaz pieniężny z Nowego Jorku. Biuro było zamknięte. Zakląłem w duchu i usiadłem na schodkach, żeby poczekać. Kasjer wrócił i zaprosił mnie do środka. Pieniądze już nadeszły; ciotka po raz kolejny uratowała mój leniwy tyłek.

– Kto wygra Puchar Ameryki w baseballu w przyszłym sezonie? – spytał wychudły, stary kasjer. Naraz uświadomiłem sobie, że to już jesień i że wracam do Nowego Jorku.

Poszedłem wzdłuż torów w długim, smętnym, październikowym świetle doliny z nadzieją, że nadjedzie pociąg towarowy, żebym mógł się przyłączyć do zajadających winogrona trampów i czytać z nimi komiksy. Ale nie nadjechał. Wszedłem na szosę i natychmiast złapałem wóz. Była to najszybsza, najbardziej podniecająca jazda mojego życia. Kierowca był skrzypkim w kowbojskiej kapeli z Kalifornii. Miał nowiuteńki samochód, jechał sto trzydzieści na godzinę.

– Ja za kółkiem nie piję – powiedział, wręczając mi pół litra. Pociągnąłem i zaproponowałem, żeby też sobie gołał. – A, w cholere – odparł i pociągnął łyk. Odległość czterystu kilometrów z Sabinal do Los Angeles pokonaliśmy w niesłychanym czasie czterech godzin. Wysadził mnie tuż przed wytwórnią Columbia Pictures w Hollywood; zdążyłem jeszcze tam wdepnąć i odebrać swój odrzucony tekst. Następnie kupiłem bilet na autobus do Pittsburga. Nie starczyło mi pieniędzy na całą drogę do Nowego Jorku. Uznałem, że będę się o to martwił po przyjeździe do Pittsburga.

Autobus odjeżdżał o dziesiątej, miałem więc cztery godziny na to, żeby samotnie spenetrować Hollywood. Najpierw kupiłem bochenek chleba, salami i zrobiłem sobie dziesięć kanapek na przejazd przez cały kraj. Został mi jeden dolar. Siedziałem na niskim betonowym murku na tyłach hollywoodzkiego parkingu i szykowałem kanapki. Kiedy oddawałem się temu idiotycznemu zajęciu, wielkie reflektory premiery hollywoodzkiej przeszyły niebo, buczące niebo Zachodniego Wybrzeża. Zewsząd dobiegały odgłosy tego szalonego miasta na złotym wybrzeżu. I tak wyglądała moja kariera hollywoodzka – to był mój ostatni wieczór w

Hollywood, a ja smarowałem musztardą kanapki na tyłach sracza przy parkingu.

## 14

O świcie mój autobus mknął przez pustynię Arizony – Indio, Blythe, Salome (gdzie wykonał godny owej księżniczki taniec); wielkie suche połacie ziemi ciągnące się na południe aż do gór meksykańskich. Następnie skręciliśmy na północ w kierunku gór Arizony, do Flagstaff, do górskich miast. Miałem przy sobie książkę ukradzioną ze stoiska w Hollywood, *Mój przyjaciel Meaulnes* Alain-Fourniera, ale wolałem czytać po drodze amerykańskie krajobrazy. Każdy wybój, wzniesienie i równina osnuwały tajemnicą moją tęsknotę. W atramentową noc przejechaliśmy Nowy Meksyk; o szarym świcie dotarliśmy do Dalhart w Teksasie; w ponure niedzielne popołudnie mijaliśmy kolejne nudne miasteczka Oklahomy; o zmroku trafiliśmy do Kansas. Autobus gnał naprzód. Był październik, wracałem do domu. W październiku wszyscy ściągają do domów.

W południe zajechaliśmy do St Louis. Przespacerowałem się nad rzeką Missisipi, patrzyłem na kłody drewna dryfujące z północy, aż z Montany – wielkie odyseuszowe kłody naszego kontynentalnego marzenia. Stare parostatki zdobione ślimacznicami, na których teraz wiatry i deszcze wryły swe piętno, tkwiły w błocie zamieszkałe przez szczury. Nad doliną Missisipi wznosiły się wielkie popołudniowe chmury. Wieczorem autobus przemknął przez pola kukurydzy w Indianie; księżyc oświetlał zwalone tam upiorne kukurydziane liście; zbliżało się Halloween. Poznałem pewną dziewczynę, podpieszczaliśmy się przez całą drogę do Indianapolis. Dziewczyna miała krótki wzrok. Kiedy wysiedliśmy na postoju, musiałem ją zaprowadzić za rękę do barku. Kupiła mi coś do jedzenia, bo wszystkie kanapki zdążyłem już zjeść. W zamian raczyłem ją długimi opowieściami. Pochodziła ze stanu Waszyngton, gdzie spędziła całe lato przy zbiorze jabłek. Mieszkała na farmie w północnej części stanu Nowy Jork. Zaprosiła mnie do siebie. Tak czy owak, umówiliśmy się na randkę w nowojorskim hotelu. Wysiadła w Columbus w Ohio, a ja przespałem całą drogę do Pittsburgha. Już od wielu lat nie byłem tak śmiertelnie zmęczony. Miałem jeszcze do pokonania stopem dwieście sześćdziesiąt pięć kilometrów do Nowego Jorku, a w kieszeni dziesięć centów. Zrobiłem pieszo osiem kilometrów, żeby się wydostać z Pittsburgha, po czym na dwie raty, ciężarówką z jabłkami i wielką ciężarówką z przyczepą, dotarłem do Harrisburga w deszczową, ciepłą noc babiego lata. Znów przeszedłem całe miasto. Chciałem się jak najprędzej znaleźć w domu.

Była to noc ducha Susquehanny. Ten duch to był pokurczony staruszek z papierową torbą, który twierdził, że „trza mu do Kanada”. Maszerował bardzo szybko, każąc mi iść za sobą; powiedział, że przed nami jest most, którym możemy przejść na drugą stronę. Miał jakieś sześćdziesiąt lat; mówił bez ustanku o posiłkach, które zjadł, ile masła dali mu do naleśników, ile dodatkowych pająd chleba, jak zawołali go starsi panowie z ganku przytułku w Marylandzie i zaprosili do siebie na weekend, jak przed odejściem wziął cudowną gorącą kąpiel; jak znalazł nowiutki kapelusz na poboczu drogi w Wirginii, ten, który ma teraz na głowie; jak zaglądał do każdego punktu Czerwonego Krzyża w mieście i pokazywał tam swoje papiery z pierwszej wojny światowej; jak to Czerwony Krzyż w Harrisburgu nie jest godzien tej nazwy; jak on sobie radzi na tym trudnym świecie. Ale dla mnie był tylko na wpół szacownym wędrującym trampem, który przemierzył pieszo cały Dzikie Wschód, zaglądając do biur Czerwonego Krzyża, a czasem żebrząc na rogach Głównych Ulic o dziesięć centów. Obaj byliśmy włóczęgami. Przeszliśmy razem jedenaście kilometrów wzdłuż ponurej rzeki Susquehanna. Ta rzeka napawa grozą. Po obu stronach wznoszą się krzaczaste skały pochylone niczym włochate upiory nad niezgłębionymi wodami. Wszystko pokrywa atramentowa noc. Czasem z torowisk po drugiej stronie rzeki wlatuje olbrzymi czerwony błysk lokomotywy, który oświetla te koszmarnie skały. Mały człowieczek powiedział, że ma w torbie dobry pasek, przystanęliśmy więc, żeby go wygrzebał.

– Mam tu gdziesik niczegowaty pasek, dostałem go we Frederick w Marylandzie. Psiamać, miałebym go zostawić na ladzie we Fredericksburgu?

– Chciał pan powiedzieć we Frederick.

– Nie, nie, we Fredericksburgu w Wirginii!

Ciągle mówił o Frederick w Marylandzie i o Fredericksburgu w Wirginii. Maszerował środkiem szosy prosto w paszczę jadących z przeciwka samochodów, kilka razy omal go nie potracono. Ja człapałem z boku w rowie. W każdej chwili liczyłem się z tym, że ten szurnięty mały nieborak wyprysnie w przestwór nocy, martwy. Nigdy nie znaleźliśmy tego mostu. Zostawiłem staruszkę w kolejowym przejściu podziemnym, a ponieważ spociłem się przy tym marszu, zmieniłem koszulę i włożyłem na siebie dwa swetry; przydrożny zajazd oświetlał moje smętne zabiegi. Ciemną drogą szła cała rodzina i zachodziła w głowę, co też ja robię. Najdziwniejsze ze wszystkiego było to, że na tym pensylwańskim zadupiu jakiś tenorzysta dmuchał w rurę bardzo pięknego bluesa; słuchałem i aż jęczałem. Lunał deszcz. Ktoś podrzucił mnie z powrotem do Harrisburga i wytłumaczył, że jestem na złej szosie. Naraz zobaczyłem małego trampa stojącego z wystawionym kciukiem pod smutną latarnią – biedny opuszczony człowiek, niegdyś zagubiony chłopiec, dzisiaj podupały duch nędzarskich

pustkowi. Opowiedziałem całą historię swojemu kierowcy, który zatrzymał się, żeby skierować starego na właściwą drogę.

– Człowieku, przecież pan idzie na zachód, a nie na wschód.

– Hę? – spytał mały duch. – Nie powiesz mi, że nie wiem, gdzie jest. Od lat tak się szwendam po kraju. Trza mi do Kanada.

– Ale to wcale nie jest droga do Kanady, tylko do Pittsburgha i Chicago.

Mały człowieczek zbrzydzonej nocy ruszył w swoją stronę. Jeszcze tylko mignęła mi jego podskakująca mała biała torba, nienależąca do ciemnościach posępnych Alleghenów.

Zawsze sądziłem, że pustkowia Ameryki znajdują się na Zachodzie, dopóki nie oświecił mnie duch Susquehanny. Owszem, na Wschodzie też są pustkowia; te same pustkowia, z którymi zmagał się Ben Franklin w epoce wozów zaprzężonych w woły, kiedy pracował jako poczmistrz, te same, co za czasów Jerzego Waszyngtona, kiedy jako zapalony młokos bił się z Indianami, za czasów Daniela Boone'a, który snuł opowieści pod światłami Pensylwanii i obiecywał znaleźć wielką przełęcz, za czasów Bradforda, który pobudował tę drogę witaną radośnie przez mieszkańców drewnianych chat. Mały człowieczek nie znał wielkich przestrzeni Arizony, tylko krzaczaste pustkowia wschodniej Pensylwanii, Marylandu i Wirginii, boczne drogi, asfaltowe szosy, które wiją się wśród posępnych rzek, takich jak Susquehanna, Monongahela, stary Potomac i Monocacy.

Owej nocy w Harrisburgu musiałem się przespać na dworcu na ławce; o świcie wyrzucili mnie kolejarze. Czyż nie jest tak, że człowiek zaczyna życie jako urocze dziecko, które wierzy święcie we wszystko pod dachem swojego ojca? A potem nastaje dzień laodycejski, kiedy dowiadujesz się, że jesteś marny, nieszczęśliwy, biedny, ślepy, nagi, i z tą wizją upiornego, udręczonego ducha idziesz, drżąc cały, przez koszarne życie. Powlokłem się, jak taki nieszczęśnik, ze stacji; przestałem ogarniać rzeczywistość. Z całego ranka widziałem tylko biel przypominającą biel grobowca. Umierałem z głodu. Nie miałem przy sobie nic, co by zawierało kalorie, poza resztką pastylek na kaszel, które sobie kupiłem przed wieloma miesiącami w Shelton, w Nebrasce; zacząłem je ssać ze względu na cukier. Nie umiałem żebrać. Powlokłem się z miasta, nie czując się na siłach dotrzeć choćby do rogatek. Wiedziałem tylko jedno, że jeżeli spędzę kolejną noc w Harrisburgu, zostanę aresztowany. Przekłęte miasto! Na kolejną jazdę załapałem się z wymizerowanym, kościstym facetem, który wierzył w głodówkę dla zdrowia. Kiedy mknęliśmy już na wschód, powiedziałem mu, że umieram z głodu, a on odparł: „Brawo, brawo, nie ma nic lepszego dla zdrowia. Ja też nie jadłem od trzech dni. I mam zamiar dożyć stu pięćdziesięciu lat”. Sam był chodzącym kościotrupem, sflaczałą kukłą, złamanym patykiem, pomyłecem. Mogła mi się trafić jazda z

bogatym grubasem, który zaproponowałby: „Zatrzymajmy się w tej restauracji, zjemy sobie schabowego z fasolą”. Nie, akurat tego ranka musiałem trafić na pomyleńca, który wierzył w celową głodówkę dla zdrowia. Po stu pięćdziesięciu kilometrach facet zmiękł i z tylnego siedzenia wyjął kanapki z samym masłem. Wiózł je schowane między próbkami handlowymi. Jeździł jako domokrażca po całej Pensylwanii i sprzedawał artykuły hydrauliczne. Rzuciłem się na ten chleb z masłem jak wilk. Naraz zacząłem się śmiać. Zostałem sam w wozie, czekałem, aż tamten załatwi interesy w Allentown, i po prostu zaśmiewałem się do łez. Boże, miałem już dosłownie powyżej uszu tego życia. Ale pomylenieć zawiózł mnie do domu, do Nowego Jorku.

Naraz znalazłem się na Times Square. Przejechałem trzynaście tysięcy kilometrów przez amerykański kontynent i znów byłem na Times Square; a do tego w samym środku godziny szczytu, zobaczyłem więc swoimi niewinnymi oczyma „prosto z drogi” cały ten obłęd i niesłychany zamęt Nowego Jorku z jego milionami ludzi uganiających się wiecznie za forszą, szalony sen – wszyscy łapią, biorą, dają, wzdychają, umierają, żeby ich tylko pochować w okropnych miastach cmentarnych pod Long Island City. Wysokościowce tego kraju – drugi kraniec tej ziemi, gdzie rodzi się Papierowa Ameryka. Stałem przy wejściu do metra, usiłując się zdobyć na tyle odwagi, żeby podnieść z ziemi ślicznego długiego peta, ale za każdym razem, kiedy się schylałem, przewalał się wielki tłum i pet ginął mi z oczu, aż wreszcie ktoś go rozdeptał. Nie miałem pieniędzy, żeby dojechać do domu autobusem. Paterson znajduje się ładnych kilka kilometrów od Times Square. Czy możecie sobie wyobrazić, żebym przeszedł te ostatnie kilometry przez Tunel Lincolna albo przez Most Waszyngtona i dalej w głąb New Jersey? Zapadł już zmrok. Gdzie był Hassel? Przeczesałem cały plac w poszukiwaniu Hassela; nie znalazłem go tam, bo siedział właśnie na Wyspie Rikera za kratkami. A gdzie był Dean? Gdzie byli wszyscy? Gdzie było życie? Miałem dokąd pójść, miałem dom, miałem gdzie złożyć głowę, aby potem móc podsumować straty i zyski, które na pewno też gdzieś tu się kryły. Musiałem wyżebrać dwadzieścia centów na autobus. W końcu zaczepiłem greckiego duchownego, który stał na rogu. Dał mi ćwierć dolara, patrząc nerwowo w bok. Natychmiast popędziłem do autobusu.

Po przyjeździe do domu zjadłem wszystko, co było w lodówce. Ciotka wstała i spojrzała na mnie.

– Biedny mały Salvatore – powiedziała po włosku. – Ależ ty jesteś chudy, skóra i kości. Gdzieś ty się podziewał przez tyle czasu?

Miałem na sobie dwie koszule i dwa swetry; w brezentowym worku przywiozłem spodnie podarte na polach bawełny i smętne resztki swoich plecionych huarache. Ciotka i ja

postanowiliśmy, że za pieniądze, które jej przysłałem z Kalifornii, kupimy nową lodówkę elektryczną; miała to być pierwsza taka lodówka w rodzinie. Ciotka się położyła, a ja nie mogłem zasnąć do późna w nocy, tylko paliłem w łóżku. Na biurku leżał przerwany w połowie rękopis. Był październik, dom i znów praca. Pierwsze zimne wiatry dudniły o szyby, wróciłem w samą porę. Pod moją nieobecność wpadł do naszego domu Dean, przespał tu kilka nocy, czekając na mnie; popołudniami zabawiał rozmową ciotkę ślęczącą nad olbrzymim szmacianym dywanem tkanym od lat ze wszystkich ubrań w rodzinie, który był już skończony i rozłożony u mnie w sypialni na podłodze, a deseń miał tak zawiły i bogaty jak sam upływ czasu; w końcu Dean wyjechał na dwa dni przed moim przyjazdem, mijając się ze mną najprawdopodobniej gdzieś w Pensylwanii albo w Ohio po drodze do San Francisco. Tam było jego życie; Camille właśnie dostała mieszkanie. Jakoś nie przyszło mi do głowy, żeby ją odwiedzić, kiedy mieszkalem w Mill City. Teraz było już za późno, a w dodatku rozminąłem się z Deanem.

## Część druga

### 1

Upłynął przeszło rok, zanim się znów spotkałem z Deanem. Przez cały ten czas siedziałem w domu, skończyłem swoją książkę i podjąłem studia w ramach specjalnych uprawnień dla byłych żołnierzy. W Boże Narodzenie 1948 wypuściliśmy się z ciotką do Wirginii odwiedzić mojego brata, pojechaliśmy obładowani prezentami. Wcześniej napisałem raz i drugi do Deana i dowiedziałem się z listu od niego, że znów wybiera się na Wschód; odpowiedziałem, że w razie czego między świętami a sylwestrem zastanie mnie w Testament w Wirginii. Pewnego dnia, kiedy cała nasza rodzina z Południa zebrała się w saloniku w Testament – smętni krewniacy, którym z oczu wyczierała stara ziemia Południa, a wszyscy rozprawiali cichymi, zawodzącymi głosami o pogodzie, o zbiorach i ciągnęli nużące podsumowania, kto ma dziecko, kto kupił nowy dom i tak dalej, pod frontowe drzwi zajechał podjazdem obryzgany błotem hudson model 49. Nie miałem pojęcia, kto to może być. Na ganek wszedł zmęczony, muskularny młody człowiek, ubrany byle jak w podkoszulek, nieogolony, z zaczerwienionymi oczami, i nacisnął dzwonek. Otworzyłem drzwi i naraz go poznałem. To był Dean. Przejechał szmat drogi z San Francisco pod drzwi mojego brata Rocco w Wirginii, i to w zdumiewająco krótkim czasie, bo właśnie dostał mój ostatni list, w którym pisałem, gdzie mnie szukać. W samochodzie dostrzegłem dwie śpiące osoby.

– Dean! A niech mnie! Kto tam siedzi w wozie?

– Sie masz, sie masz, stary, to Marylou. I Ed Dunkel. Gdzie by się tu można jakoś umyć? Jesteśmy skonani.

– Ale jak tyś tu dojechał tak szybko?

– No wiesz, stary, ten hudson ostro pruje!

– Skąd go masz?

– Oszczędziłem trochę szmalu i kupiłem. Pracowałem na kolei, zarabiałem czterysta

dolarów miesięcznie.

Przez godzinę panowała ogólna konsternacja. Moi krewni z Południa nie mieli pojęcia, co się dzieje ani kim są ten Dean, Marylou i Ed Dunkel; po prostu gapili się na nich idiotycznie. Ciotka i mój brat Rocky wyszli do kuchni na naradę. Było tam w sumie jedenaście osób w niezbyt dużym domu. Na domiar wszystkiego mój brat niedawno postanowił się stamtąd wyprowadzić i zdążył już wywieźć połowę mebli; razem z żoną i malutkim dzieckiem przenosił się bliżej centrum. Kupili sobie nowy komplet mebli do salonu, a stare miały jechać do domu ciotki w Paterson, chociaż nie uradziliśmy jeszcze, czym je przewieźć. Na wieść o tym Dean natychmiast zaoferował swoje usługi. On i ja zawieźlibyśmy meble hudsonem do Paterson dwoma szybkimi przelotami, przy czym za drugim razem zabralibyśmy z powrotem ciotkę. Miało nam to zaoszczędzić masę pieniędzy i kłopotów. Decyzja zapadła. Bratowa nakryła stół i troje sponiewieranych podróżników zasiadło do jedzenia. Marylou nie zmrużyła oka od Denver. Nie wyglądała już tak młodziutko, ale jeszcze wypiękniała.

Dowiedziałem się, że od tamtej jesieni 1947 roku Dean żył sobie szczęśliwie z Camille w San Francisco; dostał pracę na kolei i zarabiał kupę forsy. Został ojcem uroczej dziewczynki, Amy Moriarty. Ale pewnego dnia szedł sobie ulicą i nagle coś mu odbiło. Zobaczył hudsona model 49 wystawionego na sprzedaż, popędził do banku, wybrał wszystko z konta i z miejsca kupił ten wóz. Towarzyszył mu Ed Dunkel. W ten sposób Dean spłukał się do czysta. Obawy Camille rozwiewał zapewnieniami, że za miesiąc wróci.

– Jadę do Nowego Jorku po Salę.

Ta perspektywa wcale jej nie ucieszyła.

– Ale po co to wszystko? Dlaczego mi to robisz?

– Nic takiego, kochanie, nic takiego. Bo widzisz, Sal prosił mnie i błagał, żebym po niego pojechał, no więc bezwzględnie muszę... zresztą, nie wdawajmy się w te wszystkie wyjaśnienia, zaraz ci powiem dlaczego... Nie, poczekaj, zaraz ci powiem.

No i mówił jej dlaczego, tyle że oczywiście nie trzymało się to kupy.

Potężny, wysoki Ed Dunkel też pracował na kolei. Obaj stracili właśnie robotę, mimo stażu pracy, z powodu drastycznej redukcji personelu. Ed poznał w San Francisco dziewczynę imieniem Galatea, która żyła ze swoich oszczędności. Ci dwaj bezduszni dranie postanowili zabrać dziewczynę ze sobą na Wschód, żeby za nich buliła. Ed przymilał jej się i namawiał; dziewczyna nie chciała jechać, chyba że się z nią ożeni. W ciągu kilku szalonych dni Ed Dunkel ożenił się z Galateą, przy czym Dean uganiał się jak wariat, żeby zdobyć niezbędne papiery, a kilka dni przed Bożym Narodzeniem wyruszyli z San Francisco, grzejąc sto

dziesięć kilometrów na godzinę, w kierunku Los Angeles i bezśnieżnej szosy na Południe. W LA w biurze podróży podłapali jakiegoś marynarza i zabrali go za piętnaście dolarów na benzynę. Facet jechał do Indiany. Potem zabrali pewną kobietę z córką debilną za cztery dolary na benzynę i podwieźli je do Arizony. Dean posadził debilną obok siebie na przednim siedzeniu i napawał się nią, jak powiadał, „Przez calutką drogę, stary! Bo takie to było boskie stworzenie, sama słodycz. Ale myśmy gadali, gadaliśmy o pożarach i o pustyni, która zamienia się w raj, i o jej papudze, która klnie po hiszpańsku”. Podrzucając po drodze kolejnych pasażerów, dotarli do Tucson. Przez całą drogę Galatea Dunkel, świeżo upieczona żona Eda, wciąż narzekała, że jest zmęczona i że musi się przespać w motelu. Gdyby jej chcieli słuchać, wydaliby całą forszę, zanimby dojechali do Wirginii. Dwa razy wymusiła na nich nocleg w motelu, wyrzucając w błoto po dziesięć dolarów. Kiedy dotarli do Tucson, Galatea była już spłukana; Dean i Ed zwiali jej w recepcji motelu; zostawili ją tam, ruszając w dalszą drogę tylko z marynarzem i bez skrupułów.

Ed Dunkel był to wysoki, spokojny, mało myślący facet, absolutnie gotów zrobić wszystko, o co go Dean poprosi; a tak się składało, że Dean miał teraz co innego w głowie, niż się zadreć wyrzutami sumienia. Pruł przez Las Cruces w Nowym Meksyku, kiedy raptem dostał formalnie kręćka, żeby znów się zobaczyć ze swoją uroczą pierwszą żoną Marylou. Mieszkała w Denver. Skierował wóz na północ, mimo słabych protestów marynarza, i po zmierzchu wparował do Denver. Obleciał miasto i znalazł Marylou w jakimś hotelu. Kochali się namiętnie przez dziesięć godzin. Po czym zapadła decyzja: znów będą razem. Marylou była jedyną kobietą, którą Dean naprawdę kiedykolwiek kochał. Na widok jej twarzy aż mu się serce ścisnęło z żalu i tak jak niegdyś zaczął prosić ją i błagać na kolanach o radość istnienia. Marylou rozumiała Deana; gładziła go po włosach; wiedziała, że to wariat. Żeby jakoś udobruchać marynarza, Dean załatwił mu panienkę w pokoju hotelowym nad barem, gdzie zawsze popijała dawna ferajna z sali bilardowej. Ale marynarz wzgardził dziewczyną, zniknął w tę noc i tyle go widzieli; na pewno pojechał autobusem do Indiany.

Dean, Marylou i Ed Dunkel ruszyli na wschód, minęli Colfax i pomknęli dalej na równiny Kansas. Złapały ich wielkie zawieje śnieżne. Nocą w Missouri Dean musiał prowadzić, wystawiając przez okno głowę obwiązaną szalikiem, a na nosie miał jeszcze gogle, przez co wyglądał jak mnich wbijający wzrok w manuskrypty śniegu, bo całą szybę pokrywała dwucentymetrowa warstwa lodu. Przejeżdżał tuż obok rodzinnego okręgu swoich przodków, ale nawet o tym nie pomyślał. Rano samochód wpadł w poślizg na oblodzonym wzgórzu i fajtnął do rowu. Przyszedł im z pomocą jakiś farmer. Zaklopsowali się, gdy zabrali autostopowicza, który obiecał im dolara, jeżeli podwożą go do Memphis. Kiedy się już

znalazł w swoim domu, snuł się po kątach, szukając tego dolara, w końcu się upił i powiedział, że nie może znaleźć. Ruszyli dalej przez Tennessee; po tamtym wypadku mieli kłopot z panewkami. Dean, który przedtem gnał sto czterdzieści pięć, teraz musiał trzymać się stu dziesięciu, bo w przeciwnym razie cała maszyna runęłaby z furkotem w dół zbocza. W środku zimy przeprawili się przez Wielkie Góry Mgliste. Kiedy zajechali pod drzwi mojego brata, nie jedli nic od trzydziestu godzin – oprócz batoników i krakersów serowych.

Rzucili się na jedzenie, a Dean z kanapką w rękę pochylił się, podrygując przed wielkim gramofonem, wsłuchany w obłądną bopową płytę *The Hunt*, którą właśnie kupiłem i na której Dexter Gordon i Wardell Gray wydychają sobie płuca przed szalejącą widownią, co daje nagraniu fantastyczne dzikie brzmienie. Krewniacy z Południa spoglądali po sobie i ze zgrozą potrząsali głowami.

– Z kim ten Sal się zadaje? – pytali mojego brata. A jego jakby zamurowało. Tam na Południu ludzie nie lubią szaleństwa, a już na pewno nie takiego jak u Deana. On zaś nie zwracał na nich najmniejszej uwagi. Szaleństwo Deana rozkwitło osobliwym kwieciami. Nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki on, ja, Marylou i Dunkel nie wypuściliśmy się z domu, żeby rozruszać trochę hudsona; po raz pierwszy byliśmy sami i mogliśmy sobie pogadać od serca. Dean chwycił kierownicę, wrzucił dwójkę, podumał chwilę, raptem jakby coś postanowił, wyrwał do przodu z kopyta, ogarnięty furją.

– No dobra, dzieci – odezwał się, trąc nos, i pochylił się, żeby wymacać hamulec ręczny, wyjął papierosy ze schowka; kiwał się przy tym w przód i w tył, cały czas prowadząc wóz. – Czas wreszcie zdecydować, co robimy w przyszłym tygodniu. To pierwsza sprawa. Halo! – Wyprzedził ostro wóz ciągnięty przez muła; telepał się w nim stary Murzyn. – Tak! – rozdarł się Dean. – Tak. Trzeba się na niego załapać! Wczujcie się tylko w jego duszę, weźcie przez chwilę na wstrzymanie i się wczujcie. – Zwolnił trochę, żebyśmy mogli obejrzeć się za siebie i popatrzeć na tego czarnego staruszka, który turlał się drogą. – O, tak, załapcie się na cacy. W tej głowie tłuką się takie myśli, że dałbym sobie uciąć ostatnią rękę, by je poznać. Gdyby tak móc zajrzeć do tej głowy i dowiedzieć się, co też ten biedaczysko myśli o tegorocznej rzepie i o szynce. Sal, wcale nie wiesz, że kiedyś przez cały rok mieszkałem w Arkansas u pewnego farmera. Miałem wtedy jedenaście lat. Dawał mi najgorszą robotę, raz nawet musiałem obedrzeć ze skóry zdechłego konia. Nie byłem w Arkansas od Bożego Narodzenia w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim, równe pięć lat, odkąd Bena Gavina i mnie ganiał facet z pistoletem, właściciel wozu, który próbowaliśmy gwizdnąć. Mówię ci to wszystko po to, żeby ci udowodnić, że wiem coś niecoś o Południu. Znałem... to znaczy, stary, załapałem się na Południe, znam je od podszewki... wzięły mnie też twoje listy na ten

temat. Jeszcze jak, jeszcze jak – zakończył, zjeżdżając na pobocze, gdzie stanął, po czym raptem znów dał czadu na sto czterdzieści pięć i przygarbił się nad kółkiem. Patrzył zawzięcie przed siebie. Marylou uśmiechała się pogodnie. To był cały Dean, nowy Dean, który osiągnął dojrzałość. Powiedziałem sobie w duchu: „Mój Boże, ale on się zmienił”. Oczy aż mu tryskały furia, kiedy mówił o czymś, czego nienawidził; ale kiedy naraz poczuł się szczęśliwy, jej miejsce zajmowały wspaniałe iskry radości; każdy mięsień aż drgał, żeby żyć i przeć naprzód.

– Ech, stary, ile ja bym ci opowiedział – zawołał, dając mi szturchańca. – Ech, stary, bezwzględnie musimy znaleźć na to czas... Co się dzieje z Carlem? Jutro z samego rana, moi złoci, musimy się zobaczyć z Carlem. A teraz, Marylou, musimy skombinować chleb i mięso, żeby coś przekąsić w drodze do Nowego Jorku. Sal, ile masz przy sobie forsy? Załadujemy cały majdan, meble pani P., na tylne siedzenie, a my stulimy się ładnie z przodu i będziemy sobie opowiadać różne rzeczy, prując do Nowego Jorku. Marylou, starenia, usiądziesz koło mnie, Sal w środku, Ed przy oknie, duży Ed zasłoni nas od przeciągów, czyli tym razem on wdziewa szatę. I wtedy hajda po uroki życia, bo nadszedł już czas, a my wiemy, co to czas!

Potał zawzięcie szczękę, dał po zaworach, wyprzedził trzy ciężarówki, zajechał z fasonem do centrum Testament, a rozglądał się na wszystkie strony i widział wszystko na sto osiemdziesiąt stopni wokół oczu, nie ruszając przy tym głową. Fru, migiem znalazł miejsce, i już staliśmy zaparkowani. Wyskoczył z wozu. Pognał z obłędem w oku na dworzec kolejowy; my, osłupiali, za nim. Kupił papierosy. Zachowywał się zupełnie jak wariat; zdawało się, że wszystko robi naraz. Jak gdyby jednocześnie kiwał głową w górę, w dół i na boki; machał rozedrganymi, pełnymi życia rękami; podbiegał, siadał, zakładał nogę na nogę, zaraz je prostował, podrywał się, zacierał ręce, mówił: „Ach”, po czym naraz mrużył oczy, żeby wszystko zobaczyć; a przez cały czas łapał mnie za żebra i gadał, gadał.

W Testament było bardzo zimno; niespodziewanie, jak na tę porę roku, spadł śnieg. Dean stał na długiej, posępnej głównej ulicy, biegnącej wzdłuż torów kolejowych, w samym podkoszulku i opadających spodniach z rozpiętym pasem, jak gdyby miał je właśnie zdjąć.

Wrócił, wsadził głowę do środka, żeby porozmawiać z Marylou; ale zaraz się cofnął, wymachując jej przed nosem rękami.

– Wiem, a jakże! Znam cię, o, jak ja cię znam, kochana!

Śmiał się obłąkańczo; zaczynał od niskich tonów, a kończył na wysokich, zupełnie jak pozorowani słuchacze radiowych audycji rozrywkowych, tyle że śmiech miał szybszy, bardziej przypominający chichot. Już po chwili znów przechodził na oficjalny ton. Wcale nie mieliśmy powodu jechać do centrum, ale on takie powody znalazł. Kazał się nam wszystkim

uwijać, Marylou wysłał po coś do jedzenia, mnie po gazetę, żeby zerknąć na prognozę pogody, Eda po cygara. Dean ubóstwiał cygara. Wypalił jedno przy gazecie i nie przestawał gadać.

– Aha, te nasze święte fagasy z Waszyngtonu przewidują dalsze niedogodności... halo!... ooo... hę, hę! – Zerwał się i wybiegł, żeby zobaczyć kolorową dziewczynę, która właśnie przeszła przed dworcem. – Załapcie się na nią – rzucił, stojąc ze sterczącym stojakiem, pocierając się tam z głupawym uśmiechem – na tę bombową, małą czarną lalunię. Ech! Fiu! – Wsiadliśmy do samochodu i śmignęliśmy z powrotem do domu mojego brata.

Spędzałem przedtem spokojne święta na wsi, co uprzytomniłem sobie po powrocie, kiedy zobaczyłem choinkę, prezenty, poczułem zapach pieczonego indyka i posłuchałem rozmów krewnych, ale teraz znów ogarnął mnie ten mój bzik, a nazywał się Dean Moriarty, i znów pociągnęła mnie droga.

## 2

Załadowaliśmy meble mojego brata na tył samochodu i ruszyliśmy o zmroku, obiecując wrócić za trzydzieści godzin – trzydzieści godzin na przeszło półtora tysiąca kilometrów tam i z powrotem. Ale tak to zaplanował Dean. Podróż była ciężka, ale jakoś nikt z nas tego nie zauważył; ogrzewanie nie działało, toteż szyba pokryła się lodem i mgłą; Dean coraz to wychylał się, przy stu dziesięciu na liczniku, żeby przetrzeć ją szmatą i zrobić szparę, przez którą widziałby drogę. „O, święta szparo!”. W przestronnym hudsonie mogliśmy swobodnie siedzieć we czworo z przodu. Nogi okryliśmy kocem. Radio nie działało. Nowiutki samochód kupiony przed pięcioma dniami, a już wszystko było zepsute. Dean zdążył dopiero spłacić pierwszą ratę. Ruszyliśmy na północ, w kierunku Waszyngtonu, trasą 301, prościutką dwupasmówką, na której nie było większego ruchu. Dean nie przestawał gadać, nikt inny się nie odzywał. Gestykulował zawzięcie, wychylał się czasem aż do mnie, żeby coś wytłumaczyć, czasem odrywał obie ręce od kierownicy, a mimo to samochód pędził prosto jak strzała, ani razu nie zboczył z białej linii pośrodku drogi, która tylko migiała pod naszym lewym przednim kołem.

Przyjazd Deana do Testament był wynikiem zupełnie nieistotnych okoliczności, podobnie i ja bez powodu wybrałem się z nim w drogę. W Nowym Jorku chodziłem na studia

i prowadzałem się z dziewczyną imieniem Lucille, prześliczną Włoszką o miodowych włosach, z którą chciałem się ożenić. Przez te wszystkie lata rozglądałem się za kobietą, z którą chciałbym się ożenić. Przy każdej napotkanej dziewczynie zadawałem sobie to samo pytanie: „Jaka z niej będzie żona?”. Powiedziałem Deanowi i Marylou o Lucille. Marylou wypytywała mnie o wszystko, chciała ją poznać. Śmignęliśmy przez Richmond, Waszyngton, Baltimore i dalej do Filadelfii krętą wiejską drogą, zajęci rozmową.

– Chcę się ożenić – powiedziałem im – żeby dać wytchnienie swojej duszy u boku dziewczyny aż do późnej starości. To nie może trwać wiecznie, ten cały obłąd i szastanie się to tu, to tam. Trzeba dokądś dotrzeć, coś znaleźć.

– Wiesz, stary – odparł Dean – od lat już słucham z podziwem tej twojej gadki o domu, małżeństwie i wspaniałościach twojej duszy.

To była smutna noc, a przy tym jakże wesoła. W Filadelfii wstąpiliśmy do barowozu i zjedliśmy po hamburgerze za ostatniego dolara. Barman – a była trzecia nad ranem – usłyszał, jak rozmawiamy o pieniądzach, i zaproponował, że nie policzy nam za te hamburgery plus da dolewkę kawy, jeżeli zakaszemy rękawy i zmyjemy mu naczynia na zapleczu, bo nawalił mu stały pomocnik. Porwaliśmy się do roboty. Ed Dunkel oświadczył, że jest starym poławiaczem pereł z dawnych czasów i zanurzył swoje długie łapska w stercie naczyń. Dean stał, błaznując ze ścierką, podobnie zresztą Marylou. Zaczęli się podpieszczać wśród tych wszystkich statków; a w końcu wycofali się do ciemnego kąta spiżarni. Barman nie miał nic przeciwko temu, bylebyśmy Ed i ja zmyli mu naczynia. Uwinęliśmy się w kwadrans. Z nastaniem świtu grzaliśmy przez New Jersey, a przed nami, w śnieżnej oddali, majaczyła wielka chmura metropolii, Nowego Jorku. Dean owinał sobie uszy swetrem, tak przemarzł. Ogłosił, że jesteśmy bandą Arabów, którzy jadać wysadzić Nowy Jork w powietrze. Śmignęliśmy przez Tunel Lincolna i dalej prosto na Times Square; Marylou chciała go zobaczyć.

– Cholera, żeby tak znaleźć Hassela. Wytężajcie ślepie, może go ktoś znajdzie. – Wszyscy przeczesywaliśmy wzrokiem chodniki. – Stary, poczciwy Hassel. Ech, trzeba go było widzieć w Teksasie.

Czyli Dean pokonał już jakieś sześć i pół tysiąca kilometrów z Frisco przez Arizonę z wypadem do Denver w cztery dni nafaszerowane licznymi przygodami, a to był dopiero początek.

Dotarliśmy do mojego domu w Paterson i tam się przespaliśmy. Obudziłem się pierwszy, późnym popołudniem. Dean i Marylou spali w moim łóżku, Ed i ja w łóżku ciotki. Na podłodze stał sfatygowany kufer Deana bez zawiasów, wystawały z niego skarpetki. W sklepiku na dole był do mnie telefon. Zbiegłem po schodach; zamiejskowa z Nowego Orleanu. Dzwonił Stary Byk Lee, który przeprowadził się do Nowego Orleanu. Stary Byk Lee zaczął wyrzekać swoim wysokim, skamlącym głosem. Okazało się, że trafiła właśnie do niego dziewczyna nazwiskiem Galatea Dunkel w poszukiwaniu faceta nazwiskiem Ed Dunkel; Byk nie miał pojęcia, co to za ludzie. Galatea Dunkel mimo swojego pecha nie dawała za wygraną. Poprosiłem Byka, żeby ją pocieszył, że Dunkel jest z Deanem i ze mną i że najprawdopodobniej zabierzemy ją z Nowego Orleanu w drodze powrotnej na wybrzeże. Wtedy dziewczyna sama podeszła do telefonu. Chciała się dowiedzieć, jak się miewa Ed. Martwiła się o niego.

– Jak się dostałaś z Tucson do Nowego Orleanu? – spytałem.

Okazało się, że zadeszowała do domu po pieniądze i dojechała autobusem. Chciała za wszelką cenę połączyć się z Edem, bo go kocha. Wróciłem na górę i powiedziałem wszystko Dużemu Edowi. Siedział w fotelu z zafrasowaną miną, anioł nie człowiek.

– No dobra – rzucił Dean, który raptownie obudzony zerwał się z łóżka. – Teraz musimy coś zjeść, i to zaraz. Marylou, zakrzętnij się w kuchni i zobacz, co tam jest. Sal, my we dwóch skoczmy na dół i zadzwonimy do Carla. Ed, spróbuj trochę ogarnąć dom.

Popędziłem za Deanem, który już gnał po schodach.

– Właśnie był do ciebie drugi telefon – oznajmił mi sklepikarz. – Tym razem z San Francisco. Szukano jakiegoś faceta nazwiskiem Dean Moriarty. Powiedziałem, że nie znam nikogo o tym nazwisku. – Czyli najdroższa Camille dzwoniła do Deana. Zaprzyjaźniony sklepikarz, wysoki, spokojny gość imieniem Sam, popatrzył na mnie i podrapał się w głowę. – Jak rany, co ty, prowadzisz tu jakiś międzynarodowy burdel?

Dean zachichotał jak pomyłony.

– Bomba jesteś, stary!

Wpadł do kabiny telefonicznej i zadzwonił do San Francisco na rachunek Camille. Potem zadzwoniliśmy do Carla na Long Island i kazaliśmy mu natychmiast przyjechać. Po dwóch godzinach przyjechał. Tymczasem Dean i ja szykowaliśmy się do jazdy, tylko we dwóch do Wirginii, żeby zabrać resztę mebli i przywieźć z powrotem moją ciotkę. Carlo

Marx przyjechał z wierszami pod pachą, zasiadł w fotelu i patrzył na nas tymi swoimi oczyma jak paciorki. Przez pierwsze pół godziny milczał; w każdym razie starał się nie angażować. Bardzo przycichł od czasów chandry z Denver; sprawiła to chandra z Dakaru. W Dakarze zapuścił brodę i snuł się bocznymi uliczkami z małymi dziećmi, które zaprowadziły go do wróżbity, a ten przepowiedział mu przyszłość. Carlo miał przy sobie zdjęcia obłądnych uliczek z trzcinowymi chatami, niewyjętych przedmieść Dakaru. Opowiadał, że w drodze powrotnej omal nie wyskoczył ze statku tak jak Hart Crane. Dean siedział z pozytywką na podłodze i słuchał w najwyższym zdumieniu piosenki *A Fine Romance*: „O małe brzęczące, wirujące dzwoneczki. Słuchajcie! Pochylmy się razem. Zajrzyjmy do tej magicznej pozytywki, poznajmy jej tajemnice, dźwięczące dzwoneczki, hejże, hej”. Ed Dunkel też siedział na podłodze; trzymał moje pałeczki do bębna; naraz zaczął wybijać rytm w takt muzyki pozytywki, tak cicho, że ledwie słyszeliśmy. Wszyscy wstrzymali oddech, zasłuchani. Tik... tak... tik-tik... tak-tak.

Dean zwinął rękę w trąbkę przy uchu; otworzył usta; powiedział:

– O hejże-hej!

Carlo przyglądał się tym idiotyzmom z przymrużonymi oczami. Wreszcie klepnął się w kolano i powiedział:

– Chciałbym o coś zapytać.

– Tak? Tak?

– Jaki jest sens tej podróży do Nowego Jorku? Co za mętny interes was tu przywiódł? To znaczy, stary, dokąd zmierzasz? Dokąd zmierzasz, Ameryko, w swym lśniącem samochodzie nocą?

– A dokąd ty zmierzasz? – zawtórował mu Dean z rozdziawionymi ustami. Siedzieliśmy tak, nie wiedząc, co odpowiedzieć; nie było już o czym rozmawiać. Pozostawało ruszyć w drogę. Dean zerwał się i powiedział, że pora wracać do Wirginii. Wziął prysznic, ja ugotowałem olbrzymi półmisek ryżu ze wszystkim, co jeszcze zostało w domu; Marylou zacerowała Deanowi skarpetki, i już mogliśmy jechać. Dean, Carlo i ja śmignęliśmy do Nowego Jorku. Obiecaliśmy Carlowi, że spotkamy się z nim za trzydzieści godzin, żeby zdążyć na sylwestra. Zapadł już zmrok. Wyrzuciliśmy Carla przy Times Square, a sami wróciliśmy przez nielecho płatny tunel do New Jersey, i dalej w drogę. Zmieniając się za kierownicą, Dean i ja dotarliśmy do Wirginii w dziesięć godzin.

– Zobacz, po raz pierwszy od tylu lat jesteśmy sami i możemy sobie pogadać – powiedział Dean. I gadał przez całą noc.

Jak we śnie gnaliśmy z powrotem przez śpiący Waszyngton i dalej przez pustkowia

Wirginii, o świcie przejechaliśmy przez rzekę Appomattox i o ósmej rano zajechaliśmy pod dom mojego brata. Przez całą drogę Dean podniecał się niesłychanie wszystkim, co widział, wszystkim, o czym mówił, każdym szczegółem każdej mijającej chwili. Miał zupełnego hyzia na punkcie prawdziwej wiary.

– No i oczywiście teraz nikt nam nie powie, że Boga nie ma. Przeszliśmy wszystkie etapy. Pamiętasz, Sal, jak pierwszy raz przyjechałem do Nowego Jorku i chciałem, żeby Chad King opowiedział mi o Nietzschem. Widzisz, jak to było dawno? Wszystko jest w porządku, Bóg istnieje, wiemy, co to czas. Wszystko od starożytnych Greków zostało źle wyłożone. Nie da się tego zmierzyć geometrią ani geometrycznymi systemami myślenia. Bo wszystko sprowadza się do tych rzeczy! – Wsadził sobie palec w pięść; samochód trzymał prosty, uczciwy kurs. – A poza tym obaj chyba rozumiemy, że mogłem znaleźć czas, żeby wyjaśnić, dlaczego ja wiem i ty wiesz, że Bóg istnieje.

W pewnej chwili użaliłem się nad kłopotami w życiu: że moja rodzina jest biedna, że bardzo chciałbym pomóc Lucille, która jest tak samo biedna i w dodatku ma córkę.

– Bo widzisz, kłopoty to słowo wytrych na to, w czym istnieje Bóg. Grunt się nie dawać. Szumi mi w głowie! – zawołał, łapiąc się za głowę. Wpadł z samochodu niczym Groucho Marx po papierosy – tym samym szalonym, muskającym ziemię pędem, z rozwianymi połami fraka, tyle że nie miał na sobie fraka. – Od Denver, Sal, tyle spraw... ech, te sprawy... tak długo łamałem sobie głowę. Całe życie spędziłem w poprawczaku, byłem głupim chłystkiem, który chciał czegoś dowieść... kradzież samochodów to był psychologiczny wyraz mojej sytuacji, taki szpan. Wszystkie moje więzienne problemy do dzisiaj się wyprostowały. O ile mogę przewidzieć, nigdy już nie trafię do pudła. A reszta to nie moja wina.

Minęliśmy szczeniaka, który rzucał kamieniami w przejeżdżające samochody.

– Pomyśl tylko – powiedział Dean. – Pewnego dnia taki kamień wpadnie przez okno samochodu jakiemuś facetowi, facet spowoduje wypadek i zginie... a wszystko przez tego szczeniaka. Rozumiesz, o co mi chodzi? Bóg istnieje, nie ma strachu. Kiedy tak jedziemy tą drogą, nie mam najmniejszych wątpliwości, że wszystko się za nas rozstrzygnie... że nawet ty, który boisz się siedzieć za kółkiem... – (faktycznie, nie znosiłem prowadzić i zawsze jeździłem ostrożnie) – ...wszystko się samo ułoży, a ty nie zjedziesz z drogi, mogę się więc przespać. Co więcej, obaj znamy Amerykę, jesteśmy tu w domu. Dokądkolwiek bym pojechał w tym kraju, zawsze dostanę to, co zechcę, bo tak samo jest na każdym rogu, znam tych ludzi, wiem, jak żyją. Dajemy, bierzemy i tak się posuwamy w tej niesamowicie skomplikowanej rozkoszy zygzakami we wszystkie strony. – W tym, co mówił, nic nie było jasne, ale sens

jego wypowiedzi w przedziwny sposób stawał się czysty i wyrazisty. Bardzo często używał słowa „czysty”. Nigdy bym nie przypuszczał, że Dean zostanie mistykiem. To były początki jego mistycyzmu, który miał go doprowadzić w późniejszym okresie życia do osobliwej, łachmaniarskiej świętości na wzór W.C. Fieldsa.

Nawet moja ciotka słuchała go z pewnym zainteresowaniem, kiedy jeszcze tego samego wieczoru gnaliśmy z powrotem na północ do Nowego Jorku, wioząc z tyłu meble. Ponieważ jechała z nami ciotka, Dean ograniczył się do rozmów na temat swojej pracy w San Francisco. Przelecieliśmy wszystkie szczegóły pracy kolejjarza, z demonstracjami przy każdym mijanym torowisku, w pewnej chwili Dean wyskoczył nawet z samochodu, żeby mi pokazać, jak kolejjarz daje sygnał „droga wolna” przy mijance na bocznicy. Ciotka przesiadła się do tyłu i zasnęła. W Waszyngtonie o czwartej nad ranem Dean znów zadzwonił do Camille, do Frisco, na jej rachunek. Tuż potem, kiedy wyjechaliśmy z Waszyngtonu, wyprzedził nas radiowóz na sygnale i gliniarz wlepił nam mandat za przekroczenie prędkości, chociaż jechaliśmy chyba pięćdziesiątką. Załatwiła nas tablica rejestracyjna z kalifornijskimi numerami.

– Wy, cwaniaczki, uważacie, że możecie sobie tutaj jeździć po wariacku tylko dlatego, że przyjechaliście z Kalifornii? – spytał gliniarz.

Poszedłem z Deanem na komisariat, gdzie usiłowaliśmy wyjaśnić władzom, że nie mamy pieniędzy. Dowiedzieliśmy się, że jeżeli nie skombinujemy pieniędzy, Dean będzie musiał spędzić noc w areszcie. Ciotka oczywiście wyłożyła forszę, piętnaście dolarów; miała w sumie dwadzieścia, czyli jakoś z tego wybrnęliśmy. Kiedy dyskutowaliśmy z glinami, jeden z nich poszedł do samochodu zerknąć na ciotkę, która siedziała otulona na tylnym siedzeniu. Dostrzegła go.

– Niech pan się nie boi. Nie jestem współniczką bandytów. Jeżeli życzy pan sobie przeszukać samochód, bardzo proszę. Wracam do domu ze swoim kuzynem, a te meble nie pochodzą z kradzieży. Należą do mojej siostrzenicy, która właśnie urodziła dziecko i przeprowadziła się do nowego domu.

Wprawiło to w osłupienie naszego Sherlocka, zaraz wrócił na komisariat. Ciotka musiała zapłacić mandat za Deana – w przeciwnym razie utknęlibyśmy w Waszyngtonie, bo ja nie miałem prawa jazdy. Obiecał jej to zwrócić, co nawiasem mówiąc, zrobił, dokładnie po półtora roku, czym sprawił ciotce miłą niespodziankę. Moja ciotka – szacowna kobieta, skołowana na tym smutnym świecie, a dobrze świat znała – opowiedziała nam o tym gliniarzu.

– Schował się za drzewem, bo chciał najpierw zobaczyć, jak wyglądam. Powiedziałam

mu, żeby przeszukał samochód, jeżeli sobie życzy. Nie mam się czego wstydzić.

Wiedziała, że Dean ma się czego wstydzić, ja zresztą też, przez sam fakt przestawania z Deanem, co on i ja przyjęliśmy ze smutkiem.

Ciotka powiedziała kiedyś, że świat nigdy nie zazna spokoju, dopóki mężczyźni nie padną kobietom do stóp i nie będą błagać o przebaczenie. Ale Dean to wiedział; sam wielokrotnie coś takiego mówił.

– Tyle razy błagałem Marylou o zawieszenie broni w duchu błogiego porozumienia i czystej miłości, żebyśmy raz na zawsze zaprzestali kłótni... i niby to rozumie. Ale jej myśli zaprzęta co innego... uwzięła się na mnie. Nie rozumie, jak bardzo ją kocham, tylko przedzie moją zgubę.

– Prawda wygląda tak, że nie rozumiemy kobiet. Zwalamy na nie winę, a to przecież wszystko nasza wina – powiedziałem.

– To wcale nie jest takie proste – przestrzegł Dean. – Pokój nadejdzie niespodziewanie, a my tego nawet nie zrozumiemy, kapujesz?

Z zaciętą, posępną miną przegonił wóz przez New Jersey; o świcie ja wjechałem do Paterson, a on spał z tyłu. Dotarliśmy do domu o ósmej rano i zastaliśmy Marylou z Edem Dunklem siedzących i palących pety z popielniczek; nic nie jedli od naszego wyjazdu. Ciotka zrobiła zakupy i przygotowała nam wspaniałe śniadanie.

## 4

Nadeszła pora, żeby troje przybyszów z Zachodu znalazło sobie nowy lokal na Manhattanie. Carlo miał chatę przy York Avenue; jeszcze tego samego wieczoru mieli się tam przeprowadzić. Dean i ja przespaliśmy cały dzień, obudziliśmy się, kiedy w sylwestra roku 1948 nadciągnęła wielka zawieja śnieżna. Ed Dunkel siedział w moim fotelu i opowiadał o poprzednich sylwestrach.

– Mieszkałem wtedy w Chicago, byłem kompletnie spłukany. Siedziałem sobie przy oknie w pokoju hotelowym przy ulicy North Clark, a z piekarni na dole dolatywał do moich nozdrzy najcudowniejszy zapach. Nie miałem nawet dziesięciu centów, ale zszedłem na dół i pogadałem z dziewczyną. Dała mi za darmo chleb i ciasteczka. Wróciłem do siebie i wszystko zjadłem. Całą noc przesiedziałem w tym pokoju. Pewnego razu w Farmington w stanie Utah, dokąd pojechałem, żeby popracować u Eda Walia, znacie Eda Walia, to syn

właściciela rancza z Denver... leżę sobie w łóżku, aż tu nagle widzę swoją matkę nieboszczkę, jak stoi w kącie cała obłana światłem. Zawołałem: „Mamo!”. Znikła. Ciągle miewam objawienia – zakończył Ed Dunkel, kiwając głową.

– Jakie masz plany wobec Galatei?

– Zobaczysz się. Jak dojedziemy do Nowego Orleanu. Nie sądzisz?

Zaczynał się zwracać o rady i do mnie; Dean przestał mu wystarczać. Ale już był zakochany w Galatei, teraz nad tym dumał.

– A jakie masz plany wobec siebie, Ed? – spytałem.

– Bo ja wiem – odparł. – Prę naprzód. Upajam się życiem.

Powtórzył tę kwestię za Deanem. Nie miał obranego kierunku. Siedział, wspominając tamtą noc w Chicago i gorące ciasteczka w samotnym pokoju.

Na dworze zacinął śnieg. W Nowym Jorku szykowało się wielkie przyjęcie; wszyscy się tam wybieraliśmy. Dean spakował swój wysłużony kufer, załadował go do wozu i ruszyliśmy na wielki bal. Ciotka żyła myślą, że mój brat odwiedzi ją w następnym tygodniu; usiadła nad gazetą i czekała na radiowy program sylwestrowy z Times Square o północy. Wjechaliśmy do Nowego Jorku, tańcząc dosłownie po lodzie. Nigdy nie czułem strachu, kiedy Dean siedział za kierownicą; radził sobie z wozem w każdych okolicznościach. Radio zostało naprawione, toteż w tę noc gnał nas naprzód obłądny bop. Nie miałem pojęcia, dokąd to wszystko nas prowadzi. I wcale się nie przejmowałem.

Mniej więcej w tym okresie zaczęła mnie prześladować dziwna myśl – że o czymś zapomniałem. Chodziło o decyzję, którą właśnie zamierzałem podjąć, kiedy zjawił się Dean, a teraz umknęła mi z głowy, ale nadal jakbym ją miał na końcu języka. Bez przerwy strzelałem palcami, usiłując ją sobie przypomnieć. Raz nawet o niej wspomniałem. A nie wiedziałem, czy chodziło faktycznie o decyzję, czy po prostu o jakąś zapomnianą myśl. Prześladowała mnie, porażała, napawała smutkiem. Miała coś wspólnego z Zawołowanym Podróżnym. Któregoś dnia Carlo Marx i ja usiedliśmy razem, kolano w kolano, w dwóch fotelach naprzeciwko siebie i wtedy opowiedziałem mu swój sen o dziwnej postaci w arabskich szatach, która mnie ściga przez pustynię; starałem się jej umknąć; w końcu dopadła mnie już niemal u bram Bezpiecznego Miasta. „Kto to taki?” – spytał Carlo. Zaczęliśmy się zastanawiać. Rzuciłem domysł, że to może ja sam zamaskowany woalem. Ale to nie było to. Coś, ktoś, jakiś duch ścigał nas wszystkich przez pustynię życia i musiał nas złapać, zanim dotrzemy do nieba. Teraz, kiedy patrzę wstecz, wiem oczywiście, że to po prostu śmierć – śmierć nas dopadnie przed wejściem do nieba. Jedyne, do czego tęsknimy za życia, co każe nam wdychać, jęczeć, znosić najrozmaitsze rozkoszne mdłości, to wspomnienie utraconego

blógostanu, najprawdopodobniej zaznanego w łonie matki, który może się powtórzyć (choć wzdramy się to przed samymi sobą przyznać) tylko w śmierci. Ale kto chce umierać? W natłoku zdarzeń wciąż mi się kołatała w głowie taka myśl. Podzieliłem się nią z Deanem, który natychmiast dopatrywał się w niej po prostu zwykłej tęsknoty za czystą śmiercią; a ponieważ nikt z nas nigdy nie wraca znów do życia, on sam nie chciał mieć z tym nic wspólnego; przyznałem mu wówczas rację.

W Nowym Jorku zaczęliśmy szukać mojej paczki. Tam też kwitną szalone kwiaty. Najpierw pojechaliśmy do Toma Saybrooka. Tom to melancholijny, przystojny facet, uroczy, hojny, odpowiedzialny; tyle że raz na jakiś czas miewa napady depresji, wtedy wybiega nagle bez słowa. Tej nocy rozpierała go radość.

– Sal, gdzieś ty znalazł tych absolutnie cudownych ludzi? W życiu takich nie spotkałem.

– Znalazłem ich na Zachodzie.

Dean miał pełną radochę; nastawił płytę jazzową, złapał Marylou, trzymał ją mocno i odbijał się od niej w takt muzyki. Ona odbijała się od niego. Był to prawdziwy taniec miłosny. Wparował Ian MacArthur z olbrzymią ferajną. Rozpoczął się noworoczny weekend, który trwał trzy dni i trzy noce. Do hudsona ładowały się tłumy ludzi i jeździły zygzakami po zaśnieżonych ulicach Nowego Jorku z jednego przyjęcia na drugie. Na największe przyjęcie przyprowadziłem Lucille i jej siostrę. Kiedy Lucille zobaczyła mnie z Deanem i Marylou, twarz jej pociemniała – wyczuła obłąd, którym mnie zarazili.

– Nie lubię cię, kiedy jesteś z nimi.

– Nic się nie martw, to tylko dla zgrywy. Żyje się raz. Dobrze się bawimy.

– Nie, to jakieś smutne i mi się nie podoba.

Wtedy Marylou zaczęła się do mnie zalecać; powiedziała, że Dean zostanie z Camille, chciała więc, żebym z nią pojechał.

– Wracaj z nami do San Francisco. Zamieszkamy razem. Będę dla ciebie dobrą dziewczyną.

Ja jednak wiedziałem, że Dean kocha Marylou, poza tym wiedziałem, że Marylou tak się zachowuje, żeby wzbudzić zazdrość Lucille; nie chciałem się w coś takiego pakować. Ale tak czy owak, aż się oblizywałem za tą seksowną, soczystą blondynką. Kiedy Lucille zobaczyła, że Marylou ciąga mnie po kątach, wydaje rozkazy i wymusza pocałunki, przyjęła zaproszenie Deana, żeby pójść z nim do samochodu; ale w wozie tylko rozmawiali i popijali bimber z Południa, który zostawiłem w schowku. Wszystko się pomieszało, wszystko zaczęło się rozpadać. Wiedziałem, że mój romans z Lucille już długo nie potrwa. Chciała mnie

przerobić na swoją modłę. Miała męża, dokera, który źle ją traktował. Chciałem się z nią ożenić, wziąć jej córeczkę i w ogóle, jeżeli rozwiedzie się z mężem; ale nie mieliśmy nawet pieniędzy na rozwód, no więc cały plan przedstawiał się beznadziejnie, poza tym Lucille nigdy by mnie nie zrozumiała, bo za dużo spraw mnie pociąga, dlatego cały jestem zamącony i skotłowany, kiedy tak pędzę od jednej spadającej gwiazdy do drugiej, aż padnę. Co też ta noc robi z człowiekiem. Nie miałem nikomu nic do zaoferowania poza własnym zamętem w głowie.

Przyjęcia były ogromne; na przyjęciu w suterenie w kwartale ulic dziewięćdziesiątych Zachodniej Dzielnicy bawiło się co najmniej sto osób. Ludzie wlewali się do piwnicznych komórek obok pieca. Coś się działo w każdym rogu, na każdym łóżku i na każdej kanapie – nie tyle orgia, ile po prostu przyjęcie sylwestrowe z dzikimi wrzaskami i nawiedzoną muzyką z radia. Była tam nawet jedna Chinka. Dean biegał od jednej grupy do drugiej niczym Groucho Marx, upajając się wszystkimi. Od czasu do czasu wskakiwaliśmy do samochodu, żeby przywieźć kolejnych gości. Zjawił się Damion. Damion to idol mojej paczki nowojorskiej, tak jak Dean jest głównym idolem paczki z Zachodu. Natychmiast się znieubili. Ni stąd, ni zowąd dziewczyna Damiona zasunęła go w szczękę prawym sierpowym. Chwiał się na nogach. Odprowadziła go do domu. Ściągnęli też prosto z redakcji niektórzy zaprzyjaźnieni z nami zwariowani dziennikarze, i przynieśli butelki. Na dworze szalała niesłychana, wspaniała zawieja śnieżna. Ed Dunkel poznał siostrę Lucille i gdzieś z nią zniknął; zapomniałem powiedzieć, że Ed Dunkel ma podejście do kobiet. Facet metr dziewięćdziesiąt trzy wzrostu, a przy tym łagodny, uprzejmy, zgodny, delikatny, chodzący urok. Podaje kobietom płaszcze. Tak się powinno zabierać do rzeczy. O piątej nad ranem wszyscy pobiegliśmy przez tylne podwórko kamienicy i wdrapaliśmy się przez okno do mieszkania, w którym odbywało się inne huczne przyjęcie. O świcie wróciliśmy do Toma Saybrooka. Ludzie rysowali obrazki i popijali zwietrzałe piwo. Przysnąłem na kanapie z jakąś Moną w objęciach. Ze starego barku akademickiego Columbii nadciągnęły spore grupy ludzi. Całe życie, wszystkie oblicza życia skłębiły się w tym jednym wilgotnym pomieszczeniu. U Iana MacArthura przyjęcie trwało nadal, Ian MacArthur to wspaniały, uroczy facet, który nosi okulary i spoziera zza nich z zachwytem. Zaczął się uczyć mówić „tak” na wszystko, zupełnie jak Dean w owym czasie, i od tamtej pory nie przestał. Przy obłędnych dźwiękach Dextera Gordona i Wardella Graya dmuchających *The Hunt* Dean i ja graliśmy w „orientuj się”, rzucając sobie Marylou nad kanapą; wcale nie była taką znów leciutką panienką. Dean chodził rozebrany do pasa, w samych spodniach, boso, a wkładał coś na siebie tylko wtedy, kiedy wskakiwał do wozu, żeby przywieźć kolejnych gości. Zdarzyło się dosłownie wszystko.

Trafiliśmy na obłądnego, ekstatycznego Rollo Greba i spędziliśmy noc w jego domu na Long Island. Rollo mieszka w ładnym domu z ciotką; po śmierci ciotki dom przejdzie na jego własność. Tymczasem ciotka na nic się nie zgadza i nienawidzi jego znajomych. Rollo sprowadził łachmaniarską bandę, czyli Deana, Marylou, Eda i mnie, i urządził głośne przyjęcie. Ta kobieta przyszła węszyć na górę; zagroziła, że wezwie policję.

– Och, zamknij się, stara jędo! – ryknął Greb.

Zastanawiałem się, jak on może tak z nią żyć. Miał więcej książek, niż widziałem w życiu – dwie biblioteki, dwa pokoje wypełnione książkami od podłogi aż po sufit, i to na wszystkich ścianach, w tym takie książki jak *Apokryfy jakieś tam* w dziesięciu tomach. Puszczal nam opery Verdiego i odstawiał do nich pantomimę w piżamie rozdartej na plecach przez całą długość. Niczym się w ogóle nie przejmował. To wielki uczony, który idzie chwiejnym krokiem po nowojorskim nabrzeżu z oryginalnymi siedemnastowiecznymi nutami pod pachą i krzyczy. Pełza ulicami niczym wielki pajak. Podniecenie sypało mu się z oczu ukłuciami diabelskich ogni. Kręcił szyją w kurczowej ekstazie. Bełkotał, wił się, miotał, jęczał, wył, padał z rozpaczy. Trudno mu było wydobyć z siebie choć jedno słowo, tak był podniecony życiem. Dean stał przed nim z pochyloną głową i powtarzał w kółko:

– Tak... Tak... Tak. – Zaciągnął mnie do kąta. – Ten Rollo Greb to najgenialniejszy, najwspanialszy facet z całej tej zgrai. Coś takiego próbowałem ci właśnie powiedzieć, kimś takim chciałbym być. Chciałbym być taki jak on. Nigdy nie jest zdołowany, idzie na całość, daje z siebie wszystko, wie, co to czas, nie ma nic lepszego do roboty, jak tylko kiwać się w przód i w tył. Stary, ten facet to absolut! Kapujesz? Jak będziesz przez cały czas żył tak jak on, w końcu to osiągniesz.

– Co osiągnę?

– TO! TO! Potem ci powiem, teraz nie czas, nie mamy teraz czasu.

I Dean popędził z powrotem, żeby jeszcze popatrzeć na Rollo Greba.

George Shearing, wielki pianista jazzowy, był zdaniem Deana dokładnie taki sam jak Rollo Greb. Podczas tego długiego, szalonego weekendu Dean i ja poszliśmy zobaczyć Shearinga w Birdland. Klub ział pustkami, byliśmy pierwszymi gośćmi, dziesiąta wieczór. Wyszedł Shearing, niewidomy, doprowadzono go za rękę do klawiatury. Był to Anglik o dystyngowanym wyglądzie, w sztywnym białym kołnierzyku, pulchnawy blondyn owiany łagodną aurą angielskiej nocy letniej, która ujawniła się zaraz przy pierwszym szemrzącym kawałku sweet, kiedy basista wychylił się do niego z szacunkiem, wchodząc w beat. Perkusista, Denzil Best, siedział bez ruchu, tylko raz na jakiś czas strzepnął miotełkami. Wtedy Shearing zaczął się kołysać; uśmiech rozjaśnił jego ekstatyczną twarz; kołysał się na

taborecie przy fortepianie w przód i w tył, z początku wolno, potem rytm przyśpieszył, a on zaczął się kołysać szybko, lewa noga podrygiwała mu przy każdym uderzeniu, szyja rozkołysała się na boki, pochylił twarz nad klawiszami, odgarnął włosy do tyłu, aż zmierzwiła mu się fryzura, wystąpił pot. Muzyka ruszyła. Basista przygarbił się i też wszedł, szybciej, coraz szybciej, tak się przynajmniej zdawało. Shearing zaczął brać akordy; spadały z fortepianu wielkimi lawinami, można by pomyśleć, że muzyk nie będzie miał czasu ich uporządkować. Kipiały bez przerwy jak morze. Ludzie pokrzykiwali: „Mocniej!”. Dean aż się spocił; pot ściekał mu po kołnierzu. „Ależ szyje! To jest gość! Stary Bóg! Stary Bóg Shearing! Tak! Tak! Tak!”. A Shearing zdawał sobie sprawę z obecności wariata za swoimi plecami, słyszał każdy zachwyty, każde przekleństwo Deana, wszystko wyczuwał, chociaż nic nie widział.

– Dla mnie bomba! – powtarzał Dean. – Tak!

Shearing uśmiechnął się i nadal się kołysał. Wreszcie wstał od fortepianu, ociekając potem; to były jego wielkie dni roku 1949, zanim zaczął grać komercyjny cool. Kiedy już zszedł ze sceny, Dean wskazał na pusty taboret przy fortepianie.

– Pusty tron Boga – powiedział. Na fortepianie leżał saksofon; jego złoty cień rzucał dziwny refleks na pustynną karawanę wymalowaną na ścianie za perkusją. Bóg wyszedł; to ta cisza po jego wyjściu. To ta deszczowa noc. To ten mit deszczowej nocy. Dean aż wybałuszył oczy ze strachu. Ten obłąd prowadził donikąd. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, aż naraz uprzytomniłem sobie, że to tylko trawa, którą paliliśmy; Dean kupił trochę towaru w Nowym Jorku. Pod jej wpływem zacząłem myśleć, że zaraz wszystko się rozstrzygnie – taka chwila, w której wie się wszystko i podejmuje decyzje raz na zawsze.

## 5

Zostawiłem całą ferajnę i wróciłem do domu odpocząć. Ciotka mi przygadała, że tracę czas, objając się z Deanem i z jego ferajną. Sam zresztą wiedziałem, że źle robię. Ale życie jest życiem, a natura naturą.

Chciałem odbyć jeszcze jedną taką wspaniałą podróż na Zachodnie Wybrzeże i wrócić akurat na wiosenny semestr. I cóż to się okazała za podróż! Wyjechałem tak tylko się przejechać, zobaczyć, co Dean jeszcze robi, a poza tym, wiedząc, że we Frisco Dean wróci do Camille, chciałem mieć romans z Marylou. Przygotowaliśmy się do tego, żeby znów

przemierzyć ten skamlący kontynent. Zrealizowałem swój czek rządowy i dałem Deanowi osiemnaście dolarów, żeby wysłał żonie; czekała na jego powrót do domu, a była splukana. Nie mam pojęcia, co sobie myślała Marylou. Ed Dunkel, jak zwykle, po prostu zabrał się z nami.

Przed wyjazdem spędzaliśmy długie, przedziwne dni w mieszkaniu Carla. Carlo chodził po domu w szlafroku i wygłaszał na wpół ironiczne mowy:

– Wcale was nie chcę pozbawiać tych waszych szpanerskich łakoci, ale chyba już czas, żebyście się zdecydowali, kim jesteście i co zamierzacie robić. – Carlo pracował w biurze, pisał na maszynie. – Chciałbym wiedzieć, co ma znaczyć takie wieczne przesiadywanie całymi dniami w domu. Do czego mają prowadzić te rozmowy i co chcielibyście robić. Dean, dlaczego zostawiłeś Camille i pojechałeś po Marylou? – I tylko śmiechy w odpowiedzi. – Marylou, dlaczego włączysz się tak po kraju i jakie masz plany związane z welonem? – Ta sama odpowiedź. – Edzie Dunkel, dlaczego porzuciłeś w Tucson dopiero co poślubioną żonę i po co ty tu wysiadujesz na tej swojej wielkiej, tłustej dupie? Gdzie twój dom? Gdzie pracujesz? – Ed Dunkel zwiesił głowę, szczerze zakłopotany. – Sal, jak to się stało, że wpadłeś w takie bagno, coś ty zrobił z Lucille? – Poprawił sobie szlafrok i usiadł naprzeciwko nas. – Dni gniewu jeszcze nadejdą. Ten balon długo was już nie utrzyma. Zresztą to balon abstrakcyjny. Wszyscy pofruniecie na Zachodnie Wybrzeże i wrócicie tu chwiejnym krokiem w poszukiwaniu swojego kamienia.

W owym czasie Carlo przybrał ton, który w jego mniemaniu brzmiał jak coś, co nazywał Głosem Kamienia; chodziło o to, żeby oszałamiać ludzi tak, jak gdyby trafiali na kamień.

– Przypinacie sobie smoka do kapeluszy – ostrzegał nas – krążycie po strychu wśród nietoperzy. – Przeszywał nas błyszczącym, obłąkanym wzrokiem. Od czasu chandry z Dakaru przeszedł okropny okres, który nazywał świętą chandrą albo chandrą z Harlemu; mieszkał wtedy w środku lata w Harlemie, budził się nocami w samotnym pokoju i słyszał, jak z nieba zjeżdża „wielka machina”; a za dnia chadzał Sto Dwudziestą Piątą Ulicą „pod wodą” razem z innymi rybami. Nawałnica nawiedzonych myśli oświeciła mu umysł. Sadzał sobie Marylou na kolanach, każąc jej się ocknąć. Nagabywał Deana:

– Może byś tak usiadł i trochę się odprężył? Po co tak wiecznie skaczesz? – Dean biegał w kółko, sypiąc sobie cukier do kawy, i powtarzał: „Tak! Tak! Tak!”.

W nocy Ed Dunkel spał na podłodze na poduchach, Dean i Marylou wyrzucili Carla z jego łóżka, przesiadywał więc całe noce nad gulaszem z nerek, mamrocząc pod nosem przepowiednie kamienia. Ja wpadałem do nich w ciągu dnia i wszystko obserwowałem.

Ed Dunkel powiedział mi:

– Wczoraj wieczór poszedłem prosto na Times Square, a kiedy już się tam znalazłem, naraz uprzytomniłem sobie, że jestem duchem, że to mój duch idzie chodnikiem.

Powiedział mi to bez komentarza, kiwając tylko dla podkreślenia głową. Po dziesięciu godzinach, w środku czyjejś rozmowy, Ed nagle oznajmił:

– Tak, to mój duch szedł chodnikiem.

Raptem Dean nachylił się do mnie z przejęciem i zagadnął:

– Sal, muszę cię o coś zapytać... o coś bardzo dla mnie ważnego... ciekaw jestem, jak to przyjmiesz... ale jesteśmy kumplami, prawda?

– Jasna sprawa, Dean.

Prawie się przy tym rumienił. W końcu wydusił z siebie: chce, żebym przeleciał Marylou. Nie spytałem dlaczego, bo wiedziałem, że chce się przekonać, jak Marylou to robi z innym facetem. Siedzieliśmy w barze u Ritzy'ego, kiedy wystąpił z tym pomysłem; przedtem całą godzinę łąziliśmy po Times Square w poszukiwaniu Hassela. Bar u Ritzy'ego to bar chuliganów z okolicy Times Square; co roku zmienia nazwę. Nie uświadczysz tam dziewczyny, nawet w łóżach, tylko gęsty tłum młodych facetów w najrozmaitszych chuligańskich strojach, od czerwonych koszul po bikiniarskie garnitury. Jest to również bar drobnych kryminalistów – cwaniaczków, którzy zarabiają na życie nocą pośród smutnych starych ciot z Ósmej Alei. Dean wszedł tam z przymrużonymi oczyma, żeby dojrzeć wszystkie twarze. W środku kręcili się obłądni pedalscy Murzyni, ponure typy z pistoletami, marynarze z nożami, chudzi, obojętni na wszystko narkomani, czasem też się trafił dobrze ubrany detektyw w średnim wieku, który udawał bukmachera i przesiadywał tam po trosze z obowiązku, po trosze z ciekawości. Bardzo to było w stylu Deana przedłożyć tego rodzaju prośbę w takiej scenerii. W barze u Ritzy'ego lęgną się najrozmaitsze szatańskie pomysły – to się czuje w powietrzu – a towarzyszą im najrozmaitsze szalone układy seksualne. Klawisznik proponuje chuliganowi nie tylko pewną starą fabrykę przy Czternastej Ulicy, ale też żeby się z nim przespał. Kinsey spędził sporo czasu w barze u Ritzy'ego, wypytyując niektórych chłopców; byłem tam w roku 1945, kiedy zjawił się jego asystent. Przeprowadził wywiady z Hasselem i Carlem.

Dean i ja wróciliśmy na chatę i zastaliśmy Marylou w łóżku. Dunkel błąkał się po Nowym Jorku za swoim duchem. Dean przedstawił Marylou nasze ustalenia. Powiedziała, że bardzo się cieszy. Ja sam nie byłem taki pewien. Musiałem dowieść, że potrafię przez to przejść. Łóżko było niegdyś łóżem śmierci potężnego mężczyzny, zapadnięte w środku. W tym zagłębieniu leżała Marylou, Dean i ja po obu stronach, usadowieni na sterzcących w górę

brzegach materaca, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Do diabła – odezwałem się w końcu – nie mogę.

– No co ty, stary, przecież obiecałeś! – rzucił Dean.

– A Marylou? – spytałem. – Powiedz, Marylou, co ty na to?

– Zabieraj się do rzeczy – odparła.

Objęła mnie, a ja usiłowałem zapomnieć, że stary Dean leży tuż obok. Za każdym razem, kiedy uświadamiałem sobie, że jest tam w ciemnościach i łowi każdy dźwięk, nie mogłem się powstrzymać od śmiechu. To był jeden wielki koszmar.

– Wszyscy musimy się odprężyć – zaproponował Dean.

– Niestety, chyba nie dam rady. Może byś tak na chwilę wyszedł do kuchni?

Dean wyszedł. Marylou była bardzo kusząca, ale szepnąłem jej do ucha:

– Poczekaj, aż będziemy się kochać w San Francisco. Bo do tej imprezy nie mam jakoś serca.

Czuła, że mam rację. Byliśmy trojgiem dzieci tej ziemi, które próbują coś w nocy przeforsować, ale w ciemnościach rozrasta się przed nimi brzemię minionych stuleci. W mieszkaniu panowała dziwna cisza. Poszedłem do kuchni, trąciłem Deana i kazałem mu iść do Marylou, a sam położyłem się na kanapie. Słyszałem, jak Dean w uniesieniu bełkocze coś i kołysze się opętańczo. Tylko facet, który spędził pięć lat w więzieniu, może się posunąć do granic takiego rozpaczliwego obłędu; zanoszi błagania u wrót miękkiego źródła, szalony absolutnie namacalną świadomością początków ziemskiego błogostanu; po omacku szuka powrotu drogą, którą przyszedł. Jest to skutek lat spędzonych na oglądaniu erotycznych obrazków za kratami; oglądania nóg i piersi kobiet w szmatławych czasopismach; oceniania twardości żelaznych cel i miękkości kobiety, której tam nie ma. W więzieniu człowiek obiecuje sobie prawo do życia. Dean nigdy nie widział twarzy swojej matki. Każda kolejna dziewczyna, każda kolejna żona, każde kolejne dziecko powiększały tylko jego smętne zubożenie. Gdzie był jego ojciec? Ten stary włóczęga, Dean Moriarty Blacharz, który rozbijał się pociągami towarowymi, pracował jako pomywacz w kolejowych garkuchniach, zataczał się, nocą walił z nóg w pijackich zaułkach, padał na hałdy węgla, gubił kolejno wszystkie zażółcone zęby w rynsztokach Zachodu. Dean miał wszelkie prawo zażywać błogiej śmierci miłosnych uniesień swojej Marylou. Nie chciałem mu przeszkadzać, chciałem tylko iść w jego ślady.

O świcie wrócił Carlo, włożył szlafrok. W owym czasie w ogóle przestał spać. „Ejże!” – rozdarł się. Dostał białej gorączki na widok rozgardiaszu na podłodze, spodni, porzucanych ubrań, petów, brudnych naczyń, otwartych książek – urządziliśmy tam sobie

wielkie forum. Dzień w dzień świat aż jęczał, żeby się obrócić, a myśmy prowadzili nasze przerażające badania nocy. Marylou cała była posiniaczona po jakiejś bójce z Deanem; on miał podrapaną twarz. Czas było ruszać w drogę.

Zajechaliśmy pod mój dom, cała paczka złożona z dziesięciu osób, po mój worek, a poza tym, żeby zadzwonić do Starego Byka Lee w Nowym Orleanie z telefonu w barze, w którym Dean i ja odbyliśmy przed laty pierwszą rozmowę, kiedy zastukał do moich drzwi, żeby nauczyć się pisać. Usłyszeliśmy skamlący głos Byka, oddalony o dwa tysiące osiemset kilometrów.

– Chłopaki, co ja mam zrobić z tą całą Galateą Dunkel? Siedzi już tu u mnie dwa tygodnie, zamyka się w swoim pokoju i nie chce rozmawiać ani z Jane, ani ze mną. Jest tam z wami ten typ, Ed Dunkel? Przywieźcie go tutaj, jak rany, i wymeldujcie ją stąd. Dziewczyna zajmuje naszą najlepszą sypialnię, a poza tym wyraźnie spłukała się z forsy. To nie hotel.

Dean pocieszył Byka z krzykami i wiwatami przez telefon, że jesteśmy w komplecie – Dean, Marylou, Carlo, Dunkel, ja, Ian MacArthur z żoną, Tom Saybrook i Bóg wie kto tam jeszcze, a wszyscy popijając piwo, wrzeszczeliśmy do słuchawki, co już kompletnie dobiło Byka, który nade wszystko nie cierpiał zamętu.

– Wiecie co – skwitował – może będziecie bardziej do rzeczy, jak przyjedziecie, jeżeli w ogóle przyjedziecie.

Pożegnałem się z ciotką, obiecałem wrócić za dwa tygodnie i znów ruszyłem do Kalifornii.

## 6

Początek podróży upłynął nam pod znakiem mżawki i tajemniczości. Czułem, że to będzie jedna wielka saga mgły. „Fruuu! – wołał Dean. – Jedziemy!”. I garbił się nad kierownicą, i deptał gaz; znów był w swoim żywiole, to się po prostu widziało. Nie posiadaliśmy się z radości, zdawaliśmy sobie sprawę, że zostawiamy za sobą zamęt i bezsens, a wykonujemy jedyną godną siebie i naszego czasu czynność, mianowicie jedziemy. I to jak jedziemy! W nocy, gdzieś w New Jersey, minęliśmy tajemnicze białe znaki, które głosiły POŁUDNIE (ze strzałką) i ZACHÓD (ze strzałką), i pomknęliśmy na południe. Nowy Orlean! Aż nam płonął w głowach. Prosto z brudnych śniegów „lodowatego miasta pedałów, Nowego Jorku”, jak go nazywał Dean, w sam środek bujnej roślinności i rzecznych zapachów

pocziwego Nowego Orleanu na omywanym oceanem spodzie Ameryki; a potem na zachód. Ed siedział z tyłu; Marylou, Dean i ja siedzieliśmy z przodu, prowadząc bardzo ciepłą rozmowę o dobroci i radości życia. Naraz Dean się roztkliwił.

– Niech mnie diabli, posłuchajcie, ludzie, musimy przyznać, że wszystko jest jak należy, absolutnie nie ma się czym przejmować, a w istocie powinniśmy sobie uprzytomnić, co by dla nas znaczyło ZROZUMIEĆ, że tak NAPRAWDĘ w ogóle NICZYM się nie przejmujemy. Dobrze mówię? – Wszyscy przyznaliśmy mu rację. – No, widzicie, jesteśmy wszyscy razem... A co robiliśmy w Nowym Jorku? Lepiej sobie wybaczymy. – Wszyscy mieliśmy tam jakieś utarczki. – To już za nami, decydują o tym kilometry i nastawienia. A teraz grzejemy do Nowego Orleanu, żeby się załapać na Starego Byka Lee, ale będzie ubaw, i posłuchajcie z łaski swojej, jak ten stary tenor wypluwa sobie płuca. – Podkreślił jeszcze bardziej głos w radiu, aż zatrzęsł się cały wóz. – Posłuchajcie, jak on ciągnie swoją opowieść, jak wyklada całą swoją mądrość i pełne odprężenie.

Wszyscy podnieciliśmy się do tej muzyki i przyznaliśmy mu rację. Czystość drogi. Przed nami rozwijała się biała linia pośrodku szosy i migiała pod lewym przednim kołem, jak gdyby się do nas przylepiła. Dean, w samym podkoszulku w tę zimową noc, pochylił umięśniony kark i gonił zapamiętałe wóz. Uparł się, żebym dla wprawy przejechał przez Baltimore w dużym ruchu; wszystko byłoby w porządku, gdyby on i Marylou nie łapali za kierownicę, całując się przy tym i dokazując. Był to jeden wielki obłąd; radio ryczało na cały regulator. Dean wybijał rytm na tablicy rozdzielczej, aż się zarwała pośrodku; ja zresztą też w nią waliłem. Biedny hudson – nasz statek do Chin – dostawał od nas wciry.

– O raju, ale ubaw! – darł się Dean. – A teraz, Marylou, posłuchaj mnie dobrze, kochanie, wiesz, że mogę brawurowo robić wszystko naraz i że mam niespożytą energię. W San Francisco musimy nadal mieszkać razem. Znam jedną taką chatę w sam raz dla ciebie... melinę zbiegłych z więzienia kryminalów... będę bywał w domu ciut rzadziej niż co dwa dni, ale za to ciurkiem po dwanaście godzin, a człowieku, wiesz, co możemy zrobić w dwanaście godzin, kochanie ty moje. Tymczasem będę nadal mieszkał z Camille jak gdyby nigdy nic, kapujesz, ona się nie dowie. Na pewno się uda, już tak przecież żyliśmy.

Takie rozwiązanie odpowiadało Marylou, która chętnie utopiłaby Camille w łyżce wody. Przedtem rysował się taki układ, że we Frisco Marylou przerzuci się na mnie, ale teraz zacząłem rozumieć, że na drugim końcu kontynentu ci dwoje będą się trzymać razem, a ja zostanę sam. Ale po co o tym myśleć, skoro przede mną cała ta złota ziemia i tyle nieprzewidzianych wypadków tylko czeka, żeby człowieka zaskoczyć i kazać mu się cieszyć tym, że żyje i może to wszystko oglądać?

Do Waszyngtonu przyjechaliśmy o świcie. Był to dzień inauguracji drugiej kadencji prezydentury Harry'ego Trumana. Przy Pennsylvania Avenue wystawiono na pokaz najrozmaitszy sprzęt bojowy, który mijaliśmy swoim sponiewieranym gruchotem. Stały tam B-29, łódzie torpedowe, artyleria, wszelkie typy uzbrojenia, które w tej ośnieżonej trawie miały naprawdę morderczy wygląd; na samym końcu stała zwykła mała szalupa ratunkowa, która na tym tle prezentowała się śmiesznie i żałośnie. Dean zwolnił, żeby się przyjrzeć. Potrząsał tylko głową ze strachem.

– Co ci ludzie knują? Gdzieś w tym mieście śpi sobie Harry... Poczciwy Harry... Facet z Missouri tak jak i ja... To pewno jego łódź.

Dean położył się spać na tylnym siedzeniu, kierownicę przejął Dunkel. Poprosiliśmy go bardzo wyraźnie, żeby nie szalał. Gdy tylko zaczęliśmy chrapać, zaraz wrzucił sto trzydzieści, mimo tych rozwalonych panewek i w ogóle, a na dobitkę przejechał potrójną linię, i to w miejscu, gdzie gliniarz dyskutował z motocyklistą, który jechał pod prąd najszybszym pasem na czteropasmówce. Gliniarz oczywiście pogonił za nami z wyciem syreny. Zatrzymał nas. Kazał nam jechać za sobą do komisariatu. Tam trafiliśmy na wrednego gliniarza, który z punktu znieubił Deana; wyczuł bijący od niego zapach więzienia. Wysłał na dwór swoich przydupasów, żeby przesłuchali Marylou i mnie na osobności. Dopytywali się, ile lat ma Marylou, usiłowali nas zrobić w paragraf o zakazie przewożenia dziewcząt ze stanu do stanu w celach nierządnych. Ale ona miała przy sobie akt ślubu. Potem wzięli mnie samego na stronę i zaczęli brać na spytki, kto śpi z Marylou.

– Jej mąż – uciąłem.

Wszystko ich ciekawiło. Coś im śmierdziało w powietrzu. Bawili się w amatorskich Sherlocków Holmesów, zadając po dwa razy to samo pytanie, w nadziei, że któreś z nas się sypnie. Wyjaśniłem im:

– Ci dwaj faceci wracają do pracy na kolei w Kalifornii, ona jest żoną tego niższego, a ja jestem ich przyjacielem, mam dwutygodniową przerwę semestralną.

Gliniarz uśmiechnął się i spytał:

– Taaak? A to na pewno pana portfel?

W końcu ten wredny za biurkiem wlepił Deanowi mandat za dwadzieścia pięć dolarów. Powiedzieliśmy im, że mamy wszystkiego czterdzieści, żeby dojechać na wybrzeże; odparli, że guzik ich to obchodzi. Kiedy Dean zaprotestował, wredny gliniarz zagroził, że odstawi go z powrotem do Pensylwanii i postawi w stan oskarżenia.

– Niby za co?

– Nieważne za co. Już ty się o to nie martw, cwaniaczku.

Musieliśmy im dać te dwadzieścia pięć dolarów. Przedtem jeszcze Ed Dunkel, winowajca, zaproponował, że pójdzie do więzienia. Dean zaczął się zastanawiać. Gliniarz dostał szału.

– Jeżeli pozwolisz, żeby kolega poszedł do więzienia, z miejsca odstawiam cię do Pensylwanii. Słyszałeś? – Marzyliśmy tylko o tym, żeby stamtąd wyjechać. – Jeszcze jeden mandat za przekroczenie prędkości w Wirginii, a możecie się pożegnać z wozem – rzucił nam wredny gliniarz na odjezdnym. Dean aż poczerwieniał.

Odjechaliśmy w milczeniu. Zupełnie jakby zaproponowali, że ukradną nam pieniądze na podróż. Wiedzieli, że jesteśmy splukani i że nie mamy po drodze krewnych ani nie mamy do kogo zadepeszować po forszę. Policja amerykańska prowadzi wojnę psychologiczną przeciwko tym Amerykanom, którzy nie ukrócą jej poczynań stosownymi dokumentami i groźbami. Policja jak za królowej Wiktorii; funkcjonariusze wyglądają przez zapyziane okna, wypytują o wszystko, a jak im nie w smak, że ktoś nie popełnił przestępstwa, to mu je wymyślą. „Na dziesięć przestępstw jedno z nudów” – napisał Louis Ferdinand Celine. Dean był taki wściekły, że zaraz chciał wracać do Wirginii i zastrzelić tego gliniarza, jak tylko zdobędzie broń.

– Do Pensylwanii! – szydził. – Ciekawe, o co by mnie oskarżył. Pewno o włóczęgostwo. Zabrałby mi całą forszę, a potem oskarżył o włóczęgostwo. Cholera, nic łatwiejszego. A jak człowiek się poskarży, to go najwyżej zastrzelą.

Nie pozostawało nic innego, jak tylko znów się rozerwać i zapomnieć o całej sprawie. Kiedy przejeżdżaliśmy przez Richmond, już zaczęliśmy zapominać, jeszcze trochę i wszystko znów było w porządku.

Mieliśmy więc teraz piętnaście dolarów na całą drogę. Będziemy musieli brać po drodze stopków i kazać im się zrzucać po ćwierć dolara na benzynę. Na pustkowiach Wirginii dostrzegliśmy maszerującego szosą mężczyznę. Dean ostro zahamował. Obejrzałem się za siebie i powiedziałem, że to zwykły włóczęga i pewno nie ma nawet centa przy duszy.

– Weźmy go, to będziemy mieli ubaw! – roześmiał się Dean.

Obdartus, typowy wariat w okularach, idąc, czytał wyświechtaną, zabłoconą książkę, którą znalazł w przydrożnym rowie. Wsiadł do wozu i znów wsadził nos w książkę; był niemiłosiernie brudny, cały w strupach. Powiedział, że nazywa się Hyman Solomon, że obchodzi całe Stany Zjednoczone i puka, czasem kopie do żydowskich drzwi, domagając się pieniędzy: „Dajcie mi pieniądze na jedzenie, jestem Żydem”.

Powiedział, że metoda świetnie się sprawdza, forsa do niego przychodzi. Spytaliśmy go, co czyta. Nie wiedział. Nie zadał sobie nawet trudu, żeby spojrzeć na tytułową stronę.

Patrzył tylko na słowa, jak gdyby znalazł prawdziwą Torę, tam, na pustkowiu, gdzie jej miejsce.

– Widzisz? Widzisz? Widzisz? – rechotał Dean, szturchając mnie w żebra. – A nie mówiłem, że będziemy mieli ubaw? Stary, każdy człowiek to jest ubaw!

Solomon towarzyszył nam do samego Testament. Mój brat mieszkał już w nowym domu po drugiej stronie miasta. Znaleźliśmy się na długiej ponurej ulicy, przeciętej w środku torami kolejowymi, znowu wśród smętnych, posępnych południowców wystających przed sklepami z artykułami żelaznymi i sklepikami z tandetą.

– Widzę, że przydałoby się wam trochę forsy na dalszą podróż – powiedział Solomon. – Poczekajcie, wyduszę kilka dolarów od jakichś Żydów i pojedę z wami aż do Alabamy.

Dean nie posiadał się z radości; skoczyliśmy po chleb i serek topiony, żeby coś zjeść w samochodzie. Marylou i Ed zostali w wozie. Spędziliśmy dwie godziny w Testament, czekając na Hymana Solomona; zebrał na chleb gdzieś w mieście, nigdzie go nie było widać. Słońce oblało się purpurą, zaczęło się chylić.

Solomon się nie zjawił, ruszyliśmy więc z Testament.

– Sam widzisz, Sal, że Bóg istnieje, bo cokolwiek byśmy robili, ciągle zaklopsowujemy się w tym mieście, a zwróć uwagę na jego dziwną biblijną nazwę i dziwny biblijny charakter, który kazał nam się znów tu zatrzymać, bo wszystko się ze sobą wiąże tak jak deszcz, który swym łańcuchem opasuje wszystkich na świecie...

Dean nawijał tak bez końca; tryskał radością i podnieceniem. Naraz on i ja zobaczyliśmy cały kraj jako ostrygę, którą mamy otworzyć; a w środku była perła, była perła. Śmignęliśmy na południe. Zabraliśmy kolejnego stopka. Był to smętny młody chłopak, mówił, że jego ciotka ma sklep spożywczy w Dunn, w Karolinie Północnej, tuż pod Fayetteville.

– I jak tam dojedziemy, naciągniesz ją na dolara? Tak? No to w dechę! Jedziemy!

W godzinę, o zmierzchu, dotarliśmy do Dunn. Podjechaliśmy pod wskazany przez chłopaka adres sklepu ciotki. Była to smutna uliczka zakończona ślepo murem fabryki. Owszem, był tam sklep spożywczy, ale ciotki ani śladu. Zastanawialiśmy się, kogo ten chłopak chciał nabrać. Spytaliśmy, dokąd jedzie; nie wiedział. Wszystko to było jedno wielkie oszustwo; dawno temu, podczas jakiejś przygody, w zagubionym ślepym zaułku Dunn zobaczył ten sklep, i teraz była to pierwsza bujda, jaka mu strzeliła do tej jego rozwichrzonej, rozgorączkowanej głowy. Kupiliśmy mu hot doga, ale Dean powiedział, że nie możemy go zabrać ze sobą, bo musimy mieć miejsce do spania i miejsce dla autostopowiczów, którzy dorzucą nam coś na benzynę. Smutne, ale prawdziwe. Zostawiliśmy

go o zmroku w Dunn.

Prowadziłem przez całą Karolinę Południową i dalej aż za Macon w Georgii, a Dean, Marylou i Ed spali. Samotny pośród nocy zająłem się własnymi myślami i trzymałem się białej linii biegnącej świętą drogą. Co ja robię? Dokąd zmierzam? Niedługo się dowiem. Za Macon poczułem się śmiertelnie znużony, obudziłem więc Deana, żeby mnie zmienił za kółkiem. Wysiedliśmy z wozu łyknąć powietrza i naraz obaj zachłysnęliśmy się radością, bo wszędzie w tych ciemnościach otaczała nas wonna zielona trawa, zapach świeżego gnoju i ciepłych wód. Jesteśmy na Południu! Zimę zostawiliśmy za sobą! Nieśmiały brzask oświetlił zielone pędy przy drodze. Wciągnąłem głęboko powietrze; w ciemnościach zawyła lokomotywa jadąca do Mobile. Tak samo jak my. Zdjąłem koszulę i upajałem się chwilą. Po jakichś piętnastu kilometrach Dean podjechał na stację benzynową na wyłączonym silniku, zobaczył, że pompierarz śpi sobie w najlepsze przy biurku, wyskoczył, napełnił cicho bak, dopilnował, żeby dzwonek nie zadzwonił, i odjechał cichcem jak Arab z bakiem pełnym benzyny, wartej pięć dolarów, w dalszą pielgrzymkę.

Przespałem się, obudziła mnie donośna muzyka i rozmowa Deana z Marylou. Obok migła wielka zielona ziemia.

– Gdzie jesteśmy?

– Właśnie minęliśmy koniuszek Florydy, stary. Nazywa się Flomaton.

Floryda! Jechaliśmy w kierunku nadbrzeżnej równiny i Mobile; przed nami szybowwały w powietrzu wielkie chmury Zatoki Meksykańskiej. Upłynęły zaledwie trzydzieści dwie godziny, odkąd pożegnaliśmy się z brudnymi śniegami Północy. Zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, gdzie Dean figlował z Marylou, nosił ją na barana wokół zbiorników, a Dunkel wszedł do środka i bez żadnego wysiłku ukradł trzy paczki papierosów. Byliśmy zuchwali bez granic. Wjeżdżając do Mobile długą nadmorską szosą, zdjęliśmy zimowe ciuchy i rozkoszowaliśmy się ciepłem Południa. Dean zaczął właśnie opowiadać swoje życie, kiedy tuż za Mobile, na skrzyżowaniu dróg, trafił na przeszkodę w postaci skłóconych samochodów i zamiast je wyminąć, śmignął przez podjazd stacji benzynowej i pruł dalej, nie schodząc poniżej swoich sakramentalnych stu dziesięciu. Zostawiliśmy za sobą ośłupiałe twarze. A on nie przerywał opowieści.

– Mówię wam, że to prawda. Zacząłem, jak miałem dziewięć lat, z dziewczyną nazwiskiem Milly Mayfair na tyłach warsztatu Roda przy ulicy Granta w Denver, tej samej, przy której mieszkał Carlo. Mój stary jeszcze wtedy pracował trochę w kuźni. Pamiętam, jak ciotka krzyczała przez okno: „Co wy tam robicie za garażem?”. Kochanie, Marylou, gdybym ja cię wtedy znał! O raju! Ale musiałaś być rozkoszna, kiedy miałaś dziewięć lat.

Zachichotał jak wariat; wsadził jej palec w usta i oblizał; wziął ją za rękę i przejechał nią po całym swoim ciele. A ona tylko siedziała z błogim uśmiechem.

Duży długi Ed Dunkel wyglądał przez okno i mówił do siebie:

– A jakże, tamtej nocy myślałem, że jestem duchem.

Zastanawiał się też na głos, jak Galatea Dunkel przyjmie go w Nowym Orleanie.

Dean ciągnął swoje.

– Raz jechałem towarowym z Nowego Meksyku prosto do LA, miałem wtedy jedenaście lat, zgubiłem ojca na bocznicy, wszyscy byliśmy w dżungli trampów, byłem z facetem, na którego mówili Czerwony Drągal, ojciec kompletnie pijany leżał w wagonie, który raptem odjechał, Czerwony Drągal i ja przegapiliśmy ten moment, i potem przez wiele miesięcy nie widziałem ojca. Jechałem długim towarowcem aż do Kalifornii, grzaliśmy jak cholera, towarowy pierwsza klasa, strzała pustyni. Całą drogę jechałem na buforach... między wagonami, wyobrażacie sobie, jakie to niebezpieczne, w końcu byłem tylko dzieciakiem, nie miałem pojęcia... jedną ręką przyciskałem do siebie bochenek chleba, a drugą trzymałem zahaczoną o pręt hamulca. Nie bujam, to prawda. Kiedy przyjechałem do LA, tak byłem spragniony mleka i śmietany, że wziąłem robotę w mleczarni, z miejsca wypilem dwie kwarty gęstej śmietany i wyrzygałem.

– Biedny Dean – powiedziała Marylou i pocałowała go. Dean patrzył przed siebie dumnym wzrokiem. Kochał ją.

Okazało się, że jedziemy wzdłuż niebieskich wód zatoki, i jednocześnie w radiu zaczęły się dziać doniosłe, szalone sprawy; był to program disc jockeya z Nowego Orleanu, Chicken Jazz'n Gumbo, jedna w drugą obłędne płyty jazzowe, czarne rytmy, a disc jockey w kółko powtarzał: „Grunt się nie przejmować!”.

Wieczorem z radością ujrzeliśmy przed sobą Nowy Orlean. Dean potarł rękami kierownicę.

– No to teraz szykuje nam się ubaw!

O zmierzchu wjeżdżaliśmy na gwarne ulice Nowego Orleanu.

– Och, czujecie, jak ci ludzie pachną! – darł się Dean. Wystawił twarz za okno i pociągał nosem. – O Boże! Życie! – Zrobił woltę przy tramwaju. – Tak! – Gonił wóz i rozglądał się wszędzie za dziewczynami. – Spójrz tylko na nią! – Powietrze nowoorleańskie było tak łagodne, jak gdyby napływało zwiewnymi bandanami; czuło się zapach rzeki i zapach ludzi, i błota, i melasy, i wszystkich tych tropikalnych wyziewów nosem wyrwanym raptownie z suchych mrozów zimy na Północy. Aż podskoczyliśmy w fotelach. – A patrz na tę lalkę! – ryczał Dean, wskazując kolejną kobietę. – Och, jak ja kocham, kocham, kocham

baby! Uważam, że baby są cudowne! Kocham baby! – Splunął przez okno; jęknął; złapał się za głowę. Z czoła kapnęły mu wielkie paciorki potu z czystego podniecenia i zmęczenia.

Wturlaliśmy wóz na prom do Algiers i na jego pokładzie przeprawiliśmy się przez Missisipi.

– A teraz musimy wysiąść, załapać się na rzekę i na ludzi, poczuć w nozdrzach ten świat – powiedział Dean, pogmerał, żeby wyjąć okulary przeciwsłoneczne i papierosy, po czym wyskoczył z wozu jak pajac z pudełka. My za nim. Przechyliliśmy się przez poręczę i patrzyliśmy, jak wielka brunatna matka wód toczy się z głębi Ameryki niczym strumień złamanych dusz – unosząc kłody drewna z Montany, błota Dakoty, potoki Iowa i wszystko to, co zatoneło pod Three Forks, gdzie cała tajemnica miała swój początek wśród lodu. Z jednej strony nikał zamglony Nowy Orlean, z drugiej najeżdżało na nas ospałe Algiers z lasem powykęcanych drzew na skraju. W to skwarne popołudnie Murzyni uwijali się przy pracy na promie, dorzucając do kotłów, rozpalonych do czerwoności, przez co śmierdziały nam opony. Dean upajał się widokiem palaczy, podskakując w tym upale. Przebiegł się po całym pokładzie, po czym wpadł na górny pokład w tych swoich workowatych spodniach, opadających do połowy brzucha. Naraz zobaczyłem, jak wariuje na mostku nawigacyjnym. Myślałem, że za chwilę uleci na skrzydłach. Po całym statku niósł się jego szalony śmiech: „Hi-hi-hi-hi-hi”. Towarzyszyła mu Marylou. Migiem obleciał cały prom, wrócił pełen wrażeń, zdążył wskoczyć do wozu, akurat kiedy wszyscy zaczęli trąbić, żeby jechać, śmignęliśmy w dół, wyprzedzając kilka samochodów na wąskim przejeździe i już mknęliśmy przez Algiers.

– Dokąd teraz? Dokąd teraz? – darł się Dean.

Postanowiliśmy najpierw doprowadzić się do porządku na stacji benzynowej i zapytać, jak znaleźć Byka. W sennym, nadrzecznym zachodzie słońca bawiły się małe dzieci; przechodziły dziewczyny w bandanach, w bawełnianych bluzkach, z gołymi nogami. Dean puścił się pędem ulicą, żeby wszystko zobaczyć. Rozejrzał się; pokiwał głową; poczochnął się po brzuchu. Duży Ed siedział z tyłu samochodu, w kapeluszu nasuniętym na oczy, i uśmiechał się na widok Deana. Ja przycupnąłem na zderzaku. Marylou była w damskiej toalecie. Z porośniętych chaszczami brzegów, gdzie niziuteńcy mężczyźni siedzieli z wędkami, i z uśpionych delt, które ciągnęły się wzdłuż czerwieniejącego ładu, wytaczała się wielka garbata rzeka z rwącym strumieniem pośrodku, niczym wąż oplatając Algiers z niewypowiedzianym łoskotem. Ospale półwyspowe Algiers ze wszystkimi swoimi ulami i rudarami mogło pewnego dnia zginąć pod wodą raz na zawsze. Słońce się chyliło, owady smyrgały wokół, straszliwe wody tylko postękiwały.

Pojechaliśmy do domu Starego Byka Lee przy grobli za miastem. Stał przy drodze biegnącej przez bagniste pole. Była to stara, waląca się rudera z zapadniętymi gankami wokół i płaczącymi wierzbami w podwórzu; trawa sięgała po pas, stare płoty chyliły się ku ziemi, stare stodoły były w ruinie. Nigdzie żywej duszy. Zajechaliśmy na podwórko, na tylnym ganku zobaczyliśmy balie. Wsiadłem, podszedłem do drzwi z siatki. Stała w nich Jane Lee, osłaniając ręką oczy zwrócone ku słońcu.

– Jane – odezwałem się. – To ja. To my.

Poznała mnie.

– Tak, wiem. Byka akurat nie ma. Czy tam gdzieś jest pożar, czy co?

Oboje spojrzeliśmy ku słońcu.

– Chodzi ci o słońce?

– Ale skąd. Słyszałam stamtąd wycie syren. Nie poznajesz tej charakterystycznej łuny?

Patrzyła w stronę Nowego Orleanu; na niebie kłębiły się dziwne chmury.

– Nic nie widzę – odparłem.

Jane aż prychnęła.

– Ten sam stary Paradise.

Tak wyglądało nasze przywitanie po czterech latach; Jane mieszkała kiedyś z moją żoną i ze mną w Nowym Jorku.

– A Galatea Dunkel jest? – spytałem.

Jane nadal wypatrywała swojego pożaru; w owym czasie brała po trzy kapsułki benzedryny dziennie. Jej twarz, niegdyś pełna, germańska i piękna, stała się kamienna, czerwona, wyciągnięta. Złapała w Nowym Orleanie chorobę Heine-Medina i teraz odrobinę kuląła. Dean wraz z całą paczką wysiedli zakłopotani z samochodu i jakoś się rozgościli. Ze swojego dumnego odosobnienia w głębi domu wyszła Galatea Dunkel na spotkanie ze swoim dręczycielem. Galatea była stateczną dziewczyną. Twarz miała bladą, jakby zapłakaną. Duży Ed przesunął ręką po włosach i powiedział: „Cześć”. Patrzyła na niego poważnie.

– Gdzieś ty się podziewał? Dlaczego mi to zrobiłeś?

I spojrzała złym wzrokiem na Deana; znała odpowiedź. Dean nie zwracał na nią najmniejszej uwagi; teraz chciał tylko coś zjeść; spytał Jane, czy ma coś w domu. Już wtedy zaczął się cały zamęt.

Biedny Byk wrócił swoim teksaskim chevroletem i zastał w domu horde pomyleńców; ale przywitał się ze mną mile i ciepło, dawno go takim nie widziałem. Kupił ten dom w Nowym Orleanie za pieniądze zarobione na uprawie czarnej fasoli w Teksasie u swojego dawnego kolegi ze studiów, którego ojciec, szalony paralytyk, umarł i zostawił olbrzymi

majątek. Byk dostawał jedynie pięćdziesiąt dolarów tygodniowo od swojej rodziny, czyli wcale nie tak mało, gdyby nie to, że prawie całą tę sumę pochłaniały mu co tydzień narkotyki; żona też była kosztowna, bo co tydzień łykała benzedryny za jakieś dziesięć dolarów. Na jedzenie wydawali chyba najmniej w całym kraju; prawie w ogóle nie jedli; podobnie zresztą jak ich dzieci, którym to najwyraźniej wcale nie przeszkadzało. Mieli dwoje wspaniałych dzieci: ośmioletnią Dodie i rocznego Raya. Ray, mały blondynek, biegał golusieńki po podwórku, dziecko tęczy. Byk nazywał go, za W.C. Fieldsem, „małym potworem”. Zajechał na podwórko, wygramolił się z samochodu, sam szkielet, podszedł znużonym krokiem, w okularach na nosie, w filcowym kapeluszu, w wyświechtanym ubraniu, długi, chudy, dziwny, lakoniczny. Przywitał mnie słowami:

– I co, Sal, w końcu tu dotarłeś. Chodźmy do domu czegoś się napić.

Gdybym chciał opowiedzieć o Starym Byku Lee, musiałbym gadać całą noc; teraz powiem więc tylko, że był nauczycielem, można by też dodać, że miał wszelkie prawo uczyć innych, bo cały swój czas sam poświęcał nauce; przede wszystkim poznawał „fakty życia”, które poznawał nie tylko z konieczności, lecz również z własnej woli. W swoim czasie ciągał swoje długie, chude ciało po całych Stanach Zjednoczonych, prawie po całej Europie i Afryce Północnej tylko po to, żeby się zorientować, jak tam jest; w latach trzydziestych ożenił się w Jugosławii z rosyjską księżniczką, żeby ją wyrwać z rąk faszystów; są jego zdjęcia z międzynarodowym gangiem kokainowym lat trzydziestych – bandą kudłatych facetów opierających się o siebie; są też zdjęcia, jak maszeruje w panamie ulicami Algiers; nigdy już później nie zobaczył tamtej rosyjskiej księżniczki. Pracował jako tępicieł robactwa w Chicago, barman w Nowym Jorku, goniec sądowy w Newark. W Paryżu przesiadywał w kafejkach, obserwując smętne twarze francuskich przechodniów. W Atenach patrzył znad likieru anyżkowego ouzo na, jego zdaniem, najbrzydszy naród świata. W Stambule przepychał się wśród tłumów opiumistów i handlarzy dywanów w poszukiwaniu owych faktów. W angielskich hotelach czytał Spenglera i markiza de Sade. W Chicago zamierzał zrobić napad na łaźnię turecką, zatrzymał się o dwie minuty za długo przy kieliszku i został z dwoma dolarami w kieszeni, w dodatku musiał dobrze wyciągać nogi, żeby wyjść z tego cało. A wszystko to robił po prostu dla zdobycia doświadczenia. Jego najnowsze, ostateczne badania obejmowały narkomanię. Mieszkał teraz w Nowym Orleanie, snuł się po ulicach z szemranymi typami i odwiedzał bary, w których odchodził handel towarem.

Krąży taka dziwna opowieść o jego studenckich latach, która ukazuje go z jeszcze innej strony – pewnego razu zaprosił do swoich szykownych pokoi znajomych na popołudniowy koktajl, aż tu naraz wybiegła jego ulubienica fretka i ugryzła eleganckiego

pedała w łydkę, na co towarzystwo z wrzaskiem wygoniło ją na dwór. Stary Byk zerwał się na równe nogi, złapał strzelbę, powiedział: „Znów czuje tego starego szczura” – i przestrzelił w ścianie dziurę na pięćdziesiąt szczurów. Na ścianie wisiał obrazek przedstawiający ohydny stary dom w Cape Cod. Znajomi zapytali go: „Po co trzymasz to ohydztwo na ścianie?” – a Byk odpowiedział: „Lubię go właśnie dlatego, że jest ohydny”. Przez całe życie trzymał taki kurs. Pewnego razu zapukałem do jego drzwi w ruderach Sześćdziesiątej Ulicy w Nowym Jorku, otworzył mi w meloniku, w kamizelce na gołe ciało i długich prążkowanych picerskich spodniach; w rękach trzymał garnek, a w nim siemię dla ptaków, próbował utłuc to siemię, żeby móc je skręcić w papierosy. Eksperymentował również z gotowaniem na czarną miazgę syropu przeciwkaszlowego z kodeiną – ale niezbyt mu się to udało. Wiele godzin przesiedział z Szekspirem – którego nazywał „nieśmiertelnym bardem” – na kolanach. W Nowym Orleanie spędzał wiele godzin z księgami Majów; nawet kiedy rozmawiał, przez cały czas trzymał otwartą książkę. Spytałem go kiedyś:

– Co się z nami stanie po śmierci?

– Po śmierci będziesz martwy, i tyle – odparł.

W pokoju miał cały zestaw łańcuchów, których, jak twierdził, używał podczas sesji z psychoanalitykiem; w trakcie eksperymentów z narkoanalizą odkryli, że Stary Byk ma siedem różnych osobowości, jedną gorszą od drugiej, aż w końcu wpada w skrajny obłąd i trzeba go pętać łańcuchami. U szczytu tych osobowości znajdował się angielski lord, u dołu – idiota. W pół drogi pomiędzy nimi był starym Murzynem, który stał w kolejce, czekał razem z innymi i mówił: „Jedne to są kanałiami, drugie nie, taka jest prawda”.

Byk miał sentyment do dawnych czasów w Ameryce, zwłaszcza do roku 1910, kiedy w drogerii można było dostać morfinę bez recepty, wieczorami Chińczycy w oknach palili opium, kraj był dziki, buzujący i wolny, a wszyscy mieli swobody i wszystkiego pod dostatkiem. Nade wszystko nienawidził biurokracji waszyngtońskiej; w drugiej kolejności liberałów; następnie gliniarzy. Przez cały czas gadał i nauczał. Jane siadywała u jego stóp; ja także; Dean zresztą też; podobnie Carlo Marx. Wszyscy czegoś się od niego uczyliśmy. Miał siwe włosy i nijaki wygląd, na ulicy nikt nie zwróciłby na niego uwagi, chyba żeby się bliżej przyjrzał i zobaczył jego szaloną, kościstą czaszkę, od której biła przedziwna młodość – był kaznodzieją z Kansas, miał w sobie egzotyczny, fantastyczny ogień i tajemnicę.

Studiował medycynę w Wiedniu; studiował antropologię, czytał wszystko; a teraz zabierał się do dzieła swojego życia, mianowicie do zgłębiania prawdy na ulicach życia i nocy. Siedział w swoim fotelu; Jane przynosiła trunki, koktajle. Zasłony przy jego fotelu zawsze były zaciągnięte, dzień i noc; to był jego zakątek. Na kolanach trzymał księgi Majów i

wiatrówkę, którą od czasu do czasu podnosił, żeby strzelać do fiolek benzedryny, rozstawionych po pokoju. Ja wciąż biegałem i ustawiałem nowe. Wszyscy sobie strzelaliśmy i gadaliśmy. Byk chciał koniecznie poznać powód naszej podróży. Patrzył na nas i prychnął nosem, tfump, taki odgłos jak z pustego baku.

– A teraz, Dean, proszę cię, żebyś przez chwilę posiedział spokojnie i powiedział mi, po co ty tak przemierzasz cały kraj.

Dean zarumienił się tylko i odparł:

– No wiesz, jak to jest.

– Sal, po co ty jedziesz na wybrzeże?

– Tylko na kilka dni. Potem wracam na studia.

– Co to za historia z tym Edem Dunkelem? Co to w ogóle za typ?

Ed Dunkel starał się właśnie udobruchać Galateę w sypialni; dużo czasu mu to nie zabrało. Nie wiedzieliśmy, co powiedzieć Bykowi na temat Eda Dunkela. Byk, widząc, że nic o sobie nie wiemy, wyjął trzy skręty maryśki i zachęcił nas, proszę bardzo, bierzcie, niedługo będzie kolacja.

– Nie ma na świecie nic lepszego na apetyt. Kiedyś po trawie zjadłem obrzydliwego hamburgera z barowozu i smakował mi jak coś najpyszniejszego pod słońcem. W zeszłym tygodniu wróciłem z Houston, jeździłem zobaczyć się z Dalem w sprawie naszej fasoli. Pewnego ranka spałem sobie w motelu, aż tu nagle wystrzał poderwał mnie z łóżka. W pokoju obok jakiś kretyn zastrzelił swoją żonę. Wszyscy stali wokół oszołomieni, a gość po prostu wsiadł do samochodu i odjechał, zostawiając na podłodze strzelbę dla szeryfa. W końcu złapali go w Houma pijanego jak bela. Już teraz nie da się bezpiecznie chodzić bez broni po własnym kraju. – Odchylił marynarkę i pokazał nam swój rewolwer. Następnie otworzył szufladę i pokazał resztę arsenału. Kiedyś w Nowym Jorku trzymał pod łóżkiem pistolet maszynowy. – Teraz mam coś lepszego, niemiecki pistolet gazowy Scheintoth. Patrzcie, co za cacko, ale mam tylko jeden nabój. Takim gnatem mógłbym załatwić stu ludzi i jeszcze zostałyby mi mnóstwo czasu, żeby uciec. Jedyne szkopuł w tym, że mam tylko jeden nabój.

– Wolałabym przy tym nie być, kiedy będziesz próbował – odezwała się Jane z kuchni.

– Skąd wiesz, że to nabój gazowy?

Byk prychnął; nigdy nie zwracał uwagi na jej docinki, chociaż je słyszał. Była to przedziwna para – rozmawiali do późna w nocy; Byk lubił gadać, perorował swoim ponurym, monotonnym głosem, Jane usiłowała coś wtrącić, ale nigdy jej się nie udawało; nad ranem padał ze zmęczenia i wtedy Jane mówiła, a on słuchał, prychając i robiąc tfump przez nos.

Kochała tego człowieka do szaleństwa, ale w jakiś deliryczny sposób; nigdy nie było między nimi żadnego naciągania ani owijania w bawełnę, tylko rozmowy i głęboka więź, której nikt z nas nigdy nie pojmie. Jakiś dziwny, odpychający chłód znamionował ich specyficzne poczucie humoru, którym przekazywali sobie własne subtelne wibracje. Nie ma to jak miłość; Jane nigdy nie odstępowała Byka na więcej niż dziesięć kroków i nigdy nie umknęło jej ani jedno jego słowo, chociaż mówił bardzo cicho.

Dean i ja wykrzykiwaliśmy, jaka to wspaniała noc kroi nam się w Nowym Orleanie, chcieliśmy, żeby Byk pokazał nam miasto. Ale Byk wylał nam na głowy kubel zimnej wody.

– Nowy Orlean to bardzo nudne miasto. Do dzielnicy kolorowych nie wolno chodzić. Bary są niemiłosiernie ponure.

– Muszą tu być jakieś naprawdę porządne bary – odparłem.

– W Ameryce nie istnieje coś takiego jak naprawdę porządny bar. Naprawdę porządne bary należą do przeszłości. W tysiąc dziewięćset dziesiątym bar to było miejsce, dokąd mężczyźni chodzili w godzinach pracy albo po pracy, była tam długa lada, mosiężne poręcze, spluwaczki, pianola, lustro i beczki whisky po dziesięć centów za kieliszek, a obok beczki piwa po pięć centów za kufel. Teraz wszędzie tylko chrom, pijane kobiety, pedały, opryskliwi barmani, zdenerwowani właściciele, którzy krążą jak sępy przy drzwiach, zamartwiają się o skórzane obicia i boją się policji; krzyki i wrzaski w niestosownych porach i śmiertelna cisza, kiedy wejdzie ktoś obcy. Zaczęliśmy się sprzeczać na temat barów.

– No dobrze – zgodził się w końcu. – Zabiorę was wieczorem do Nowego Orleanu i udowodnię to wam.

Po czym specjalnie zaprowadził nas do najnudniejszych barów. Zostawiliśmy Jane z dziećmi; było już po kolacji; Jane czytała ogłoszenia o pracy w nowoorleańskim „Times-Picayune”. Spytałem ją, czy chce się zatrudnić; odparła tylko, że to najciekawsza część gazety. Byk jechał z nami do miasta i buzia mu się nie zamykała.

– Opanuj się, Dean, chyba jakoś dojedziemy. Ups, oto i prom, nie musisz nas ładować prosto do rzeki. – Nie przestawał gadać. Powiedział mi w zaufaniu, że stan Deana się pogorszył. – Moim zdaniem, zmierza wielkimi krokami do swojego przeznaczenia, czyli psychozy kompulsywnej z domieszką psychopatycznej nieodpowiedzialności i przemocy. – Spojrzał na Deana kątem oka. – Jeżeli wybierzesz się do Kalifornii z tym wariatem, nigdy tam nie dotrzesz. A może byś tak został ze mną w Nowym Orleanie? Zagramy sobie na wyścigach w Graetnie, a potem odprężymy się u mnie na podwórku. Mam ładny komplet noży, buduję właśnie tarczę. A na mieście zawsze się znajdują jakieś soczyste dupenie do wzięcia, jeżeli takie masz ostatnio zapotrzebowanie.

Prychnął. Znajdowaliśmy się na promie, Dean wyskoczył z wozu, żeby przechylić się przez poręcz. Ja za nim, a Byk został w samochodzie, prychając i robiąc tfump. Tego wieczoru nad brunatnymi wodami unosiło się tajemnicze widmo mgły, a poniżej dryfowały ciemne kłody drewna; po drugiej stronie jaśniała ostra pomarańczowa luna Nowego Orleanu, a na skraju kilka ciemnych statków, upiornych, uwięzionych we mgle statków Cereno z hiszpańskimi balkonami i bogato zdobionymi rufami; dopiero kiedy człowiek podpłynął bliżej, widział, że to tylko stare frachtowce ze Szwecji i Panamy. Światła promu jarzyły się w ciemnościach; ci sami Murzyni machali szuflami i śpiewali. Stary Duży Chudy Hazard niegdyś pracował na promie do Algiers jako majtek; od razu przypomniał mi się też Gene Missisipi; i kiedy tak rzeka toczyła się pod gwiazdzistym niebem z głębi Ameryki, wiedziałem, wiedziałem aż do obłędu, że wszystko, co kiedykolwiek wiedziałem i kiedykolwiek będę wiedział, jest Jednią. Może to dziwnie zabrzmie, ale tej nocy, kiedy płynęliśmy promem z Bykiem Lee, jakaś dziewczyna popełniła samobójstwo, skacząc z pokładu; albo tuż przed nami, albo tuż po nas; nazajutrz przeczytaliśmy o tym w gazecie.

Obeszliśmy ze Starym Bykiem wszystkie nudne bary w dzielnicy francuskiej, o północy wróciliśmy do domu. Owego wieczoru Marylou wzięła wszystko, co się tylko dało: trawę, prochy nasenne, benzedrynę, whiskacza, i nawet poprosiła Starego Byka o zastrzyk morfiny, ale jej oczywiście nie dał; przyrządził jej natomiast koktajl. Była tak nafaszerowana wszelkimi pierwiastkami, że jakby ją sparaliżowało, stała tępo obok mnie na ganku. A trzeba przyznać, że Byk miał przepiękny ganek. Biegł dookoła całego domu; przy świetle księżyca do spółki z wierzbami nadawał domowi wygląd dawnej południowej rezydencji, pamiętającej lepsze czasy. W domu Jane siedziała w salonie i czytała ogłoszenia o pracy; Byk zamknął się w łazience, żeby dać sobie w żyłę, trzymał w zębach swój stary czarny krawat w charakterze krępulca i dźgał igłą nieszczęsną rękę z tysiącem dziur; Ed Dunkel wylegiwał się z Galatea w masywnym łożu małżeńskim, którego Stary Byk i Jane nigdy nie używali; Dean robił skręty z trawy; a Marylou i ja bawiliśmy się w arystokrację z Południa.

– Ach, panno Lou, ślicznie i nader ponętnie dziś pani wygląda.

– Ach, dziękuję, Crawford, jakże miłe memu sercu są pańskie grzeczności.

Na przygarbionym ganku coraz to otwierały się drzwi i aktorzy naszego smętnego dramatu w tę amerykańską noc coraz to wyglądali, żeby zobaczyć, gdzie są inni. W końcu wybrałem się na samotny spacer do grobli. Chciałem sobie posiedzieć na błotnistym brzegu, żeby ponapawać się Missisipi; niestety, musiałem ją oglądać z nosem przy drucianej siatce. Kiedy zaczyna się oddzielać ludzi od ich rzek, to co będzie dalej?

– Biurokracja! – odzywa się Stary Byk; siedzi z Kafką na kolanach, nad głową pali mu

się lampa, on prycha, tfump. Cały dom trzeszczy ze starości. Opodał wielką czarną rzeką nocy płynie kłoda drewna z Montany. – Nic, tylko biurokracja. I związki! Zwłaszcza te związki!

Ale mroczny śmiech jeszcze zabrzmi.

## 7

Rozbrzmiewał nazajutrz, kiedy obudziłem się rześkim rankiem i znalazłem Starego Byka i Deana na podwórku za domem. Dean miał na sobie swój kombinezon pompiera ze stacji benzynowej, pomagał Bykowi. Byk znalazł olbrzymi kawał grubego przegniłego drewna i teraz rozpaczliwie wyszarpywał obcęgami wbite weń małe gwoźdźki. Wpatrywaliśmy się w te gwoździe; były ich miliony; roiły się jak robaki.

– Kiedy wyciągnę stąd wszystkie gwoździe, zrobię sobie półkę, która przetrwa tysiąc lat! – oznajmił Byk, drząc cały z ίσcie chłopięcего podniecenia. – Sal, czy ty wiesz, że półki, które się teraz robi, po pół roku załamują się pod ciężarem byle fidrygałek albo najczęściej się zawalają? Tak samo domy, tak samo ubrania. Te kanalie wymyśliły plastik, mogłyby więc budować domy, które stałyby wiecznie. No i opony. Rokrocznie miliony Amerykanów giną z powodu kiepskich opon, które rozgrzewają się na szosie i pękają. Mogliby robić opony, które nigdy by nie pękały. Tak samo proszek do zębów. Wymyślili taką jedną gumę, tyle że nikomu jej nie pokazują, co jak ją będziesz żuł w dzieciństwie, to do końca życia nie będziesz miał dziur w zębach. Tak samo z ubraniami. Potrafią robić ubrania, które będą trwały wiecznie. Wolą jednak robić tandetę, żeby wszyscy musieli pracować, odbijać zegary, zrzeszać się w jakichś ponurych związkach i tak się szarpać, a tymczasem w Waszyngtonie i w Moskwie wielka grabież. – Podniósł do góry kawał przegniłego drewna. – Nie sądzicie, że z tego będzie świetna półka?

Było wcześniej rano; Byka rozpierała wprost energia. Biedak tak był naszpikowany różnymi paskudztwami, że przez większość dnia mógł tylko wegetować w fotelu, z lampą zapaloną nawet w południe, ale rano był w świetnej formie. Zaczęliśmy rzucać nożami do celu. Powiedział, że widział raz w Tunisie Araba, który mógł trafić człowieka w oko z odległości dwunastu metrów. Ta historia z Arabem przypomniała mu ciotkę, która w latach trzydziestych wyjechała do Kasby.

– Była w grupie turystów z przewodnikiem. Na małym palcu miała pierścionek z

brylantem. Oparła się na chwilę o mur, żeby odpocząć, aż tu podbiegł jakiś Arab i odciął jej palec razem z pierścionkiem, zanim w ogóle zdążyła krzyknąć „mój Boże!”. Nagle zobaczyła, że nie ma małego palca. Hi-hi-hi-hi-hi! – Kiedy się śmiał, ściągał usta, a śmiech dobywał mu się z brzucha, z oddali. Dosłownie aż się pokładał, dotykając głową kolan. Śmiał się tak przez dłuższą chwilę. – Hej, Jane! – zawołał wesoło. – Właśnie opowiedziałem Deanowi i Salowi o swojej ciotce w Kasbie!

– Słyszałam! – odrzyknęła od drzwi kuchennych przez ten cudowny ciepły poranek w zatoce. Po niebie płynęły śliczne ogromne chmury, chmury doliny, które pozwalały człowiekowi odczuć bezmiar starej, walącej się, świętej Ameryki z krańca w kraniec, z ust do ust. Byk kipiał wprost energią i życiem.

– Mówiłem wam kiedyś o ojcu Dale’a? To był najdziwniejszy staruszek, jakiego w życiu widziałem. Cierpiał na parezę, która zżera przednią część mózgu, tak że człowiek przestaje być odpowiedzialny za to, co mu przyjdzie do głowy. Miał dom w Teksasie, zatrudnił stolarzy, którzy pracowali dwadzieścia cztery godziny na dobę, stawiając nowe skrzydła. Nagle zrywał się w środku nocy i mówił: „Nie chcę tego cholernego skrzydła, wywalcie je stąd”. Cieśle musieli wszystko rozbierać i zaczynać od początku. O świcie stukali już młotkami w nowe skrzydło. Ale starego to nudziło, mówił więc: „Jasna cholera, przejadę się do Maine!”. Wsiadał do samochodu i pruł sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę – na przestrzeni setek kilometrów jego trasę znaczyły wielkie tumany kurzych piór. Stawał na środku jakiegoś teksaskiego miasteczka, żeby kupić sobie whisky. Kierowcy wokół naciskali klaksony, a on wyskakiwał ze sklepu i ryczał: „Uciscie się, do cholery, co za selmowska banda!”. Seplenił; kiedy się ma parezę, człowiek siepieni, chciałem powiedzieć sepleni. Pewnego wieczoru podjechał pod mój dom w Cincinnati, zatrąbił i zawołał: „Wyłaż no, jedziemy do Teksasu odwiedzić Dale’a”. Wracał akurat z Maine. Twierdził, że kupił dom. Napisaliśmy o nim opowiadanie w college’u – rozbija się statek, ludzie w wodzie chwytają się burt szalupy ratunkowej, a stary stoi tam z maczetą i odrąbuje im palce. „Dalej mi stąd, selmowska bando, to, do cholery, moja salupa!”. Był po prostu straszny. Mógłbym wam o nim opowiadać cały dzień. Prawda, że ładny dziś mamy dzień?

Bo rzeczywiście było ładnie. Od grobli zawiewała łagodna bryza; choćby po to warto tu było przyjechać. Weszliśmy do domu za Bykiem, żeby zmierzyć ścianę na półkę. Pokazał nam stół w jadalni, który sam zrobił. Stół miał piętnaście centymetrów grubości.

– Ten stół przetrwa tysiąc lat! – oznajmił Byk, nachylając ku nam jak wariat swoją długą, pociągłą twarz. Walnął pięścią w blat.

Wieczorami przesiadywał przy tym stole, dziobał w talerzu i rzucał kości swoim

kotom. Miał siedem kotów.

– Ubóstwiam koty. Najbardziej lubię te, które piszczą, kiedy je trzymam nad wanną. – Koniecznie chciał nam to zademonstrować, ale ktoś akurat zajął łazienkę. – No dobra – powiedział – teraz się nie da. Wiecie co, miałem awanturę z sąsiadami. – Opowiedział nam o tych sąsiadach; po sąsiedzku mieszkała olbrzymia rodzina z bandą bezczelnych dzieciaków, które rzucały kamieniami przez rozchwierutany płot w Dodie i w Raya, a także w Starego Byka. Kazał im przestać; wtedy wyleciał ich stary i zaczął krzyczeć coś po portugalsku. Byk poszedł do domu, wrócił ze strzelbą i oparł się na niej z najwyższą powagą; niesamowity uśmiezek na twarzy, wyzierający spod szerokiego ronda kapelusza, całe ciało napięte w przyczajonym, wężowym oczekiwaniu, groteskowy, wychudły, samotny klaun pod chmurami. Sam jego widok musiał się Portugalczykowi skojarzyć z jakimś dawnym złym snem.

Myszkowaliśmy po podwórku, czym by się tu zająć. Stał tam olbrzymi płot, który Byk zaczął budować, żeby się odgradzić od tych nieznośnych sąsiadów; nigdy nie miał go skończyć, bo ta praca go przerastała. Rozkołysał go w przód i w tył, żeby nam pokazać, jaki jest mocny. Naraz się zmęczył, zamilkł, wrócił do domu i zniknął w łazience na swoją przedobiednią dawkę. Wyszedł stamtąd ze szklanym wzrokiem, spokojny, i usiadł pod zapaloną lampą. Słońce prześwitywało słabo przez zaciągnięte story.

– Wiecie co, chłopaki, może byście tak spróbowali mojego akumulatora orgonowego? Dajcie sobie trochę ognia w to ciało. Zawsze potem grzeję sto czterdziestką do najbliższego burdelu, hor-hor-hor!

Był to jego śmiech-nie-śmiech – kiedy tak naprawdę wcale się nie śmiał. Akumulator orgonowy to zwykła skrzynia, na tyle duża, że mieści się w niej mężczyzna siedzący na krześle: warstwa drewna, warstwa metalu i kolejna warstwa drewna wychwytyją orgony z atmosfery i zatrzymują je dostatecznie długo, żeby organizm ludzki wchłoniął ich więcej niż zwykle. Według Reicha orgony to krążące w atmosferze cząsteczki energii życia. Ludzie dostają raka, bo wyczerpują im się orgony. Stary Byk uważał, że ulepszy swój akumulator orgonowy, jeżeli użyje możliwie jak najbardziej organicznego drewna, toteż przymocował do swojego mistycznego domku liście i gałązki krzaków z zalewiska. Stał tam na gorącym, płaskim podwórku – odrapana machina wypełniona i przystrojona jego szalonymi wynalazkami. Stary Byk zrzucił ciuchy i poszedł tam posiedzieć, podumać nad własnym pepkiem.

– Wiesz, Sal, po obiedzie moglibyśmy we dwóch postawić na konie u takiego jednego bukmachera w Graetnie.

Był wspaniały. Po obiedzie zdrzemnął się w fotelu z wiatrówką na kolanach, a mały Ray zwinął mu się na piersi i też zasnął. Stanowili piękny widok, ojciec i syn, ojciec, który z pewnością nigdy nie znudzi syna, jeżeli chodzi o wynajdywanie zajęć i tematów do rozmowy.

Obudził się raptownie i wlepił we mnie wzrok. Dopiero po jakiejś minucie mnie poznał.

– Sal, po co ty jedziesz na wybrzeże? – spytał i za chwilę znów zasnął.

Po południu wybraliśmy się do Graetny, tylko ja z Bykiem. Pojechaliśmy jego starym chevroletem. Hudson Deana był niski i zgrabny; chevy Byka był wysoki i rozklekotany. Przypominał rok 1910. Kantor bukmachera znajdował się koło nabrzeża w dużym barze, sam chrom i skóra, usytuowany w głębi ogromnego hallu, na ścianie wisiały listy i notowania. Wokół krążyły różne typy z Luizjany z programem wyścigów. Byk i ja strzeliliśmy sobie po piwie, Byk podszedł od niechcienia do automatu do gry i wrzucił pół dolara. Maszyna zabrzęczała „Pula” – „Pula” – „Pula”, a przy ostatniej „Puli” zatrzymała się na sekundę, po czym przeleciała na „Wisienkę”. Sto dolarów albo i więcej przeszło mu koło nosa.

– Cholera! – ryknął Byk. – Oni specjalnie tak regulują te maszyny. Sam widziałeś. Już miałem pulę, tylko mechanizm przeskoczył i przepadło. Nic się na to nie poradzi.

Przejrzeliśmy program wyścigów. Od lat nie grałem na koniach, teraz nie mogłem się połapać w tych wszystkich nowych imionach. Jeden koń nazywał się Duży Tatko, wpadłem na chwilę w trans, bo przypomniał mi się mój ojciec, który grywał ze mną na koniach. Miałem właśnie powiedzieć o tym Staremu Bykowi, kiedy on się odezwał:

– Wiesz, chyba zaryzykuję na tego Hebanowego Korsarza.

Wreszcie mu powiedziałem:

– Duży Tatko kojarzy mi się z ojcem.

Zastanowił się nad tym przez sekundę, wbijając we mnie hipnotycznie swoje przejrzyste błękitne oczy, nie mogłem się więc zorientować, co mu chodzi po głowie ani gdzie błądzi myślami. Następnie podszedł do kasy i postawił na Hebanowego Korsarza. Wygrał Duży Tatko, płacono pięćdziesiąt do jednego.

– Cholera! – zaklął Byk. – Co ze mnie za dureń. Raz mi się już coś takiego przytrafiło. Kiedy człowiek wreszcie zmądrzeje?

– Ale o czym ty mówisz?

– O Dużym Tatku. Miałeś wizję, chłopcze, wizję. Tylko idioci lekceważą wizję. Skąd wiesz, że twój ojciec, wytrawny gracz na wyścigach, nie przekazał ci w tym właśnie momencie, że Duży Tatko wygra gonitwę? To imię wzbudziło w tobie określone emocje, skorzystał z tego imienia, żeby ci coś przekazać. Nad tym się właśnie zamyśliłem, kiedy mi o

tym wspomniałeś. Pewnego razu mój kuzyn z Missouri postawił na jednego konia, bo imię konia skojarzyło mu się z jego matką, koń wygrał i bardzo dobrze płacili. I to samo zdarzyło się dzisiaj. – Pokiwał głową. – Ale co tam, chodźmy. Po raz ostatni gram z tobą na wyścigach. Wszystkie te wizje tylko mnie rozstrajają.

W samochodzie, w drodze powrotnej do domu, oświadczył:

– Pewnego pięknego dnia ludzkość zrozumie, że naprawdę mamy kontakt ze zmarłymi i z tamtym światem, czymkolwiek on jest. Gdybyśmy tylko wysilili dostatecznie swoją psychiczną wolę, już teraz moglibyśmy przewidzieć, co się zdarzy w ciągu najbliższych stu lat, i moglibyśmy podjąć stosowne kroki, żeby uniknąć najrozmaitszych katastrof. Kiedy człowiek umiera, jego mózg przechodzi mutację, o której dzisiaj nic nie wiemy, ale kiedyś poznamy ją bardzo wyraźnie, jeżeli naukowcy zabiorą się poważnie do rzeczy. Bo teraz te łądaki interesują się tylko tym, jak by tu wysadzić świat w powietrze.

Powiedzieliśmy o tym Jane. Tylko prychnęła.

– Dla mnie to jakaś bzdura.

Krzątała się ze szczotką po kuchni. Byk poszedł do łazienki na swoją popołudniową dawkę.

Dean i Ed Dunkel grali na szosie w koszykówkę piłką Dodie, przybiwszy gwoździem wiadro do latarni.

Przyłączyłem się do nich. Następnie zaczęliśmy popisy lekkoatletyczne. Dean mnie po prostu zdumiał. Kazał Edowi i mnie trzymać żelazną poprzeczkę na wysokości pasa, po czym ot tak, bez rozbiegu, przeskoczył ją, trzymając się za pięty.

– No dobra, podnieście wyżej.

Podnosiłem ją kilka razy, aż znalazła się na wysokości piersi. Wciąż przeskakiwał bez trudu. Następnie spróbował skoku w dal z rozbiegu i skoczył sześć metrów albo i więcej. Potem ścigałem się z nim na szosie. Potrafię zrobić setkę wII,3. Wyprzedził mnie jak wichur. Podczas biegu miałem szaloną wizję, że Dean biegnie tak przez całe życie – koścista twarz wyciągnięta ku życiu, ręce pracują, czoło ocieka potem, nogi tylko migają jak u Groucho Marksa, a on wciąż wykrzykuje: „Tak! Tak, stary, ale ty masz napęd!”. Tyle że nikt nie biegał tak szybko jak on, i taka jest prawda. Następnie wyszedł Byk z nożami i zaczął nam pokazywać, jak rozbroić nożownika w ciemnej uliczce. Ja z kolei pokazałem mu niezłą sztuczkę, jak upaść na ziemię u stóp przeciwnika, ścisnąć go kostkami nóg, tak żeby musiał paść na ręce, po czym unieruchomić mu nadgarstki podwójnym nelsonem. Przyznał, że to niezły pomysł. Zademonstrował nam kilka chwytów dziu-dzitsu. Mała Dodie zawołała matkę na ganek i skomentowała: „Patrz, jacy ci mężczyźni są głupi”. Była z niej taka rozkoszna,

przemądrzała istotka, że Dean nie mógł wprost oderwać od niej oczu.

– O rany. Poczekaj, aż dorosnie! Zobaczysz, jak będzie paradowała ulicą Canal, świdrując wszystko tymi swoimi bystrymi oczami. Fiu! Fiu!

Aż gwizdnął przez zęby.

Spędziliśmy zwariowany dzień w centrum Nowego Orleanu, łażąc po mieście z Dunkelami. Deana tego dnia coś opętało. Kiedy zobaczył na boczniczy pociąg towarowy linii Teksas i Nowy Orlean, chciał mi pokazać wszystko naraz.

– Będziesz kolejarzem, zanim wypuszczę cię z rąk!

On, ja i Ed Dunkel przebiegliśmy przez tory i wskoczyliśmy do towarowego w trzech różnych miejscach; Marylou i Galatea czekały w wozie. Przejechaliśmy pociągiem jakiś kilometr w głąb przystani, machając zwrotniczym i sygnalistom. Pokazali mi, jak najlepiej wyskakiwać z wagonu w ruchu; najpierw wysunąć do tyłu jedną nogę, puścić się pociągu, zeskoczyć i postawić drugą na ziemi. Pokazali mi wagon-chłodnię, a w nim komory zamrażarki, nadające się do jazdy nawet w mroźną zimową noc, pod warunkiem że skład jedzie pusty.

– Pamiętasz, jak ci opowiadałem o jeździe z Nowego Meksyku do LA? – wykrzyknął Dean. – Tak się właśnie trzymałem...

Wróciliśmy spóźnieni o godzinę, dziewczyny były oczywiście wściekłe. Ed i Galatea postanowili wynająć pokój w Nowym Orleanie, zostać tam i znaleźć pracę. Byk przyjął to z ulgą, bo zaczynał mieć już dosyć tej całej zgrai. Tak naprawdę zapraszał tylko mnie. We frontowym pokoju, gdzie spał Dean z Marylou, wszystko było poplamione dżemem i kawą, a na podłodze wszędzie poniewierały się puste fiolki po benzedrynie; poza tym służył on za pracownię Bykowi, który nie mógł się posunąć naprzód ze swoimi półkami. Biedna Jane była rozstrojona, bo Dean wciąż biegał i podskakiwał. Czekaliśmy, aż nadejdzie mój kolejny czek rządowy; ciotka miała mi go przesłać. Wtedy będziemy mogli ruszyć we troje – Dean, Marylou i ja. Kiedy czek nadszedł, stwierdziłem, że okropnie mi się nie chce tak nagle opuszczać cudownego domu Byka, ale Dean kipiał energią i chciał już jechać.

Wreszcie pewnego smutnego dnia o czerwonym zmierzchu siedzieliśmy w samochodzie, a Jane, Dodie, mały Ray, Byk, Ed i Galatea obstąpili nas, uśmiechnięci, w wysokiej trawie. To było pożegnanie. W ostatniej chwili Dean i Byk mieli małe nieporozumienie na temat pieniędzy; Dean chciał od Byka pożyczyć, a ten odparł, że nie ma mowy. Powiało dawnymi czasami. Błagier Dean krok po kroku zniechęcał do siebie ludzi. Zachichotał jak pomyleniec, wcale się nie przejął; poczochnął się po rozporku, wsadził Marylou palec pod sukienkę, pocmoktał jej kolano, aż mu poszła piana z ust, powiedział:

„Kochanie, i ty wiesz, i ja wiem, że wszystko jest między nami jasne, przynajmniej poza najdalszą abstrakcyjną definicją w sensie metafizycznym albo w jakimkolwiek sensie życzyś sobie to widzieć czy rozkosznie narzucić, czy spojrzeć wstecz”... – i tak dalej, po czym samochód ruszył z kopyta i znów jechaliśmy do Kalifornii.

## 8

Jakie się ma uczucie, kiedy wyjeżdża się od ludzi, a oni nikną powoli na równinie, aż w końcu widać tylko rozmywające się punkciki? – że zniewala nas za duży świat i że to jest pożegnanie. Ale człowiek wypatruje już kolejnej szalonej przygody pod tym samym niebem.

Minęliśmy światła starego, parnego Algiers, znów promem, znów w kierunku obryzanych błotem, poprzehylanych starych statków po drugiej stronie rzeki, znów ulicą Canal i dalej – na dwupasmówkę do Baton Rouge w fioletowym mroku; tam puściliśmy się na zachód, przeprawiliśmy się przez Missisipi w miejscowości zwanej Port Allen. Port Allen – gdzie rzeka leje się jak różany deszcz w zamglonych, przenikliwych ciemnościach, a kiedy wyjechaliśmy zza zakrętu na obwodnicy w żółtym świetle mgły, naraz zobaczyliśmy w dole pod mostem wielkie czarne cielsko i znów przekroczyliśmy wieczność. Co to jest Missisipi? – podmyta gruda ziemi w deszczową noc, cichy plusk z opadających brzegów Missouri, napór fali w dół wieczystego wodnego łoża, dar brunatnej piany, płynięcie obok bezkresnych dolin, drzew i grobli, dalej i dalej, obok Memphis, Greenville, Eudory, Vicksburga, Natchez, Portu Allen, Portu Orlean i Portu Delt, obok Potash, Venice i Wielkiej Zatoki Nocy i dalej, do morza.

W radiu leciało słuchowisko kryminalne, a ja, wyglądając przez okno, zobaczyłem napis UŻYWAJ FARBY COOPERA, więc powiedziałem: „Dobra, będę używał”. I tak przejechaliśmy przez zakapturzoną noc równin Luizjany – Lawtell, Eunice, Kinder i De Quincy, nędzne miasteczka Zachodu, tym bardziej w stylu bagnistych rozlewisk, im bardziej zbliżaliśmy się do Sabiny. W Old Opelousas zaszedłem do spożywczego, żeby kupić chleb i ser, Dean tymczasem miał się postarać o benzynę i olej. Ten sklep to była zwykła chałupa; z głębi domu dobiegły mnie odgłosy rodzinnej kolacji. Odczekałem minutę; nie przestali rozmawiać. Wziąłem sobie chleb i ser, po czym wymknąłem się za drzwi. Ledwie nam miało starczyć pieniędzy na dojechanie do Frisco. Z kolei Dean podwędził na stacji benzynowej karton papierosów i w ten sposób zaopatrzyliśmy się na podróż – benzyna, olej, papierosy,

jedzenie. Złodzieje się nie przejmują. Dean skierował wóz prosto na szosę.

Gdzieś w pobliżu Starks zobaczyliśmy przed sobą na niebie wielką czerwoną lunę; zastanawialiśmy się, co to może być; już po chwili przejeżdżaliśmy obok. Było to ognisko za rzędem przydrożnych drzew; przy szosie zaparkowało sporo samochodów. Pewno odbywał się tam piknik ze smażeniem ryb złowionych na miejscu, ale równie dobrze mogło to być co innego. W pobliżu Deweyville okolica stała się dziwna i mroczna. Naraz znaleźliśmy się na mokradłach.

– Stary, wyobrażasz sobie, co by to było, gdybyśmy na tych mokradłach trafili na jazzową budę, potężni Murzyni piłowaliby na gitarach zawodzącego bluesa, popijali harę i dawali nam znaki na migi?

– O, tak!

Wszędzie wokół czały się tajemnice. Samochód jechał wiejską szosą powyżej mokradeł, które opadały po obu stronach i ociekały pnączami. Minęliśmy zjawę; był to Murzyn w białej koszuli, który maszerował z rękami wzniesionymi do atramentowego firmamentu. Pewno się modlił albo ściągał na dół klątwę. Przemknęliśmy obok; obejrzałem się, żeby przez tylną szybę zobaczyć jego białe oczy.

– Uuu! – zawołał Dean. – Uważaj. W tej okolicy lepiej się nie zatrzymywać.

W pewnej chwili utknęliśmy na skrzyżowaniu, więc i tak musieliśmy się zatrzymać. Dean zgasił światła. Otaczał nas olbrzymi gąszcz pnączy, w którym niemal słyszeliśmy ślizganie się miliona miedzianek. Widzieliśmy jedynie czerwone światełko ładowania na tablicy rozdzielczej hudsona. Marylou piszczała ze strachu. Zaczęliśmy się śmiać jak pomyłeńcy, żeby ją nastraszyć. Ale sami też mieliśmy pietra. Chcieliśmy się już wydostać z tego pałacu węża, z tych bagnistych, ociekających ciemności, jak najprędzej dotrzeć do swojskich amerykańskich pól i wiosek. W powietrzu unosił się zapach oleju i stojącej wody. Noc podsuwała nam swój manuskrypt, którego nie potrafiliśmy odczytać. Zahuczała sowa. Wybraliśmy na chybił trafił jedną z polnych dróg i już niebawem przekraczaliśmy starą, złowieszczą rzekę Sabine, która daje okolicom te mokradła. Ze zdziwieniem zobaczyliśmy przed sobą wielkie konfiguracje świateł.

– Teksas! To Teksas! Tryskające ropą Beaumont!

W przesyconym wonią nafty powietrzu majaczyły wielkie zbiorniki i rafinerie ropy niczym kontury miast.

– Jak to dobrze, że już stamtąd wyjechaliśmy – odetchnęła Marylou. – No to teraz możemy sobie nastawiać słuchowiska kryminalne.

Śmignęliśmy przez Beaumont, przez rzekę Trinity pod Liberty i waliliśmy prosto do

Houston. Teraz Dean się rozgadał o swoim pobycie w Houston w roku 1947.

– Hassel! Ten szalony Hassel! Wszędzie go szukam i nigdzie nie mogę znaleźć. Zawsze nam dawał popalić w tym Teksasie. Wyjeżdżaliśmy z Bykiem po zakupy, a Hassel się ulatniał. Musieliśmy go potem szukać po wszystkich strzelnicach w mieście. – Wjeżdżaliśmy do Houston. – Przeważnie trzeba go było szukać w tej dzielnicy negatywów. Stary, ten człowiek ćpał dosłownie z każdym nawiedzonym włóczęgą. Pewnego wieczoru gdzieś nam się zapodział, a myśmy wynajęli pokój w hotelu. Mieliśmy przywieźć Jane lód, bo jedzenie zaczynało się psuć. Odnalezienie Hassela zabrało nam dwa dni. Mnie też wzięło, całymi dniami gapiłem się na kobitki robiące zakupy, właśnie tutaj, w centrum, w domach towarowych – mówił, gdy tak mknęliśmy przez pustkę nocy – i znalazłem naprawdę wdechową, szajbniętą panienkę, która snuła się bez celu, usiłując ukraść pomarańczę. Pochodziła z Wyoming. Debilny umysł pasował do jej pięknego ciała. Bełkotała coś pod nosem, zabrałem ją do naszego hotelu. Byk sam się upił, próbując upić tę małą Meksykaneczkę. Carlo na heroinie pisał wiersze. Hassela wciąło, znaleźliśmy go dopiero o północy śpiącego na tylnym siedzeniu dżipa. Cały lód stopniał. Hassel przyznał się, że wziął chyba z pięć proszków nasennych. Stary, gdyby mi pamięć dopisywała tak, jak dopisuje mi głowa, opowiedziałbym ci wszystko, co robiliśmy, z najdrobniejszymi szczegółami. Ech, ale my wiemy, co to czas. Wszystko idzie swoim trybem. Mógłbym teraz zamknąć oczy, a ten gruchot sam by jechał przed siebie.

O czwartej nad ranem przez puste ulice Houston śmignął nagle motocyklista, cały obwieszony paciorkami i błyszczącymi znaczkami, w kasku z osłoną, w lśniącej czarnej kurtce, teksaski poeta nocy, z tyłu wczepiona w niego dziewczyna niczym indiańskie dziecko w matkę, włos rozwiany, jechali tak przed siebie i śpiewali: „Houston, Austin, Fort Worth, Dallas... a czasem też Kansas City... a czasem stare Antone, aha-haa!”. Znikli nam z pola widzenia.

– O rany! Widzisz tę bombową dupenię wczepioną w niego? Czadu! – Dean usiłował ich dogonić. – Nie uważacie, że byłoby klawo, gdybyśmy tak wszyscy zeszli się razem i zafundowali sobie niezemiński odjazd na trawce, wszyscy byliby kochani, przyjemni i zgodni, żadnych awantur, żadnych dziecinnych sprzeciwów, żadnych problemów cielesnych, wynikłych z nieporozumień, ani żadnych wstrętów? Ech, ale wiemy przecież, co to czas.

Przygarbił się nad kierownicą i przydusił pedał gazu. Za Houston jego energia, jakkolwiek ogromna, też się wyczerpała, zastąpiłem go więc. Gdy tylko usiadłem za kółkiem, zaczęło padać. Znajdowaliśmy się teraz na wielkiej teksaskiej równinie i jak to określił Dean: „Człowiek jedzie tak bez końca, a nazajutrz wieczorem wciąż jeszcze jest w Teksasie”. Lało

jak z cebra. Jechałem przez nędzną miejscinę, której główna ulica tonęła w błocie, i nagle znalazłem się w ślepych zaułku.

– Hej, i co teraz?

Oboje spali. Zawróciłem i przeturlałem się z powrotem przez miasto. Nigdzie żywej duszy, ani jednego światła. Nagle w snopie moich reflektorów ukazał się jeździec w płaszczu przeciwdeszczowym na koniu. To był szeryf. Miał na głowie dziesięciogalonowy kapelusz ociekający strugami deszczu.

– Którędy do Austin?

Uprzejmie mi wytłumaczył, ruszyłem. Za miastem nagle zobaczyłem przez ścianę deszczu dwa reflektory świecące mi prosto w oczy. Cholera, pomyślałem, jestem po złej stronie drogi i nawet o tym nie wiem; dałem w prawo i zorientowałem się, że grzęznę w błocie; wjechałem z powrotem na drogę. Ale reflektory nadal grzały wprost na mnie. W ostatniej chwili uprzytomniłem sobie, że to tamten kierowca jest po złej stronie drogi i o tym nie wie. Z pięćdziesiątką na liczniku skręciłem gwałtownie w błoto; chwała Bogu, było tam płasko, nie było rowu. Niefortunny samochód cofnął się w strugach ulewnego deszczu. W pomrokach nocy patrzyło na mnie tępym wzrokiem czterech posepnych wyrobników, którzy oderwali się od swojej harówki, żeby poszumieć na pijackich polach, wszyscy mieli białe koszule i brudne, opalone ręce. Kierowca był tak samo pijany jak reszta.

– Którędy do Houston? – spytał. Wskazałem kciukiem za siebie. Raptem strzeliła mi do głowy myśl, że zjechali na drugą stronę celowo, żeby mnie spytać o drogę, tak jak żebrak wchodzi na kogoś na chodniku, żeby mu zagrozić przejście. Wbili smętnie wzrok w podłogę swojego wozu, po której turlały się puste butelki, i odjechali z klekotem w swoją stronę. Uruchomiłem silnik; wóz ugrzązł na ćwierć metra w błocie. Westchnąłem na tym deszczowym teksaskim pustkowiu.

– Dean – powiedziałem – obudź się.

– Co jest?

– Ugrzęźliśmy w błocie.

– Co się stało?

Opowiedziałem mu. Klął na czym świat stoi. Włożyliśmy stare buty, swetry i wyleźliśmy z wozu na ten szalejący deszcz. Oparłem się plecami o tylny zderzak, uniosłem, dźwignąłem do góry; Dean podłożył łańcuchy pod koła. Po chwili obaj byliśmy utaplani w błocie. Obudziliśmy na ten koszmar Marylou i kazaliśmy jej zapalać samochód na pych. Udręczony hudson kaszał i kaszał. Naraz wyrwał naprzód i zaczął się ślizgać po szosie. Marylou w porę zahamowała, wskoczyliśmy. Już było po wszystkim, cała impreza zajęła nam

pół godziny, tyle że byliśmy przemoczeni do suchej nitki, przedstawialiśmy żałosny widok.

Zasnąłem cały oblepiony błotem; rano, kiedy się obudziłem, błoto zaschło, a na dworze leżał śnieg. Znajdowaliśmy się pod Fredericksburgiem, na przedgórzu. Była to jedna z najsrozszych zim w dziejach Teksasu i całego Zachodu, krowy padały jak muchy w wielkich śnieżycach, śnieg spadł nawet w San Francisco i w Los Angeles. Wszyscy mieliśmy rzadkie miny. Żałowaliśmy, że nie jesteśmy w Nowym Orleanie z Edem Dunkelem. Marylou prowadziła; Dean spał. Jechała z jedną ręką na kierownicy, a drugą wyciągała do mnie na tylne siedzenie. Obiecywała czule złote góry w San Francisco. A mnie biednemu ślinka ciekła na samą myśl. O dziesiątej zmieniłem ją za kierownicą – Dean padł na ładnych kilka godzin – i przejechałem wieleset smętnych kilometrów przez krzaczaste śniegi i znużone, mądre góry. Mijali nas kowboje w czapkach baseballowych i nausznikach, szukający krów. Raz na jakiś czas wyrastały przy drodze przytulne chałupy z dymiącymi kominami. Marzyłem o tym, żeby zejść do takiej chałupy na maślankę i talerz fasoli przed kominkiem.

W Sonorze znów wziąłem sobie za darmo trochę chleba i sera, kiedy właściciel gawędził z postawnym ranczerem w drugim kącie sklepu. Na wieść o tym Dean aż zawył z radości; był głodny. Nie mogliśmy już wydać ani centa na jedzenie.

– Taa, taa – mówił Dean, przyglądając się, jak właściciele rancz pomykają tam i z powrotem główną ulicą Sonory – każdy jeden to pieprzony milioner, tysiąc sztuk bydła, najemni pracownicy, zabudowania, forsa w banku. Gdybym tu mieszkał, byłbym przygłupem na Dzikim Zachodzie. Byłbym sobie królikiem, lizałbym gałązki i uganiałbym się za pięknymi dziewczuchami od krów, hi-hi-hi-hi! Cholera! Barn! – Walnął się w czoło. – Tak! Jak rany! Nie mogę!

Przestawali już za nim nadążać. Usiadł za kierownicą i przeleciał resztę drogi przez Teksas, jakieś osiemset kilometrów, prosto do El Paso, dokąd o zmierzchu dotarliśmy bez postojów, z wyjątkiem jednego, kiedy to Dean rozebrał się pod Ozoną do naga i biegał w bylicy, pokrzykując i podskakując jak opętany. Obok śmigały samochody, ale nikt go nie zauważył. Przemknął z powrotem do samochodu i ruszyliśmy dalej.

– A teraz, Sal, Marylou, uczynicie jako i ja czynię, uwolnijcie się od tych wszystkich ubrań, bo jakież sens ma ubranie? Ja wam to mówię. Wystawcie ze mną na słońce swoje piękne brzuchy. No, prędzej! – Jechaliśmy na zachód pod słońce; promienie wpadały przez przednią szybę. – Odsłońcie brzuchy, bo wjeżdżamy w słońce.

Marylou usłuchała; ja – wyzbywszy się przesądów – też. Siedzieliśmy we troje na przednim siedzeniu. Marylou wyjęła krem nawilżający i dla draki wszystkich nas posmarowała. Co jakiś czas przejeżdżała wielka ciężarówka; kierowcy w wysokiej szoferce

dostrzegali złotą piękność siedzącą nago z dwoma nagimi facetami – widać było, jak ich zarzuca, kiedy znikali w naszym lusterku wstecznym. Przy drodze ciągnęły się wielkie równiny porośnięte trawami, teraz już bezśnieżne. Niebawem znaleźliśmy się w pomarańczowej skalistej krainie kanionu Pecos. Na niebie otworzył się przestwór. Wysiedliśmy z samochodu, żeby obejrzeć stare indiańskie ruiny. Dean wyszedł nagi jak go Pan Bóg stworzył. Marylou i ja narzuciliśmy tylko płaszcze. Łaziliśmy wśród starych kamieni, pohukując i wyjąc. Jacyś turyści zauważyli nagiego Deana na równinie, ale nie uwierzyli własnym oczom i podreptali dalej.

Dean i Marylou zaparkowali samochód pod Van Horn i kochali się, a ja spałem. Obudziłem się już w olbrzymiej dolinie Rio Grande, jechaliśmy przez Clint i Ysletę do El Paso. Marylou przeskoczyła na tylne siedzenie, ja przeskoczyłem na przednie i ruszyliśmy dalej. Po lewej za rozległymi przestrzeniami Rio Grande ciągnęły się czerwone góry meksykańskiej granicy, ziemia Indian Tarahumara; na szczytach igrał łagodny zmierzch. Przed nami jarzyły się odległe światła El Paso i Juarez, wdziergane w olbrzymią dolinę, tak wielką, że widać było kilka różnych linii kolejowych, a pociągi z sapaniem pędziły równocześnie w różnych kierunkach, jak gdyby to była Dolina Świata. Zjechaliśmy w dół.

– Clint w stanie Teksas! – zawołał Dean. Nastawił radio na rozgłośnię w Clint. Co kwadrans puszcza tam jakąś płytę; poza tym leciały tylko reklamówki kursu korespondencyjnej szkoły średniej. – Ten program nadają na cały Zachód – wykrzykiwał podniecony Dean. – Stary, w poprawczaku i w więzieniu słuchałem go dzień i noc. Wszyscy się zapisaliśmy. Jak ktoś zda egzamin, dostaje pocztą dyplom ukończenia szkoły średniej i odpis. Wszyscy młodzi włóczędzy Zachodu, obojętne kto, w którymś okresie życia się na to zapisują; wciąż tylko to słyszą; gdziekolwiek człowiek nastawi radio, w Starling w stanie Kolorado, w Lusk w stanie Wyoming, obojętne gdzie, zawsze słychać Clint w stanie Teksas, Clint w stanie Teksas. I zawsze ta muzyczka, folklor kowbojski i meksykański, bezwzględnie najgorszy program w dziejach Ameryki, ale nic się z tym nie da zrobić. Mają olbrzymi zasięg; omotali cały kraj. – Za chałupami Clint zobaczyliśmy wysoki maszt radiowy. – Ech, stary, ile ja bym ci mógł opowiedzieć! – zawołał Dean prawie ze łzami w oczach. Mając głowy nabite Frisco i wybrzeżem, wjechaliśmy o zmroku do El Paso, kompletnie splukani. Musieliśmy koniecznie skombinować forszę na benzynę, bo nigdy nie dojechalibyśmy do celu.

Próbowaliśmy wszystkiego. Zadzwoniliśmy do biura podróży, ale tego wieczoru nikt się akurat nie wybierał na zachód. W biurach podróży można znaleźć łebków, którzy zrzucają się na benzynę, co na Zachodzie jest legalne. Czekają tam podejrzane typy z wysłużonymi walizkami. Poszliśmy na dworzec autobusowy przekonać kogoś, żeby dał pieniądze nam,

zamiast płacić za bilet na wybrzeże. Nie starczyło nam jednak śmiałości, żeby kogokolwiek zagadnąć. Snuliśmy się więc smętnie po dworcu. Na dworze ziąb. Jakiś studenciak aż się cały spocił na widok ponętnej Marylou, chociaż udawał niezainteresowanego. Dean i ja naradziliśmy się chwilę, ale uznaliśmy, że nie jesteśmy alfonsami. Naraz przypętał się do nas jakiś stuknięty chłopak prosto z poprawczaka, Dean skoczył z nim na piwo.

– Chodź, stary, rąbniemy kogoś w głowę i zgarniemy mu szmal.

– Bomba jesteś, stary! – krzyczał Dean. Wskoczyli. Na chwilę mnie to przeraziło; ale Dean chciał tylko pobuszować po ulicach El Paso z tym szczeniakiem i mieć ubaw. Marylou i ja czekaliśmy w wozie. Objęła mnie.

– Cholera, Lou, poczekaj, aż dojedziemy do Frisco – powiedziałem.

– Co mi tam. Dean i tak mnie rzuci.

– Kiedy wracasz do Denver?

– Nie wiem. Mało mnie wzrusza, co robię. Mogę wrócić z tobą na Wschód?

– Będziemy musieli zdobyć skądś forszę we Frisco.

– Wiem, gdzie można dostać robotę w barowozie za ladą, zostanę kelnerką. Znam taki jeden hotel, gdzie możemy wziąć pokój na kredyt. Będziemy się trzymać razem. Chryste, ale mi smutno.

– Co cię tak smuci, mała?

– A, wszystko. Cholera, dlaczego temu Deanowi teraz tak odbiło?

Dean wrócił rozpromieniony, rozchichotany i wskoczył do wozu.

– Co to był za świr, huuu! Ale odjazd! Dawniej znałem tysiące takich facetów, wszyscy są tacy sami, głowy im pracują, jakby je ktoś jeden nakręcił, ech, te nieskończone rozgałęzienia, nie ma czasu, nie ma czasu... – i poderwał wóz, przygarbił się nad kółkiem i wyprysnął z El Paso. – Będziemy musieli łapać stopków, na pewno jakichś znajdziemy. Hłe! Hłe! Jedziemy. Uważaj! – ryknął na motocyklistę, objechał go z piskiem opon, uskoczył przed ciężarówką i tak minął rogatki miasta. Po drugiej stronie rzeki błyszczały klejnoty świateł Juarez, tej smętnej, spienionej ziemi, i klejnoty gwiazd Chihuahua. Marylou zerknęła na Deana, tak jak zerknęła na niego przez cały czas, kiedy przemierzali kraj tam i z powrotem, kącikiem oka – z markotną miną, jak gdyby chciała mu obciąć głowę i schować ją w szafie, z zazdrosną, mroczną miłością do niego – który tak imponująco umiał pozostać sobą, kiedy się wściekał, prychał i wariował, z uśmiechem czułego zaślepienia, a zarazem straszliwej zazdrości, wywołującej moje przerażenie, z miłością, która w jej odczuciu na pewno nigdy nie wyda owoców, bo gdy tak patrzyła na jego zapadniętą kościstą twarz, wyrażającą męską niezależność i roztargnienie, wiedziała, że on jest na to zbyt szalony. Dean był przekonany, że

Marylou jest dziwką; zwierzył mi się raz, że Marylou patologicznie kłamie. Ale kiedy tak mu się przyglądała, to też była miłość; a kiedy Dean to dostrzegwał, zawsze się do niej odwracał z szerokim, fałszywym, zalotnym uśmiechem, trzepocząc rzęsami i obnażając perłowobiałe zęby, mimo że jeszcze przed chwilą był zatopiony w swojej wieczności. Wtedy Marylou i ja wybuchaliśmy śmiechem, a Dean wcale się tym nie wydawał zakłopotany, tylko posyłał nam głupawy, radosny uśmieszek, jak gdyby chciał powiedzieć: „Ważne, że tak czy owak mamy z tego ubaw, no nie?”. I na tym się kończyło.

Za El Paso, w ciemnościach, dostrzegliśmy małą skuloną postać z wyciągniętym kciukiem. To był nasz obiecany autostopowicz. Zahamowaliśmy, cofnęliśmy się do niego.

– Ile masz forsy, mały?

Mały był bez forsy. Błady, dziwny siedemnastolatek z niedorozwiniętą, kaleką ręką, nie miał też żadnych bagaży.

– Prawda, że jest rozkoszny? – powiedział Dean, zwracając się do mnie z prawdziwym przejęciem. – Wskakuj, koleś, zabierzemy cię...

Chłopak zobaczył swoje wybawienie. Powiedział, że w Tulare w Kalifornii ma ciotkę, która jest właścicielką sklepu spożywczego, i jak tylko tam przyjedziemy, da nam trochę forsy. Dean aż się tarzał po podłodze ze śmiechu, bo ten chłopak tak bardzo przypominał tamtego z Północnej Karoliny.

– Tak! Tak! – ryczał. – Wszyscy mamy ciotki. No dobra, jedziemy, zobaczymy te ciotki, wujów i sklepy spożywcze, ale już w drodze!

No więc mieliśmy nowego pasażera, który okazał się zresztą w porządku. Nie odzywał się ani słowem, tylko słuchał. Po minucie paplaniny Deana z pewnością nabrał przekonania, że wsiadł do samochodu pełnego wariatów. Powiedział, że jedzie stopem z Alabamy do Oregonu, gdzie jest jego dom. Spytałiśmy, co robił w Alabamie.

– Pojechałem odwiedzić wuja. Miał mi załatwić pracę w tartaku. Ale praca nie wypaliła, no więc wracam do domu.

– Do domu – powtórzył Dean – do domu, tak, rozumiem, podwieziemy cię do domu, no, w każdym razie do Frisco.

Tyle że nadal nie mieliśmy pieniędzy. Wtedy przyszło mi do głowy, że mógłbym pożyczyć pięć dolarów od swojego starego kumpla Hala Hinghama w Tucson w Arizonie. Dean natychmiast to podchwycił, sprawa załatwiona, jedziemy do Tucson. Tak też zrobiliśmy.

W nocy minęliśmy Las Cruces w Nowym Meksyku, o świcie dotarliśmy do Arizony. Obudziłem się z głębokiego snu i zobaczyłem, że wszyscy śpią jak jagnięta, samochód

zaparkowany Bóg wie gdzie, bo nic nie było widać przez zaparowane okna. Wysiadłem. Byliśmy w górach; zobaczyłem rajski wschód słońca, obłędne fioletowe niebo, czerwone zbocza, szmaragdowe pastwiska w dolinach, rosę i przeobrażające się chmury ze szczerego złota; na ziemi nory susłów, kaktusy, krzewy jadłoszynu. Czas było usiąść za kierownicą. Przesunąłem Deana i chłopaka na bok, po czym zjechałem z góry na sprzęgle, ale bez silnika, żeby zaoszczędzić benzynę. W ten sposób dojechałem do Benson w Arizonie. Przyszło mi do głowy, że mam przy sobie zegarek, który Rocco dał mi właśnie na urodziny, wart cztery dolary. Na stacji benzynowej zagadnąłem faceta, czy nie zna w Benson lombardu. Mieścił się akurat obok stacji. Zapukałem, ktoś wstał z łóżka i już po chwili miałem za ten zegarek dolara. Poszedł na benzynę. Mieliśmy teraz dosyć paliwa, żeby dojechać do Tucson. Ale właśnie kiedy miałem odjeżdżać, zjawił się naraz wielki policjant z pistoletem i poprosił o moje prawo jazdy.

– Ten facet z tyłu ma prawo – wyjaśniłem.

Dean i Marylou spali razem pod kocem. Gliniarz kazał Deanowi wysiąść. Nagle wyrwał z kabury broń i zawołał:

– Ręce do góry!

– Ależ, panie władzo – usłyszałem, jak Dean mówi swoim najbardziej namaszczone, ironicznym tonem – panie władzo, ja tylko zapinałem sobie rozporek.

Nawet gliniarz niemal się uśmiechnął. Dean wysiadł cały zabłocony, obdarty, w podkoszulku, czochrał się po brzuchu, przeklinał, szukał wszędzie prawa jazdy i karty wozu. Gliniarz przetrząsnął nam bagażnik. Wszystkie papiery mieliśmy w porządku.

– Tak tylko sprawdzałem – powiedział z szerokim uśmiechem. – Możecie jechać. Benson to wcale nie jest takie złe miasteczko. Chyba nie pożałujecie, jak się tu zatrzymacie na śniadanie.

– Tak, tak, tak – skwitował Dean, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi, i odjechał.

Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą. Policjanci nabierają podejrzeń, kiedy banda młodych ludzi zajeżdża nowym samochodem bez centa w kieszeni i musi zastawiać zegarek.

– Zawsze się wtrącają – powiedział Dean – ale i tak był znacznie lepszy od tamtego menciara z Wirginii. Łapią Bogu ducha winnych ludzi, bo chcą trafić do gazet. Myślą, że każdy przejeżdżający samochód należy do jakiegoś wielkiego gangu z Chicago. Nie mają nic lepszego do roboty.

Ruszyliśmy dalej do Tucson.

Tucson leży w cudownej okolicy, w wyschłym korycie rzeki porośniętym krzewami

jadłoszynu, pod ośnieżonym łańcuchem górskim Catalina. Miasto było całe w budowie; ludzie jakby przejazdem, szaleni, ambitni, zagonieni, weseli; sznury z bielizną, przyczepy mieszkalne; gwarne ulice centrum obwieszane transparentami; w sumie bardzo kalifornijskie. Fort Lowell Road, przy której mieszkał Hingham, wiała się na płaskiej jak stół pustyni wśród pięknych, niegdyś nadrzecznych drzew. Zastaliśmy Hinghama na podwórku, zatopionego w myślach. Był pisarzem; przyjechał do Arizony, żeby popracować w spokoju nad książką. Był to wysoki, niezdamy, nieśmiały satyryk, który mamrotał coś pod nosem z głową odwróconą w bok i zawsze mówił śmieszne rzeczy. Mieszkał z żoną i malutkim dzieckiem w niewielkim domku z gliny suszonej na słońcu, zbudowanym przez jego ojczyzna Indianina. Jego matka mieszkała po drugiej stronie podwórka we własnym domu. Była to entuzjastyczna Amerykanka rozmiłowana w garnce, koralikach i książkach. Hingham znał Deana z moich listów pisanych z Nowego Jorku. Spadliśmy na niego jak szarańcza, wszyscy potwornie głodni, nawet Alfred, kaleki autostopowicz. Hingham miał na sobie stary sweter i palił fajkę w rześkim pustynnym powietrzu. Wyszła jego matka i zaprosiła nas do kuchni na posiłek. Ugotowaliśmy olbrzymi gar klusek.

Następnie podjechaliśmy pod sklep monopolowy na skrzyżowaniu, gdzie Hingham zrealizował czek na pięć dolarów i wręczył mi pieniądze. Pożegnanie nie trwało długo.

– Naprawdę bardzo mi było miło – powiedział Hingham, patrząc w bok.

Za drzewami, hen na pustyni, błyszczał wielki czerwony neon zajazdu. Hingham chodził tam zawsze na piwo, kiedy miał już dość pisania. Był bardzo samotny, marzył o powrocie do Nowego Jorku. Aż żal było patrzeć na tę jego wysoką sylwetkę niknącą w mroku, kiedy odjeżdżaliśmy, jakże podobną do tamtych sylwetek w Nowym Jorku i w Nowym Orleanie; zawsze stoją niepewnie pod ogromnym niebem i wszystko jest w nich pograżeniem. Dokąd jechać? Co robić? I po co? – spać. A ta głupia banda parła naprzód.

## 9

Za Tucson na ciemnej drodze zobaczyliśmy kolejnego autostopowicza. Był to bezrolny wyrobnik z Bakersfield w Kalifornii, który opowiedział nam, co mu się przytrafiło.

– Psiakrew, wyjechałem z Bakersfield samochodem z biura podróży, tylko że w bagażniku drugiego zostawiłem swoją gitarę, ale tamci wcale się nie pokazali... gitarę i kowbojskie łachy. Bo, wiecie, jestem muzykiem, a jechałem do Arizony, żeby zagrać z

Pustynnymi Chłopakami Johnny'ego Mackawa. I, psiajucha, siedzę tu w Arizonie, tylko że jestem splukany na amen, a gitara przepadła, i tyle. Podrzucicie mnie do Bakersfield, dostanę tam pieniądze od brata. Ile chcecie?

Chcieliśmy tylko na benzynę z Bakersfield do Frisco, czyli jakieś trzy dolary. Teraz było już nas pięcioro w samochodzie.

– Uszanowanie łaskawej pani – przywitał się z Marylou, uchylając kapelusza, i ruszyliśmy.

W środku nocy widzieliśmy z górskiej drogi, hen, w dole, światła Palm Springs. O świcie przebrnęliśmy przez ośnieżone przełęcz do miasta Mojave, skąd prowadzi droga ku wielkiej przełęczy Tehachapi. Wieśniak obudził się i opowiadał śmieszne historyjki; rozkoszny mały Alfred siedział z uśmiechem na ustach. Wieśniak opowiedział nam o swoim znajomym, który wybaczył żonie to, że go postrzeliła, i wyciągnął ją z więzienia, a ta za drugim razem zastrzeliła go na śmierć. Kiedy to opowiadał, mijaliśmy właśnie więzienie dla kobiet. Zobaczyliśmy wysoko przed sobą przełęcz Tehachapi. Dean usiadł za kółkiem i wywiózł nas na dach świata. Minęliśmy wielką zamgloną cementownię w kanionie. Potem zaczęliśmy zjeżdżać w dół. Dean zgasił silnik, wcisnął sprzęgło, pokonywał wszystkie zakręty serpentyny, wyprzedzał samochody i robił dosłownie wszystko bez korzystania z dobrodziejstw przyśpieszenia. Trzymałem się mocno. Czasem szosa na chwilę znów się wznosiła; Dean po prostu mijał bezszelestnie inne samochody, pchany naprzód samym rozpędem. Znał wszystkie rytmy i wszystkie pułapki piekielnie trudnej przełęczy. Kiedy trzeba było zrobić agrafkę w lewo wokół niskiego kamiennego murku, który spozierał na dno świata, Dean po prostu wychylał się mocno w lewo, trzymając sztywno kierownicę, i wóz jechał w lewo; kiedy zakręt wił się w prawo, a skała była po lewej, Dean wychylał się mocno w prawo, przez co Marylou i ja musieliśmy się wychylać razem z nim. W ten sposób doścignęliśmy do doliny San Joaquin. Rozpościerała się półtora kilometra niżej – ta, można by rzec, podłoga Kalifornii, zielona i zachwycająca z naszej zawieszanej w powietrzu półki. Przejechaliśmy pięćdziesiąt kilometrów, nie zużywając benzyny.

Naraz wszyscy się ożywili. Kiedy dojeżdżaliśmy do rogatek Bakersfield, Dean chciał mi opowiedzieć wszystko, co wie o tym mieście. Pokazywał mi pensjonaty, w których się zatrzymywał, hotele kolejowe, sale bilardowe, knajpki, bocznice, skąd skakał z lokomotywy po winogrona, chińskie restauracje, w których jadał, ławki w parkach, gdzie spotykał różne dziewczyny, i miejsca, w których nic nie robił, tylko siedział, wyczekując. Kalifornia Deana – szalona, wyciskająca pot, ważna, ziemia samotnych, wygnanych, ekscentrycznych kochanków, którzy zlatują się tam jak ptaki, ziemia, gdzie wszyscy sprawiają wrażenie

załamanych, przystojnych, dekadencckich aktorów filmowych.

– Stary, ile to ja godzin przesiedziałem na tym krześle przed tą drogerią. – Pamiętał wszystko, każdą grę w bezika, każdą kobietę, każdą smutną noc. I naraz minęliśmy to miejsce na torowiskach, gdzie Terry i ja siedzieliśmy niegdyś pod księżycem, popijając wino na skrzynkach włóczęgów, w październiku 1947. Próbowałem mu to opowiedzieć. Ale on za bardzo sam był podniecony. – Tutaj Dunkel i ja przez cały ranek popijaliśmy piwo, usiłując zaliczyć naprawdę bombową kelnereczkę z Watsonville... nie, z Trący, tak, z Trący... miała na imię Esmeralda, ech, stary, to było coś.

Marylou snuła plany, co będzie robić po przyjeździe do Frisco. Alfred przechwalał się, że w Tulare ciotka da mu kupę pieniędzy. Wieśniak pilotował nas do swojego brata na równinie pod miastem.

W południe zajechaliśmy pod chałupę obrośniętą różami, wieśniak wszedł do środka i gadał z jakimiś kobietami. Czekaliśmy piętnaście minut.

– Coś mi się widzi, że ten gość ma nie więcej forsy ode mnie – powiedział Dean. – I znów klops! Pewno nikt z całej rodziny nie da mu centa po tej jego idiotycznej eskapadzie.

Wieśniak wyszedł zakłopotany i dopilotował nas do miasta.

– Psiakrew, żebym to ja mógł znaleźć brata.

Zaczął się rozpytywać. Pewno uważał się za naszego więźnia. W końcu wstąpiliśmy do dużej piekarni, skąd wyszedł z bratem; tamten miał na sobie kombinezon, najwyraźniej pracował tam jako mechanik samochodowy. Pogadali, chwilę. Czekaliśmy w wozie. Wieśniak opowiadał wszystkim krewnym o swoich przygodach i o stracie gitary. Ale dostał forszę i dał nam ją, mogliśmy spokojnie jechać do Frisco. Podziękowaliśmy i ruszyliśmy w drogę. Następnym postój – Tulare. Pruliśmy teraz pod górę.

Leżałem na tylnym siedzeniu, zmordowany, oklapły jak dętka, i kiedy tak drzemałem sobie po południu, zabłocony hudson śmignął koło namiotów pod Sabinal, gdzie niegdyś, w widmowej przeszłości, mieszkałem, kochałem, pracowałem. Dean pochylał się sztywno nad kierownicą i katował biegi. Spałem, kiedy w końcu dotarliśmy do Tulare; obudziłem się, żeby wysłuchać niesamowitej historii.

– Sal, obudź się! Alfred znalazł sklep swojej ciotki, ale wiesz, co się stało? Ciotka zastrzeliła swojego męża i poszła do więzienia. Sklep jest zamknięty. Nie dostaliśmy ani centa. Pomyśl tylko! Że też takie rzeczy się zdarzają! Tamten wieśniak opowiadał nam coś podobnego, same kłopoty, jak to się wszystko komplikuje, o raj, a niech mnie!

Alfred gryzł paznokcie. Pod Maderą zjechaliśmy z szosy do Oregonu i tam pożegnaliśmy się z małym Alfredem. Życzyliśmy mu powodzenia, żeby dojechał z Bogiem

do Oregonu. Powiedział, że w życiu nie miał takiej podróży.

Zdawało się, że upłynęło zaledwie kilka minut, a już wjeżdżaliśmy na podgórze tuż przed Oakland, zaraz wspięliśmy się na wyżynę i zobaczyliśmy rozpościerające się przed nami bajecznie białe San Francisco na jedenastu mistycznych wzgórzach, niebieski Pacyfik z napierającą ścianą mgły od Coney Island, dymy i złocistość późnego popołudnia.

– Nareszcie! – rozdarł się Dean. – O rany! Dojechaliśmy! I akurat starczyło benzyny! Ja chcę do wody! Koniec ziemi! Dalej nie ma dokąd jechać, bo skończyła się ziemia! A teraz, Marylou, kochanie, i ty, Sal, idźcie prosto do hotelu i czekajcie, aż odezwę się do was rano, jak tylko dokonam ostatecznych ustaleń z Camille i skontaktuję się z Francuzem w sprawie swojej wachty na kolei, no i z samego rana kupcie gazetę, żeby przejrzeć ogłoszenia i pomyśleć o pracy.

Po czym wjechał na most Oakland, który nas wessał. W śródmiejskich biurowcach rozblyskiwały właśnie światła; od razu przypomniał mi się detektyw Sam Spade. Wysupłaliśmy się z wozu na ulicy O'Farrell, pociągnęliśmy nosami i rozprostowaliśmy kości, czując się, jakbyśmy wyszli na brzeg po długiej podróży morskiej; pod nogami ciągnęła się stroma ulica; w powietrzu unosiła się woń tajemniczych chińskich potraw z tamtejszego Chinatown. Wyładowaliśmy manatki z samochodu i zwaliliśmy je na chodnik. Naraz Dean zaczął się żegnać. Dosłownie go ponosiło, żeby się już spotkać z Camille i dowiedzieć się, co przez ten czas zaszło. Marylou i ja staliśmy ogłupiali na ulicy i patrzyliśmy za nim, jak odjeżdża.

– Widzisz, jaki to drań? – powiedziała Marylou. – Zawsze cię zostawi na pastwę losu, jak mu jest tak wygodnie.

– Wiem – odparłem, obejrzałem się za siebie na wschód i westchnąłem. Nie mieliśmy pieniędzy. Dean nie zająknął się o tym ani słowem. – Gdzie się zatrzymamy?

Zaczęliśmy się snuć po mieście, po wąskich romantycznych ulicach, z naszymi łańchaniarskimi tobołkami. Odnosiło się wrażenie, że wszyscy wokół to załamani statyści filmowi, przywiędłe gwiazdeczki, rozczarowani kaskaderzy, właściciele miniaturowych wyścigów samochodowych, zgorzkniałe kalifornijskie typy owiane smętkiem krańca kontynentu, przystojni dekadencyjni mężczyźni, strugający casanowów, motelowe blondynki z podpuchniętymi oczami, kryminaliści, alfonsi, kurwy, masażyści, gońcy hotelowi – całe to tałatajstwo – i jak tu żyć w takiej bandzie?

Marylou zdążyła jednak trochę poznać tych ludzi – którzy nie odbiegali tak daleko od mętów nowojorskiej dzielnicy rozpusty – i recepcjonista hotelowy z ziemistą twarzą dał nam pokój na kredyt. To był dopiero pierwszy krok. Teraz musieliśmy coś zjeść, ale nic nam się nie trafiło aż do północy, kiedy to znaleźliśmy w jednym z pokoi hotelowych pewną piosenkarkę z klubu nocnego. Dziewczyna postawiła żelazko do góry nogami na wieszaku ubraniowym w koszu na śmieci i podgrzała nam puszkę wieprzowiny z fasolą. Wyjrzałem przez okno na mrugające neony i zadałem sobie w myślach pytanie: „Gdzie jest Dean i dlaczego nie obchodzi go nasz los?”. Tamtego roku straciłem do niego zaufanie. Spędziłem tydzień w San Francisco i byłem tak zadowolony jak nigdy w życiu. Marylou i ja zdzieraliśmy obcasy w poszukiwaniu forsy na jedzenie. Odwiedziliśmy nawet pijanych marynarzy w znanym Marylou domu noclegowym przy ulicy Mission; poczęstowali nas whisky.

W hotelu przemieszkaliśmy razem dwa dni. Zrozumiałem, że teraz, kiedy Dean znikł z pola widzenia, Marylou przestała się mną interesować; wcześniej usiłowała tylko dotrzeć do Deana poprzez jego kumpla, czyli mnie. Wciąż się kłóciliśmy w tym pokoju. Spędzaliśmy też całe noce w łóżku, opowiadałem jej swoje sny. Opowiedziałem jej o wielkim wężu świata, który leży zwinięty w ziemi niczym robak w jabłku, ale pewnego dnia wczołga się na wzgórze, które zyska wówczas nazwę Wężowego Wzgórza, po czym rozwinie się na równinie, będzie miał sto pięćdziesiąt kilometrów długości i sunąc naprzód, będzie pożerał wszystko po drodze. Wyjaśniłem jej, że ten wąż to Szatan.

– I co się wtedy stanie? – pisnęła, mocno we mnie wtulona.

– Zniszczy go święty, zwany doktorem Saksem, za pomocą tajemnych ziół, które w tej właśnie chwili warzy w swojej podziemnej chacie gdzieś w Ameryce. Może się również okazać, że ten wąż jest tylko zewnętrzną powłoką gołębi. Kiedy wąż zdechnie, wyfruną zeń trzepoczące wielkie chmary srebrzystych gołębi i przyniosą dobrą nowinę, pokój całemu światu.

Odchodziłem już od zmysłów z głodu i rozgoryczenia.

Pewnego wieczoru Marylou znikła z właścicielem klubu nocnego. Czekałem na nią zgodnie z umową w bramie po drugiej stronie ulicy, na skrzyżowaniu Larkin i Geary, głodny, kiedy nagle wyszła z foyer ekskluzywnej kamienicy czynszowej ze swoją koleżanką, z właścicielem klubu i z jakimś obleśnym staruchem z plikiem banknotów. Poszła tam niby to zobaczyć się z koleżanką. Przekonałem się, co z niej za dziwka. Bała się nawet dać mi jakiś

znak, chociaż zobaczyła mnie w tej bramie. Przemknęła obok, wsiadła do cadillaca, odjechali. Teraz już nie miałem nikogo, nic.

Wąłęsałem się bez celu, zbierałem pety z ulicy. Przechodziłem obok smażalni ryb na ulicy Market i naraz stojąca w środku kobieta spojrzała na mnie pełnym przerażenia wzrokiem; była właścicielką, pewno myślała, że wejdę tam z bronią, żeby napaść na jej sklep. Uszedłem kilka kroków. Raptem przyszło mi do głowy, że to moja matka przed około dwustu laty w Anglii, że jestem jej synem rozbójnikiem, powracającym z więzienia, żeby ją zadreć przy jej uczciwej pracy w gospodzie. Przystanąłem na chodniku sparaliżowany ekstazą. Spojrzałem w głąb ulicy Market. Nie wiedziałem, czy to ta ulica, czy ulica Canal w Nowym Orleanie – prowadziła do wody, zwodniczej, bo wszechobecnej, podobnie jak Czterdziesta Druga Ulica w Nowym Jorku prowadzi do wody, i człowiek nigdy nie wie, gdzie jest. Pomyślałem sobie o duchu Eda Dunkela przy Times Square. Byłem w delirium. Chciałem wrócić i łypnąć okiem na swoją dziwną dickensowską matkę w tamtej gospodzie. Przeszło mnie mrowie. Zanurzyłem się niejako w całym roju wspomnień, począwszy od roku 1750 w Anglii, a teraz bawiłem jedynie w San Francisco w innym życiu i w innym wcieleniu. „Nie – zdawała się mówić ta kobieta z przerażeniem w oczach – nie wracaj tu i nie nachodź swojej uczciwej, ciężko pracującej matki. Przestałeś być dla mnie synem, podobnie jak twój ojciec, a mój pierwszy mąż, kiedyś przestał być dla mnie mężem. Ten tutaj życzliwy Grek ulitował się nade mną”. (Właścicielem był Grek z owłosionymi rękami). „Jesteś nicponiem, który chciałby tylko zaglądać do kieliszka, urządzać bibki i haniebnie trwonić owoce mojej skromnej pracy w tej gospodzie. O, synu! Czy ty nigdy nie padłeś na kolana i nie pomodliłeś się o uwolnienie od wszystkich swoich grzechów i łajdackich czynów? Zagubiony chłopcze! Odejdź! Nie dręcz mojej duszy. Już udało mi się o tobie zapomnieć. Nie rozdrapuj znów starych ran, niech będzie tak, jak gdybyś nigdy nie wrócił i do mnie tu nie zaszedł, żeby zobaczyć moją pokorę w znoju, mój nędzny uciulany grosz, żądny grabić, chętny okradać, posępny, niekochany, nikczemny synu z mojej krwi. Synu! Synu!”. Przypomniała mi się wizja Dużego Tatki w Graetnie ze Starym Bykiem. I przez jedną krótką chwilę doświadczyłem ekstazy, którą zawsze pragnąłem osiągnąć, jakbym dał krok poprzez czas chronologiczny w ponadczasową cienistość, zadziwienie pośród ponurości śmiertelnego padołu i poczucie, że śmierć depcze mi po piętach, żebym parł naprzód, a jej zjawy też aż gubi pięty, ja zaś pędzę na wystającą za burtę deskę śmierci, skąd uleciały wszystkie anioły i pofrunęły w świętą próżnię wiekuistej pustki, gdzie potężne, niepojęte promienistości błyszczą w jasnej Istocie Umysłu, a niezliczone ziemie lotosowe rozwierają się w magicznym rojowisku niebios. Dobiegał mnie nieopisany, wrzący łoskot, który nie rozbrzmiewał mi w

uszach, tylko wszędzie, i nie miał nic wspólnego z dźwiękiem. Zrozumiałem, że umarłem i odrodziłem się nieskończenie wiele razy, a tylko pamięć mnie zawodzi, bo po prostu przejścia od życia do śmierci i z powrotem do życia są upiornie łatwe, stanowią magiczne przesunięcia do zera, niczym zasypianie i budzenie się znów milion razy, przy całkowitej swobodzie i głębokiej ignorancji. Zrozumiałem, że to falowanie narodzin i śmierci odbywa się tylko i wyłącznie za sprawą stabilności przyrodzonego Umysłu, tak jak wiatr marszczy arkusz czystej, spokojnej, lustrzanej wody. Odczuwałem rozkoszną, swingującą błogość niczym duży zastrzyk heroiny w główną żyłę; niczym łyk wina późnym popołudniem, aż dreszcz przechodzi człowiekowi po ciele; poczułem mrowienie w stopach. Myślałem, że zaraz umrę. Ale nie umarłem, tylko przeszedłem sześć kilometrów, zebrałem z ziemi dziesięć długich petów, przyniosłem je do pokoju hotelowego Marylou, wsypałem tytoń do swojej starej fajki i zapaliłem. Byłem za młody, żeby wiedzieć, co się stało. W oknie poczułem zapach całego jedzenia San Francisco. Były tam restauracyjki z przysmakami morskimi, gdzie podawano gorące bułeczki, a człowiek zjadłby bodaj te koszyki; nawet karty dań kusiły swą miękkością i smakowitością, jak gdyby zanurzono je w gorącym rosole, następnie upieczono i jakby też nadawały się do zjedzenia. Pokażcie mi tylko łuski lufara w karcie przysmaków morskich, a zaraz je zjem; dajcie mi powąchać topionego masła i szczypiec homara. Niektóre lokale specjalizowały się w grubych czerwonych befsztykach z polędwicy *au jus* albo w kurczakach duszonych w winie. W innych lokalach skwierczały hamburgery, a za kawę liczono tylko po dwadzieścia pięć centów. No i ta woń smażonych chińskich potraw z cebulą, która wpadała mi do pokoju wprost z Chinatown, konkurująca z aromatem sosów do spaghetti z North Beach, kraby z Fisherman's Wharf – nie, może lepiej żeberka z Fillmore obracające się na roznach! Do tego rozprażona fasola chili z ulicy Market i jeszcze frytki z pijackiego Embarcadero, gotowane na parze małże z Sausalito po drugiej stronie zatoki – oto moje niedościgłe marzenie z San Francisco. Na dokładkę mgła, wzmagająca głód przenikliwa mgła i pulsowanie neonów w tę łagodną noc, i stukot wysokich obcasów urodziwych kobiet, i białe gołębie w witrynie chińskiego sklepu spożywczego...

W takim stanie zastał mnie Dean, kiedy wreszcie uznał, że warto mnie przy sobie zatrzymać. Zabrał mnie do domu Camille.

– Stary, gdzie jest Marylou?

– Ta dziwka uciekła.

Po Marylou Camille stanowiła ulgę; dobrze wychowana, układna młoda dama, świadoma poza tym faktu, że owe osiemnaście dolarów, które Dean jej wysłał, pochodziły ode mnie. Ale gdzieżeś ty znikła, o słodka Marylou? Odpocząłem kilka dni w domu Camille. Z okna jej salonu w drewnianym domku przy ulicy Liberty było widać całe San Francisco płonące na zielono i czerwono w deszczową noc. Podczas tych kilku spędzonych tam przeze mnie dni Dean wykonywał najbardziej idiotyczną pracę w swojej karierze. Zatrudnił się przy demonstrowaniu nowego typu szybkaru po domach. Handlarz dał mu sterty pokazowych garnków i broszur. Pierwszego dnia Dean pracował jak huragan, rozpierała go energia. Jeździłem z nim po mieście, kiedy umawiał się z klientami. Chodziło o to, żeby dostał towarzyskie zaproszenie na kolację, podczas której wyskakiwał i zaczynał demonstrować szybkar.

– Stary! – wykrzykiwał Dean podniecony. – To jeszcze większy odjazd niż wtedy, kiedy pracowałem u Sinaha. Sinah sprzedawał encyklopedię w Oakland. Nikt nie potrafił mu odmówić. Wygłaszał długie mowy, podskakiwał, śmiał się, płakał. Pewnego razu wdarliśmy się do domu wyrobników z Oklahomy, gdzie wszyscy wybierali się właśnie na pogrzeb. Sinah padł na kolana i modlił się o zbawienie duszy nieboszczyka. Wszyscy wieśniacy zaczęli płakać. Sprzedał im wielotomową encyklopedię. Był najbardziej stukniętym facetem pod słońcem. Ciekawe, gdzie on się teraz podziewa. Zawsze staraliśmy się zbajerować piękne młode dziewczyny i obmacywaliśmy je w kuchni. Tego popołudnia wyrwałem wystrzałową panią domu w kuchni, demonstrowałem jej szybkar, trzymając ją w ramionach. O raj! Ech! Nie mogę!

– Tak trzymaj, Dean – odparłem. – Może pewnego dnia zostaniesz burmistrzem San Francisco.

Miał opracowaną całą gadkę na sprzedaż tych garnków; wieczorami trenował z Camille i ze mną.

Pewnego dnia rano stał nago, patrząc przez okno na całe San Francisco o wschodzie słońca. Wyglądał, jak gdyby miał kiedyś zostać pogańskim burmistrzem San Francisco. Ale energia mu się w końcu wyczerpała. Któregoś deszczowego popołudnia wstąpił do nas ów handlarz, żeby zobaczyć, co Dean porabia. Dean leżał rozwalony na kanapie.

– Próbowalesz to sprzedać?

– Nie – odparł Dean. – Szykuje mi się inna praca.

– To co zrobisz z tymi szybkowarami?

– Nie wiem.

Handlarz w grobowym milczeniu zebrał wszystkie swoje smętne garnki i wyszedł. Miałem dosyć wszystkiego, Dean zresztą też.

Ale pewnego wieczoru znowu obaj dostaliśmy świra; pojechaliśmy zobaczyć Slima Gaillarda w małym klubie nocnym we Frisco. Slim Gaillard to wysoki, tyczkowaty Murzyn z dużymi, smutnymi oczami, który wciąż powtarza: „W porząsiu-oruni” i „Może tak trochę bourbona-oruni”. We Frisco olbrzymie tłumy młodych zapalonych pseudointelektualistów siadywały u jego stóp i słuchały, jak gra na fortepianie, na gitarze i na bębnach bongo. Kiedy się rozgrzeje, ściąga koszulę, podkoszulek i naprawdę zaczyna zaiwaniać. Robi i mówi, co mu tylko przyjdzie do głowy. Śpiewa, powiedzmy, „Betoniarkę, put-ti, put-ti” i naraz zwalnia rytm, zamyśla się nad swoimi bębnami bongo, tak że opuszki palców ledwie muskają skórę, a wszyscy wyciągają szyje i wstrzymują oddech, żeby go usłyszeć; można by sądzić, że to potrwa najwyżej minutę albo niewiele dłużej, ale on tak ciągnie nawet i godzinę, wydobywając nieuchwytnie drobne dźwięki opuszkami palców, coraz to cichsze, aż w końcu nic nie słyhać, tylko przez otwarte drzwi wpadają odgłosy ulicy. Wtedy powoli wstaje, bierze mikrofon i równie powoli mówi:

– Wielkie-oruni... bomba-owauti... halo-oruni... bourbon-oruni... wszystko-oruni... jak tam chłopaki w pierwszym rzędzie radzicie sobie z dziewczynami-oruni... oruni... wauti... oruniruni...

I tak przez piętnaście minut, a głos cichnie coraz bardziej, aż w końcu nic nie słyhać. Dużymi smutnymi oczami wodzi po widowni.

Dean stoi z tyłu i pokrzykuje:

– O Boże! Tak! – I klaszcze w ręce do swojej modlitwy, i ocieka potem. – Sal, ten Slim wie, co to czas, on wie, co to czas.

Slim zasiada do pianina, uderza dwa dźwięki, dwa C, potem jeszcze dwa, jeszcze jeden, jeszcze dwa i naraz wielki, tęgi basista wyrывa się z zadumy, bo słyszy, że Slim gra *C-Jam Blues*, no więc zaczyna walić dużym palcem wskazującym w struny, i rodzi się wielki dudniący rytm, i wszyscy zaczynają się kołysać, a Slim ma w oczach ten sam smutek co zawsze, i tak kołują przez pół godziny, po czym Slim zaczyna świrować, chwytając bongo, gra niesamowitą, szybką muzykę kubańską i wydaje różne szalone okrzyki w języku hiszpańskim, arabskim, w dialekcie peruwiańskim, egipskim, we wszystkich znanych sobie językach, a zna ich bez liku. Wreszcie występ się kończy, a każdy trwa dwie godziny. Slim Gaillard schodzi, staje pod filarem, patrzy ze smutkiem ponad głowami, kiedy ludzie podchodzą, żeby z nim pogadać. Ktoś podaje mu bourbona.

– Bourbon-oruni, dzięki-owauti...

Nikt nie wie, gdzie Slim Gaillard błądzi. Kiedyś Deanowi przyśniło się, że jest w ciąży i że ma rozdęty siny brzuch, a leży na trawniku szpitala w Kalifornii. Pod drzewem, w otoczeniu Murzynów, siedział Slim Gaillard. Dean spojrzał na niego wzrokiem zrozpaczonej matki. Slim powiedział:

– No i widzisz-oruni.

Wtedy Dean do niego podszedł, podszedł do swojego Boga; bo uważał Slima za Boga; przestępując z nogi na nogę, pokłonił mu się i zaprosił, żeby się do nas przyłączył. „W porząsiu-oruni” – odparł Slim; przyłączy się do kogokolwiek, tylko nie gwarantuje, że będzie tam obecny duchem. Dean zdobył stół, postawił trunki i siedział sztywno przed Slimem. Slim rozmarzył się nad jego głową. Za każdym razem, kiedy Slim mówił: „Oruni”, Dean odpowiadał: „Tak!”. Siedziałem tam z tymi dwoma wariatami. Nic się nie wydarzyło. Dla Slima Gaillarda cały świat był jednym wielkim oruni.

Tego samego wieczoru nadziałem się na Abazura przy zbiegu ulic Fillmore i Geary. Abazur to potężny Murzyn, który zachodzi do barów muzycznych Frisco w płaszczu, kapeluszu i apasce, wskakuje na podium orkiestry i zaczyna śpiewać; na czole występują mu żyły; kołysze się do tyłu i wszystkimi muskułami duszy ciągnie wielkiego zapomnianego bluesa. Śpiewając, krzyczy na ludzi: „Nie umierajcie, żeby iść do nieba, zaczynajcie od doktora Peppera, a kończcie na whisky!”. Jego głos dudni nad całą salą. Facet robi miny, skręca się, robi dosłownie wszystko. Podszedł do naszego stolika, pochylił się nad nami i rzucił: „Tak!”, po czym wyszedł chwiejnym krokiem na ulicę, żeby zajrzeć do innego baru. Jest też Connie Jordan, wariat, który śpiewa, macha rękami, a w końcu obryzguje wszystkich własnym potem, kopie mikrofon, wrzeszczy jak baba; można go zobaczyć późną nocą, jak umordowany słucha obłądnych sesji jazzowych w Jamson’s Nook, ma duże okrągłe oczy i obwisłe ramiona, patrzy tępo w dal, przed nim stoi kieliszek. Nigdy w życiu nie widziałem takich nawiedzonych muzyków. Wszyscy we Frisco dawali czadu. To był kraniec kontynentu; nikt się tu niczym nie przejmował. Dean i ja objaliśmy się tak w San Francisco, aż w końcu dostałem kolejny czek rządowy i zacząłem się zbierać do domu.

Sam nie wiem, co mi dał ten wyjazd do Frisco. Camille chciała, żebym już wyjechał; Deanowi było wszystko jedno. Kupiłem bochenek chleba, wędlinę i zrobiłem sobie dziesięć kanapek, żeby znów przemierzyć cały kraj; wszystkie miały mi się zepsuć, zanim dotarłem do Dakoty. Ostatniego wieczoru Dean dostał świra, odszukał Marylou gdzieś w centrum, wskoczyliśmy do wozu i pojechaliśmy aż do Richmond po drugiej stronie zatoki, wpadając do murzyńskich spelun jazzowych na terenach roponośnych. Marylou usiadła, a jakiś Murzyn

wyciągnął spod niej krzesło. W toalecie obstały ją jakieś dziewczyny z propozycjami. Mnie zresztą też nagabywano. Dean ociekał potem. To był już koniec; chciałem się stamtąd wyrwać.

O świcie wsiadłem w autobus do Nowego Jorku, pożegnawszy się z Deanem i z Marylou. Chcieli mi zabrać kilka kanapek, odmówiłem. To była ponura chwila. Wszyscy myśleliśmy, że nigdy się więcej nie spotkamy, i wcale się tym nie przejmowaliśmy.

## Część trzecia

### 1

Wiosną 1949 roku miałem kilka dolarów zaoszczędzonych na studia z czeków rządowych, pojechałem więc do Denver z myślą, żeby tam osiąść na stałe. Widziałem siebie jako patriarchę w środkowej Ameryce. Byłem samotny. Nikogo tam nie zastałem – ani Babe Rawlins, ani Raya Rawlinsa, Tima Graya, Berty Gray, Rolanda Majora, Deana Moriarty’ego, Carla Marksa, Eda Dunkela, Roya Johnsona, Tommy’ego Snarka, nikogo. Snułem się ulicami Curtis i Larimer, wziąłem dorywczą pracę na hurtowym rynku owoców, gdzie mało brakowało, żebym się zatrudnił w roku 1947 – była to najcięższa praca, jaką miałem w życiu; pewnego razu młodzi Japończycy i ja musieliśmy przepchnąć ręcznie wagon-platformę trzydzieści metrów po szynach za pomocą takiego ustrojstwa, które przesunęło ją o centymetr za każdym pchnięciem. Dźwigałem skrzynki arbuźów po oblodzonej podłodze chłodni w oślepiającym słońcu, kichając. Na miłość boską i gwiazdy na niebie, po co?

O zmroku chodziłem na spacer. Czułem się jak pyłek na powierzchni smutnej czerwonej ziemi. Mijałem hotel Windsor, w którym ongiś, w latach trzydziestych, latach wielkiego kryzysu, mieszkał Dean Moriarty z ojcem, i jakby to było dzisiaj, wszędzie wypatrywałem smutnego osławionego Blacharza, który zaprzętał mi myśli. Człowiek albo znajduje kogoś, kto wygląda zupełnie jak jego ojciec, w takich dziwnych miejscach jak Montana, albo szuka ojca przyjaciela tam, gdzie go już nie ma.

W pewien fioletowy wieczór szedłem cały obolały pośród świateł Dwudziestej Siódmej i Welton w dzielnicy kolorowych w Denver, żalując, że nie jestem Murzynem, czując, że najlepsze strony świata białych nie mają dla mnie dosyć ekstazy, dosyć życia, radości, ubawu, mroku, muzyki, nie mają dosyć nocy. Zatrzymałem się przy małej budce, w której jakiś facet sprzedawał ostre czerwone chili w kartonowych pojemnikach; kupiłem porcję i zjadłem, zapuszczając się w mroczne, tajemnicze uliczki. Żalowałem, że nie jestem

Meksykaninem z Denver czy choćby biednym, zaharowanym Japońcem, kimkolwiek, byle nie tym, kim byłem do znudzenia – rozczarowanym „białym człowiekiem”. Przez całe życie miałem białe ambicje; dlatego właśnie porzuciłem w dolinie San Joaquin taką wspaniałą kobietę jak Terry. Mijałem ciemne ganki meksykańskich i murzyńskich domów; dobiegały stamtąd ciche głosy, czasem błysnęło śniade kolano tajemniczej, zmysłowej dziewczyny; a zza krzewów róż wyzierały ciemne twarze mężczyzn. Małe dzieci siedziały niczym mędrcy w przedpotopowych fotelach na biegunach. Przeszła grupa Murzynek, jedna z młodszych oderwała się od starszych matron, podskoczyła do mnie: „Cześć, Joe!”. I zaraz zobaczyła, że to nie Joe, odbiegła więc zarumieniona. Żałowałem, że nie jestem Joem. Byłem tylko sobą, Salem Paradise, smutnym, spacerującym w tych fioletowych ciemnościach, w ten niesamowicie upojny wieczór, żałując, że nie mogę się zamienić na światy ze szczęśliwymi, prostodusznymi, ekstatycznymi Murzynami Ameryki. Obskurne dzielnice przypominały mi Deana i Marylou, którzy tak dobrze znali z dzieciństwa gąszcz tych ulic. Co ja bym dał, żeby ich znaleźć.

Na rogu Dwudziestej Trzeciej i Welton odchodził mecz softballu na boisku zalanym blaskiem reflektorów, które oświetlały również zbiornik z benzyną. Po każdej akcji rozlegał się ryk wielkiego, rozentuzjasmowanego tłumu kibiców. Na boisku uwijała się zbieranina dziwnych młodych bohaterów, białych, czarnych, Meksykanów, Indian czystej krwi, którzy grali ze wzruszającą powagą. Ot, takie dzieciaki z piaskownicy, tyle że w sportowych strojach. Nigdy w swojej karierze sportowej nie pozwoliłem sobie na taki występ przed oczyma rodzin, sympatii i chłopaków z okolicy, wieczorem, pod światłami; zawsze grało się w college’u, uroczyste mecze, z zacięciem na twarzy, bez takiej chłopięcej, ludzkiej radości jak ta. A teraz już było za późno. Obok mnie siedział stary Murzyn, który najwyraźniej co wieczór oglądał rozgrywki. Za nim siedział stary biały włóczęga; dalej rodzina meksykańska, potem jakieś dziewczyny, jacyś chłopcy – cała ludzkość, wszyscy. Och, jak smutno płonęły światła owego wieczoru! Młody zawodnik, który rzucał piłkę, wyglądał wypisz, wymaluj jak Dean. A pewna śliczna blondynka na widowni była kubek w kubek podobna do Marylou. Była to Noc Denver; a ja tylko umierałem.

*Hen tam w Denver, hen tam w Denver  
tylko umierałem*

Po drugiej stronie ulicy na frontowych schodkach rozsiadły się murzyńskie rodziny, rozmawiały, patrzyły przez drzewa na rozgwieżdżoną noc i po prostu odpoczywały w tej

łagodnej aurze, a czasem też zerkały na mecz. Ulicą przejeżdżało wiele samochodów, zatrzymując się na rogu, kiedy zapalało się czerwone światło. Panowała atmosfera podniecenia, w powietrzu aż wibrowała prawdziwa radość życia, które nie zna rozczarowań, „białych smutków” ani tego wszystkiego. Stary Murzyn obok mnie wyjął z kieszeni marynarki puszkę piwa i zabierał się do jej otwierania; starszy biały człowiek spozierał z zazdrością na tę puszkę i zaczął szperać w kieszeni, żeby sprawdzić, czy jego też byłoby stać na piwo. Jak ja umierałem! Uciekłem stamtąd.

Poszedłem odwiedzić swoją przyjaciółkę przy forsie. Rano wyjęła z jedwabnej pończochy banknot studolarowy i powiedziała:

– Wciąż mówisz o tej podróży do Frisco. Skoro tak, weź to, jedź i dobrze się zabaw.

Ten gest rozwiązał wszystkie moje problemy, przez biuro podróży znalazłem samochód do Frisco za jedenaście dolarów na benzynę i znów ruszyłem przez kraj.

Samochód prowadziło dwóch facetów; oświadczyli, że są alfonsami. Dwaj pozostali byli pasażerami tak jak i ja. Siedzieliśmy ściśnięci, a każdy myślał o swoim celu podróży. Minęliśmy przełęcz Berthoud, skąd zjechaliśmy na wielki płaskowyż, Tabernash, Troublesome, Kremmling; następnie przełęcz Królicze Uszy do Źródeł Parowych i dalej, osiemdziesiąt kilometrów jazdy w kurzu; potem Craig i Wielka Pustynia Amerykańska. Kiedy przekraczaliśmy granicę stanów Kolorado i Utah, ujrzałem na niebie Boga w postaci olbrzymich, złocistych, rozpalonych słońcem chmur nad pustynią, które wskazywały mnie jakby palcem i mówiły: „Jedź dalej i nie zatrzymuj się, jesteś w drodze do nieba”. Ale, niestety, bardziej mnie interesowały stare przegniłe wozy z budami i stoły bilardowe na pustyni Nevada w pobliżu kiosku z coca-colą, chaty z osmaganymi deszczem tablicami, wciąż dyndającymi na upiornym, zawołanym wietrze pustyni, które głośno: „Tu mieszkał Bill Grzechotnik” albo „Annie Złamana Szczeka zamelinowała się tu na wiele lat”. Tak, fru! W Salt Lake City alfonsi sprawdzili swoje dziewczęta i pojechaliśmy dalej. Zanim się obejrzałem, znów patrzyłem na osławione San Francisco ciągnące się nad zatoką w środku nocy. Natychmiast pobiegłem do Deana. Miał teraz mały domek. Straszliwie chciałem się dowiedzieć, co mu teraz chodzi po głowie i co się teraz zdarzy, bo za mną nie było już nic, spaliłem wszystkie mosty i nic mnie nie trzymało. O drugiej nad ranem zapukałem do jego drzwi.

Podszedł do drzwi nago, jak go Pan Bóg stworzył, niczym się w ogóle nie przejmował, mógłby pukać do niego choćby i sam prezydent. Przyjmował świat jak leci.

– Sal! – zawołał ze szczerym przejęciem. – Nie myślałem, że naprawdę się na to zdobędziesz. W końcu do mnie przyjechałeś.

– Aha – odparłem. – Wszystko się u mnie zawaliło. A co u ciebie?

– Kiepskawo, kiepskawo. Ale musimy obgadać milion spraw. Sal, nadszedł wreszcie czas, żebyśmy szczerze pogadali i wszystko sobie wyjaśnili raz na zawsze.

Obaj zgodziliśmy się co do tego i weszliśmy do środka. Mój przyjazd przypominał trochę przybycie obcego, ze wszech miar złego anioła do domu śnieżnobiałego runa, bo Dean i ja natychmiast zaczęliśmy gadać podnieceni w kuchni na dole, co wywołało szloch na górze. Na wszystko, co mówiłem, Dean reagował nawiedzonym, rozedrganym, rzucanym szeptem „Tak”. Camille wiedziała, co się święci. Najwyraźniej Dean zachowywał się przez kilka miesięcy spokojnie; a teraz zjawił się zły anioł i Dean znów zaczął świrować.

– Co jej jest? – zapytałem szeptem.

– Stary, ona się robi coraz gorsza – odparł. – Wiecznie płacze i robi awantury, nie pozwala mi chodzić na Slima Gaillarda, wścieka się za każdym razem, kiedy się spóźnię, a jak siedzę w domu, w ogóle się do mnie nie odzywa, tylko powtarza, że jestem potworem.

Skoczył na górę, żeby ją uspokoić. Dobiegł mnie krzyk Camille: „Kłamca, kłamca, kłamca!”. Skorzystałem z okazji, żeby obejrzeć ten ich cudowny domek.

To był piętrowy, przechylony, wałący się drewniany dom pośród bloków mieszkalnych, na samym szczycie Russian Hill, z widokiem na zatokę; miał cztery izby, trzy pokoje na górze i jedną olbrzymią kuchnię na dole. Kuchenne drzwi wychodziły na trawiaste podwórko ze sznurami do bielizny. W głębi kuchni znajdował się magazynek, w którym stały stare buty Deana, wciąż oblepione kilkucentymetrową warstwą zaschniętego teksaskiego błota jeszcze z owej nocy, kiedy hudson ugrzązł w rzece Brazos. Oczywiście hudsona już nie było; Dean nie miał z czego płacić kolejnych rat. Teraz w ogóle nie miał samochodu. Przypadek sprawił, że spodziewali się drugiego dziecka. Strasznie nieprzyjemnie było słuchać tych szlochów Camille. Nie mogliśmy wytrzymać, poszliśmy więc po piwo i przynieśliśmy je do kuchni. Camille wreszcie zasnęła albo spędzała noc, wpatrując się tępo w ciemności. Nie miałem pojęcia, co tu się właściwie dzieje złego, chyba że Dean naprawdę doprowadził ją w końcu do obłądu.

Po moim wyjeździe z Frisco znów zwariował na punkcie Marylou, przez wiele miesięcy nawiedzał ją w jej mieszkaniu w Divisadero, gdzie co wieczór przyjmowała innego marynarza, zaglądał przez szparę na listy w drzwiach, przez którą widać było łóżko. I w ten sposób oglądał rano Marylou rozwaloną z jakimś facetem. Śledził ją po całym mieście. Chciał mieć niezbity dowód na to, że jest dziwką. Kochał ją, szalał na jej punkcie. W końcu trafił przez przypadek na paskudne zielepastwo – jak handlarze mówią na zieloną, niedosuszoną marihuanę – i za dużo go wypalił.

– Pierwszego dnia – opowiadał mi – leżałem w łóżku sztywny jak deska, nie mogłem się ruszyć ani powiedzieć słowa; patrzyłem tylko przed siebie szeroko otwartymi oczyma. W głowie mi dzwoniło, a przed oczami przelatywały najrozmaitsze cudowne wizje w technikolorze, czułem się cudownie. Drugiego dnia wszystko się na mnie zważyło, WSZYSTKO, co kiedykolwiek robiłem, wiedziałem, czytałem, słyszałem lub wymyśliłem, wróciło do mnie i układało mi się na nowo w głowie w nowiusieńkim, logicznym porządku, a ponieważ nie mogłem myśleć o niczym innym, bo całym sobą starałem się pojąć i zaspokoić odczuwane zdziwienie i wdzięczność, w kółko powtarzałem: „Tak, tak, tak, tak”. Ale nie głośno, tylko takie cichutkie „tak”. Wizje zielonej trawy utrzymywały się aż do trzeciego dnia. Do tego czasu wszystko zrozumiałem, podjąłem decyzje na temat całego życia, wiedziałem, że kocham Marylou, wiedziałem, że muszę odnaleźć swojego ojca, gdziekolwiek jest, i go ocalić, wiedziałem, że jesteś moim kumplem i tak dalej, wiedziałem, jaki wspaniały jest Carlo. Wiedziałem tysiąc rzeczy o wszystkich wszędzie. I wtedy, na trzeci dzień, zaczął się straszliwy ciąg koszmarów na jawie, a były tak ohydne, przerażające i zielone, że leżałem tylko zwinięty w kłębek, trzymałem się rękami za kolana i jęczałem: „Och, och, och, ach, och...”. Usłyszeli to sąsiedzi i posłali po lekarza. Camille nie było w domu, wyjechała z dzieckiem do swoich starych. Przejęli się mną wszyscy sąsiedzi. Weszli i zastali mnie leżącego na łóżku z rękami wyciągniętymi na sztywno. Sal, pobiegłem do Marylou z resztą tego zielepastwa. I wiesz, że to samo zdarzyło się tej głupiej dzirze? Te same wizje, ta sama logika, te same ostateczne decyzje na temat wszystkiego, ujrzenie wszystkich prawd w jednej bolesnej ampułce, a wreszcie koszmary i ból... brrr! Wtedy zrozumiałem, że kocham ją tak bardzo, że chętnie bym ją zabił. Pobiegłem do domu i zacząłem tłuc głową w ścianę. Pobiegłem do Eda Dunkela, wrócił do Frisco z Galateą, spytałem go o takiego jednego naszego znajomego, co ma broń, poszedłem do faceta, dostałem pistolet, pobiegłem do Marylou, zajrzałem przez szparę na listy, Marylou spała z jakimś facetem, musiałem się wycofać i zastanowić, wróciłem za godzinę, wdarłem się do środka, była sama, podałem jej pistolet i poprosiłem, żeby mnie zabiła. Trzymała ten pistolet w ręku dosłownie całe wieki.

Prosiłem ją o pakt słodkiej śmierci. Nie chciała. Powiedziałem, że jedno z nas musi umrzeć. Zaprzeczyła. Zacząłem tłuc głową w ścianę. Stary, naprawdę mi odbiło. Sama ci opowie, jakoś mnie od tego odwiódła.

– I co się potem stało?

– O, to już było wiele miesięcy temu, zaraz po twoim wyjeździe. W końcu wyszła za handlarza używanymi samochodami, i ten głupi drań przyrzekł, że mnie zabije, jak tylko mnie znajdzie, w razie czego będę się musiał bronić, zabiję go i trafię do San Quentin, bo widzisz, Sal, jeszcze jeden mój szpas, a dadzą mi dożywocie w San Quentin, to już mój koniec. A jeszcze do tego ta cholerna ręka. – Pokazał mi rękę. W tym całym podnieceniu nie zauważyłem wcześniej, że doznał straszliwego urazu ręki. – Dwudziestego szóstego lutego o szóstej wieczorem uderzyłem Marylou w czoło, dokładnie było to o szóstej dziesiątej, bo pamiętam, że za godzinę i dwadzieścia minut miałem ruszać w obłądną podróż towarowcem, to było nasze ostatnie spotkanie i po raz ostatni podjęliśmy wszystkie decyzje, a teraz posłuchaj: kciuk mi się ześlizgnął z jej czoła, nawet nie zostawił sińca – ona się tylko roześmiała – a mnie się złamał tuż przy nadgarstku, i potem jakiś straszny lekarz nastawiał mi kości, co nie było łatwe, musiał trzy razy zakładać gips, w sumie przesiedziałem dwadzieścia trzy godziny na twardych ławkach, wyczekując i tak dalej, wreszcie przy ostatnim gipsie wsadzili mi gwóźdź w czubek palca, tak że w kwietniu, kiedy mi zdjęli gips, od tego gwoździa wdało się zakażenie kości, dostałem zapalenia szpiku, które okazało się chroniczne, no więc po operacji, nieudanej, i po miesiącu w gipsie skutek był taki, że amputowali mi koniuszek.

Odwinął bandaż i pokazał. Pod paznokciem brakowało mniej więcej centymetra ciała.

– Ale jedna bieda goniła drugą. Musiałem utrzymywać Camille i Amy, dlatego tyrałem jak osioł w Firestone przy wulkanizacji opon, a potem wciągałem te wielkie, siedemdziesięciokilogramowe opony z podłogi na samochody, ale mogłem to robić tylko zdrową ręką i wciąż się waliłem w tę chorą, znów ją złamałem, jeszcze raz musieli ją składać i znów mi się paskudzi i puchnie. Teraz więc ja się zajmuję dzieckiem, a Camille pracuje. Rozumiesz? Kurza dupa, zszedłem na psy, swingujący Moriarty wylądował z trefnym paluchem, żona codziennie robi mu zastrzyki z penicyliny, od czego on dostaje pokrzywki, bo jest uczulony. Musi wziąć sześćdziesiąt tysięcy jednostek płynu Fleminga w ciągu miesiąca. Przez ten miesiąc musi co cztery godziny łykać tabletkę, żeby zwalczyć alergię wytwarzaną przez płyny ustrojowe. Musi brać aspirynę z kodeiną, żeby uśmierzyć ból w kciuku. Musi się poddać operacji nogi z powodu zapalenia torebki stawowej. W najbliższy poniedziałek musi wstać o szóstej rano na czyszczenie zębów. Dwa razy w tygodniu musi chodzić do specjalisty

od nóg na zabiegi. Co wieczór musi pić syrop na kaszel. Musi ciągle wydmuchiwać nos i prychać, żeby go przeczyścić, bo mu się zapadł tuż pod grzbietem osłabiony przez operację zrobioną ileś lat temu. Stracił kciuk w ręce, którą się rzuca piłką. A w podawaniu piłki futbolowej na siedemdziesiąt jardów nie miał sobie równych w dziejach Domu Poprawczego Stanu Nowy Meksyk. A mimo to... mimo to nigdy nie czułem się lepiej, fajniej i radośniej na tym świecie, oglądam sobie rozkoszne dzieciaki bawiące się w słońcu, i tak się cieszę, że cię widzę, mój cudowny, bombowy, genialny Salu, i wiem, po prostu wiem, że wszystko będzie dobrze. Zobaczysz ją jutro, moją niesamowitą, kochaną, śliczną córę, która potrafi już ustać sama przez trzydzieści sekund, waży dziesięć kilo, ma siedemdziesiąt cztery centymetry. Właśnie sobie wyliczyłem, że jest w trzydziestu jeden i ćwierć procent Angielką, w dwudziestu siedmiu i pół Irlandką, w dwudziestu pięciu Niemką, w ośmiu i trzech czwartych procent Holenderką, w siedmiu i pół Szkotką i w stu procentach wspaniałą pannicą. – Pogratulował mi serdecznie, kiedy się dowiedział, że skończyłem książkę i że właśnie przyjęto ją do druku w wydawnictwie. – Znamy życie, Sal, każdy z nas starzeje się pomału i stopniowo dochodzi do sedna spraw. Doskonale rozumiem to, co mi mówisz o swoim życiu, zawsze rozumiałem, co czujesz, czyli teraz jesteś gotów związać się z jakąś naprawdę wspaniałą dziewczyną, jeżeli zdołasz ją tylko znaleźć, przygruchać i nakłonić, żeby się wczuła w twoją duszę, tak jak ja naprawdę próbowałem z tymi swoimi przeklętymi babami. Cholera! Cholera! Cholera! – zawył.

A rano Camille wyrzuciła nas obu z rzeczami, ze wszystkim. Zaczęło się od tego, że zadzwoniliśmy do Roya Johnsona, starego Roya z Denver, i zaprosiliśmy go do nas na piwo, kiedy Dean zajmował się małą, zmywał naczynia i robił pranie na podwórku, ale z tego podniecenia nawalał na całej linii. Johnson zgodził się nas zawieźć do Mill City, żebyśmy mogli poszukać Remiego Boncoeura. Wróciła Camille z pracy, a pracowała wtedy w gabinecie lekarskim, i posłała nam smutne spojrzenie udręczonej kobieciny. Usiłowałem dać do zrozumienia tej znękaney kobiecie, że wcale nie mam zamiaru rozwalać jej życia rodzinnego, no więc przywitałem się z nią jak gdyby nigdy nic i rozmawiałem jak najserdeczniej, ale ona wiedziała, że to wszystko blaga, może zresztą nauczyłem się tego od Deana, i tylko uśmiechnęła się do mnie blado. Rano rozegrała się okropna scena: Camille leżała na łóżku, szlochając, a mnie się akurat zachciało do łazienki, i nie było innej drogi jak przez jej pokój.

– Dean, Dean – zawołałem – gdzie jest najbliższy bar?

– Bar? – spytał zaskoczony. Mył właśnie ręce na dole w kuchennym zlewie. Sądził, że chcę się upić. Powiedziałem mu, jaki mam kłopot, ale on mnie zachęcił: – Coś ty, przechodź,

ona tak zawsze.

Nie, to było nie do pomyślenia. Wybiegłem poszukać jakiegoś baru; przeleciałem tam i z powrotem cztery przecznice Russian Hill, ale mijałem tylko pralnie, kioski z napojami, salony kosmetyczne. Wróciłem do przechylnego domku. Oboje wrzeszczeli na siebie, kiedy wślizgnąłem się do środka z bladym uśmiechem na twarzy i zamknąłem w łazience. Po chwili Camille wyrzuciła rzeczy Deana na podłogę w dużym pokoju i kazała mu się pakować. Ku swojemu zdumieniu zobaczyłem nad kanapą wielki obraz olejny Galatei Dunkel. Naraz uświadomiłem sobie, że te wszystkie kobiety spędzają całe miesiące razem we wspólnej samotności i kobiecości, rozprawiając o obłędzie swoich mężczyzn. Usłyszałem pomyłony chichot Deana, który rozbrzmiewał w całym domu przy akompaniamencie wrzasków małej. Chwilę później Dean już fruwał po domu jak Groucho Marx, z tym swoim złamanym kciukiem owiniętym wielkim białym bandażem, a sterczał mu ten kciuk jak jakaś latarnia morska, która stoi bez ruchu nad szaleństwem fal. I znów zobaczyłem ten jego żalony, olbrzymi, wysłużony kufer z wystającymi skarpetkami i brudną bielizną osobistą; pochylił się nad nim, wrzucając wszystko, co tylko znalazł. Potem wyjął walizkę, najbardziej sfatygowaną walizkę w całych Stanach Zjednoczonych. Była z tektury imitującej skórę i miała przyklejone jakieś takie zawiasy. Przez samo wieczko biegło wielkie rozdarcie; Dean obwiązał ją sznurem. Następnie złapał worek żeglarski i zaczął do niego wrzucać swoje rzeczy. No to ja też wyjąłem swój worek, napchałem go, i kiedy Camille leżała na łóżku, powtarzając: „Kłamca! Kłamca! Kłamca!”, wyskoczyliśmy z domu i dotaszczyliśmy się do najbliższego tramwaju – kłębowisko mężczyzn i walizek z tym olbrzymim zabandażowanym kciukiem sterczącym do góry.

Ten kciuk stał się symbolem ostatecznej fazy rozwoju Deana. Dean niczym się nie przejmował (tak jak przedtem), tyle że teraz również przejmował się wszystkim teoretycznie; innymi słowy, wychodziło na jedno, należał do świata i nic nie mógł na to poradzić. Zatrzymał mnie na samym środku ulicy.

– Posłuchaj, stary, wiem, że musisz być nielicho wkurzony. Dopiero co przyjechałeś do miasta i zaraz pierwszego dnia zostaliśmy wyrzuceni z domu, więc pewno się zastanawiasz, co ja zrobiłem, żeby sobie na coś takiego zasłużyć, i tak dalej... a na dobitkę te wszystkie koszmarnie powikłania... he-he-he!... ale spójrz na mnie. Sal, proszę cię, spójrz na mnie.

Spojrzałem na niego. Miał na sobie podkoszulek, podarte spodnie opadające na brzuchu, przydeptane buty; był nieogolony, miał rozkudłane włosy, przekrwione oczy, no i ten olbrzymi zabandażowany kciuk sterczący w powietrzu na wysokości serca (bo tak go

musiał bez przerwy trzymać), a na twarzy najbardziej głupkowaty uśmieszek, jaki w życiu widziałem. Kręcił się w kółko i patrzył na wszystkie strony.

– I co widzą moje gały? Ech, błękit nieba. Longfellow! – Pokiwał się i zamrugał. Przetarł oczy. – No i te okna... Przyważyłeś kiedyś okna? No to pogadajmy o oknach. Widziałem w życiu naprawdę obłądne okna, które stroiły do mnie miny, niektóre miały zaciągnięte żaluzje i tak do mnie mrugały. – Wyłowił z worka żeglarskiego egzemplarz *Tajemnic Paryża* Eugenia Sue i poprawiwszy sobie z przodu podkoszulek, zaczął tam, na rogu ulicy, czytać z wielką uwagą. – A teraz, jak rany, Sal, żeby niczego nie przegapić...

Po chwili o tym zapomniał i rozglądał się niewidzącym wzrokiem wokół siebie. Dobrze, że przyjechałem, bo właśnie teraz byłem mu potrzebny.

– Dlaczego Camille cię wyrzuciła? Co teraz zrobisz?

– Co? – powtórzył. – Co? Co?

Wysilaliśmy mózgownice, dokąd by się udać i co ze sobą zrobić. Zrozumiałem, że to ja muszę podjąć decyzję. Biedny, naprawdę biedny Dean – chyba sam diabeł nigdy nie stoczył się niżej; w kretynizm, z zakażonym kciukiem, z całą stertą sfatygowanych walizek swojego sierocego, rozgorączkowanego życia przez całą Amerykę i z powrotem niezliczoną ilość razy, nedorobiony ptak.

– Chodźmy na piechotę do Nowego Jorku – zaproponował – a po drodze będziemy wszystko rejestrować.

Wyjąłem całe swoje pieniądze, przeliczyłem. Pokazałem mu.

– Mam przy sobie – powiedziałem – osiemdziesiąt trzy dolary plus drobne, no więc jeżeli chcesz, jedźmy do Nowego Jorku. A potem pojedźmy do Włoch.

– Do Włoch? – zainteresował się. Oczy mu rozbłysły. – Do Włoch, taaa. Tylko jak się tam dostaniemy, drogi Salu?

Zastanowiłem się chwilę.

– Zarobię forszę. Od wydawców dostanę tysiąc dolarów. Musimy się załapać na obłądne kobiety w Rzymie, w Paryżu i w innych miastach. Będziemy przesiadywali w ulicznych kafejkach, będziemy mieszkali w burdelach. No to co, jedziemy do Włoch?

– Czemu nie – odparł Dean, ale dopiero po chwili zrozumiał, że mówię poważnie, i zerknął na mnie kątem oka, bo nigdy przedtem nie podejmowałem zobowiązań dotyczących jego uciążliwego żywota, a było to spojrzenie człowieka, który waży swoje szanse w ostatniej chwili, zanim uczyni zakład. W jego oczach malowały się triumf i wyniosłość, demoniczne spojrzenie, i tak przez dłuższy czas nie odrywał ode mnie wzroku. Z kolei ja spojrzałem na niego i oblałem się rumieńcem.

– Co jest? – spytałem. I od razu poczułem się parszywie. Nie odpowiedział, tylko wciąż patrzył na mnie z ukosa tym samym ostrożnym, wyniosłym wzrokiem.

Usiłowałem przypomnieć sobie wszystko, co Dean robił w życiu, i nie znalazłem tam nic takiego, co mogłoby go skłaniać teraz do podejrzliwości. No więc stanowczo, zdecydowanie powtórzyłem:

– Jedź ze mną do Nowego Jorku. Mam forszę.

I spojrzałem na niego; źrenice zaszklily mi się ze wstydu i od łez. Ale on nie odrywał ode mnie oczu. Tyle że teraz patrzył obojętnym wzrokiem, przesywającym mnie na wylot. To był zapewne decydujący moment naszej przyjaźni, kiedy uprzytomnił sobie, że naprawdę ileś godzin myślałem o nim i o jego kłopotach, no więc usiłował to jakoś zaszeregować w swojej niesamowicie skotłowanej i udręczonej głowie. Coś w nas obu zaskoczyło. U mnie była to nagła troska o człowieka ładnych kilka lat młodszego ode mnie, dokładnie pięć, którego los w ciągu ostatnich lat splatał się z moim; u niego było to coś, co mogłem oszacować tylko na podstawie jego reakcji. Naraz ogarnęła go szalona radość, powiedział, że wszystko załatwione.

– A dlaczego ty tak na mnie patrzył? – spytałem. Zabolało go to moje pytanie. Nachmurzył się. A Dean rzadko się chmurzył. Obaj byliśmy zakłopotani i czegoś niepewni. Staliśmy w piękny słoneczny dzień na szczycie wzgórza San Francisco; na chodnik padały nasze cienie. Z kamienicy obok domu Camille wysypało się jedenaścioro Greków, mężczyzn i kobiet, którzy natychmiast ustawili się w szeregu na osłonecznionym chodniku, a jeden przeszedł na drugą stronę wąskiej uliczki i uśmiechał się do nich zza aparatu fotograficznego. Gapiliśmy się na tych starożytnych ludzi, którzy wydawali wesele dla jednej z córek, zapewne tysięczne w tym nieprzerwanym ciemnym pokoleniu uśmiechów w słońcu. Wszyscy byli elegancko ubrani, wyglądali obco. Dean i ja równie dobrze moglibyśmy znajdować się akurat na Cyprze. W roziskrzonym powietrzu nad głowami fruwały mewy.

– No to co – odezwał się Dean bardzo nieśmiałym, ujmującym głosem – jedziemy?

– Tak – odparłem – jedziemy do Włoch.

Zebraliśmy więc swoje bagaże, on zdrową ręką wziął kufer, ja resztę, i powlekliśmy się na przystanek tramwajowy; już po chwili zjeżdżaliśmy ze wzgórza, a nogi dyndały nam z podskakującego stopnia; dwaj upadli bohaterowie zachodniej nocy.

### 3

Najpierw wstąpiliśmy do baru przy ulicy Market i wszystko ustaliliśmy – że będziemy trzymać się razem i że będziemy kumplami aż do śmierci. Dean był bardzo spokojny, jakby czymś zaabsorbowany, patrzył na starych włóczęgów w barze, którzy przypominali mu ojca.

– Podejrzewam, że jest w Denver. Tym razem musimy go bezwzględnie znaleźć, może siedzi w miejscowym więzieniu, może znów się szwenda po ulicy Larimer, ale trzeba go znaleźć. Zgoda?

Tak, zgodziliśmy się co do tego; mieliśmy robić wszystko, czego dotąd nie robiliśmy, bo byliśmy za głupi. Następnie przyrzekliśmy sobie dwa dni ubawu w San Francisco, zanim ruszymy w drogę, no i oczywiście postanowiliśmy jechać samochodami z biur podróży na zasadzie zrzutki na benzynę, żeby zaoszczędzić jak najwięcej forsy. Dean twierdził, że Marylou przestała mu być potrzebna, chociaż ją nadal kocha. Obaj zgodziliśmy się co do tego, że stanie na nogi w Nowym Jorku.

Dean włożył garnitur z tenisu i sportową koszulę, zostawiliśmy swój dobytek w schowku za dziesięć centów na dworcu autobusowym, po czym ruszyliśmy na spotkanie z Royem Johnsonem, który miał być naszym szoferem podczas dwudniowego ubawu we Frisco. Roy zgodził się na to przez telefon. Podjechał wkrótce potem na róg Market i Trzeciej i nas zabrał. Mieszkał teraz we Frisco, pracował jako urzędnik, ożenił się ze śliczną blondyneczką imieniem Dorothy. Dean uznał, że dziewczyna ma za długi nos – z niezrozumiałego powodu było to jego spore zastrzeżenie wobec niej – chociaż w rzeczywistości wcale nie miała długiego nosa. Roy Johnson to szczupły, ciemny, przystojny chłopak z twarzą ostrą jak szpila i zaczesanymi do góry włosami, które wciąż odgarnia. Ma w sobie mnóstwo szczerości i szeroki uśmiech. Najwyraźniej jego żona Dorothy zrobiła mu awanturę o to szoferowanie, a on, pragnąc koniecznie pokazać, kto jest mężczyzną w tym domu (mieszkali w małym pokoiku), mimo wszystko dotrzymał danego nam słowa, tyle że pociągnęło to za sobą pewne skutki; jego wewnętrzny dylemat znalazł wyraz w cierpkim milczeniu. Woził Deana i mnie bez szemrania po całym Frisco o najrozmaitszych porach dnia i nocy; tyle że przejeżdżał na czerwonych światłach i brał ostre zakręty na dwóch kołach, żeby nam pokazać, w co go wpakowaliśmy. Czuł się rozdarty między wyzwaniem rzuconym przez swoją nową żonę a wyzwaniem przywódcy swojej dawnej paczki bilardowej z Denver. Dean był zadowolony, a sama jazda oczywiście mu nie przeszkadzała. Nie zwracaliśmy najmniejszej uwagi na Roya, tylko siedzieliśmy z tyłu i gadaliśmy jak najęci.

Następnie postanowiliśmy się wybrać do Mill City, żeby spróbować odnaleźć Remiego Boncoeura. Zauważyłem z niejakim zdziwieniem, że nie ma już w zatoce starego statku „Admirał Czujduch”; no i okazało się oczywiście, że Remi już nie mieszka w przedostatnim segmencie w kanionie. Drzwi otworzyła nam piękna Murzynka; Dean i ja długo z nią gadaliśmy. Roy Johnson czekał w wozie, czytając *Tajemnice Paryża*. Rozejrzałem się ostatni raz po Mill City i zrozumiałem, że nie ma sensu wracać do tej zagmatwanej przeszłości; postanowiliśmy natomiast wpaść do Galatei Dunkel, żeby zorganizować sobie nocleg. Ed po raz drugi ją opuścił, bawił teraz w Denver, a ta niezmordowana dziewczyna znowu kombinowała, jak go ściągnąć. Zastaliśmy ją z talią kart do wróżenia, siedzącą po turecku na perskim dywanie jej czteropokojowego mieszkania przy ulicy Mission. Zuch dziewczyna. Zobaczyłem smętne ślady po Edzie Dunkelu, który mieszkał tu przez jakiś czas, zanim wyjechał pełen niechęci i otępienia.

– On wróci – powiedziała Galatea. – Ten człowiek nie da sobie rady beze mnie. – Rzuciła wściekłe spojrzenie na Deana i na Roya Johnsona. – Tym razem załatwił mnie Tommy Snark. Zanim tu przyjechał, Ed był absolutnie szczęśliwy, pracował, wychodziliśmy się zabawić i było cudownie. Wiesz, jak to jest, Dean. Po czym zaczęli we dwóch przesiadywać godzinami w łazience, Ed w wannie, Snark na sedesie, i gadali, gadali bez końca, i to takie głupoty.

Dean się roześmiał. Już od lat był głównym prorokiem tej paczki, a teraz inni przejmowali jego metody. Tommy Snark zapuścił brodę i przyjechał do Frisco wypatrywać Eda Dunkela swymi dużymi, zasmuconymi, niebieskimi oczami; sprawa tak się przedstawiała (naprawdę, bez lipy), że Tommy’emu amputowano mały palec po wypadku w Denver, za co zgarnął niebagatelną sumę. I nagle ot tak, bez powodu, postanowili obaj podarować Galatei cały czek i wyjechać do Portland w Maine, gdzie podobno Snark miał ciotkę. No więc teraz albo bawili przejazdem w Denver, albo byli już w Portland.

– Ed wróci, kiedy Tomrayemu skończy się forsa – powiedziała Galatea, patrząc w karty. – Co za dureń, żyje bez pojęcia, zresztą zawsze tak żył. Ech, gdyby tylko pojął, że go kocham.

Galatea wyglądała jak córka tamtych Greków z zalanym słońcem aparatem fotograficznym, kiedy siedziała na tym dywanie z włosami spływającymi do ziemi i przerzucała karty. Polubiłem ją. Postanowiliśmy nawet wypuścić się dokądś wieczorem, żeby posłuchać jazzu, a Dean miał zabrać blondynkę metr osiemdziesiąt, Marie, która mieszkała na tej samej ulicy.

Wieczorem Galatea, Dean i ja poszliśmy po Marie. Dziewczyna miała mieszkanie w

suterenie, małą córeczkę i starego, ledwie jeżdżącego gruchota, którego Dean i ja musieliśmy pchać, a dziewczyny mocowały się z rozrusznikiem. Pojechaliśmy do Galatei, wszyscy usiedli w kółko – Marie, jej córka, Galatea, Roy Johnson, jego żona Dorothy – wszyscy mieli ponure miny, siedząc sztywno na tapicerowanych meblach, a ja stanąłem w kącie, neutralny wobec problemów we Frisco, Dean natomiast stał pośrodku pokoju z tym swoim kciukiem jak balon sterczącym na wysokości piersi i chichotał.

– Jasna cholera – powiedział – wszyscy po kolei tracimy palce, hłe-hłe-hłe.

– Dean, dlaczego ty tak głupio postępujesz? – spytała Galatea. – Zadzwoń do mnie Camille i powiedz, że ją rzuciłeś. Nie rozumiesz, że masz córkę?

– Wcale jej nie rzucił, tylko ona wywaliła go z domu! – sprostowałem, wykraczając poza swoją neutralność. Wszyscy spojrzeli na mnie złym wzrokiem; tylko Dean się uśmiechnął. – I czego wy oczekujecie od tego biedaka, który ma chory kciuk? – dodałem.

Wszyscy spojrzeli na mnie; zwłaszcza Dorothy Johnson popatrzyła na mnie złowrogo. Przypominało to ni mniej, ni więcej tylko babskie kółko krawieckie, a w samym środku stał oskarżony, Dean – winien przypuszczalnie tego wszystkiego, co szło nie tak. Wyjrzałem przez okno na tętniącą nocnym życiem ulicę Mission; chciałem już iść i posłuchać genialnego jazzu we Frisco – a pamiętajcie, że to był dopiero mój drugi wieczór w mieście.

– Moim zdaniem Marylou postąpiła bardzo, ale to bardzo rozsądnie, że cię rzuciła, Dean – powiedziała Galatea. – Od lat nie wykazujesz krztyny odpowiedzialności za nikogo. Masz na swoim koncie tyle okropnych postępów, że sama nie wiem, co ci powiedzieć.

To była pointa, i wszyscy teraz siedzieli wkoło, patrząc na Deana spode łba nienawistnym wzrokiem, a on stał pośrodku na dywanie i chichotał – po prostu chichotał. Odańczył krótki taniec w miejscu. Bandaż robił mu się coraz brudniejszy; zaczął się rozluźniać i rozwiązywać. Naraz uświadomiłem sobie, że Dean przez swój ogromny rejestr grzechów staje się Idiotą, Imbecylem, Świętym tej całej czeredy.

– Nie liczysz się z nikim, liczysz się tylko ty i ten twój cholerny ubaw. Myślisz tylko o tym, co ci dynda między nogami, i o tym, ile forsy albo ubawu możesz wydusić z ludzi, których potem odtrącasz. A postępujesz przy tym głupio. Nigdy ci nie przychodzi do głowy, że życie jest czymś poważnym i że są tacy ludzie, którzy chcą przyzwoicie żyć, zamiast przez cały czas tylko błaznować.

Tym właśnie był Dean – ŚWIĘTYM BŁAZNEM.

– Camille wypłakuje sobie dzisiaj oczy, ale nie myśl nawet przez chwilę, że chciałaby, żebyś wrócił. Powiedziała, że nie chce cię więcej widzieć, tym razem już na zawsze. A ty tu sobie stoisz i stroisz głupie miny, jakbyś był zupełnie bez serca.

To nie była prawda; wiedziałem swoje i mogłem to im wszystkim powiedzieć. Ale nie wierzyłem, że to do nich dotrze. Marzyłem o tym, żeby podejść do Deana, objąć go i powiedzieć: „Wszyscy, jak tu jesteście, pamiętajcie jedno – ten facet też ma swoje kłopoty, i jeszcze jedno – nigdy nie narzeka, a będąc tym, kim jest, zapewniał wam nieraz dobrą zabawę, a jeśli tego wam jeszcze, do cholery, mało, to kaźcie go rozstrzelać, bo do tego się najwyraźniej palicie”...

Mimo wszystko Galatea Dunkel była jedyną osobą w tej całej zgrai, która nie bała się Deana, potrafiła siedzieć spokojnie z podniesioną głową i wygarniać mu przy wszystkich. Za dawnych lat w Denver nie kto inny jak Dean kazał wszystkim siedzieć po ciemku z dziewczynami, a sam gadał tym swoim głosem, niegdyś hipnotycznym i dziwnym, wtedy mówiono o nim, że przyciąga dziewczyny tylko i wyłącznie siłą perswazji oraz tego, co mówi. Miał wówczas piętnaście, szesnaście lat. Teraz jego uczniowie pożenili się, a ich żony brały go na dywanik za jego rozerotyżowanie i za model życia, który pomógł wcielić w czyn. Słuchałem dalej.

– Teraz jedziesz na Wschód z Salem – ciągnęła Galatea – i co niby chcesz tym wskórać? Camille musi siedzieć w domu i zajmować się dzieckiem, bo ty sobie wyjeżdżasz, a jak ona ma utrzymać pracę? Nie chce cię więcej oglądać na oczy i wcale jej się nie dziwię. Jak spotkacie gdzieś po drodze Eda, powiedzcie mu, żeby do mnie wrócił, bo go zabiję.

Prosto z mostu. Był to piekielnie smutny wieczór. Zupełnie jakbym się znalazł z obcymi braćmi i siostrami w przykrym śnie. Po czym zapadło grobowe milczenie; dawniej Dean ugadałby sobie drogę do wyjścia, ale teraz sam zamilkł, i tylko stał tak przed wszystkimi, obdarty, załamany, idiotyczny, tuż pod żarówkami, aż mu pot ściekał z tej jego kościstej, szalonej twarzy, pulsowały żyły, i powtarzał: „Tak, tak, tak” – jak gdyby przez cały ten czas wlewały się w niego niesłychane objawienia, a jestem przekonany, że się wlewały, inni zresztą podejrzewali to samo, bo siedzieli przerażeni. Był ŚCIĘTY – on, rdzeń, dusza Świętości. Co on takiego pojmował? Ze wszech sił próbował mi powiedzieć, co pojmuje, a tamci mi tego zazdrościli, mojego miejsca u jego boku, kiedy go broniłem i kiedy spijałem jego mądrości tak jak niegdyś oni sami. Wtedy zwrócili oczy na mnie. Co ja, obcy, robię w ten piękny wieczór na Zachodnim Wybrzeżu? Wzdrygnąłem się na tę myśl.

– Jedziemy do Włoch – powiedziałem i umyłem od wszystkiego ręce. I wtedy powietrze napełniło się dziwnym poczuciem macierzyńskiej satysfakcji, bo dziewczyny zaczęły patrzeć na Deana tak, jak matka patrzy na najukochańsze, najbardziej marnotrawne dziecko, a on z tym swoim smętnym kciukiem i wszystkimi swoimi objawieniami dobrze to wyczuwał i dlatego w tej tykającej ciszy potrafił wyjść bez słowa z mieszkania, żeby

począkać na nas na dole, aż podejmiemy jakąś decyzję na temat czasu. Takiej właśnie intencji dopatrywaliśmy się u ducha stojącego na chodniku. Wyjrzałem przez okno. Stał samotnie w bramie, patrząc na ulicę. Rozgoryczenie, wzajemne oskarżenia, rady, moralność, smutek – wszystko to było poza nim, a przed nim łachmaniarska, ekstatyczna radość czystego istnienia.

– Chodźcie, Galatea, Marie, wpadnijmy do klubów jazzowych i dajmy wszystkiemu spokój. Dean kiedyś umrze. I co mu wtedy powiecie?

– Im prędzej, tym lepiej – orzekła Galatea, a wypowiedziała się oficjalnie w imieniu prawie wszystkich w tym pokoju.

– Świetnie – odparłem – ale teraz żyje i załóżę się, że chcecie się dowiedzieć, co dalej zrobi, dlatego że nosi w sobie tajemnicę, za którą wszyscy się zabijamy, tyle że jemu dosłownie rozsadza czaszkę, jeżeli więc Dean oszaleje, nie przejmujcie się, to nie będzie wasza wina, tylko Boga.

Rzucili się na mnie; powiedzieli, że tak naprawdę nie znam Deana, że jest najgorszym łajdakiem, jakiego nosiła ziemia i że któregoś dnia sam się o tym z żalem przekonam. Ubawiły mnie te ich silne protesty. Roy Johnson ujął się za paniami, oświadczył, że zna Deana lepiej niż ktokolwiek i że Dean jest co najwyżej bardzo interesującym, a czasem wręcz zabawnym blagierem. Wyszedłem, odszukałem Deana i chwilę o tym wszystkim pogadaliśmy.

– Ech, stary, nie przejmuj się, wszystko jest świetnie i jak należy.

Czochrał się po brzuchu i oblizywał wargi.

## 4

Dziewczyny zeszły na dół i wyruszyliśmy na swój wielki wieczór, po raz kolejny pchając samochód.

– No to fruun! Jedziemy! – zawołał Dean, wskoczyliśmy na tylne siedzenie i poturlaliśmy się do małego Harlemu przy ulicy Folsom.

Wskoczyliśmy w tę ciepłą, szaloną noc, słysząc, jak po drugiej stronie nawiedzony tenorzysta wyciąga na saksofonie przenikliwie: II-JAA! II-JAA! II-JAA! – a ludzie klaszczą do rytmu i wołają: „Jeszcze, jeszcze, jeszcze!” – Dean już pędził przez ulicę z kciukiem w powietrzu, rycząc: „Dawaj, człowieku, dawaj!”. Z przodu pokrzykiwała grupa Murzynów w garniturach na sobotnią noc. Był to wysypany trocinami bar z małym podwyższeniem dla

orkiestry, na którym tłoczyli się faceci w kapeluszach, dmuchając nad głowami ludzi, nawiedzony lokal; czasem nawet przechodziły tamtędy nawiedzone, rozmamflane kobiety w szlafrokach, w zaułkach dzwoniły butelki. Na tyłach spelunki, w ciemnym korytarzu za rozbryzganymi śladami naturalnych potrzeb pań i panów, stały pod ścianą moczymordy, popijając wino-spodiodi, czyli wino i whisky, i plując na gwiazdy. Tenorzysta w kapeluszu dmuchał na wyżynach niesamowicie rajcującej swobodnej myśli, wznoszące się i opadające riffy przechodzące od „li-jaa” do bardziej szalonego „li-di-li-jaa!” i dudniące przy łoskocie poharatanych bębnow, w które walił potężny, brutalny Murzyn z byczą szyją, a niczym się w ogóle nie przejmował, tylko katował te swoje rozwalone klamoty, bach, szur-szur-ti-bum, bach. Zgiełk muzyki i tenorzysty dawały popalić i wszyscy wiedzieli, że gość daje popalić. Dean trzymał się w tym tłumie za głowę, a cały tłum dosłownie szalał. Publiczność z dzikim wzrokiem pokrzykiwała na tenorzystę, żeby tak trzymał i dawał dalej, a on podnosił się z przykucnięcia i znów kucnął ze swoją rurą, podkrecając ją do góry nad tym zgiełkiem w czystym, ostrym brzmieniu. Chuda Murzynka metr osiemdziesiąt aż się skręcała do dźwięku rury tego faceta, a on jakby ją dźgał: „li! li! li!”. Wszyscy się kołysali i krzyczeli. Galatea i Marie z piwem w rękach stały na krzesłach, podrygując i podskakując. Z ulicy nadciągnęły całe grupy Murzynów, którzy przepychali się jeden przez drugiego, żeby się tam dostać. „Ciagnij tak, człowiek!” – darł się jakiś facet głosem rogu przeciwmgielnego i wydał z siebie tak przenikliwy jęk, że chyba go było słychać w Sacramento – ah-haa! „Uuuu!” – zawtórował Dean. Czochrał się po piersiach i brzuchu; pot aż mu ciurkał po twarzy. Łubudu, kopa, bębniarz kopał w bębny przy piwnicach i wznosił beat na wyższe piętra tymi swoimi morderczymi pałkami, szuru-buru-bum! Jakiś grubas podskakiwał na podium, które aż się pod nim ugięło i trzeszczało. „Jooo!”. Pianista grzmocił tylko w klawisze rozcapierzonymi palcami, w przerwach tłukł akordy, kiedy genialny tenorzysta łapał oddech przed następnym bluzgiem – chińskie akordy, które wstrząsały każdym drewnikiem, każdą blaszką, każdym drucikiem fortepianu, fiu! Tenorzysta zeskoczył z podium i stał teraz w tłumie, grając między ludźmi; kapelusz spadł mu na oczy; ktoś mu go zsunął na tył głowy. A on odgiął się tylko, tupnął nogą, wydobył z instrumentu krótki chrapliwy śmiech, zaczerpnął tchu, podniósł rurę i zadał wysoko, szeroko, wypełniając rykiem powietrze. Dean stał dosłownie tuż przed nim z twarzą pochyloną nad wylotem saksofonu, klaskał w ręce, aż pot ciurkał mu na klapki instrumentu, co facet zauważył i roześmiał się w rurę długim, rozedrganym, szalonym śmiechem, na co wszyscy inni też się roześmieli i kiwali się, kiwali do taktu, wreszcie tenorzysta postanowił wypluć sobie płuca, przykucnął, dał górne c i ciągnął przez dłuższy czas, tłum się rozgrzewał, krzyki nasilały, a ja sobie pomyślałem, że zaraz się tu zleca gliny z

najbliższego komisariatu. Dean wpadł w trans. Tenorzysta wbił w niego wzrok; trafił mu się wariat, który nie tylko rozumiał, ale się też przejmował i chciał zrozumieć więcej, znacznie więcej, niż było do zrozumienia, rozpoczęli więc pojedynek; z rury zaczęło się dobywać dosłownie wszystko, już nie frazy, tylko ryki, ryki: „Uau!” – w dół aż do „Biip!” – w górę, aż do: „Tiii!” – w dół do świergotu i aż do rozbrzmiewających echem na boki dźwięków saksofonu. Próbował wszystkiego w górę, w dół, na boki, do góry nogami, poziomo, pod kątem trzydziestu stopni i wreszcie padł w czyjeś ramiona, poddał się, a wszyscy podgadywali i wykrzykiwali: „Tak! Tak! Poleciał na całość!”. Dean otarł sobie twarz chustką do nosa.

Wtedy tenorzysta wstąpił na podium, poprosił o wolny beat i wpatrzony smętnie w otwarte drzwi ponad głowami ludzi zaczął śpiewać *Close Your Eyes*. Na chwilę się uciszyło. Tenorzysta miał na sobie wyświechtaną zamszową kurtkę, fioletową koszulę, popękane buty i szpanerskie spodnie bez kantów; był na luzie. Wyglądał jak murzyński Hassel. W jego dużych piwnych oczach malował się smutek, gość śpiewał przeciągle, robił długie pauzy pełne zadumy. Ale już przy drugim chorusie podniecił się, złapał mikrofon, zeskoczył z podwyższenia, zgiął się wpół. Żeby wyśpiewać nutę, musiał dotknąć czubków swoich butów, po czym wyciągnął się jak najwyżej, żeby dmuchnąć, a dmuchał tak ostro, że aż się zataczał, i otrząsnął się dopiero przed kolejną długą wolną nutą. „Muuuzyka, graaaa!” – odchylił się do tyłu z twarzą zwróconą do sufitu, trzymając mikrofon w dole. Trząśnięcie, kołysanie. Po czym przechylił się do przodu, padając niemal twarzą na mikrofon. – „Rozmaaarzmy się w tym tańcu” – i tu spojrział na ulicę, wydymając pogardliwie wargi w nieziemskim, szyderczym uśmiechu Billie Holiday – „w sam raz dla romaaansu” – zakołysał się na boki. – „Wakaaaacje miłooooości” – potrząsnął głową ze znużeniem i obrzydzeniem do całego świata – „spraaaawia” – Ale co sprawią? Wszyscy czekali; zawył żałośnie: – „że wszystko będzie dobrze”. – Fortepian chwycił akord. – „No więc mała, zamknij juuuuż te piękne oczy” – usta mu zadrżały, spojrział na nas, na Deana i na mnie, z wyrazem twarzy, który jakby mówił: „Hej, ludzie, co my tu wszyscy robimy na tym smutnym, burym świecie?” – po czym doszedł do końca piosenki, co wymagało skomplikowanych przygotowań, podczas których można by przesłać wszelkie wieści do Garcii tuzin razy dookoła świata, ale komu by to przeszkadzało? Bo przecież ocieraliśmy się o samo piekło i plwociny nieszczęsnego, świętego żywota na tych przeklętych ulicach człowieczych, co ten gość wypowiedział i wyśpiewał. „Zamknij... swoje...” – zadał to do sufitu, i wyżej, aż do gwiazd, i jeszcze wyżej... – „oooooczy” – i zszedł chwiejnym krokiem z podium, żeby się pogрузić w myślach. Usiadł w kącie z grupą chłopaków, ale nie zwracał na nich uwagi. Spuścił oczy i zapłakał. Był po prostu genialny.

Dean i ja podeszliśmy, żeby z nim pogadać. Zaprosiliśmy go do samochodu. W samochodzie nagle wykrzyknął:

– Tak! Nie ma, żebym coś tak lubił jak dobry ubaw! Dokąd jedziemy? – Dean aż podskakiwał na siedzeniu, chichocząc jak pomyleniec. – Później! Później! – powiedział tenorzysta. – Każę swojemu chłopakowi, żeby nas zawiózł do Jamson’s Nook, bo muszę śpiewać. Człowieku, ja żyję, żeby śpiewać. Już dwa tygodnie, jak śpiewam *Close Your Eyes* i nic innego nie chce mi się śpiewać. A co wy, chłopcy, kombinujecie?

Powiedzieliśmy mu, że za dwa dni jedziemy do Nowego Jorku.

– Chryste, nigdy tam nie byłem, a ciągle słyszę, że to naprawdę zgrywne miasto, ale ja wcale sobie nie krzywduję tu, gdzie jestem. Mam żonkę, no wiecie.

– Tak? – podchwycił Dean, od razu się zapalając. – A gdzie jest teraz ta twoja gołąbeczka?

– Jak to? – zdziwił się tenorzysta, spoglądając na niego kątem oka. – Przecież mówię, że to moja ślubna, no nie?

– Jasne, jasne – odparł Dean. – Tak tylko pytałem. Może ma jakieś koleżanki? Albo siostry? Bo wiesz, marzy mi się jakiś bal.

– Taaa, tylko na co nam bal, życie jest za smutne, żeby ciągle tylko balować – powiedział tenorzysta, wbijając wzrok w ulicę. – Cholera! – zaklął. – Nie mam forsy, a poza tym nie jestem dzisiaj w nastroju.

Wróciliśmy do klubu, żeby się jeszcze zabawić. Dziewczyny tak się oburzyły na to, że Dean i ja wyprysnęliśmy sobie bez nich, że opuściły spelunę i poszły do Jamson’s Nook; samochód i tak by nie zapalił. W barze zobaczyliśmy okropną scenę – do środka wszedł biały hipsterowaty pedał w hawajskiej koszulce i teraz pytał wielkiego perkusistę, czy może się włączyć. Muzycy patrzyli na niego podejrzliwie.

– A umiesz dmuchać?

Mizdrząc się, odparł, że umie. Spojrzeli po sobie i powiedzieli:

– Taaa, taaa, każdy facet to umie, jak rany!

No więc pedał usiadł przy bębnach, poszli w beat jumpa i gość zaczął głaskać werbel miękkimi, błaznowatymi, bopowymi miotełkami, a kołysał przy tym szyją w błogiej reichowskiej ekstazie, która nic nie znaczy poza zbyt dużą dawką trawy, innych lżejszych paskudztw i ubawu na pełnym luzie. Ale jego nic nie brało. Uśmiechał się radośnie w przestrzeń i trzymał beat, tyle że cicho, z subtelnościami bopu, rozchichotane, falujące tło prawdziwego, mocnego bluesa rogu przeciwmgielnego, którego dmuchali chłopcy, nie zwracając na niego uwagi. Potężny murzyński perkusista z byczą szyją siedział, czekając na

swoją kolej.

– Co ten gość wyprawia? – dogadywał. – Graj muzykę! Co u diabła! Jak rany! – I odwrócił wzrok z obrzydzeniem.

Zjawił się chłopak tenorzysty; był to mały spięty Murzyn z ogromnym cadillakiem. Wskoczyliśmy do środka. Pochylił się nad kierownicą i śmignął przez całe Frisco, ani razu się nie zatrzymując, sto dziesięć na godzinę, w tym całym ruchu, i nikt go nawet nie zauważył, taki był dobry. Dean wpadł w ekstazę.

– Stary, przyważ tego faceta! Jak on tam siedzi, nawet mu nie drgnie jedna kość, tylko grzeje przed siebie, i mógłby tak pruć i gadać całą noc, ale jemu wisi gadanie, ech, stary, co ja bym, co to ja bym... żebym ja mógł... o, tak. No to fru, tylko nie stawać... jechać! Tak!

Chłopak skręcił za róg, wyrzucił nas pod samym wejściem do klubu Jamson's Nook, następnie zaparkował. Podjechała taryfa; wyskoczył z niej mały, kościsty, przywiedły kaznodzieja murzyński, rzucił taryfiarzowi dolara i zawołał: „Dmuchaaj!”, po czym wpadł do klubu, przeleciał przez bar na dole z krzykiem: „Dmuchać, dmuchać, dmuchać!”, i wbiegł po schodach, potykając się i padając niemal na twarz, otworzył jak huragan drzwi, wpadł do sali, gdzie odbywała się sesja, z rękoma wyciągniętymi przed siebie na wypadek, gdyby miał na coś wpaść, no i wpadł prosto na Abazura, który w tym sezonie pracował w Jamson's Nook jako kelner, a muzyka łomotała, a tamten stał jak wryty w otwartych drzwiach i wrzeszczał: „Dmuchaaj mi tu, człowiek, dmuchaaj!”. A tym „człowiekiem” był konusowaty Murzyn z altem, który, jak zawyrokował Dean, na pewno mieszka z babką tak samo jak Tom Snark, przez cały dzień śpi, a przez całą noc dmucha, i to dmucha sto chorusów, zanim będzie gotów skoczyć po swoją działkę, no więc właśnie w tej chwili dmuchał.

– To Carlo Marx! – rozdarł się Dean nad tym całym zgiełkiem.

I rzeczywiście. Ten mały babciny chłopaczek z altem posklejonym plastrami miał oczy błyszczące jak paciorki; małe, wykrzywione stopy; pająkowate nogi; podskakiwał i wywijał rurą, machał nogami, a oczu nie odrywał od publiczności (czyli garstki roześmianych ludzi przy tuzinie stolików, sala miała dziewięć na dziewięć metrów i niski sufit) i nigdy nie przerywał. Miał bardzo proste myślenie. Lubił zaskakiwać świeżymi, prostymi chorusami. Przechodził od „Ta-tup-tader-ra-ra... ta-tup-tader-rara”, powtarzając i podskakując do rytmu, całował swój saksofon i uśmiechał się do niego, do tego „Ta-tup-ii-da-di-dira-rup!”, co nieodmiennie wywoływało salwy śmiechu i zrozumienia u niego i u wszystkich, którzy to słyszeli. Ton miał klarowny jak dźwięk dzwonu, wysoki, czysty, a dmuchał nam prosto w twarze oddalone o pół metra. Dean stał tuż przed nim z pochyloną głową, zapomniawszy o

bożym świecie, podrygiwał tylko na piętach, wbijał jedną pięść w drugą, no i pot, zawsze ten pot, ciurkał i spryskiwał mu udreńczony kołnierzyk, a teraz tworzył dosłownie kałużę u jego stóp. Były tam Galatea i Marie, ale dostrzegliśmy je dopiero po pięciu minutach. Uuuu, noce Frisco, koniec kontynentu, koniec wątpliwości, żegnajcie, wszelkie nudne wątpliwości i błazenady, do widzenia. Abażur miotał się z tacami piwa; wszystko robił do rytmu; nawet na kelnerkę krzyczał w takt uderzenia: „Hej, ty, małamała, usuńże się, usuńże się, bo Abażur piwo niesie”, i przemykał koło niej ze szklankami w powietrzu, wpadał przez wahadłowe drzwi do kuchni, gdzie tańczył z kucharzami i wracał zlany potem. Saksofonista siedział całkiem nieruchomo przy stoliku w kącie, przed nim nietknięta szklanka, patrzył mętным wzrokiem przed siebie, ręce zwisały mu po bokach, aż dotykały niemal podłogi, nogi rozwalone jak wywieszzone języki, ciało oklapłe w bezbrzeżnym znużeniu, melancholii i transie – facet, który co wieczór dosłownie się zabijał, a późną nocą pozwalał, żeby inni zadawali mu śmierć. Wszystko wokół niego kłębiło się jak chmura. A ten mały babciny alcionista, mały Carlo Marx, podskakiwał i dokazywał ze swoją magiczną rurą, dmuchał dwieście chorusów bluesa, co jeden to bardziej szalony, jakby rozsadzała go niespożyta energia, jakby nigdy nie miał skończyć. Cała sala aż dygotała.

W godzinę później stałem na rogu Czwartej i Folson z Edem Fournierem, alclistą z San Francisco, który czekał ze mną, aż Dean zadzwoni z baru do Roya Johnsona, żeby nas stamtąd zabrał. Nie działało się właściwie nic specjalnego, tak sobie gadaliśmy, aż tu naraz zobaczyliśmy dziwny, szalony obrazek. To był Dean. Chciał podać Royowi Johnsonowi adres baru, no więc kazał mu poczekać chwilę przy telefonie i wybiegł, żeby sprawdzić, a w tym celu musiał się przedrzeć przez długi bar, pełen awanturujących się pijaków w białych koszulkach z krótkimi rękawami, wypaść na środek ulicy i popatrzeć na tablice z numerami i nazwami ulic. Wszystko to zrobił przygięty do ziemi niczym Groucho Marx, nogi uniosły go ze zdumiewającą prędkością z baru zupełnie jak zjawę, balonowaty kciuk sterczał w noc, naraz Dean zatrzymał się jak wryty na środku jezdni, wypatrując nad głową tablic. W tych ciemnościach trudno było coś dojrzeć, okręcił się więc kilkanaście razy na jezdni, z uniesionym kciukiem, w obłądnej, przeraźliwej ciszy, kudłaty osobnik z kciukiem jak balon uniesionym niczym wielka gęś na niebie, kręcący się w kółko po ciemku, a druga ręka od niechcenia w spodniach. Ed Fournier właśnie mówił: „Gdzie tylko jestem, zawsze dmucham sweet, a jak się komu nie podoba, nic nie poradzę. Wiesz, stary, ten twój kumpel to stuknięty facio, spójrz tylko na niego” – i obaj spojrzeliśmy. Wokół panowała wielka cisza, Dean zobaczył tablice i popędził z powrotem do baru, przemykając dosłownie pod nogami kogoś, kto właśnie wychodził, a smyrnął przez bar tak szybko, że wszyscy musieli po raz drugi

odwrócić głowy, żeby go dojrzeć. Po chwili zjawił się Roy Johnson, przyjechał z taką samą zdumiewającą prędkością. Dean przemknął bezszelestnie przez ulicę prosto do samochodu. Znow ruszaliśmy.

– Posłuchaj, Roy, wiem, że masz problemy z żoną przez to wszystko, ale musimy bezwzględnie dotrzeć na róg Czterdziestej Szóstej i Geary w niesłychanym czasie trzech minut, bo inaczej wszystko przepadło. Ehe! Tak! – Odkasznął. – Rano Sal i ja wyjeżdżamy do Nowego Jorku, i to jest bezwzględnie nasza ostatnia szalona noc, no więc na pewno nie będziesz miał nic przeciwko temu.

Nie, Roy Johnson nie miał nic przeciwko; tylko śmigał po drodze na wszystkich czerwonych światłach i woził nas jak wariat w tej naszej nieobliczalności. O świcie wrócił do domu do łóżka. Dean i ja skumaliśmy się na koniec z Murzynem imieniem Walter, który zamówił trunki w barze, kazał je ustawić rzędem i powiedział:

– Wino-spodiodi! – Czyli miarka portwajnu, miarka whisky i miarka portwajnu. – Miła oprawa dla tej ohydnej whisky! – wołał.

Zaprosił nas do siebie do domu na piwo. Mieszkał w kamienicy na tyłach ulicy Howard. Kiedy przyszlśmy, jego żona spała. Jedyne światło w całym mieszkaniu to była żarówka nad jej łóżkiem. Musieliśmy wejść na krzesło i wykręcić żarówkę, a ta kobieta leżała tam z uśmiechem na ustach; wykonał to Dean, trzepocząc rękami. Żona była jakieś piętnaście lat starsza od Waltera, najsympatyczniejsza kobieta pod słońcem. Następnie musieliśmy włączyć przedłużacz nad jej łóżkiem, a wszystko w uśmiechach. Nie zapytała nawet Waltera o to, gdzie był, która jest godzina, o nic. W końcu zainstalowaliśmy się w kuchni z tym przedłużaczem, usiedliśmy przy skromnym stole, żeby się napić piwa i poopowiadać sobie różne historie. Świt. Czas było ruszać, przenieść przedłużacz do sypialni i wkręcić z powrotem żarówkę. Żona Waltera nie przestawała się uśmiechać, kiedy powtarzaliśmy cały ten wariacki manewr. Nie odezwała się ani słowem.

Już na ulicy Dean powiedział:

– Widzisz, stary, to jest prawdziwa kobieta. Ani jednego cierpkiego słowa, ani jednej skargi, żadnych fochów. Jej stary może wrócić o dowolnej porze w środku nocy, z kim tylko zechce, pogadać sobie w kuchni, napić się piwa i wyjść też, kiedy zechce. Taki dom to prawdziwa twierdza dla mężczyzny.

I wskazał tę kamienicę. Powlekliśmy się dalej. Wielka noc dobiegła końca. Przez kilka przecznic jechał za nami podejrzliwy radiowóz. W piekarni przy Trzeciej kupiliśmy świeże pączki i zjedliśmy je na szarej, łachmaniarskiej ulicy. Nadszedł wysoki, dobrze ubrany gość w okularach, a z nim Murzyn w czapce szofera ciężarówki. Stanowili dziwną parę. Przejechała

wielka ciężarówka, Murzyn wskazał ją bardzo podniecony, usiłując wyrazić, co czuje. Wysoki biały mężczyzna obejrzał się ukradkiem za siebie i przeliczył pieniądze.

– To Stary Byk Lee! – zachichotał Dean. – Wiecznie liczy pieniądze i wszystkim się przejmuję, a ten chłopak chce tylko gadać o ciężarówkach i o tym, na czym się zna.

Przez jakiś czas szliśmy za nimi. W powietrzu płynęły święte kwiaty, wszystkie te umęczone twarze o świcie jazzowej Ameryki.

Musieliśmy się przespać; nocleg u Galatei Dunkel nie wchodził w rachubę. Dean znał kolejarza nazwiskiem Ernest Burke, który mieszkał z ojcem w hotelu na Trzeciej Ulicy. Dawniej żył z nim na dobrej stopie, chociaż ostatnio coś się popsuło, no więc ja miałem ich przekonać, żeby dali nam się przespać na podłodze. Straszna sprawa. Musiałem zadzwonić z barku śniadaniowego. Stary rozmawiał przez telefon bardzo podejrzliwie. Pamiętał mnie z opowieści syna. Ku naszemu zaskoczeniu zszedł jednak do recepcji i nas wpuścił. Był to taki smutny, stary, budy hotel we Frisco. Poszliśmy na górę, a stary okazał się tak miły, że dał nam całe łóżko.

– Ja i tak już muszę wstawać – powiedział i wycofał się do małej kuchenki, żeby zaparzyć kawę. Zaczął opowiadać o swoich kolejarskich czasach. Przypominał mi mojego ojca. Nie kładłem się spać, tylko słuchałem jego opowieści. Dean nie słuchał, mył zęby, krzątał się po pokoju i powtarzał w kółko: „Tak, dobrze mówi”. W końcu poszliśmy spać; rano wrócił Ernest ze swojej zmiany w Zachodniej Filii i przejął łóżko, a Dean i ja wstaliśmy. Teraz starszy pan Burke elegantował się na randkę ze swoją ukochaną, panią w średnim wieku. Włożył zielony garnitur z tweedu, czapkę też z zielonego tweedu i zatknął sobie kwiat w butonierce.

– Ci romantyczni starzy podupadli kolejarze z Frisco mają własne smutne, ale pełne zapachu życie – powiedziałem Deanowi w łazience. – To równy gość, bo pozwolił nam się tu przespać.

– Taaa, taaa – rzucił Dean, nie słuchając. Wybiegł na dwór, żeby załatwić samochód w biurze podróży. Ja miałem skoczyć do Galatei Dunkel po nasze manatki. Siedziała na podłodze z kartami do wróżenia.

– No to do widzenia, Galateo. Oby wszystko ci się ułożyło.

– Kiedy Ed wróci, będę go co wieczór zabierała do Jamson's Nook, żeby dostał swoją dawkę szaleństwa. Sal, myślisz, że to dobry pomysł? Już sama nie wiem, co robić.

– A co mówią karty?

– As pik jest bardzo daleko od niego. Zawsze go otaczają serca, królowa kier nigdy nie jest daleko. Widzisz tego waleta pik? To Dean, zawsze jest gdzieś w pobliżu.

– Za godzinę wyjeżdżamy do Nowego Jorku.

– Którego dnia Dean wypuści się w taką podróż i nigdy nie wróci.

Pozwoliła mi wziąć prysznic i ogolić się, po czym się pożegnałem, zniosłem na dół bagaże i złapałem taksówkę typową dla Frisco, czyli zwykłą taksówkę na normalnej trasie, którą można było złapać na każdym rogu i przejechać na dowolny róg za, powiedzmy, piętnaście centów, tyle że człowiek siedział ściśnięty z innymi pasażerami tak jak w autobusie, ale można było gadać i opowiadać sobie kawały jak w prywatnym samochodzie. Tego ostatniego dnia we Frisco ulica Mission stanowiła jeden wielki rozgardiasz – tu wykopy, tam bawiące się dzieci, pokrzykujący Murzyni, którzy wracali z pracy do domów, kurz, podniecenie, wielki szum i wibrujący gwar najbardziej podniecającego miasta w całej Ameryce – a nad głową czysty błękit nieba i radość zamglonego oceanu, który zawsze nadciąga w nocy, żeby wszyscy poczuli głód jedzenia i dalszych emocji. Strasznie nie chciało mi się wyjeżdżać; mój pobyt trwał zaledwie sześćdziesiąt kilka godzin. Pędziłem z szalonym Deanem przez świat, nie mając nawet okazji mu się przyjrzeć. Po południu mknęliśmy w kierunku Sacramento, znów na wschód.

## 5

Samochód należał do wysokiego, tyczkowatego pedała, który wracał do domu w Kansas, miał na nosie ciemne okulary i prowadził niezwykle ostrożnie; Dean nazwał ten wóz „pedałowatym plymouthem” – nie miał przyśpieszenia i właściwie w ogóle nie miał mocy. „Co za babski wóz!” – szepnął mi Dean do ucha. Jechało z nami dwoje innych pasażerów, para, typowi turyści z bożej łaski, którzy ciągle tylko chcieli się zatrzymywać i spać. Pierwszy postój miał być w Sacramento, czyli zaledwie na samym początku naszej trasy do Denver. Dean i ja siedzieliśmy sami na tylnym siedzeniu, zostawiliśmy wszystko tamtym, i gadaliśmy.

– Wiesz, stary, tamten alcista wczoraj wieczór naprawdę miał TO COŚ, a jak już to coś znalazł, to ciągnął. W życiu nie widziałem, żeby ktoś tak długo ciągnął.

Chciałem się dowiedzieć, co to jest takiego TO COŚ.

– No, wiesz – roześmiał się Dean – teraz to pytasz o im-pon-de-ra-bi-lia, halo! Jest sobie facet, no i ci wszyscy, kapujesz? Od niego zależy, czy da radę wywnętrzyć to, co wszyscy mają w głowach. Zaczyna pierwszy chorus, po czym zbiera własne myśli, ludzi, taaa, taaa, ale jak złapać to coś, po czym wzbija się na wyżyny swojego losu i musi na tym

samym poziomie dmuchać. I nagle gdzieś w środku chorusu łapie to coś... wszyscy podnoszą głowy i już wiedzą, a on to podchwytuje i ciągnie. Czas staje. Facet wypełnia pustą przestrzeń treścią naszego życia, wyznaniem prosto z trzewi, wspomnieniem różnych myśli, starymi numerami w nowym brzmieniu. Musi dmuchać przez mosty, zawracać i robić to z tak bezbrzeżnym uczuciem zgłębiania duszy dostrojonym do danej melodii, aż wszyscy rozumieją, że to nie melodia się liczy, tylko TO COŚ...

Dean nie mógł już dłużej mówić; opowiadając, cały oblewał się potem. Wtedy ja zacząłem mówić; nigdy w życiu tak się nie rozgadałem. Powiedziałem Deanowi, że kiedy byłem dzieckiem i jeździłem samochodem, wyobrażałem sobie, że mam w rękę dużą kosę, którą ścinam wszystkie drzewa, słupki, a nawet ciacham wszystkie wzgórza migające za oknem.

– Tak! Tak! – zawołał Dean. – Ja też to robiłem, tylko inną kosą, a powiem ci dlaczego. Ponieważ jeździłem przez Zachód i mijałem ogromne przestrzenie, moja kosa musiała być nieskończenie dłuższa, żeby zahaczać o odległe góry i ścinać im wierzchołki, no i szybować jeszcze wyżej, żeby dosięgnąć dalszych gór, a zarazem skracać o głowę każdy słupek po drodze, no, te regularne pulsujące słupki. Właśnie dlatego... ech, stary, muszę ci to powiedzieć, TERAZ, bo mam TO COŚ... muszę ci opowiedzieć, jak ojciec, ja i pewien biedny obszcymurek, włóczęga z ulicy Larimer, wybraliśmy się do Nebraski w samym środku kryzysu, żeby sprzedawać packi na muchy. A jak myśmy je robili! Kupowaliśmy kawałki zwykłej, starej siatki drucianej, kawałki drutu, który skręcaliśmy podwójnie, i skrawki niebieskiego i czerwonego materiału, żeby obszyć brzegi, a wszystko dosłownie za centy w sklepach z tandetą, potem robiliśmy tysiące pacek na muchy, ładowaliśmy wszystkie do gruchota tamtego włóczęgi i jeździliśmy po wszystkich gospodarstwach w całej Nebrasce, gdzie sprzedawaliśmy je po pięć centów – te drobne dawali nam przeważnie z dobrego serca, bo takich dwóch włóczęgów i mały chłopak, jak te boże krówki na niebie, a mój stary w tamtym okresie śpiewał: „Alleluja, znów jestem włóczęgą, włóczęgą jak nic”. I, stary, posłuchaj ty mnie, po dwóch tygodniach niesłychanych trudów, telepania się i uwijania na tym upale, żeby sprzedać te okropne, sklecone naprędce packi, zaczęli się kłócić na temat podziału zysków, urządzili okropną awanturę na poboczu drogi, po czym się pogodzili, kupili wino i jak zaczęli je rozpijać, to pili przez pięć dni i pięć nocy, a ja tymczasem kuliłem się i płakałem gdzieś z tyłu, a kiedy już skończyli, splukali się co do centa i znaleźliśmy się w punkcie wyjścia, czyli na ulicy Larimer. Wtedy aresztowali mojego starego, a ja musiałem błagać sędziego w sądzie, żeby go wypuścili, bo to mój tatuś, a matki nie mam. Sal, w wieku ośmiu lat wygłaszałem niesamowicie dojrzałe mowy przed zaintrygowanymi prawnikami...

Byliśmy napaleni; jechaliśmy na Wschód; byliśmy podnieceni.

– Opowiem ci coś jeszcze – powiedziałem – ale tylko na marginesie tego, co mówisz, i żeby podsumować swoją ostatnią myśl. Kiedy jako dziecko leżałem na tylnym siedzeniu wozu ojca, miałem też taką wizję, że jadę na białym koniu, pokonuję wszystkie możliwe przeszkody, jakie się napatoczą: przeskakiwałem słupki, śmigałem wokół domów, a czasem skakałem nad nimi, jeżeli je za późno zauważyłem, galopowałem przez wzgórza, przez niespodziewane place pełne ruchu, w którym musiałem potwornie kluczyć...

– Tak! Tak! Tak! – dyszał Dean w ekstazie. – Ja tak samo, z tą tylko różnicą, że biegłem, bo nie miałem konia. Ty byłeś dzieciakiem ze Wschodu i marzyły ci się konie. Nie zakładamy oczywiście takich rzeczy, bo obaj wiemy, że tak naprawdę to tylko brednie i wymysły literackie, ale że ja w swojej chyba jeszcze bardziej obłądnej schizofrenii po prostu biegłem razem z samochodem, i to z niesamowitą prędkością, czasem sto czterdzieści pięć na godzinę, brałem wszystkie krzaki, płoty i zagrody, a czasem skakałem sobie w bok w góry i z powrotem, nie odrywając ani na chwilę nóg od ziemi...

Opowiadając sobie to wszystko, obaj zalewaliśmy się potem. Całkiem zapomnieliśmy o tych ludziach z przodu, którzy zaczęli się już zastanawiać, co tam z tyłu się dzieje. W pewnym momencie kierowca powiedział:

– Na miłość boską, wy tam z tyłu, kołyszecie mi tą łajbą.

Bo rzeczywiście samochód aż się przechylał na boki, kiedy Dean i ja kołysaliśmy się do rytmu i do TEGO czegoś naszej ostatecznej, podnieczonej radości z rozmowy i z życia aż do ślepego, ekstatycznego końca tych wszystkich niezliczonych buntowniczych, anielskich szczegółów, które przez całe życie drzemały nam w duszach.

– Och, stary! stary! stary! – jęczał Dean. – A to nawet jeszcze nie początek... a teraz wreszcie jedziemy razem na Wschód, Sal, nigdy jeszcze nie jechaliśmy razem na Wschód, pomyśl tylko, załapiemy się razem na Denver, zobaczymy, co wszyscy porabiają, chociaż niewiele nas to obchodzi, bo przecież znamy TO COŚ, wiemy, co to CZAS i wiemy, że wszystko jest naprawdę JAK NALEŻY. – Po czym przeszedł na szept, łapiąc mnie za rękaw, ociekając potem. – A teraz przyuwaj tych z przodu. Mają swoje zmartwienia, liczą kilometry, myślą o tym, gdzie będą dzisiaj spać, ile forsy muszą mieć na benzyne, jaka będzie pogoda, jak tam dojadą... a przecież, kapujesz, i tak tam dojadą. Ale muszą się zamartwiać i zdradzać czas pilnymi potrzebami, fałszywymi albo i nie, bo tak się lubią wiecznie przejmować i narzekać, a ich dusze po prostu nie zaznają spokoju, dopóki się nie przypną do jakiegoś uznanego, niepodważalnego zmartwienia, a kiedy już je znajdą, przyjmują odpowiedni wyraz twarzy, który będzie do niego pasował, czyli kapujesz, nieszczęśliwą minę, i przez cały czas wszystko

im umyka, o czym zresztą wiedzą, a co ich również bez reszty martwi. Posłuchaj tylko! Posłuchaj! „Bo widzisz – parodiował ich – sam już nie wiem, może nie powinniśmy brać benzyny na tej stacji. Przeczytałem ostatnio w «Krajowym Magazynie Petroficznej Petrochemii», że ta benzyna zawiera wysoki procent bździn o-Oktanu, a ktoś mi kiedyś powiedział, że ma nawet w sobie półoficjalnego druta o wysokiej częstotliwości, i bo ja wiem, po prostu jakoś mi ona nie pachnie”... Stary, ty to wyczuwasz?

Dźgał mnie zawzięcie w żebra, żebym lepiej pojał. Staralem się przebić przez ten cały obłąd. Bing, bang, i wciąż tylko Tak! Tak! Tak! na tylnym siedzeniu, a ci z przodu ocierali czoła ze strachu i pluli sobie w brodę, że w ogóle nas wzięli z tamtego biura podróży. A to był dopiero początek.

W Sacramento pedał chytrze wynajął pokój w hotelu, po czym zaprosił Deana i mnie na kielicha, a tamta para poszła na nocleg do krewnych, i w tym pokoju Dean próbował absolutnie wszystkich sztuczek, żeby wyłudzić od pedała forszę. To był dosłownie obłąd. Pedał zaczął od tego, jak bardzo się cieszy, że z nim jedziemy, bo lubi takich młodych ludzi jak my, i może mu nie uwierzymy, ale tak naprawdę nie lubi kobiet, a ostatnio zakończył romans z pewnym facetem we Frisco, w którym odgrywał rolę mężczyzny, a tamten kobiety. Dean zasypywał go oficjalnymi pytaniami i gorliwie przytakiwał. Pedał wyznał, że szczytem jego marzeń jest dowiedzieć się, co Dean o tym wszystkim myśli. Ostrzegając faceta najpierw, że w młodości był kryminalistą, Dean zapytał go, ile ma przy sobie forsy. Ja byłem w łazience. Pedał natychmiast strasznie zmarkotniał, chyba nabrał podejrzeń co do pobudek Deana, nie sypanął wcale forszą, lecz składał mętne obietnice na temat Denver. Wciąż tylko liczył pieniądze i sprawdzał portfel. Dean podniósł ręce i poddał się.

– Widzisz, stary, lepiej nie zawracać sobie takimi głowy. Człowiek im proponuje to, o czym w skrytości marzą, a ci natychmiast dostają pietra.

Wystarczająco jednak zawojował właściciela plymoutha, żeby tamten bez szemrania pozwolił mu usiąść za kierownicą, i teraz dopiero zaczęła się jazda.

O świcie ruszyliśmy z Sacramento, a już w południe mknęliśmy przez pustynię Nevady, po wariackim przejeździe przez Sierras, kiedy to pedał i turyści na tylnym siedzeniu wczepili się kurczowo w siebie. Myśmy siedzieli z przodu, przejęliśmy ster. Dean znów był szczęśliwy. Trzeba mu było tylko kierownicy w rękę i czterech kółek na drodze. Mówił o tym, jakim to marnym kierowcą jest Stary Byk Lee, i żeby tego dowieść:

– Kiedy na horyzoncie zamajaczyła ogromna ciężarówka, taka jak ta, mijały całe wieki, zanim Byk ją dojrzał, bo on nie widział, stary, on nic nie widzi. – Tu przetał nerwowo oczy, żeby mi to zademonstrować. – A ja mu wtedy: „Ups, uważaj, Byku, ciężarówka”, na co on:

„Co? Co mówisz, Dean?”. „Ciężarówka, ciężarówka!”, i dopiero w ostatniej chwili podjeżdżał do ciężarówki, o tak... – I Dean grzał plymouthem prosto na ciężarówkę pędzącą w naszą stronę, przez moment chwiał się i wahał przed nią, twarz szofera ciężarówki szarzała nam w oczach, pasażerowie z tyłu zapadali się z jękiem przerażenia, a Dean w ostatniej chwili uskakiwał. – O, właśnie tak, widzisz, dokładnie tak, takim był marnym kierowcą.

Ja się nic a nic nie bałem; w końcu znałem Deana. Pasażerom z tyłu jakby mowę odebrało. Po prostu bali się pisnąć słowo; Bóg raczy wiedzieć, myśleli sobie, co Dean zrobi, jak zaczną narzekać. Pruł tak przez całą pustynię, demonstrując różne sposoby, jak nie należy prowadzić, jak jego ojciec prowadził niegdyś stare gruchoty, jak znakomici kierowcy biorą zakręty, jak źli kierowcy najpierw biorą za duży łuk, a potem muszą się wygrzebywać z końca zakrętu, i tak dalej. Było gorące, słoneczne popołudnie. Reno, Battle Mountain, Elko, wszystkie miasteczka przy drodze przez Nevadę migają nam tylko jedno po drugim i już o zmroku byliśmy na równinach Salt Lake, a punkciki świateł Salt Lake City jarzyły się niemal sto kilometrów naprzód przez miraż równin, odbijając się dwukrotnie, nad zakrzywieniem ziemi i pod nim, jedno odbicie wyraźne, drugie zamglone. Powiedziałem Deanowi, że to, co nas wszystkich na tym świecie łączy, jest niewidoczne, i żeby tego dowieść, wskazałem na długi rząd słupów telefonicznych, które ciągnęły się poza zasięg wzroku i znikaly za zakrzywieniem płaszczyzny stu pięćdziesięciu kilometrów soli. Jego rozmamłany bandaż, całkiem już teraz brudny, aż zatrzęsł się w powietrzu, twarz mu rozbłysła.

– O, tak, stary, Boże mój, tak, tak!

Naraz zahamował i padł. Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem go skulonego w kącie siedzenia, pogrążonego we śnie. Twarz opierał na zdrowej ręce, a zabandażowaną automatycznie, sumiennie trzymał w górze.

Pasażerowie na tylnym siedzeniu odetchnęli z ulgą. Usłyszałem ich zbuntowane szepty.

– Nie możemy mu pozwolić dalej prowadzić, to kompletny wariat, chyba musieli go wypuścić z zakładu zamkniętego albo coś w tym rodzaju.

Wziąłem Deana w obronę, przechyliłem się do tyłu, żeby z nimi porozmawiać.

– Wcale nie jest wariatem, nic mu nie będzie, i nie przejmujcie się jego prowadzeniem, bo to najlepszy kierowca pod słońcem.

– Ja tego dłużej nie zniosę – rzuciła dziewczyna przytłumionym, histerycznym szeptem.

Zagłębiłem się wygodnie w fotelu, napawając się zmrokiem zapadającym na pustyni, i czekałem, aż ten biedaczysko Anioł Dean znów się obudzi. Staliśmy na wzgórzu z widokiem

na równe desenie świateł Salt Lake City i Dean otworzył oczy na to miejsce na tym upiornym świecie, gdzie się przed laty urodził, zaszargany i bezimienny.

– Sal, Sal, patrz, tutaj się urodziłem, pomyśl tylko! Ludzie się zmieniają, rok w rok jedzą posiłki i przy każdym się zmieniają. Ii! Patrz!

Był tak podniecony, że omal się nie rozplakałem. Czym się to wszystko skończy? Turyści uparli się, że będą prowadzić przez resztę drogi do Denver. Dobra, nam było wszystko jedno. Siedzieliśmy sobie z tyłu i gadaliśmy. Ale rano dopadło ich zmęczenie, no więc Dean usiadł za kółkiem w Craig, na pustyni, we wschodniej części Kolorado. Spędziliśmy prawie całą noc, wlokąc się ostrożnie przez Przełęcz Poziomkową w Utah, i zmarnowaliśmy mnóstwo czasu. Wreszcie poszli spać. Dean grzał na łeb, na szyję do potężnej ściany przełęczy Berthoud, która wznosi się sto pięćdziesiąt kilometrów dalej na dachu świata, niesamowite wrota Gibraltaru spowite całunem chmur. Pokonał przełęcz Berthoud jak czerwcowego chrabąszcza – podobnie jak wcześniej Tehachapi, zgasił silnik i płynął, mijając wszystkich i nigdy nie powstrzymując rytmicznego pędu narzucanego przez same góry, aż znów zobaczyliśmy w dole wielką gorącą równinę Denver – i Dean był już w domu.

Z jaką kretyńską ulgą ci ludzie wysadzili nas na rogu Dwudziestej Siódmej i Federal. Znów na chodniku piętrzył się stos naszych wysłużonych walizek; czekała nas jeszcze dalsza droga. Ale co tam, droga to życie.

## 6

Staliśmy teraz wobec pewnych okoliczności w Denver, zupełnie różnych od tamtych z roku 1947. Mogliśmy albo postarać się od razu o kolejny samochód z biura podróży, albo zostać kilka dni, żeby mieć ubaw i poszukać ojca Deana.

Obaj byliśmy zmordowani i brudni. W toalecie w restauracji stałem przy pisuarze, zagradzając Deanowi drogę do umywalki, odszedłem więc, zanim jeszcze się załatwiłem, i dokończyłem przy innym pisuarze, po czym powiedziałem Deanowi:

– Załap się na tę sztuczkę.

– Tak, stary – odparł, myjąc ręce nad umywalką – to świetna sztuczka, tyle że straszna dla nerek, a ponieważ zaczynasz się starzeć, każda taka sztuczka oznacza potem całe lata cierpienia na starość, potworne kłopoty z nerkami wtedy, kiedy się już tylko przesiaduje w

parkach.

Rozzłościło mnie to.

– Kto tu jest stary? Wcale nie jestem dużo starszy od ciebie!

– Nic takiego nie powiedziałem.

– Wiesz co – rzuciłem – zawsze mi docinasz na temat wieku. Nie jestem starą ciotą tak jak tamten pedał, nie musisz mi prawić morałów na temat nerek. – Wróciliśmy obaj do łoży i kiedy kelnerka stawiała przed nami kanapki z gorącym befsztykiem... normalnie Dean rzuciłby się jak wilk na jedzenie... powiedziałem, żeby dać upust swojej złości: – I nie chcę więcej słyszeć podobnych komentarzy.

Wtem oczy Deana zaszyły łzami, wstał, zostawił parujące jedzenie na stole i wyszedł z restauracji. Zastanawiałem się, czy nie odszedł na zawsze. Byłem taki rozjuszony, że wcale się nie przejąłem, tylko zaraz się otrząsałem i zwałem całą winę na Deana. Ale widok jego nietkniętego jedzenia napełnił mnie takim smutkiem, jakiego nie znałem od lat. Nie powinienem był tak mówić... on tak lubi jeść... Jeszcze nigdy nie zostawił tak jedzenia... Co tam, do diabła. No to mu pokazałem.

Dean stał przed restauracją dokładnie pięć minut, po czym wrócił i usiadł.

– I co – spytałem – co tam robiłeś, zaciskałeś pięści? Przeklinałeś mnie, wymyślałeś nowe dowcipasy na temat moich nerek?

Dean potrząsnął milcząco głową.

– Nie, stary, nie, stary, jak strasznie się mylisz. Jeśli chcesz wiedzieć, to...

– No, powiedz.

Mówiłem to wszystko, nie odrywając wzroku od talerza. Czuję się jak potwór.

– Płakałem – powiedział Dean.

– Idź do diabła, przecież ty nigdy nie płaczesz.

– Tak mówisz? Dlaczego sądzisz, że nigdy nie płaczę?

– Nie umierasz na tyle, żeby płakać.

Każde z wypowiedzianych przeze mnie zdań było jak nóż wbijany w samego siebie. Wyłaziły wszystkie zadry, które w skrytości ducha kiedykolwiek żywiłem do swojego brata: jaki byłem ohydny i jakie brudy odkrywałem w głębi swojej własnej nieczystej psychiki. Dean potrząsał głową.

– Mylisz się, stary, płakałem.

– No, dalej, założę się, że musiałeś stąd wyjść, bo tak się wkurzyłeś.

– Uwierz mi, Sal, naprawdę mi uwierz, jeżeli kiedykolwiek w cokolwiek we mnie wierzyłeś.

Wiedziałem, że mówi prawdę, a mimo to nie chciałem tej prawdy przyjąć do wiadomości, ale kiedy podniosłem na niego wzrok, chyba miałem krzywe spojrzenie, bo aż mi się coś przewracało w tym moim obrzydliwym brzuchu. Dopiero wtedy zrozumiałem, że się mylę.

– Dean, stary, przepraszam, nigdy się tak wobec ciebie nie zachowywałem. No to teraz mnie poznałeś. Wiesz, z nikim już nie utrzymuję naprawdę bliskich stosunków, nie wiem, jak się do tego zabrać. Trzymam różne rzeczy w garści jak kawałki gówna i nie wiem, gdzie je odłożyć. Zapomnijmy o całej sprawie. – Święty błagier zabrał się do jedzenia. – To nie moja wina! To nie moja wina! – dorzuciłem. – Nic na tym parszywym świecie nie jest moją winą, rozumiesz? Bo nie chcę, żeby tak było, nie może tak być i nie będzie.

– Tak, stary, tak, stary. Ale teraz cofnij się i mi uwierz.

– Wierzę ci, naprawdę ci wierzę.

A więc po południu zdarzyła się smutna historia. Ale prawdziwe komplikacje nadciągnęły dopiero wieczorem, kiedy Dean i ja poszliśmy zanoć u zaprzyjaźnionej rodziny.

Mieszkali po sąsiedzku ze mną, kiedy dwa tygodnie wcześniej zaszyłem się samotnie w Denver. Matka to była wspaniała kobieta w dżinsach, wyrobnica z Oklahomy, rozwoziła ciężarówkami węgiel zimą po górach, żeby utrzymać dzieci, w sumie czwórkę, bo mąż zostawił ją przed laty, kiedy podróżowali po kraju w przyczepie mieszkalnej. Przejechali w tej przyczepie szmat drogi z Indiany do LA. Po wielu cudownych chwilach razem, popijawach w niedzielne popołudnia w barach na skrzyżowaniach, śmiechach, wieczornych graniach na gitarze ten cham ni stąd, ni zowąd ruszył przed siebie na ciemne pole i już nie wrócił. Dzieci miała wspaniałe. Najstarszy był chłopak, który akurat tego lata wyjechał na obóz w góry; następna w kolejności szła cudowna trzynastolatka, która pisała wiersze, zbierała polne kwiaty i marzyła o tym, że jak dorośnie, zostanie aktorką w Hollywood, miała na imię Janet; i jeszcze dwoje maluchów, mały Jimmy, który siadywał wieczorem przy ognisku i dopominał się z krzykiem o swojego „katro-felka”, zanim ten zdążył się upiec, i mała Lucy, która hodowała robaki, ropuchy, żuki i wszystko, co pełza, nadawała im imiona i budowała mieszkanek. Mieli cztery psy. Prowadzili swój łachmaniarski, wesoły żywot przy uliczce nowych domów i urągali poczuciu dobrych manier na wpół szacownych sąsiadów tylko dlatego, że tę biedną kobietę rzucił mąż i że zaśmiecali podwórko. Wieczorem wszystkie światła Denver kładły się wielkim kołem na równinie poniżej, bo ich dom leżał w tej części Zachodu, gdzie góry opadają przedgórzem aż na równiny i gdzie w prastarych czasach musiały napływać miękkie fale wielkie jak morze Missisipi, żeby wyrzeźbić te okrągłe,

idealne podnóżki dla samotnych szczytów takich jak Evans, Pike i Longs. Dean pojechał tam ze mną i oczywiście cały aż się spocił z radości na ich widok, zwłaszcza na widok Janet, ale ostrzegłem go, żeby nie ważył się jej tknąć, chyba zresztą nie musiałem mu tego mówić. Ta kobieta była stworzona dla wielkiego mężczyzny, zaraz więc polubiła Deana, ale była nieśmiała, podobnie jak on. Powiedziała, że Dean przypomina jej męża, który od niej odszedł.

– Wypisz wymaluj jak on, a to był naprawdę wariat, mówię wam!

Skończyło się na hucznej popijawie, baterii piw w zaśmieconej bawialni, hałaśliwej kolacji i dudniącym w radiu programie *Samotny Jeździec*. Komplikacje nadciągnęły niczym chmury motyli: ta kobieta – wszyscy mówili na nią Frankie – miała sobie wreszcie kupić gruchota, z czym nosiła się od lat, a ostatnio udało jej się zebrać kilka dolarów. Dean natychmiast podjął się dokonać wyboru i ustalić cenę samochodu, bo oczywiście sam chciał nim pojeździć, żeby tak jak za dawnych czasów podrywać dziewczęta wychodzące po lekcjach z liceum i zabierać je na przejażdżki w góry. Biedna, naiwna Frankie zawsze na wszystko się zgadzała. Bała się jednak rozstać z pieniędzmi, kiedy już przyjechali do punktu sprzedaży samochodów, i stała tuż przy sprzedawcy. Dean usiadł na środku zakurzonej jezdni Alameda Boulevard i walił się pięściami w głowę.

– Za stówę nie dostaniesz nic lepszego! – Zarzekał się, że nigdy więcej się do niej nie odezwie, kłął, aż cały spurpurowiał na twarzy, już chciał wskakiwać do wozu i tak czy owak nim odjechać. – Ech, ci durni, durni, durni ludzie ze wsi, nigdy się nie zmieniają, ależ oni są kompletnie, niewiarygodnie durni, jak tylko trzeba coś zrobić, zaraz ten paraliż, strach, histeria, nic ich bardziej nie przeraża niż to, czego chcą. Zupełnie jak mój ojciec, mój ojciec, od początku do końca mój ojciec!

Dean był tego wieczoru bardzo podniecony, bo mieliśmy się spotkać w barze z jego kuzynem, Samem Bradym. Włożył nawet czysty podkoszulek i cały aż promieniał.

– Posłuchaj, Sal, muszę ci opowiedzieć o Samie, to mój kuzyn.

– A tak przy okazji, szukałeś już ojca?

– Dziś po południu, stary, zaszedłem do Jiggs' Buffet, gdzie dawnymi czasy rozlewał piwo beczkowe sam leciutko przyprószony, dostawał wciry od szefa i wychodził, zataczając się... nic... poszedłem więc do starego zakładu fryzjerskiego zaraz przy hotelu Windsor... tam też nic... stary właściciel powiedział mi, że bodajże pracuje... wyobraź sobie!... w kolejowej garkuchni dla torowych albo zaczepił się w Boston and Maine w Nowej Anglii! Ale ja takim nie wierzę, za dziesiątaka opowiadają wyssane z palca historyjki. A teraz posłuchaj mnie, ale uważnie. Kiedy byłem dzieckiem, Sam Brady, bliski kuzyn, był moim absolutnym idolem. Przemyczał whisky z gór, a pewnego razu wdał się na podwórku w straszliwą walkę na pięści

ze swoim bratem, która trwała dwie godziny, aż kobiety wrzeszczały z przerażenia. Sypialiśmy razem. To był jedyny mężczyzna w mojej rodzinie, który serdecznie się mną zajął. I dzisiaj znów go zobaczę, po raz pierwszy od siedmiu lat, właśnie wrócił z Missouri.

– A jaka jest sprawa?

– Nie ma żadnej sprawy, stary, chcę się tylko dowiedzieć, co się w tym czasie działo z rodziną... bo pamiętaj, Sal, że mam rodzinę... a przede wszystkim chcę, żeby mi opowiedział te historie z dzieciństwa, które zapomniałem. Bo ja chcę pamiętać, chcę pamiętać, jak rany! – Jeszcze nie widziałem Deana tak rozradowanego i tak podnieconego.

Kiedy czekaliśmy w barze na jego kuzyna, gadał z wieloma młodszymi hipsterami z centrum i z kryminalistami, pytał o nowe gangi, o nowe zdarzenia. Potem zaczął się dopytywać o Marylou, bo nie tak dawno była w Denver.

– Sal, kiedy przychodziłem jako dzieciak na ten róg, żeby kraść drobne z kiosku z gazetami na gulasz wołowy w altanie, ten facio o wyglądzie zabijaki, którego tam widzisz, miał tylko morderstwo w sercu, wdawał się w jedną koszmarną bójkę za drugą, pamiętam nawet jego blizny, chociaż do dzisiaj te lata, całe laaata stania na tym rogu w końcu go zmiękczyły i cholernie utemperowały, bo teraz jest bezwzględnie uprzejmy, usłużny i cierpliwy dla wszystkich, po prostu wrósł w ten róg, widzisz, jak to się wszystko zmienia?

I wtedy nadszedł Sam, trzydziestopięcioletni mężczyzna, żyłasty, z kręconymi włosami, z sękatymi od pracy rękoma. Dean wyraźnie się go bał.

– Nie – podziękował Sam Brady. – Już nie piję.

– Widzisz? Widzisz? – szepnął mi Dean do ucha. – Już nie pije, a kiedyś był największym przemytnikiem whisky w mieście. Nawrócił się, powiedział mi to przez telefon, kapujesz? Czujesz tę jego zmianę? Mój idol już nie jest tym samym człowiekiem.

Sam Brady zachowywał się podejrzliwie wobec swojego młodszego kuzyna. Zabrał nas na przejażdżkę starym rozklekotanym kabrioletem i zaraz na wstępie jasno określił swoje stanowisko wobec Deana.

– Wiedz jedno, Dean, że przestałem wierzyć tobie i wszystkiemu, co mi będziesz próbował mówić. Przyjechałem tu dziś spotkać się z tobą, bo chcę, żebyś podpisał pewien dokument dla rodziny. Twój ojciec już dla naszej rodziny nie istnieje, nie chcemy mieć z nim absolutnie nic do czynienia i, przykro mi to powiedzieć, z tobą, niestety, też.

Spojrzałem na Deana. Mina mu się wydłużyła, twarz pociemniała.

– Taaa, taaa – powiedział.

Kuzyn nadal obwoził nas po mieście, nawet kupił nam lody na patyku. Mimo wszystko Dean zasypywał go niezliczonymi pytaniami na temat przeszłości, a kuzyn odpowiadał, i

przez chwilę Dean niemal znów się zaczął pocić z podniecenia. Och, gdzie był owego wieczoru ten jego łachmaniarski ojciec? Kuzyn wyrzucił nas przy smutnych światłach wesołego miasteczka na Alameda Boulevard przy Federal. Umówił się z Deanem na następny dzień na podpisanie papierów i odjechał. Powiedziałem Deanowi, jak bardzo mi przykro, że nie ma nikogo na świecie, kto by w niego wierzył.

– Pamiętaj, że ja w ciebie wierzę. Ogromnie mi głupio z powodu tej idiotycznej przykrości, jaką ci wczoraj sprawiłem.

– W porządku, stary, to już mamy z głowy – odparł Dean.

Załapaliśmy się razem na wesołe miasteczko. Były tam karuzele, diabelskie młyny, prażona kukurydza, ruletki, trociny i setki miejscowych szczeniaków w dżinsach. Kurz wzbijał się do gwiazd tak samo jak najsmutniejsza muzyka na tej ziemi. Dean łąził w spranych, obcisłych lewisach i podkoszulku, naraz znów zaczął wyglądać jak najprawdziwszy typ z Denver. Młodociani motocykliści w kaskach, z wąsami, w kurtkach naszywanych paciorkami, kręcili się koło zasłon w głębi namiotów, a z nimi śliczne dziewczyny w lewisach i koszulowych bluzkach w różyczki. Było też sporo młodych Meksykanek i jedna zupełnie niesłychana malutka dziewczyna, jakieś dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu, karlica, o najpiękniejszej, najdelikatniejszej twarzy pod słońcem, która zwróciła się do kolegi i powiedziała: „Stary, zadzwońmy do Gomeza i zmywajmy się stąd”. Deana na jej widok dosłownie zamurowało. W ciemnościach nocy ugodził go wielki nóż.

– Stary, ja ją kocham, och, jak ja ją kocham...

Przez dłuższy czas musieliśmy za nią chodzić. W końcu dziewczyna przeszła na drugą stronę szosy, żeby zadzwonić z motelowej budki, a Dean udawał, że przegląda książkę telefoniczną, ale tak naprawdę przyglądał jej się w napięciu. Próbowałem nawiązać rozmowę z koleżankami tej laleczki, ale nie zwracały na nas uwagi. Przyjechał Gomez rozklekotaną ciężarówką i zabrał dziewczęta. Dean stał na drodze, łapiąc się za serce:

– Och, stary, omal nie umarłem...

– Dlaczegoś do niej, u diabła, nie zagadał?

– Nie mogę, nie mogłem...

Postanowiliśmy kupić piwo, pójść do Frankie i posłuchać sobie płyt. Z torbą wyładowaną puszkami piwa zaczęliśmy zatrzymywać wozy na szosie. Mała Janet, trzynastoletnia córka Frankie, była najpiękniejszą dziewczyną pod słońcem, wyrastała na bombową kobietę. Najcudowniejsze były jej długie, spiczaste, wrażliwe palce, które pląsały w rozmowie na wzór tańca Kleopatry znad Nilu. Dean usiadł w najdalszym kącie pokoju, przyglądał jej się spod zmrużonych powiek i powtarzał: „Tak, tak, tak”. Janet już go wyczuła;

zwróciła się do mnie o ochronę. Tego lata spędziłem z nią sporo czasu, rozmawialiśmy o książkach i o różnych drobiazgach, którymi się interesowała.

## 7

Tego wieczoru nic się nie zdarzyło; poszliśmy spać. Wszystko zdarzyło się dopiero nazajutrz. Po południu Dean i ja wybraliśmy się do centrum załatwić rozmaite sprawy i dowiedzieć się w biurze podróży o samochód do Nowego Jorku. Późnym popołudniem już wracaliśmy Broadwayem do Frankie, kiedy naraz Dean wszedł niewinnie do sklepu sportowego, spokojnie wziął z lady piłkę do softballu i wyszedł, podrzucając ją w rękę. Nikt nie zauważył; nikt nigdy takich rzeczy nie widzi. Było ospałe, gorące popołudnie. Rzucaliśmy sobie piłkę, idąc.

– Jutro na pewno w biurze podróży trafi nam się wóz.

Przyjaciółka dała mi dużą, litrową butelkę bourbona. Zaczęliśmy go rozpijać w domu Frankie. Po drugiej stronie pola kukurydzy za domem mieszkała śliczna młoda dziewczyna, którą Dean od chwili naszego przyjazdu usiłował zaliczyć. Szykował się kłopot. Dean rzucił trochę za dużo kamyków w jej okno i ją przestraszył. Kiedy rozpijaliśmy bourbona w zaśmieconej bawialni, w której kłębiły się psy, rozrzucone zabawki i smętne rozmowy, Dean coraz to wypadał przez kuchenne drzwi i przebiegał pole kukurydzy, żeby porzucać kamykami i pogwizdać. Raz na jakiś czas Janet wychodziła na dwór, żeby się temu przyjrzeć. Naraz Dean wrócił cały blady.

– Kłopoty, kochany. Matka dziewczyny ściga mnie ze strzelbą, zwołała całą bandę wyrostków, żeby mnie pobili tam na drodze.

– Co takiego? Gdzie oni są?

– Po drugiej stronie pola, kochany.

Dean był pijany i niczym się nie przejmował. Wyszliśmy razem, przemierzyliśmy pole kukurydzy oświetlone blaskiem księżycy. Na ciemnej polnej drodze zobaczyłem grupki ludzi.

– Idą tu! – usłyszałem.

– Chwileczkę – powiedziałem. – Słucham, o co chodzi?

Matka zaczała się w ciemnościach z dużą strzelbą na ramieniu.

– Ten twój cholerny przyjaciel już za długo nas tu nachodzi. Ja tam nie z tych, co wzywają policję. Jak jeszcze raz tu wróci, będę strzelać, i to tak, żeby go zastrzelić.

Obstąpiły nas grupy wyrostków z zaciśniętymi pięściami. Byłem tak pijany, że też niczym się nie przejmowałem, ale jakoś wszystkich uspokoilem.

– To się już nie powtórzy – obiecałem. – Będę go pilnował. To mój brat, on mnie słucha. Niech pani odłoży strzelbę i niczym się nie martwi.

– Jeszcze raz – rzuciła stanowczo i ponuro z tych ciemności – a jak mąż wróci do domu, naślę go na was.

– Nie zajdzie taka potrzeba. Niechże pani zrozumie, on już nie będzie was więcej nachodził. A teraz proszę się uspokoić, wszystko w porządku.

Dean za moimi plecami kłął pod nosem. Dziewczyna wyglądała z okna sypialni. Znałem tych ludzi z poprzedniego pobytu, mieli więc do mnie na tyle zaufania, żeby się trochę uspokoić. Wziąłem Deana za rękę i wróciliśmy razem przez błyszczące pod księżycem zagony kukurydzy.

– Uuuu-iii! – ryczał. – No, dzisiaj to ja się upiję.

Wróciliśmy do Frankie i do dzieciaków. Naraz Dean wściekł się na płytę, którą puszczała mała Janet, i złamał ją na kolanie; była to muzyka ludowa. Wczesny Dizzy Gillespie, którego sam cenił – Congo Blues z Maksym Westem na perkusji. Podarowałem ją wcześniej Janet, i teraz, kiedy płakała, doradziłem jej, żeby rozbiła ją na głowie Deana. Tak też zrobiła. Dean gapił się tępo, wyczuwając sprawę. Wszyscy się roześmieliśmy. Sytuacja wróciła do normy. Wtedy mamuśka Frankie uznała, że chce wyjść i napić się piwa w przydrożnych barach.

– No to chodźmy! – krzyknął Dean. – Widzisz, cholera, gdybyś kupiła tamten wóz, który ci pokazywałem we wtorek, nie musielibyśmy teraz drałować pieszo.

– Nie podobał mi się, do cholery, tamten wóz! – wykrzyknęła Frankie.

Jang, jang, dzieci zaczęły płakać. W zwariowanym burym saloniku ze smętną tapetą, różową lampą i podnieconymi twarzami zawisła gęsta, ćmie podobna wieczność. Mały Jimmy był wystraszony; położyłem go spać na kanapie i wtuliłem w niego psa. Frankie po pijanemu wezwała taksówkę, a kiedy wszyscy czekaliśmy, zadzwoniła do mnie moja przyjaciółka. Miała kuzyna w średnim wieku, który nie mógł ścierpieć mojej bezczelności, bo tego samego dnia po południu napisałem list do Starego Byka Lee, który bawił teraz w Mexico City, opisując mu przygody Deana i swoje, a także nasze życie w Denver. Napisałem:

„Mam przyjaciółkę, która daje mi whisky, forszę i duże kolacje”.

Jak idiota dałem ten list jej kuzynowi w średnim wieku, żeby mi go wysłał, tuż po takiej kolacji z pieczonym kurczakiem. On go otworzył, przeczytał i natychmiast jej zaniósł, żeby ją przekonać, jaki ze mnie blagier. Teraz ona dzwoniła we łzach, mówiąc, że nie chce

mnie więcej widzieć. Po czym triumfujący kuzyn wziął od niej słuchawkę i zaczął mnie wyzywać od łajdaków. Kiedy taksówka trąbiła pod domem, dzieci płakały, psy szczekały, a Dean tańczył z Frankie, ja wykrzykiwałem przez telefon wszystkie znane przekleństwa, jakie tylko miałem w głowie, i dorzuciłem jeszcze garść nowych, poza tym w pijackim szale powiedziałem tamtym z drugiej strony, żeby poszli do diabła, rzuciłem słuchawkę i wyszedłem się upić.

Gramoliliśmy się jedno przez drugie, wysiadając z taksówki przy gospodzie, wiejskiej gospodzie u podnóża gór, weszliśmy do środka i zamówiliśmy piwo. Wszystko się waliło, a jakby jeszcze nie było dosyć tego niewyobrażalnego zamętu, w barze znalazł się ekstatyczny połamaniec, który wczepił się kurczowo w Deana i jęczał mu w twarz, na co Dean znów wpadł w swój trans, zaczął się pocić i wariować, a żeby jeszcze bardziej pogłębić ten niezdolny zamęt, chwilę później wybiegł stamtąd, ukradł samochód z podjazdu, śmignął do centrum i wrócił z nowszym, lepszym wozem. Naraz podniosłem wzrok i zobaczyłem kłębowisko gliniarzy i gapiów na podjeździe oświetlonym reflektorami radiowozów, wszyscy gadali o tym ukradzionym samochodzie.

– Ktoś tu kradnie samochody na prawo i lewo! – mówił gliniarz.

Dean stał tuż za nim, słuchał i dogadywał:

– Ach tak, ach tak.

Gliniarze odjechali, żeby zbadać sprawę. Dean wszedł do baru, zaczął się kiwać w przód i w tył z tamtym biednym połamańcem, który właśnie tego dnia wziął ślub i teraz koszmarnie się upijał, a panna młoda gdzieś na niego czekała.

– Och, stary, to najwspanialszy facet pod słońcem! – ryczał Dean. – Sal, Frankie, wychodzę, ale tym razem przywiozę wam naprawę bombowy wóz, wtedy sobie wszyscy pojedziemy, zabierzemy też Tony’ego (tego świętego połamańca) i wypuścimy się na prawdziwą przejażdżkę w góry.

I wybiegł. Jednocześnie do środka wpadł gliniarz i powiedział, że wóz ukradzony w centrum Denver stoi zaparkowany na podjeździe. Ludzie zbici w gromadki omawiali sprawę. Zobaczyłem przez okno, jak Dean wskakuje do najbliższego wozu i odjeżdża, ale nikt tego nie zauważył. Po kilku minutach wrócił zupełnie innym wozem, nowiusieńkim kabrioletem.

– To jest dopiero cacko! – szepnął mi do ucha. – Tamten za bardzo charczał, zostawiłem go na skrzyżowaniu, zobaczyłem to cudo zaparkowane przed farmą. Przejechałem się po Denver. Chodź, stary, jedźmy wszyscy na przejażdżkę.

Gorycz i obłęd jego całego życia w Denver wylewały się teraz z niego niczym deszcz sztyletów. Twarz miał czerwoną, spoconą.

– Nie, nie chcę mieć nic wspólnego z kradzionymi samochodami.

– No co ty, stary! Tony ze mną pojedzie, prawda, że pojedziesz, mój kochany, niesamowity Tony?

A Tony – ciemnowłosa chudzina o świętych oczach, skamląca, spieniona, zagubiona dusza – oparł się o Deana i jęczał, jęczał, bo naraz dostał ataku, po czym z niewiadomego, wyczuwanego intuicyjnie powodu przestraszył się Deana, wyrzucił ręce do góry i odskoczył z przerażeniem wykrzywiającym mu twarz. Dean skłonił głowę, cały się oblał potem. Wybiegł stamtąd i odjechał, Frankie i ja znaleźliśmy na podjeździe taryfę, uznaliśmy, że trzeba wracać do domu. Kiedy taryfiarz wiózł nas ciemnym choć oko wykol Alameda Boulevard, który przemierzyłem tyle, tyle razy podczas zagubionych nocy minionego lata, śpiewając, jęcząc, karmiąc się gwiazdami, a soki z mojego serca kapały na rozgrzany asfalt, kap, kap, kap, naraz Dean podjechał do nas z tyłu kradzionym kabrioletem, zaczął trąbić, wjeżdżać nam niemal w kufer i wrzeszczeć. Taryfiarz pobrał.

– To tylko mój przyjaciel – uspokoiłem go. Dean zbrzydził się nami i naraz wyprysnął naprzód z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, zostawiając za sobą widmowy kłęb dymu z rury wydechowej. Następnie skręcił w drogę do Frankie, zajechał pod sam dom; tam równie gwałtownie znów ruszył, zawrócił i odjechał w stronę miasta, kiedy myśmy wysiadali z taksówki i płacili za przejazd. Po chwili, kiedy czekaliśmy cali w nerwach na ciemnym podwórku, wrócił jeszcze innym wozem, rozklekotanym kabrioletem, zahamował, wznecając tuman kurzu przed domem, wytoczył się z wozu, poszedł wprost do sypialni, gdzie walnął się kompletnie pijany na łóżko. Zostaliśmy więc z ukradzionym wozem tuż pod drzwiami.

Musiałem go obudzić; nie potrafiłem uruchomić wozu, żeby go odstawić gdzieś dalej. Wygramolił się z łóżka w samych spodenkach gimnastycznych, wsiedliśmy we dwóch do wozu, a dzieciaki śmiały się w oknach, i ruszyliśmy, podskakując i prując na łeb na szyję przez wyboiste rzędy lucerny przy końcu szosy ump-ti-ump, aż wreszcie wóz nie wytrzymał i zarył pod starą topolą koło starego młyna.

– Dalej nie da rady – powiedział po prostu Dean, wysiadł i ruszył z powrotem w samych spodenkach przez pole kukurydzy, jakiś kilometr, w blasku księżyca. Wróciliśmy do domu, Dean położył się spać. Wszędzie, w całym Denver, straszliwy chaos, moja przyjaciółka, samochody, dzieci, biedna Frankie, salonik usłany puszkami po piwie, a ja usiłowałem zasnąć. Przez pewien czas nie dawał mi spać jakiś świerszcz. Nocą w tej części Zachodu gwiazdy, te same, które widziałem w Wyoming, są ogromne jak race i samotne jak książkę Dharmy, który utracił swój prastary gaj i teraz błąka się w przestrzeni między

kolejnymi punktami dyszla Wielkiego Wozu, usiłując ten gaj odnaleźć. Gwiazdy powoli pchały naprzód tę noc, a potem na długo przed wschodem słońca, hen, daleko nad mroczną ponurą ziemią od strony zachodniego Kansas ukazała się wielka, czerwona łuna i ptaki nad Denver rozpoczęły swoje trele.

## 8

Rano ogarnęły nas potworne mdłości. Dean, gdy tylko wstał, poszedł przez pole kukurydzy, żeby sprawdzić, czy zdołamy dojechać tym samochodem na Wschód. Sprzeciwiłem się, ale on i tak poszedł. Wrócił blady.

– Stary, tam stoi wóz detektywa, a każdy komisariat w mieście ma moje odciski palców jeszcze z czasów, kiedy w jednym roku ukradłem pięćset samochodów. I widzisz, stary, co ja z nimi robię. Przecież ja tylko chcę się przejechać! Muszę wiać! Posłuchaj, jeżeli w tej sekundzie stąd nie wyjedziemy, to skończymy w kiciu.

– Żebyś wiedział – powiedziałem i rzuciliśmy się do pakowania, tylko nam ręce śmigały. Z dyndającymi krawatami i połami koszul migiem pożegnaliśmy się z naszą uroczą rodziną i ruszyliśmy w kierunku zbawiennej drogi, gdzie nikt nas nie rozpozna. Mała Janet płakała z powodu naszego, mojego, zresztą Bóg wie czyjego, odjazdu, a Frankie pożegnała nas bardzo uprzejmie, wycałowała ją i przeprosiłem.

– To naprawdę wariat – powiedziała. – Przypomina mi męża, który mnie rzucił. Wypisz, wymaluj jak tamten. Mam tylko nadzieję, że mój Mickey nie wyrośnie na kogoś takiego, bo teraz wśród młodych taka moda.

Pożegnałem się też z małą Lucy, która trzymała w rączce ulubionego żuka, mały Jimmy jeszcze spał. A wszystko w ciągu kilku sekund; w cudowny niedzielny poranek taszczyliśmy się z naszymi przekłętymi bagażami. Grunt nam się palił pod nogami. Lada chwila spodziewaliśmy się, że zza polnego zakrętu wyjedzie po nas radiowóz.

– Jeżeli ta kobieta ze strzelbą się dowie, to jesteśmy ugotowani – powiedział Dean. – Musimy złapać taryfę. Wtedy będziemy bezpieczni.

Już mieliśmy budzić rodzinę farmerów, żeby skorzystać z telefonu, ale wystraszył nas ich pies. Z minuty na minutę sytuacja się pogarszała; jakiś ranny ptaszek znajdzie rozbity kabriolet w kukurydzy. W końcu pewna uroczą starsza pani pozwoliła nam skorzystać z telefonu, zadzwoniliśmy do centrum po taksówkę, ale nie przyjechała. Wytarabaniliśmy się

na drogę. Zaczął się już poranny ruch, każdy samochód wyglądał nam na radiowóz. Naraz zobaczyliśmy nadjeżdżający radiowóz, uznałem więc, że to koniec mojego dotychczasowego życia, że wkraczam w nowy, straszliwy etap więzień i żelaznych żalów. Ale okazało się, że to nasza taksówka, i od tej chwili zaczęła się nasza ucieczka na Wschód.

W biurze podróży trafiła nam się niesamowita okazja, facet chciał, żeby ktoś mu odstawił limuzynę cadillaca z roku 47 do Chicago. Właściciel jechał z rodziną aż z Meksyku, zmęczył się i wsadził wszystkich do pociągu. Chciał tylko zobaczyć jakiś dowód tożsamości, no i żeby wóz dojechał na miejsce. Moje dokumenty upewniły go, że wszystko będzie w porządku. Powiedziałem mu, żeby się o nic nie martwił. Przestrzegłem Deana: „Tylko nie świńnij mu przypadkiem tego wozu”. Dean na widok samochodu aż zaczął skakać z podniecenia. Musieliśmy godzinę poczekać. Leżeliśmy na trawniku pod kościołem, gdzie w roku 1947 spędziłem trochę czasu z zebrzącymi trampami, odprowadziwszy Ritę Bettencourt do domu, i tam właśnie zasnąłem upiornie zmęczony, wsłuchany w popołudniowe ptaki. Ale w rzeczywistości to grały gdzieś organy. Dean natomiast latał po mieście. W jakiejś knajpce przygadał sobie kelnerkę, umówił się na randkę, że po południu weźmie ją na przejażdżkę swoim cadillakiem, i wrócił, żeby mnie obudzić z tą wiadomością. Sen dobrze mi zrobił. Ale wstałem na nowe komplikacje.

Kiedy podstawiono cadillaca, Dean natychmiast odjechał „po benzynę”, na co urzędnik z biura podróży spojrział na mnie i zapytał:

– Kiedy ten pan wróci? Pasażerowie są już gotowi do drogi. – I wskazał na dwóch młodych Irlandczyków z jezuickiej szkoły na Wschodzie, którzy czekali z walizkami na ławkach.

– Pojechał tylko po benzynę. Zaraz wróci.

Wyszedłem na róg i patrzyłem, jak Dean stoi z zapalonym silnikiem, czekając na swoją kelnerkę, która się przebierała w pokoju hotelowym; widziałem nawet stamtąd, jak dziewczyna stoi przed lustrem, stroi się, poprawia jedwabne pończochy, i żałowałem, że nie mogę z nimi jechać. Wybiegła na spotkanie z Deanem, wskoczyła do cadillaca. Wróciłem, żeby uspokoić kierownika biura podróży i pasażerów. Kiedy tam stałem w drzwiach, mignął mi tylko cadillac mknący przez Cleveland Place, w środku Dean w podkoszulku, rozradowany, wymachujący rękami, zabawiający dziewczynę rozmową, przygarbiony nad kółkiem, a ona smętna i dumna obok niego. Pojechali w biały dzień na parking, zaparkowali pod murem z cegły na tyłach (Dean kiedyś pracował na tym parkingu) i tam, jak twierdzi, przeleciał ją dosłownie migiem; na domiar wszystkiego przekonał ją, żeby podążyła za nami na Wschód, jak tylko dostanie w piątek wypłatę, dojechała autobusem i spotkała się z nami w

Nowym Jorku na chacie Iana MacArthura przy Lexington Avenue. Dziewczyna zgodziła się przyjechać, na imię miała Beverly. Po półgodzinie Dean wrócił, odstawił dziewczynę do hotelu, z pocałunkami, pożegnaniami, obietnicami, i zajechał z fasonem prosto pod biuro podróży, żeby zabrać załogę.

– Najwyższy czas! – powiedział gogusiowaty kierownik biura podróży. – Już myślałem, że mi pan przepadł z tym cadillakiem.

– Proszę się nie martwić – uspokoiłem go – biorę na siebie wszelką odpowiedzialność. – A powiedziałem to, bo Dean miał taką gorączkę w sobie, że na pierwszy rzut oka można było poznać jego obłąd. Dean zaczął się zachowywać bardzo oficjalnie, pomógł młodym chłopcom od jezuitów załadować bagaże. Ledwo usiedli, ledwo pomachaliśmy Denver na pożegnanie, a on już grzał, tylko brzęczał silnik potężny jak wielkie ptaszysko. Zaledwie trzy kilometry za Denver zepsuł się szybkościomierz, bo Dean pędził dobrze ponad sto siedemdziesiąt kilometrów na godzinę.

– No tak, bez szybkościomierza nie będę wiedział, jak prędko jadę. Ale pogonię tego bydlaka do Chicago i obliczę sobie, w ile zajechałem. – Nie czuliśmy nawet stu dziesięciu, a wszystkie inne samochody odpadały od nas jak zdechłe muchy na prościutkiej szosie prowadzącej do Greeley. – Wiesz, Sal, jedziemy na północny wschód, bo musimy bezwzględnie odwiedzić ranczo Eda Walla w Sterling, musisz go poznać, zobaczyć jego ranczo, a ta łajba tak grzeje, że bez problemu nadrobimy czas, dojedziemy do Chicago jeszcze na długo przed pociągiem tamtego faceta.

W porządku, odpowiadało mi to. Zaczął padać deszcz, ale Dean nie zwalniał tempa. To był przepiękny duży samochód, ostatni z serii staroświeckich limuzyn, długi, czarny, miał opływowe kształty, białe opony i najprawdopodobniej kuloodporne okna. Chłopcy z jezuickiej szkoły – Świętego Bonawentury – siedzieli cali w skowronkach z tyłu, zadowoleni, że są w drodze, a nie mieli pojęcia, z jaką jedziemy prędkością. Próbowali nas zagadywać, ale Dean się nie odzywał, tylko zdjął podkoszulek i jechał rozebrany do pasa.

– Eh, ta Beverly to cudowna, bombowa panienka... dojedzie do mnie w Nowym Jorku... pobierzemy się, jak tylko dostanę papiery rozwodowe od Camille... wszystko gra, Sal, no i jesteśmy w drodze. Tak!

Im szybciej oddalaliśmy się od Denver, tym lepiej się czułem, a jechaliśmy naprawdę szybko. Kiedy na skrzyżowaniu skręciliśmy z głównej szosy, zapadł zmrok; wjechaliśmy na polną drogę, która prowadziła przez smętne równiny wschodniego Kolorado do rancza Eda Walla na kojotowym zadupiu. Nadal padało, na drodze śliskie błoto, Dean zwolnił do jakichś stu dziesięciu, kazałem mu zwolnić jeszcze bardziej, bo wpadniemy w poślizg, na co

powiedział:

– Nie bój złego, stary, przecież mnie znasz.

– Ale nie tym razem – odparłem. – Naprawdę jedziesz dużo za szybko.

A on pruł tak po tym śliskim błocie i właśnie kiedy wyrzekłem te słowa, Dean wjechał w ostry zakręt w lewo, targnął mocno kierownicą, żeby z niego wyjść, ale ogromny wóz wpadł na tej brei w poślizg i wściekle się zakołysał.

– Uwaga! – ryknął Dean, który się w ogóle nie przejął, tylko przez chwilę wziął się za bary ze swoim Aniołem, po czym wylądowaliśmy tyłkiem w rowie, a przodem na drodze. Zapadła wielka cisza. Słyszeliśmy jęk wiatru. Utknęliśmy na środku dzikiej prerii. Pół kilometra stamtąd znajdowała się jakaś chałupa. Kłamię w żywe kamienie, taki byłem wściekły i oburzony na Deana. On się nie odezwał słowem, wyszedł tylko w kurtce na ten deszcz i ruszył do chałupy po pomoc.

– To twój brat? – spytali chłopcy z tylnego siedzenia. – Istny szatan za kierownicą, a jeśli wierzyć jego słowom, z kobietami chyba też.

– To wariat – odparłem – i zgadza się, to mój brat.

Zobaczyłem Deana wracającego z farmerem na traktorze. Zamocowali łańcuchy i farmer wyciągnął nas z rowu. Samochód był upaprany w błocie, cały błotnik wgnieciony. Farmer policzył nam pięć dolarów. Jego córki przyglądały nam się w tym deszczu. Najładniejsza i zarazem najbardziej nieśmiała chowała się daleko w polu, a miała po temu powód, bo była bezapelacyjnie i bezwzględnie najpiękniejszą dziewczyną, jaką Dean i ja widzieliśmy w życiu. Miała jakieś szesnaście lat, cerę jak dzikie róże tych równin, nieskończenie błękitne oczy, najcudowniejsze włosy, a przy tym skromność i żwawość dzikiej antylopy. Na każde nasze spojrzenie odwracała wzrok. Stała tam, a potworny wiatr, który dał aż z Saskatchewan, rozwiewał włosy na jej przecudnej głowie niczym welon, skręcając je w loki. Nie przestawała się rumienić.

Skończyliśmy z farmerem, spojrzeliśmy po raz ostatni na anielicę prerii i już jechaliśmy, tym razem trochę wolniej, aż zapadł zmierzch, a Dean oznajmił, że ranczo Eda Walla jest tuż-tuż.

– Boję się takich dziewczyn jak ta – powiedziałem. – Rzuciłbym wszystko i zdałbym się na jej łaskę, a gdyby mnie nie chciała, po prostu skoczyłbym w przepaść z krawędzi świata.

Chłopcy od jezuitów roześmieli się. Sypali płaskimi dowcipami i szkolnymi powiedzonkami ze Wschodu, a w tych swoich ptasich mózdkach mieli tylko błędnie zrozumianego Tomasza z Akwinu, którym chcieli przydać sobie intelektu. Dean i ja nie

zwracaliśmy na nich najmniejszej uwagi. Kiedy przemierzaliśmy błotniste równiny, opowiadał mi o swoich kowbojskich czasach, pokazał nam ten kawałek drogi, gdzie kiedyś cały ranek jeździł na koniu; a potem miejsce, gdzie naprawiał płot, kiedy wjechaliśmy do posiadłości Walla, naprawdę olbrzymiej; i gdzie stary Wall, ojciec Eda, wjeżdżał z klekotem na pastwisko w pogoni za jałówką i wrzeszczał: „Łapać jum, łapać jum, psiakrew-cholera!”.

– Co pół roku musiał zmieniać wóz – opowiadał Dean. – Był na pełnym luzie. Kiedy oderwał się od nas jakiś dziki koń, stary jechał za nim aż do najbliższego wodopoju, po czym wysiadał i gonił go pieszo. Zawsze liczył swoje zarobki co do centa i wszystko wkładał do garnka. Stuknięty stary ranczer. Pokażę wam kilka jego rozbitych gratów przy szalasiu. Tu właśnie przyjechałem, jak mnie wypuścili warunkowo po ostatniej odsiadce. Tu właśnie mieszkałem, kiedy pisałem tamte listy do Chada Kinga, które ci pokazywał. – Skręciliśmy z drogi i jechaliśmy teraz krętą ścieżką przez zimowe pastwisko. Naraz w światło reflektorów wlało nam żalosne stado krów z białymi pyskami. – Masz ci los! Krowy Walla! W życiu nas nie przepuszczą. Musimy wysiąść i je przegonić! Hi-hi-hi!

W końcu do tego nie doszło, tylko przejechaliśmy wolniusieńko między nimi, czasem stukając którąś delikatnie, a one przepływały i porykiwały, zupełnie jak morze zalewające nasz wóz. I wtedy zobaczyliśmy światło domu Eda Walla. Wokół tego samotnego światła ciągnęły się setki kilometrów równin.

Dla człowieka ze Wschodu takie całkowite ciemności, jakie zapadają na prerii, są po prostu czymś niepojętym. Nie było ani gwiazd, ani księżyca, ani żadnych światel, tylko to jedno światełko z kuchni pani Wall. Za cienistym podwórkiem ciągnął się bezkresny świat, którego nie zobaczy się aż do świtu. W ciemnościach zapukałem do drzwi i zawołałem Eda Walla, który doił krowy w oborze, po czym zapuściłem się ostrożnie w te ciemności, jakieś dwadzieścia kroków, nie więcej. Zdawało mi się, że słyszę kojoty. Wall powiedział, że to pewno któryś z dzikich koni ojca rży w oddali. Ed Wall był mniej więcej w naszym wieku, wysoki, smukły, zęby jak ćwieki, małowówny. On i Dean wystawiali niegdyś razem na rogach ulicy Curtis i gwizdali na dziewczyny. Teraz zaprosił nas elegancko do swojego mrocznego, burego, nieużywanego saloniku, tak długo macał ręką, aż wymacał mdłe lampy, zapalił światła i spytał Deana:

– Co ci się, do diabła, stało w kciuk?

– Rąbnąłem nim Marylou i dostałem zakażenia, aż musieli mi amputować czubek.

– I po co ci to, do cholery, było? – Przekonałem się, że był niegdyś starszym bratem Deana. Pokiwał głową; skopek z mlekiem nadal stał u jego stóp. – Zresztą zawsze byłeś takim stukniętym skurwysynem.

Tymczasem jego młoda żona zastawiła imponująco stół w dużej wiejskiej kuchni. Przepraszała za lody brzoskwińowe:

– To po prawdzie tylko śmietana i brzoskwinie zamrożone razem.

Oczywiście były to jedyne prawdziwe lody, jakie w życiu jadłem. Zaczęła skromnie, a skończyła naprawdę suto; w miarę jak jedliśmy, coraz to nowe potrawy zjawiały się na stole. Była zażywną blondynką, ale tak jak wszystkie kobiety mieszkające na rozległych przestrzeniach, uskarżała się trochę na nudę. Wymieniała programy radiowe, których zwykle słucha o tej porze nocy. Ed Wall tylko siedział, wpatrzony we własne ręce, Dean zjadał żarłocznie. Chciał, żebym potwierdził jego bujdę, że to mój cadillac, że jestem bardzo bogatym człowiekiem, a on moim przyjacielem i szoferem. Nie zrobiło to na Edzie Wallu żadnego wrażenia. Za każdym razem, kiedy z obory dobiegały głosy inwentarza, podnosił głowę i słuchał.

– Mam nadzieję, chłopcy, że dojedzicie do Nowego Jorku.

Absolutnie nie uwierzył w bajkę, że jestem właścicielem cadillaca, był przekonany, że Dean go ukradł. Zabawiliśmy na ranczu jakąś godzinę. Ed Wall przestał wierzyć w Deana zupełnie tak samo jak Sam Brady – patrzył na niego podejrzliwie, jeśli w ogóle patrzył. Przeżyli razem burzliwe dni, kiedy obaj po sianokosach włożyli się ręka w rękę ulicami Laramie w Wyoming, ale te czasy dawno minęły, przebrzmiały.

Dean podskoczył nerwowo na krześle.

– No tak, no tak, musimy się chyba zbierać, bo jutro wieczór mamy być w Chicago, a i tak już zmarnowaliśmy kilka godzin.

Chłopcy ze szkoły podziękowali elegancko Wallowi i znów ruszyliśmy w drogę. Odwróciłem się, żeby zobaczyć, jak światła kuchni nikną w oceanie nocy. Po czym spojrzałem przed siebie.

## 9

Zanim się obejrzelśmy, już znów byliśmy na głównej szosie, i tej nocy cała Nebraska przetoczyła mi się przed oczyma. Sto siedemdziesiąt kilometrów na godzinę, droga jak strzała, śpiące miasta, pusta szosa i tylko w blasku księżyca śmigacz spółki Union Pacific, który został za nami w tyle. Tej nocy wcale się nie bałem; tu można było legalnie jechać sto siedemdziesiąt, gadać i zdobywać wszystkie miasta Nebraski – Ogallala, Gothenburg,

Kearney, Grand Island, Columbus – które migały tylko jak we śnie, kiedy pruliśmy naprzód, zagadani. To był wspaniały wóz; trzymał się drogi tak, jak statek trzyma się na wodzie. Łagodne zakręty braliśmy śpiewająco.

– Ech, stary, marzenie nie łajba – wzdychał Dean. – Pomyśl, gdybyśmy we dwóch mieli taki wóz, co byśmy mogli zrobić. Wiesz, że jest taka jedna droga, co prowadzi przez cały Meksyk i leci aż do Panamy? A może nawet dalej, na sam kraniec Ameryki Południowej, gdzie Indianie mają przeszło dwa metry wzrostu i wsuwają kokainę na zboczach gór? Tak! Z takim wozem, Sal, przemierzylibyśmy cały świat, bo wiesz, stary, ta droga musi go w końcu opasać. Bo niby dokąd miałyby prowadzić, dobrze mówię? Ech, a jak my będziemy śmigać tą bryką po starym Chicago! Pomyśl tylko, Sal, w życiu nie byłem w Chicago, nigdy się tam nie zatrzymałem.

– Tym cadillakiem zajedziemy tam jak jacyś gangsterzy!

– No! A dziewczyny! Możemy poderwać sobie dziewczyny, bo wiesz, Sal, postanowiłem specjalnie nadrobić czas, żebyśmy mieli cały wieczór na pojeżdżenie tą bryką. Teraz się odpręż, a ja dam po zaworach.

– Jak szybko jedziesz?

– Chyba jakieś sto siedemdziesiąt, nawet się nie czuje. Przed nami jeszcze cała Iowa za dnia, a potem w mgnieniu oka zrobię stare Illinois.

Chłopcy zasnęli, a myśmy przegadali całą noc. Coś niesłychanego, jak Dean potrafił świrować, po czym naraz zaczynał mówić z głębi duszy – chyba za sprawą szybkiego wozu, perspektywy wybrzeża u celu podróży i kobiety przy końcu drogi – spokojnie, przytomnie, jak gdyby nigdy nic.

– Teraz zawsze mi tak odbija w Denver, już nie mogę zaglądać do tego miasta. Jaka mowa, nie ma rozmowy, Dean to pirat drogowy. Fru!

Powiedziałem mu, że w czterdziestym siódmym już raz przejeżdżałem tędy przez Nebraskę.

On też.

– Sal, kiedy w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym pracowałem w pralni „Nowa Era” w Los Angeles, dodając sobie lat, wybrałem się na tor w Indianapolis, bo miałem wielką ochotę zobaczyć słynne wyścigi w Dniu Pamięci, jechałem więc stopem za dnia, a w nocy, żeby zdążyć na czas, kradłem samochody. Poza tym w LA miałem wtedy buicka za dwadzieścia dolarów, swój pierwszy wóz, ale nie przeszedł kontroli technicznej na światła i hamulce, no więc uznałem, że muszę zdobyć tablice rejestracyjne innego stanu, żeby móc tym wozem jeździć, nie narażając się na areszt, no i przyjechałem tutaj, żeby sobie te tablice

załatwić. Kiedy jechałem stopem przez jedno z tych miast, z tablicami rejestracyjnymi za pazuchą, na głównej ulicy zatrzymał mnie wścibski szeryf, który uznał, że jestem za młody na autostopowicza. Znalazł tablice, wsadził mnie do aresztu, gdzie były dwie cele, razem z jakimś miejscowym przestępcą, który powinien raczej trafić do domu starców, bo nie potrafił sam jeść (karmiła go żona szeryfa) i przez cały dzień tylko się ślinił i mamrotał coś od rzeczy. Po przesłuchaniu, łącznie z takimi starymi sztuczkami jak ojcowska reprimenda, następnie po gwałtownej zmianie nastroju, żeby mnie zastraszyć groźbami, po porównywaniu mojego charakteru pisma i tak dalej, no i po najwspanialszej mowie życia, jaką wygłosiłem, żeby stamtąd wyjść, zakończonej wyznaniem, że kłamałem o swojej przeszłości złodzieja samochodów, bo tylko szukam tatusia, który gdzieś tu w okolicy jest pomocnikiem w polu, gliniarz mnie puścił. Oczywiście wyścigi przeszły mi koło nosa. Kolejnej jesieni powtórzyłem całą imprezę, żeby zobaczyć mecz Notre Dame – Kalifornia w South Bend, w stanie Indiana – tym razem już bez problemów, chociaż miałem wyliczoną forszę na bilet i ani centa więcej, no to nie jadłem całą drogę tam i z powrotem poza tym, co wysepiłem od różnych nawiedzonych faciów napotkanych po drodze, a też i od odjazdowych panienek. Jedyne facet w całych Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, który zadał sobie aż tyle trudu, żeby zobaczyć mecz.

Spytałem go o okoliczności jego pobytu w LA w roku 1944.

– Aresztowali mnie w Arizonie i zamknęli w bezwzględnie najgorszym pudle, w jakim kiedykolwiek byłem. Musiałem stamtąd wiać, odstawiłem wtedy ucieczkę swojego życia, skoro już mowa o ucieczkach, kapujesz, tak w ogóle. Przez lasy, no wiesz, i to czołgając się, przez mokradła... po tych wszystkich górach. Czekają mnie pałowanie, ciężkie roboty i tak zwana śmierć przy próbie ucieczki, musiałem więc czmychać z tych lasów po grani, żeby omijać szlaki, drogi i ścieżki. Musiałem się pozbyć więziennych łachów, podwędziłem więc elegancko koszulę i spodnie ze stacji benzynowej pod Flagstaff, dwa dni później dotarłem do LA w stroju pompierza, zaszedłem na pierwszą napotkaną stację, dostałem tam pokój, zmieniłem nazwisko (na Lee Buliay) i spędziłem bombowy rok w LA, razem z całą paczką nowych koleżków i kilkoma naprawdę genialnymi dziewczynami, a pod koniec sezonu, kiedy jechaliśmy któregoś wieczoru Hollywood Boulevard, poprosiłem kumpla, żeby sterował wozem, kiedy będę się całował ze swoją dziewczyną... a wiesz, siedziałem za kółkiem... tyle że on mnie nie usłyszał i grzmotnęliśmy prosto w słupek, dobrze że jechałem tylko trzydziestką, i złamałem sobie nos. Widziałeś mój nos, mam tu to greckie zakrzywienie. Stamtąd pojechałem do Denver, gdzie właśnie tamtej wiosny spotkałem w barku Marylou. Eh, stary, miała zaledwie piętnaście lat, była w dzinsach i po prostu czekała, żeby ją ktoś

poderwał. Trzy dni, trzy noce na samych rozmowach w hotelu Ace, na drugim piętrze, w narożnym pokoju od południowego wschodu, tej izbie pamięci i świętej scenie moich czasów... była wtedy taka urocza, taka młoda, hmm, ach! Czekał no, halo, patrz, tam w tej smole nocy, hłe, hłe, banda starych włóczęgów przy ognisku przy torach, niech mnie diabli. – Omal nie zwolnił. – Widzisz, zawsze się zastanawiam, czy tam przypadkiem nie ma mojego ojca. – Obok torów rysowały się sylwetki ludzi zataczających się przy ognisku. – Zawsze się zastanawiam, czy ich nie zagadnąć. On może być wszędzie.

Pojechaliśmy dalej. Gdzieś za nami albo przed nami w tę wielką noc jego ojciec leżał pijany pod krzakiem, na pewno miał zaślinioną brodę, przemoczone spodnie, miodek w uszach, strupy na nosie, może też krew we włosach i oświetlał go blask księżyca.

Wziąłem Deana za rękę.

– Och, stary, naprawdę jedziemy do domu.

Po raz pierwszy Nowy Jork miał się stać jego domem na stałe. Drżał na całym ciele; nie mógł się doczekać.

– I pomyśl, Sal, kiedy dojedziemy do Pensy, zaczniemy słuchać u disc jockeyów tego bombowego bopu ze Wschodu. Ahoj, płyn, łajbo, płyn!

Ten wspaniały wóz sprawiał, że ryczał wiatr, równiny rozwijały się jak rolka papieru; gorący asfalt umykał z szacunkiem spod kół – monarsza łódź. Otworzyłem oczy na falujący świt; dosłownie weń pędziliśmy. Kamienna, zacięta twarz Deana jak zwykle pochylała się nad deską rozdzielczą, mając przed sobą własny kościsty cel.

– O czym myślisz, papciu?

– Ach-ha, ach-ha, wiecznie o tym samym, no wiesz... te baby, te baby, te baby.

Zasnąłem i obudziłem się w suchym, gorącym powietrzu lipcowego niedzielnego ranka w Iowa, Dean wciąż prowadził, nie zmniejszając wcale prędkości; pokonał kręte kukurydziane doliny Iowa, nie schodząc poniżej stu trzydziestu, a prostą drogą jechał jak zwykle dwieście na godzinę, chyba że dwukierunkowa jezdnia zmuszała go do tego, żeby się wlec gęsiego żalosną setką. Gdy tylko nadarzyła się okazja, wyskakiwał naprzód, mijał po sześć wozów naraz i zostawiał je z tyłu w tumanie kurzu. Jakiś wariat w nowiuteńkim buicku zobaczył to wszystko na drodze i postanowił się z nami ścigać. Kiedy Dean miał właśnie wyprzedzić takie stado samochodów, tamten wyprysnął przed nas bez ostrzeżenia, po czym zatrąbił klaksonem i zamrugał tylnymi światłami, żeby nas sprowokować. Puściliśmy się za nim w pogoń jak wielki ptak.

– A teraz zobaczysz – roześmiał się Dean – podrażnię trochę tego skurczysyna przez jakieś dwadzieścia kilometrów. Patrz.

Pozwolił buickowi wysforować się sporo naprzód, po czym przyśpieszył i bardzo niegrzecznie go dogonił. Wściekły buick dostał szału; poderwał wóz na sto sześćdziesiąt. Mieliśmy okazję zobaczyć, kto tam siedzi za kierownicą. Chłopak wyglądał nam na hipstera z Chicago, jechał z kobietą, która mogłaby być z powodzeniem – i zresztą chyba była – jego matką. Bóg raczy wiedzieć, czy gderała, ale chłopak się ścigał. Miał ciemne, zmierzwione włosy, pewno Włoch ze starego Chicago; był ubrany w sportową koszulę. Może strzelił mu do głowy pomysł, że jesteśmy nowym gangiem z LA, który chce wtargnąć do Chicago, a może wziął nas za gang Mickeya Cohena, bo nasza limuzyna wyglądała zupełnie jak tamtych i też miała kalifornijskie tablice rejestracyjne. Ale przede wszystkim to był ubaw na szosie. Nieraz straszliwie ryzykował, żeby utrzymać się przed nami; wyprzedzał samochody na zakrętach i ledwo zdążał schować się w rzędzie, kiedy w pole widzenia wjeżdżała ciężarówka i szybko rosła w oczach. W ten sposób pokonaliśmy blisko sto pięćdziesiąt kilometrów, a wyścig był tak frapujący, że nie miałem nawet kiedy poczuć stracha. Wtedy nasz wariat się poddał, zjechał w bok na stację benzynową, zapewne na rozkaz starszej pani, a kiedy śmigaliśmy obok, pomachał nam radośnie. Pruliśmy dalej, Dean rozebrany do pasa, ja z nogami na desce rozdzielczej, chłopcy ze szkoły spali z tyłu. Zatrzymaliśmy się na śniadanie w barku prowadzonym przez siwą panią, która dała nam wyjątkowo duże porcje kartofli, a w pobliskim miasteczku biły dzwony kościoła. I znów w drogę.

– Dean, w dzień nie jedź tak szybko.

– Nie martw się, stary, wiem, co robię.

Zacząłem się zżymać. Dean dojeżdżał na styk do samochodów niczym Anioł Zagłady. Omal ich nie taranował, kiedy szukał między nimi szczeliny. Prawie że całował ich zderzaki, odpuszczał, przyśpieszał i wychylał się, żeby dojrzeć zakręt, po czym ten wielki wóz zrywał się za jego dotknięciem i wyprzedzał, zawsze w ostatniej chwili wracaliśmy na swój pas, kiedy inne zapępniały się samochodami jadącymi z przeciwka, a ja dostawałem drgawek. Nie mogłem już tego wytrzymać. W Iowa bardzo rzadko trafia się długa prosta szosa jak w Nebrasce, a kiedy wreszcie na taką wjechaliśmy, Dean skoczył jak zwykle do stu osiemdziesięciu, mnie zaś zaczęły migać przed oczyma sceny zapamiętane z roku 1947 – wielka przestrzeń, gdzie Eddie i ja utknęliśmy na dwie godziny. Cała ta stara droga przeszłości rozwijała się odurzająco, jak gdyby przewróciła się szklanka życia i wszystko oszalało. Rozbolały mnie oczy od koszmarne go światła dnia.

– Niech cię diabli, Dean, przenoszę się na tylne siedzenie. Już dłużej nie wytrzymam. Nie mogę patrzeć.

– Hi-hi-hi! – zachichotał Dean, wyprzedził samochód na wąskim mostku, smyrnął w

kurzu na swój pas i pomknął dalej. Przeskoczyłem na tylne siedzenie i zwinąłem się w kłębek, żeby zasnąć. Jeden z chłopców przeskoczył dla draki do przodu. Ogarnął mnie potworny lęk, że rozbijemy się jeszcze tego ranka, położyłem się na podłodze, zamknąłem oczy i usiłowałem zasnąć. Dawniej jako marynarz myślałem o falach kłębiących się pod kadłubem statku i o bezdennych czeluściach tam w dole – teraz jakieś pół metra pod sobą czułem, jak droga rozwija się, frunie, syczy z niewiarygodną prędkością przez skamłący kontynent z tym szalonym Ahabem za sterem. Kiedy zamknąłem oczy, widziałem tylko pędzącą na mnie drogę. Kiedy je otworzyłem, widziałem migające cienie drzew tańczące na podłodze samochodu. Znikąd ratunku. Zdałem się na los. A Dean nadal prowadził, ani myślał spać, dopóki nie dojedziemy do Chicago. Po południu znów przejechaliśmy przez stare Des Moines. Tu oczywiście ugrzęźliśmy w korkach, musieliśmy zwolnić, przesiadłem się więc do przodu. Zdarzył nam się dziwny, żałosny wypadek. Jechał przed nami sedanem gruby Murzyn z całą rodziną; na tylnym zderzaku wisiał taki brezentowy bukłak z wodą, jakie sprzedają turystom na pustyni. W pewnej chwili facet ostro zahamował, Dean gadał właśnie z chłopakami z tyłu, nie zauważył i lekko rąbnęliśmy go w ten bukłak, który pękł jak pęcherz i trysnęła z niego woda. Żadnych innych szkód poza wgniecionym zderzakiem. Dean i ja wyszliśmy z nim pogadać. Skończyło się na wymianie adresów i krótkiej rozmowie, a Dean nie odrywał oczu od żony tamtego faceta, której piękne brązowe piersi ledwo ukrywała luźna bawełniana bluzka.

– Taaa, taaa.

Podaliśmy mu adres naszego magnata z Chicago i ruszyliśmy dalej.

Już po wyjeździe z Des Moines dogonił nas radiowóz z włączoną syreną, nakazując nam się zatrzymać.

– A to co znowu?

Gliniarz wysiadł.

– Braliście udział w wypadku?

– W wypadku? Na skrzyżowaniu stuknęliśmy facetowi bukłak z wodą.

– On twierdzi, że został potrącony przez bandę w kradzionym samochodzie, która zbiegła z miejsca wypadku.

Był to jeden z nielicznych znanych Deanowi i mnie przypadków, kiedy Murzyn zachował się jak podejrzliwy stary dureń. Tak nas to zaskoczyło, że się roześmieliśmy. Musieliśmy pojechać za policjantem na komisariat i tam spędziliśmy godzinę, czekając na trawie, aż zadzwonią do Chicago do właściciela cadillaca, żeby sprawdzić naszą wersję o wynajętych kierowcach. Pan Magnat powiedział wedle relacji gliniarza:

– Owszem, to mój samochód, ale nie mogę poręczyć za nic, co ci chłopcy mogli zrobić.

– Mieli drobną stłuczkę w Des Moines.

– Tak, już mi pan mówił, chciałem powiedzieć, że nie mogę poręczyć za nic, co mogli zrobić w przeszłości.

Wszystko się wyjaśniło, pomknęliśmy dalej. Newton w Iowa, gdzie w roku 1947 wyszedłem sobie o świcie na spacer. Po południu minęliśmy znów stare senne Davenport i niskie wody Missisipi w trocinowym łożysku; dalej Rock Island, kilka minut w ruchu, czerwieniejące słońce, nagłe widoki uroczych małych dopływów, szemrzących pośród magicznych drzew i zieleni środka Ameryki w Illinois. Zapachniało znów cudownym Wschodem; zdobyliśmy wielki suchy Zachód i zostawiliśmy go za sobą. Cały stan Illinois przetoczył mi się przed oczami w jednym wielkim pędzie, który trwał zaledwie kilka godzin, kiedy Dean pruł ze stałą prędkością. W tym całym zmęczeniu ryzykował bardziej niż zwykle. Na wąskim mostku nad jedną z tych uroczych rzeczek wpakował się idiotycznie w sytuację prawie bez wyjścia. Przed nami turkotały przez most dwa wolne samochody; z przeciwka nadjeżdżała olbrzymia ciężarówka z przyczepą, a jej kierowca dokładnie oszacował, jak długo wolne samochody będą się ceregieliły z tym mostem, po czym uznał, że zanim tam dojedzie, zdążą się przepawić. Na moście nie było absolutnie miejsca na ciężarówkę ani na żadne samochody jadące z przeciwka. Inne samochody za ciężarówką zwalniały i zerkały zza niej, czy przypadkiem nie da się wyprzedzić. Przed tymi dwoma wolnymi samochodami wlokły się inne wolne samochody. Droga była zatłoczona, wszyscy rwali się do wyprzedzania. Na to wszystko nadjechał Dean z prędkością stu osiemdziesięciu na godzinę i nawet się nie zawahał. Wyprzedził wolne samochody, smyrgnął w bok, omal nie huknął w lewą balustradę mostu, po czym wjechał prosto w cień niezwalniającej ciężarówki, ostro dał w prawo, uniknął o włos lewego przedniego koła ciężarówki, omal nie rąbnął w pierwszy wolny samochód, wysunął się do wyprzedzania, ale musiał się schować w rzędzie, kiedy inny wóz wyjechał zza ciężarówki, żeby wyjrzeć, a wszystko to w dwie sekundy, śmignął jak burza i zostawił po sobie zaledwie tuman kurzu zamiast straszliwej kraksy, w której samochody zakołysałyby się na wszystkie strony, a wielka ciężarówka wygięła się w łuk w to nieszczęsne czerwone popołudnie w Illinois rozmarzonych pól. Nie mogłem też przestać myśleć o tym, że niedawno w Illinois zginął w wypadku samochodowym słynny klarnezysta bopowy, pewno takiego samego dnia jak ten. Znów się przesiadłem do tyłu.

Chłopcy teraz już też siedzieli z tyłu. Dean napalał się na Chicago przed zmrokiem. Na przejeździe kolejowym zabraliśmy dwóch trampów, którzy wygrzebali pół dolara na benzynę.

Jeszcze przed chwilą siedzieli przy stosach podkładów kolejowych, rozpijając reszkę jakiegoś wina, a teraz znaleźli się w zabłoconym wprawdzie, lecz niepokonanym, ekskluzywnym cadillacu, limuzynie mknącej do Chicago z zawrotną prędkością. Ten starszy z przodu, który siedział obok Deana, nie odrywał oczu od drogi i tylko odmawiał modlitwy biednego włóczęgi.

– No cóż – powiedział – nie myśleliśmy, że tak szybko dojedziemy do Chicago.

Kiedy sunęliśmy przez senne miasteczka Illinois, gdzie ludzie są obeznani z gangami z Chicago, które codziennie przejeżdżają tamtędy limuzynami, stanowiliśmy niecodzienny widok; wszyscy nieogoleni, kierowca rozebrany do pasa, dwóch włóczęgów, ja na tylnym siedzeniu trzymałem się uchwyty nad oknem, z głową odchylną na poduszkę, patrzyłem monarszym okiem na mijane widoki – zupełnie jakby nadciągał nowy gang z Kalifornii, żeby stanąć w szranki z mętami z Chicago – banda desperatów zbiegła z więzień pod księżycem Utah. Kiedy zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej w małym miasteczku napić się coca-coli i nabrać paliwa, ludzie wychodzili się na nas gapić, ale nie padło ani jedno słowo, pewnie tylko w myślach rejestrowali nasze rysopisy i wzrost, gdyby w przyszłości miały się przydać. Żeby załatwić sprawę z dziewczyną obsługującą pompę na stacji, Dean zarzucił sobie tylko podkoszulek niby szalik, był zwięzły i szybki jak zwykle, wskoczył do wozu i odjechaliśmy. Wkrótce czerwień zmieniła się w fiolet, mignęła nam ostatnia zaczarowana rzeka i zobaczyliśmy w oddali dymy Chicago. Przejechaliśmy cały kraj z Denver do Chicago, przez ranczo Eda Walla, 1888 kilometrów dokładnie w siedemnaście godzin, nie licząc tych dwóch godzin spędzonych w rowie, trzech na ranczo, no i dwóch na policji w Newton w stanie Iowa, ze średnią prędkością sto dziesięć kilometrów na godzinę z jednym kierowcą. Co stanowi swoisty wariacki rekord.

## 10

Wielkie Chicago jarzyło się nam czerwienią przed oczami. Nagle znaleźliśmy się na ulicy Madison między hordami trampów; jedni leżeli rozwaleni na ulicy z nogami na krawężniku, setki innych kłębiły się w wejściach do barów i w zaułkach.

– Łup! Łup! Dobrze wypatruj Starego Deana Moriarty’ego, może przypadkiem bawi w tym roku w Chicago. – Na tej ulicy wysadziliśmy swoich trampów i ruszyliśmy dalej do centrum. Skrzypiące tramwaje, gazeciarze, przechadzające się dziewczęta, w powietrzu

zapach smażeniny i piwa, mrugające neony. – Sal, hurrra, jesteście w wielkim mieście!

Przed wszystkim należało zaparkować cadillaca w dobrym, ciemnym miejscu, umyć się i ubrać na ten wieczór. Naprzeciwko YMCA znaleźliśmy między budynkami ceglany zaułek, gdzie zapchaliśmy cadillaca z rykiem zwróconym do ulicy, gotowego do odjazdu, po czym poszliśmy za naszymi studenciakami do Y, gdzie wzięli pokój i pozwolili nam przez godzinę korzystać z wygód. Dean i ja ogoliliśmy się, wzięliśmy prysznic, w korytarzu wypadł mi portfel, znalazł go Dean i już miał schować za pazuchę, kiedy spostrzegł, że to nasz, i bardzo się rozczarował. Następnie pożegnaliśmy się z chłopcami, którzy nie posiadali się z radości, że dojechali cało na miejsce, i poszliśmy do barku coś zjeść. Stare, bure Chicago z dziwnymi, na połę wschodnimi, na połę zachodnimi typami zmierzającymi do pracy i spluwającymi na ziemię. Dean stał w barze, czochrał się po brzuchu i napawał się wszystkim dokoła. Chciał pogadać z dziwną Murzynką w średnim wieku, która weszła do baru, mówiąc, że nie ma pieniędzy, ale ma przy sobie bułki, może więc daliby jej trochę masła. Weszła, kręcąc biodrami, odprawili ją, wyszła, zarzucając tyłkiem.

– Uuuu! – zawołał Dean. – Chodźmy za nią ulicą, zabierzmy ją do starego cadillaca w zaułku. Zabalujemy trochę.

Ale daliśmy sobie spokój i ruszyliśmy prosto na ulicę North Clark, przejechawszy przez Loop, żeby zobaczyć wirujące speluny i posłuchać bopu. Co to był za wieczór!

– Eh, stary – powiedział do mnie Dean, kiedy staliśmy przed barem – przyważ tę ulicę życia, tych Chińczyków, którzy się snują po Chicago. Co za niesamowite miasto, jak rany, a ta kobieta tam w oknie po prostu sobie wygląda, cycki wylewają jej się z koszuli nocnej, no i te duże, szeroko otwarte oczy. O raj. Sal, musimy przeć naprzód i nie przystawać, dopóki tam nie dojdziemy.

– A dokąd idziemy, stary?

– Nie wiem, ale musimy iść.

Wtedy nadjechała banda młodych muzyków bopowych, wyładowali instrumenty z samochodów. Znikli w barze, my za nimi. Rozłożyli się i zaczęli grać. O to nam chodziło! Ich lider, drobny, zapadnięty tenorzysta z kręconymi włosami, zaciśniętymi ustami, chudy w ramionach, sportowa koszula dosłownie na nim wisiała, pełen luz w tę gorącą noc, zadowolenie z siebie wypisane na twarzy, podniósł swoją rurę, zrobił do niej minę i rozegrał spokojnie zawiłą frazę, przytupując delikatnie nogą dla zebrania myśli, zrobił unik, żeby ominąć innych, i rzucił bardzo cicho: „Grać”, kiedy inni chłopcy mieli solówki. Był też Prez, krzepki, przystojny blondyn przypominający piegowatego boksera, w szpanerskim stroju – kraciasty garnitur ze sztucznego jedwabiu, wydłużona linia, kołnierz opadający na plecy,

krawat rozluźniony jak trzeba – cały spocony podjeżdżał do góry rurą, wkręcał się w nią, a brzmiał jak sam Lester Young.

– Widzisz, stary, Prez ma techniczne lęki klezmera, jedyny w tym towarzystwie dobrze ubrany, patrz, jak on się przejmuje, kiedy zrobi kiksa, a ten lider, gość na luzie, każe mu się nie przejmować, tylko dmuchać, dmuchać... jedno, co go obchodzi, to dźwięk i całe to poważne bogactwo muzyki. To artysta. Uczy tego młodego boksera Preza. A teraz inni podchwytyją!

Trzeci saksofonista grał na alcie, osiemnastolatek na luzie, prosto ze szkoły, zamyślony młody Murzyn w typie Charliego Parkera, szerokie usta, wyższy od innych, śmiertelnie poważny. Podniósł swój saksofon, zadał cicho, z namysłem, a wydobywał z niego parkerowskie frazy i architektoniczną logikę Milesa Davisa. Były to dzieci wielkich innowatorów bopu.

Niegdyś to był Louis Armstrong dmuchający pięknie na mokradłach Nowego Orleanu; przed nim nawiedzeni muzycy, którzy paradowali podczas oficjalnych świąt i przechodzili od klasycznych marszów Sousy w ragtime. Potem był swing i Roy Eldridge, energiczny i jurny, który dmuchał w swoją rurę, aż wydusił z niej wszystko, fale siły, logiki, subtelności – pochylając się nad nią z błyszczącymi oczyma, uroczym uśmiechem i rozsyłając ją na falach eteru, żeby rozkołysać jazzowy świat. Potem nastał Charlie Parker, chłopaczek wprost z matczynej drewni w Kansas City, który dmuchał w swój posklejany plastrami alt między balami drewna, ćwiczył w deszczowe dni, jeździł do miasta, żeby posłuchać, jak daje stary, swingujący Count Basie i orkiestra Benny'ego Motena, gdzie grał Hot Lips Page i tylu innych – Charlie Parker, który opuścił dom, przyjechał do Harlemu, gdzie poznał szalonego Theloniusa Mońka i jeszcze bardziej szalonego Gillespiego – Charlie Parker za młodu, kiedy był szurnięty i grając, chodził w kółko. Trochę młodszy od Lestera Younga, też z Kansas City, ponury, święty błazen uosabiający historię jazzu; bo kiedy podnosił wysoko swój saksofon, przykładając poziomo do ust i dmuchał, nie miał sobie równych; a kiedy zapuścił włosy, rozleniwił się i rozlaźł, zaczął trzymać saksofon opuszczony w pół drogi; aż wreszcie opuścił go do końca i dzisiaj chodzi w butach na grubych podszwach, żeby nie czuć pod nogami chodników życia, a saksofon trzyma słabo przy piersi, dmucha na luzie łatwo wychodzące frazy. Oto dzieci amerykańskiej nocy bopu.

Dziwne z nich jednak były kwiaty – bo kiedy ten murzyński alcista dumał z godnością nad głowami innych, młody, wysoki, szczupły blondynek z ulicy Curtis w Denver, w dżinsach i pasku nabijanym ćwiekami, przygryzał swój ustnik, czekając, aż inni skończą; dopiero wtedy zaczynał i trzeba się było dobrze rozglądać, skąd dochodzi solówka, bo

dobywała się z anielskich uśmiechniętych warg nad ustnikiem, a była to cicha, urocza, bajkowa solówka na alicie. Samotny jak cała Ameryka, przenikliwy, gardłowy dźwięk w tę noc.

A inni i ich muzykowanie? Był tam basista, żyłasty rudzielec z obłędem w oczach, który dźgał się w biodra basetlą przy każdym podkreślonym uderzeniu, a w gorących chwilach rozdziawiał usta jak w transie.

– Stary, ten gość to naprawdę potrafi rozgrzać swoją małą!

Smutny perkusista, zupełnie jak nasz biały hipster z ulicy Folsom we Frisco, pełen odjazd, wpatrzony przed siebie, żujący gumę, z szeroko otwartymi oczami, kiwający szyją w odruchu Reicha i błogiej ekstazie. Fortepian – duży, krzepki Włoch, typ kierowcy ciężarówki z potężnymi łapskami, uosobienie zwalistej radości pełnej zadumy. Grali tak godzinę. Nikt nie słuchał. Starzy włóczędzy z North Clark siedzieli rozwaleni przy barze, chrypiały rozżłoszczone dziwki. Przechodzili tajemniczy Chińczycy. Skądś dobiegały odgłosy zmysłowej muzyki tanecznej. A ci szyli swoje. Na chodniku ukazała się zjawa – szesnastolatek z kocią bródką i futerałem puzonu. Chudy jak rachityk, z nawiedzoną twarzą, chciał się przyłączyć do tych chłopaków i z nimi podmuchać. Znali go tam i nie chcieli nim sobie zawracać głowy. Wślizgnął się do baru, wyjął cichaczem puzon i podniósł go do ust. Żadne wejście. Nikt nawet na niego nie spojrzał. Chłopcy skończyli, spakowali manatki i wynieśli się do innego baru. Chudy szczeniak z Chicago koniecznie chciał podskoczyć. Wsadził sobie na nos ciemne okulary, podniósł puzon do ust i wypuścił: Bau! Po czym wyskoczył za tamtymi. Nie chcieli pozwolić, żeby z nimi grał, zupełnie jak domorośla drużyna futbolowa grająca za zbiornikiem z benzyną.

– Wszyscy ci faceci mieszkają ze swoimi babciami, tak jak Tom Snark i nasz alcista, tamten Carlo Marx – powiedział Dean.

Podążyliśmy za całą ferajną. Chłopcy weszli do klubu Anity O’Day, tam się rozpakowali i grali do dziewiątej rano. Dean i ja siedzieliśmy przy piwie.

W przerwach wyskakiwaliśmy do cadillaca i jeździliśmy po Chicago, usiłując podrywać dziewczyny. Dziewczyny bały się naszego wielkiego, odrapanego, mistycznego wozu. W tym dzikim szale Dean wycofywał limuzynę, wałąc tyłem w hydranty, i chichotał jak pomyleniec. O dziewiątej wóz był już kompletnym wrakiem; hamulce nie działały; błotniki miał wgniecione; zawieszenie grzechotało. Dean nie mógł go zatrzymać na czerwonych światłach, wóz szarpał konwulsyjnie na jezdni. Musiał zapłacić cenę tej nocy. Był to zabłocony kalosz, a nie lśniąca limuzyna. „O raj!” Chłopcy wciąż dmuchali u Neetsa.

Naraz Dean wbił wzrok w mroczny kąt za podium dla orkiestry i powiedział:

– Sal, przybył Bóg.

Spojrzałem. George Shearing. Jak zawsze opierał swoją niewidomą głowę na bladej ręce, uszy otwarte na oścież jak uszy słonia, wsłuchany w odgłosy Ameryki wykorzystywał je po mistrzowsku na własny użytek angielskiej nocy letniej. Namówiono go, żeby wstał i zagrał. Zgodził się. Zagrał całe mnóstwo chorusów z niesamowitymi akordami, które wznosiły się coraz wyżej i wyżej, aż pot rozpryskiwał się po całym fortepianie, a wszyscy słuchali z lękiem i przerażeniem. Po godzinie sprowadzono go z podium. Wrócił do swojego ciemnego kąta, stary Bóg Shearing, a chłopcy powiedzieli:

– Po takim czymś to już nie ma nic.

Ale chudy lider się skrzywił.

– Tak czy owak, zagrajmy.

Coś jeszcze miało z tego wyniknąć. Zawsze można coś więcej, trochę dalej – nie ma temu końca. Po poszukiwaniach Shearinga usiłowali szukać nowych fraz; naprawdę się przykładali. Skręcali się, wili, dmuchali. Co jakiś czas klarowny jęk harmonijki poddawał nowe warianty melodii, która z czasem miała się okazać jedyną melodią na świecie i miała przepełnić radością dusze ludzi. Znajdowali to coś, gubili, po pewnych zmaganiach znów to znajdowali, śmiechy, jęki – a Dean pocił się przy stoliku i podkrecał ich dalej, dalej, dalej. O dziewiątej rano wszyscy – muzycy, dziewczyny w spodniach, barmani i ten mały kościsty, nieszczęśliwy puzonista – wyszli chwiejnie z klubu na wielki łomot dnia w Chicago, żeby się przespać, aż do następnego wieczoru obłądnego bopu.

Dean i ja aż dygotaliśmy w swoim złachaniu. Czas było zwrócić cadillaca właścicielowi, który mieszkał przy Lake Shore Drive w szykownym apartamencie z olbrzymim garażem pod ziemią, obsługiwanym przez uwalanych smarem Murzynów. Wjechaliśmy tam i wrzuciliśmy zabłoconego truposza na jego miejsce. Mechanik nie poznał cadillaca. Daliśmy mu dokumenty. Na widok wozu poskrobał się w głowę. Musieliśmy wiać, i to szybko. Co też uczyniliśmy. Podjechaliśmy autobusem z powrotem do centrum Chicago, i tyle. Nigdy nie usłyszeliśmy słowa od naszego magnata z Chicago na temat stanu wozu, chociaż miał nasze adresy i mógł złożyć skargę.

Czas było ruszać dalej. Postanowiliśmy dojechać autobusem do Detroit. Pieniądze

bardzo nam stopniały. Przetaskaliśmy nasze przeklęte bagaże przez dworzec. Bandaż na kciuku Deana był już prawie czarny jak węgiel, cały rozwinięty. Obaj wyglądaliśmy żałośnie, jak każdy by wyglądał po takich przejściach. Zmordowany Dean zasnął w autobusie, który mknął przez Michigan. Wdałem się w rozmowę z okazałą wiejską dziewczyną w bawełnianej bluzce z wielkim dekoltem, który obnażał piękną opaleniznę na wzgórkach jej piersi. Dziewczyna przynudzała. Opowiadała o wieczorach na wsi, kiedy praży się kukurydzę na ganku. Dawniej byłby to miód na moje serce, ale ponieważ sama mówiła to z ciężkim sercem, wiedziałem, że nic w tym nie ma, tylko poczucie obowiązku.

– Co jeszcze robicie, żeby się rozerwać? – Usiłowałem naprowadzić ją na trop zwierzeń o chłopakach i o seksie.

Jej wielkie ciemne oczy, wpatrzone we mnie, wyrażały pustkę i jakies takie przygnębienie, które sięgało wstecz wielu pokoleń w jej krwi, że nie zrobiło się tego, co domagało się zrobienia – cokolwiek to było, a wszyscy wiedzą, co to jest.

– Czego chcesz od życia? – Chciałem to z niej wydusić.

Nie miała zielonego pojęcia, czego chce. Mamrotała o posadach, filmie, wyjeździe do babki na lato, marzeniach o wypadzie do Nowego Jorku do teatru Roxy, w co by się wtedy wystroiła – w coś takiego, co miała na sobie zeszłej Wielkanocy, biały kapelusik, róże, różowe lakierki, lawendowy płaszcz z gabardyny.

– A co robicie w niedzielne popołudnia? – spytałem.

Przesiaduje na ganku. Chłopaki jeżdżą na rowerach i przystają, żeby pogadać. Czyta komiksy, wyleguje się w hamaku.

– A co robicie w ciepłe letnie wieczory?

Przesiaduje na ganku, patrzy na przejeżdżające samochody. Razem z matką praży kukurydzę.

– A co twój ojciec robi w letnie wieczory?

Pracuje na nocną zmianę w fabryce bojlerów, całe życie spędził, zarabiając na kobietę i jej bachory, i nic z tego nie ma, ni chluby, ni podzięki.

– A co twój brat robi w letnie wieczory?

Jeździ na rowerze, wystaje pod kioskiem z napojami.

– A do czego mu się dusza wrywa? Do czego nam wszystkim wrywa się dusza? Czego naprawdę chcemy?

Nie wiedziała. Ziewnęła. Zrobiła się senna. Tego już było za wiele. Nikt nie wiedział. Nikt nigdy nie powie. Wszystko skończone. Miała osiemnaście lat, była prześliczna i kompletnie zagubiona.

Dean i ja, złachani i brudni, zupełnie jak gdybyśmy żywili się szarańczą, wytoczyliśmy się z autobusu w Detroit. Postanowiliśmy spędzić noc w całodobowym kinie w tamtejszej dzielnicy szumowin. Za zimno było na park. Kiedyś w tej właśnie dzielnicy Detroit bawił Hassel, swoimi ciemnymi oczyma lustrował wszystkie strzelnice, całodobowe kina, szemrane bary, i to po wiele razy. Prześladował nas jego duch. Nigdy go już nie spotkamy na Times Square. Uznaliśmy, że może przypadkiem bawi tam też Stary Dean Moriarty – ale go nie było. Za trzydzieści pięć centów od łebka weszliśmy do starego obskurnego kina i przesiedzieliśmy na balkonie do rana, kiedy to nas stamtąd wykurzono. Ludzie siedzący w tym całodobowym kinie to było samo dno. Zmarnowani Murzyni, którzy ściągnęli tu z Alabamy, bo wieść niosła, że dostaną pracę w fabrykach samochodów; starzy biali włóczędzy; młodzi długowłosi hipsterzy, którzy dotarli do końca drogi i popijali teraz wino; dziwki, normalne pary, panie domu, które nie miały co ze sobą zrobić ani dokąd pójść, ani w kogo wierzyć. Gdyby tak przesiać całe Detroit w drucianym koszu, nie można by zebrać bardziej zatraconego skupiska mętów. Wyświetlali film o Śpiewającym Kowboju – Eddie Dean i jego niedościgniony biały koń Bloop to był numer jeden; numer dwa to był film fabularny z George’em Raftem, Sidneyem Greenstreetem i Peterem Lorre’em o Stambule. Przez całą noc obejrzeliśmy oba te filmy po sześć razy. Widzieliśmy je na jawie, słyszeliśmy przez sen, czuliśmy, śniąc, toteż z nastaniem świtu byliśmy przesiąknięci do cna dziwnym szarym mitem Zachodu i osobliwym mrocznym mitem Wschodu. Od tej chwili te koszarne osmotyczne doświadczenia dyktowały mojej podświadomości wszystkie działania. Sto razy słyszałem, jak drwi sobie potężny Greenstreet, jak Peter Lorre rzuca złowrogo: „No, dalej!”; udzielał mi się paranoiczny strach George’a Rafta; jechałem na koniu, śpiewałem z Eddiem Deanem i niezliczoną ilość razy strzelałem do koniokradów. Ludzie pociągali z butelek, rozglądali się po ciemnej widowni, co by tu zrobić, z kim by pogadać. Ale skruszeni siedzieli cicho, nikt nie rozmawiał. O szarym brzasku, który sapał niczym duch za oknami kina i tulił okapy, spałem z głową na drewnianej poręczy siedzenia, a sześciu sprzątaczy zebrało się ze swoim plonem zmiecionych śmieci i zwaliło je na olbrzymi zakurzony stos, który sięgnął mojego nosa, kiedy chrapałem ze zwieszoną głową – mało brakowało, żeby i mnie zmiotli. Zrelacjonował mi to Dean, który obserwował tę scenę, siedząc dziesięć krzeseł za mną. Wszystkie pety, butelki, pudełka od zapalek, wszelkie nieczystości ludzkie zmieciono na jeden stos. Gdyby i mnie tam zgarnęli, Dean nigdy by mnie już nie zobaczył. Musiałby zjeździć całe Stany Zjednoczone z krańca w kraniec i przetrząsać każdy śmietnik, zanimby mnie znalazł zwiniętego jak embrion wśród śmieci mojego życia, swojego życia, a także życia wszystkich zainteresowanych i niezainteresowanych. Co ja bym mu powiedział ze swojego

śmieciarskiego łona? „Zostaw mnie, stary, tu mi dobrze. Zgubiłeś mnie pewnej nocy w Detroit w sierpniu tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego. Jakie masz prawo tu przychodzić i zakłócać moją zadumę w tym zarzyganym pojemniku?”. W roku 1942 byłem gwiazdorem w jednym z najplugawszych dramatów wszech czasów. Byłem marynarzem, zaszedłem do Imperial Cafe na Scollay Square w Bostonie, żeby się napić; wypilem sześćdziesiąt szklanek piwa, wycofałem się do toalety, okręciłem wokół miski klozetowej i tak zasnąłem. Przez noc weszło tam co najmniej ze stu marynarzy i doborowych cywilów i zrzuciło swoje człowiecze odchody na mnie, aż oblepiły mnie nie do poznania. Co to zresztą za różnica – anonimowość w świecie mężczyzn jest lepsza od sławy w niebie, bo czymże jest niebo? Czym ziemia? Wszystko jest w naszej głowie.

O świcie Dean i ja wytoczyliśmy się, bełkocząc, z tej przeklętej nory i poszliśmy załatwiać samochód w biurze podróży. Spędziliśmy prawie cały ranek w murzyńskich barach, uganiając się za dziewczynami i słuchając płyt jazzowych z szaf grających, następnie przetelepaliliśmy się osiem kilometrów miejskimi autobusami z całym naszym idiotycznym dobytkiem, po czym dotarliśmy do domu faceta, który miał nam policzyć po cztery dolary od łebka za przejazd do Nowego Jorku. Był to blondyn w średnim wieku, w okularach, miał żonę, dziecko i porządny dom. Czekaliśmy na niego na podwórku, a on się szykował. Jego wspañiała żona w kretonowej podomce zaproponowała nam kawę, ale byliśmy zbyt zajęci rozmową. Teraz Dean był już tak zmordowany i rozgorączkowany, że wszystko, co zobaczył, wprawiało go w zachwyt. Ogarniał go kolejny światobliwy szał. Pocił się bez przerwy. Z chwilą, gdy wsiedliśmy do nowego chryslera i ruszyliśmy do Nowego Jorku, ów nieszczęsny człowiek zrozumiał, że umówił się na jazdę z dwoma wariatami, ale usiłował nadrabiać miną, zresztą oswoił się z nami, kiedy mijaliśmy stadion Briggs i rozmawialiśmy o przyszłym sezonie Tygrysów z Detroit.

W zamgloną noc minęliśmy Toledo i mknęliśmy dalej przez stare Ohio. Uświadomiłem sobie, że zaczynam jeździć tam i z powrotem po miastach amerykańskich jak objazdowy sprzedawca – męczące podróże, kiepski towar, zgniła fasola na dnie mojego magicznego worka; nikt nic nie kupuje. Facet się zmęczył przed Pensylwanią, no więc Dean usiadł za kółkiem i poprowadził aż do Nowego Jorku, zaczęliśmy słuchać w radiu programu Symfonicznego Sida z całym najnowszym bopem i już wjeżdżaliśmy do wielkiego, ostatecznego miasta Ameryki. Dotarliśmy tam wczesnym rankiem. Cały Times Square rozkopany, bo Nowy Jork nie zna spoczynku. Przechodząc tamtędy, rozglądaliśmy się bezwiednie za Hasselem.

Po godzinie Dean i ja dotarliśmy do nowego mieszkania mojej ciotki na Long Island;

kiedy drapaliśmy się po schodach prosto z San Francisco, była zajęta rozmową z malarzami, przyjaciółmi rodziny, z którymi wyklócała się o cenę.

– Sal – oświadczyła ciotka – Dean może tu zostać kilka dni, ale potem musi się wynosić, rozumiałaś?

Podróż dobiegła końca. Wieczorem wyszedłem z Deanem połączyć po Long Island między zbiornikami z benzyną, mostami kolejowymi i lampami przeciwmgłowymi. Pamiętam, jak stanął pod uliczną latarnią.

– Sal, kiedy mijaliśmy tamtą latarnię, miałem ci dorzucić coś jeszcze, ale teraz, w charakterze dygresji, ciągnę nową myśl, a zanim dojdziemy do następnej latarni, wróć do pierwotnego tematu, zgoda?

Oczywiście, że się zgodziłem. Tak już przywykliśmy do podróży, że musieliśmy przemierzyć całe Long Island, ale ziemia się skończyła, a dalej był już tylko Atlantyk, nie mieliśmy więc dokąd iść. Uścisnęliśmy sobie ręce i postanowiliśmy zostać przyjaciółmi na zawsze.

Zaledwie pięć wieczorów później wybraliśmy się na prywatkę w Nowym Jorku, gdzie poznałem dziewczynę imieniem Inez i powiedziałem jej, że jest tu ze mną mój przyjaciel, którego musi koniecznie poznać. Byłem pijany, no więc jej powiedziałem, że jest kowbojem.

– Och, zawsze chciałam poznać kowboja.

– Dean! – rozdarłem się na całą prywatkę, a byli tam poeta Angel Luz Garcia, Walter Evans, wenezuelski poeta Victor Villanueva, moja dawna miłość Jinny Jones, Carlo Marx, Gene Dexter i wielu innych. – Chodź tu, stary.

Dean podszedł do nas nieśmiało. Po godzinie, w atmosferze pijackiej, rozchichotanej prywatki (z okazji, ma się rozumieć, końca lata) Dean klęczał na podłodze z brodą na jej brzuchu, nawijał, obiecywał złote góry, a cały się przy tym pocił. To była duża seksowna brunetka – wedle określenia Garcii „jakby zeszła z płótna Degasa” – a tak w ogóle przypominała śliczną paryską kokietkę. Nie minęło kilka dni, a oni już handryczyli się przez telefon z Camille w San Francisco o niezbędne papiery rozwodowe, żeby móc się pobrać. Na dobitkę kilka miesięcy później Camille urodziła drugie dziecko Deana, owoc kilku nocy porozumienia na początku roku. Minęło kilka następnych miesięcy i Inez też urodziła dziecko. Pominąwszy jedno nieślubne dziecko gdzieś na Zachodzie, Dean miał teraz czworo dzieci i ani centa przy duszy, zatem wokół same kłopoty, a w nim jak zawsze ekstaza i pośpiech. No więc nie pojechaliśmy do Włoch.

## Część czwarta

### 1

Wpadło mi trochę forsy ze sprzedaży książki. Zapłaciłem ciotce czynsz do końca roku. Kiedy w Nowym Jorku zjawia się wiosna, nigdy nie mogę się oprzeć podszeptom ziemi przywiewanym znad rzeki od strony New Jersey i muszę jechać. No więc pojechałem. Po raz pierwszy w życiu pożegnałem się z Deanem w Nowym Jorku i tam go zostawiłem. Pracował na parkingu na rogu Madison i Czterdziestej. Jak zwykle miotał się w zdartych butach, podkoszulku, spodniach opadających na brzuchu, wiecznie samotny, i rozładowywał olbrzymie korki samochodów nadjeżdżających w południe.

Kiedy wpadałem do niego przeważnie o zmierzchu, nie miał nic do roboty. Stał w budce, liczył bilety i czochrał się po brzuchu. Zawsze miał włączone radio.

– Stary, przyuważyłeś tego obłądnego Marty Glickmana, jak robi sprawozdania z meczów koszykówki... na-środek-boiska-wyskok-zwód-pozycja-rzut-dwa-punkty. Bezwzględnie najgenialniejszy sprawozdawca sportowy, jakiego słyszałem.

Ograniczał się teraz do takich prostych przyjemności jak ta. Mieszkał z Inez w kiepskim mieszkaniu bez ciepłej wody w kwartale ulic Wschodnich Osiemdziesiątych. Kiedy wieczorem wracał do domu, rozbierał się do naga, wkładał jedwabną chińską bluzę do bioder, siadał w fotelu i wypalał fajkę wodną napchaną trawą. To były jego przyjemności po powrocie do domu, a oprócz nich talia świńskich kart.

– Ostatnio koncentruję się na dwójce karo. Zauważyłeś, gdzie ona trzyma drugą rękę? Założę się, że nie wiesz. Przyjrzyj się uważnie i spróbuj zobaczyć. – Chciał mi pożyczyć tę dwójkę karo, która przedstawiała dużego, ponurego faceta i lubieżną, smętną dziwkę na łóżku, wypróbowujących jakąś pozycję. – No, weź, stary, ja się już nią nabawiłem! – Inez gotowała w kuchni, zajrzała do nas z krzywym uśmiechem. Wcale jej to nie przeszkadzało. – Widzisz ją? Widzisz ją, stary? To jest cała Inez. Tylko tak wsuwa głowę przez drzwi i

uśmiecha się. Och, nagadałem się z nią, wszystko sobie elegancko ustaliliśmy. W lecie wyjeżdżamy, żeby zamieszkać na farmie w Pensylwanii... dla mnie duży kombi, żebym mógł sobie wyskoczyć do Nowego Jorku na ubaw, ogromny piękny dom, a w ciągu najbliższych kilku lat chmara dzieci. Ehe! He, he! O raju! – Zerwał się z fotela, nastawił płytę Willie Jacksona *Gator Tail*. Stał przed nią, waląc pięścią o pięść, kiwając się i uginając kolana do rytmu. – Uuuu! Co za skurczysyn! Kiedy słyszałem go po raz pierwszy, myślałem, że zaraz nazajutrz skona, a on jeszcze żyje.

Dokładnie tak samo żył z Camille we Frisco po drugiej stronie kontynentu. Ten sam wysłużony kufer wystawał spod łóżka, gotów do odlotu; Inez coraz to wydzwaniwała do Camille i prowadziła z nią długie rozmowy; rozmawiały nawet o jego ptaku, przynajmniej tak twierdził Dean. Wymieniały listy na temat dziwactw Deana. Musiał oczywiście co miesiąc wysyłać Camille część swojej pensji na utrzymanie, bo w przeciwnym razie wylądowałby na pół roku w obozie pracy. Żeby odrobić stracone pieniądze, chwycił się różnych sztuczek na parkingu, kantował koncertowo przy wydawaniu reszty. Widziałem, jak życzy Wesołych Świąt pewnemu bogatemu klientowi z taką swadą, że ten nie zauważył, jak dostał piątała reszty zamiast dwudziestu. Wypuściliśmy się na miasto i prze hulaliśmy tę forszę w Birdland, klubie bopowym. Grał wtedy Lester Young z wiecznością na tych swoich wielkich powiekach.

Pewnego razu gadaliśmy o trzeciej nad ranem na rogu Czterdziestej Siódmej i Madison.

– Wiesz, Sal, cholera, szkoda, że jedziesz, naprawdę, bo pierwszy raz zostaję w Nowym Jorku bez starego kumpla – i dodał: – Nowy Jork, tu się zatrzymuję przejazdem, Frisco to mój dom. Odkąd tu jestem, nie miałem żadnej dziewczyny oprócz Inez... to mi się zdarza tylko w Nowym Jorku! Cholera! Ale na samą myśl o przejechaniu znów tego ohydneho kontynentu... Sal, od dawna już nie gadaliśmy tak od serca. – W Nowym Jorku zawsze rozbijaliśmy się jak szaleni z tłumami znajomych na pijackich prywatkach. Jakoś to nie odpowiadało Deanowi. Bardziej chyba był sobą, kiedy kulił się z zimna wieczorem w lodowatym, mglistym deszczu siąpiącym na pustej Madison Avenue. – Inez mnie kocha. Powiedziała mi to i dała słowo, że mogę robić, co tylko zechcę, i to przy minimum kłopotów. Widzisz, stary, człowiek się starzeje, kłopoty się piętrzą. Pewnego dnia obaj będziemy o zachodzie słońca łązić po zaułku i zaglądać do śmietników.

– Chcesz powiedzieć, że skończymy jako starzy włóczędzy?

– A czemu nie? To znaczy, stary, wszystko zależy od nas, i tak dalej. Ale nie ma w tym nic złego. Człowiek wtedy przez całe życie nie wtrąca się do innych, łącznie z politykami

i ludźmi bogatymi, nikt się go nie czepia, można sobie żyć po swojemu.

Przyznałem mu rację. Dochodził do swoich decyzji tao w najprostszy sposób.

– Stary, a jaka jest twoja droga? Droga świętego chłopca, droga szaleńca, droga tęczy, droga błazna, każda droga. Jest to zresztą jakakolwiek droga dokądkolwiek dla kogokolwiek. Jaka dokąd kogo?

Pokiwaliśmy głowami w tym deszczu.

– Kurczę, a ty, człowieku, musisz uważać na swojego chłopaka. Nie jest mężczyzną, jeśli nie podskakuje... rób, co ci każe lekarz. Mówię ci, Sal, tak od serca, wszystko jedno, gdzie mieszkam, zawsze spod łóżka wystaje mi kufer, jestem gotów ruszyć w drogę albo zostać wyrzucony. Postanowiłem umyć od wszystkiego ręce. Sam widziałeś, jak się szarpałem i urabiałem sobie tyłek, żeby wyjść z twarzą, ale sam wiesz, że to się nie liczy, bo obaj wiemy, co to czas... jak go spowalniać, łązić, załapywać się, no i ta odwieczna radocha negatywów, a są jakieś inne? My wiemy swoje.

Westchnęliśmy w tym deszczu. Owej nocy padało równo na całą dolinę rzeki Hudson. Wielkie światowe mola tej rzeki szerokiej jak morze ociekały deszczem, stare przystanie dla parostatków w Poughkeepsie ociekały deszczem, stare Split Rock Pond u źródeł ociekało deszczem, góra Vanderwhacker ociekała deszczem.

– No więc – ciągnął Dean – idę przez życie tak, jak mnie ono prowadzi. Wiesz, ostatnio napisałem do swojego starego do więzienia w Seattle. Parę dni temu dostałem od niego list, pierwszy od lat.

– Naprawdę?

– Taaa, taaa. Pisze, że chciałby zobaczyć „dzidże” pisaną przez „dż”, jak tylko da radę przyjechać do Frisco. Znalazłem nędzne lokum za trzynaście dolarów miesięcznie we Wschodnich Czterdziestych. Jak będę mógł wysłać mu pieniądze, przyjedzie i zamieszka w Nowym Jorku... jeżeli tu dotrze. Nigdy ci właściwie nie mówiłem o swojej siostrze, ale, wiesz, mam uroczą siostrzyczkę. Chciałbym ją tu sprowadzić, żeby też ze mną zamieszkała.

– Gdzie ona jest?

– Ano właśnie, nie wiem. On ma ją spróbować odnaleźć, ale czy to wiadomo, co ten mój stary robi.

– Czyli trafił do Seattle?

– I to prosto do koszmarnego pudła.

– A gdzie był?

– W Teksasie, w Teksasie, stary. Sam więc widzisz, moja dusza, stan rzeczy, moje położenie, chyba dostrzegasz, że się zrobiłem spokojniejszy.

– Tak, to prawda.

Dean bardzo się w Nowym Jorku uspokoił. Chciał rozmawiać. Przemarzliśmy na kość w tym zimnym deszczu. Umówiliśmy się na spotkanie w domu mojej ciotki, zanim wyjadę.

Przyjechał w najbliższą niedzielę po południu. Miałem własny telewizor. Oglądaliśmy jeden mecz baseballowy w telewizji, drugiego słuchaliśmy w radiu, a przełączaliśmy jeszcze na trzeci, i w ten sposób byliśmy na bieżąco.

– Pamiętasz, Sal, Hodges w Brooklynie jest na drugiej bazie, no więc kiedy rezerwowi miotacz wchodzi do Philliesów, przełączmy na Olbrzymów z Bostonu, a zauważ, że DiMaggio spudłował trzy razy i miotacz objął się na swojej pozycji, no to teraz szybko się dowiedzmy, co się działo z Bobbym Thomsonem, kiedy zostawiliśmy go pół minuty temu z tym facetem na trzeciej bazie. Tak!

Późniejszym popołudniem wyszliśmy na dwór i zagraлиśmy w baseball ze szczeniakami na zakopconym boisku przy torowiskach na Long Island. Graliśmy również w kosza tak zapamiętałem, że młodsi chłopcy przygadywali: „Spokojnie, nie musicie się od razu zabijać”. Podawali sobie bez przeszkód wokół nas, z łatwością nas kiwali. Dean i ja ociekaliśmy potem. W pewnej chwili Dean runął jak długi na betonowe boisko. Dyszeliśmy i pieniliśmy się, żeby odebrać chłopakom piłkę; a oni się odwracali i wytręcali ją nam z rąk. Inni wpadali i strzelali nam gładko nad głowami. Podskakiwaliśmy do kosza jak opętani, a młodsi po prostu sięgali, przechwytywali piłkę z naszych spoconych rąk i kozłowali na bok. Byliśmy jak ten tenorzysta, czarnobrzuchy waśniak, król amerykańskiej muzyki pościelowej, który próbuje grać w kosza przeciwko Stanowi Getzowi i Cool Charliemu. Uważali nas za wariatów. Wracając do domu, Dean i ja graliśmy piłką w „orientuj się” z chodników po obu stronach jezdnii. Próbowaliśmy ekstraspecjalnych chwytów, rzucając się szczupakiem nad krzakami i chybiając słupki o włos. Kiedy nadszedł samochód, podbiegłem za nim i rzuciłem piłkę Deanowi dosłownie za znikającym zderzakiem. Dean skoczył, złapał, poturlał się po trawie, po czym mi odrzucił, żebym złapał po drugiej stronie zaparkowanej furgonetki z piekarni. Ledwo ją chwyciłem swoją łamagowatą ręką, po czym odrzuciłem Deanowi tak, że musiał się okręcić, cofnąć i upadł tyłem na żywopłot. Po powrocie do domu Dean wyjął portfel, odchrząknął i wręczył mojej ciotce tamte piętnaście dolarów, które był jej winien od czasu, kiedy dostał mandat za przekroczenie prędkości w Waszyngtonie. Kompletnie ją to zaskoczyło i mile pogłaskało. Zjedliśmy olbrzymią kolację.

– I co, Dean – powiedziała ciotka – mam nadzieję, że zajmiesz się tym swoim dzieckiem, które jest w drodze, i teraz już się nie rozwiedziesz.

– Taaa, taaa, tak.

– Nie możesz tak płodzić dzieci po całym kraju. Te biedne istoty będą później bezradne. Musisz dać im w życiu szansę.

Patrzył na swoje nogi i kiwał głową. O surowym czerwonym zmierzchu pożegnaliśmy się na moście nad autostradą.

– Mam nadzieję, Dean, że będziesz w Nowym Jorku, kiedy tu wrócę – powiedziałem.  
– Cała moja nadzieja w tym, że pewnego dnia będziemy mieszkać na tej samej ulicy z naszymi rodzinami i będziemy się trzymać razem jak dwóch weteranów dawnych czasów.

– Jasne, stary. Wiesz, że modłę się o to absolutnie świadom kłopotów, które obaj mamy za sobą, i tych, które nas jeszcze czekają, o czym wie i przypomina mi twoja ciotka. Wcale nie chciałem tego kolejnego dziecka, Inez nalegała, pokłóciliśmy się. Wiesz, że Marylou wyszła za handlarza używanych samochodów we Frisco i spodziewa się dziecka?

– Tak. Wszyscy tam teraz ściągamy. – Drobne fale na odwróconym do góry nogami jeziorze pustki, powinienem był powiedzieć. Dno świata jest ze złota, a świat stoi na głowie.

Dean wyjął zdjęcie Camille we Frisco z ich nową córeczką. Przez dziewczynkę na słonecznym chodniku przebiegał cień mężczyzny, dwie długie nogawki spodni zatopione w smutku.

– Kto to jest?

– To tylko Ed Dunkel. Wrócił do Galatei, teraz pojechali do Denver. Przez cały dzień pstrykali zdjęcia.

Ed Dunkel, jego współczucie przeszło niezauważone tak jak współczucie świętych. Dean wyjął inne zdjęcia. Uprzytomniłem sobie, że pewnego dnia nasze dzieci będą oglądać te wszystkie zdjęcia ze zdumieniem, przekonane, że ich rodzice żyli w sposób gładki, uporządkowany, ustabilizowany-tak-jak-na-zdjęciu, że wstawali rano, aby kroczyć dumnie chodnikami życia, i nigdy nie będą nawet podejrzewać łachmaniarskiego szaleństwa i burzliwości naszych faktycznych żywotów, naszej faktycznej nocy, tego piekła, bezsensownej, koszmarnej drogi. A wszystko to w pustce bez końca i bez początku. Żałosne przejawy ignorancji. – No to cześć, no to cześć.

Dean odszedł w ten długi, czerwony zmierzch. Nad jego głową dymiły i przetaczały się lokomotywy. W ślad za nim podążył jego cień, który małpował jego chód, myśli, jego całego. Dean odwrócił się i pomachał mi nieśmiało, wstydliwie. Posłał mi kolejarские pozdrowienie „droga wolna”, podskoczył w miejscu, krzyknął coś, czego nie załapałem. Biegał w kółko. A wciąż zbliżał się do betonowego narożnika pomostu kolejowego. Dał mi jeszcze jeden, ostatni znak. Odmachałem. Naraz skierował kroki w stronę swojego życia i znikł mi szybko z pola widzenia. Zapatrzyłem się w swoją bladą przyszłość. Mnie też czekała

cholernie długa droga.

## 2

Nazajutrz o północy, podśpiewując sobie piosenkę

*Dom w Missoula, Dom w Truckee,*

*Dom w Opelousas,*

*Taki dom mi się nie śni,*

*Dom w starym Medora,*

*Dom w Wounded Knee,*

*Dom w Ogallala,*

*Domu nie zaznam nigdy.*

Wsiadłem w autobus do Waszyngtonu; zmitreżyłem tam trochę czasu, kręcąc się po okolicy; zoczyłem z drogi, żeby zobaczyć Pasma Błękitne, posłuchałem ptaka z rezerwatu Shenandoah i odwiedziłem grób Stonewalla Jacksona; o zmierzchu stałem, plując do rzeki Kanawha, i dalej ruszyłem pieszo przez wiejską noc w Charlestonie w Zachodniej Wirginii; o północy Ashland w Kentucky i samotna dziewczyna pod markizą zamkniętego teatru. Mroczne, tajemnicze Ohio, a o świcie Cincinnati. Potem znów pola Indiany i St Louis jak zawsze w wielkich popołudniowych chmurach doliny. Zabłocone kocie łby i kłody drewna z Montany, zepsute parostatki, pradawne znaki, trawa i liny nad rzeką. Bezczesny poemat. Nocą Missouri, pola Kansas, nocne krowy Kansas na tajemnych bezmiarach, miasteczka jak pudelka, a każda ulica kończy się morzem; świt w Abilene. Łąki wschodniego Kansas przechodzą w prerie zachodniego Kansas, które się pną na wzgórza zachodniej nocy.

W autobusie poznałem Henry'ego Glassa. Wsiadł w Terre Haute w Indianie, a teraz zagadał do mnie:

– Już ci mówiłem, dlaczego nienawidzę tego ubrania, które mam na sobie, bo jest obrzydliwe, ale wszystkie są takie same. – Pokazał mi papiery. Właśnie go wypuszczono z więzienia federalnego w Terre Haute; siedział za sprzedaż kradzionych samochodów w Cincinnati. Młody, dwudziestoletni chłopaczek z kręconymi włosami. – Jak tylko dojadę do Denver, zaraz sprzedam to ubranie w lombardzie i sprawię sobie dzinsy. Wiesz, co mi zrobili

w więzieniu? Dali izolatkę z Biblią. Podkładałem ją sobie pod siedzenie na kamiennej podłodze. Jak to zobaczyli, zabrali mi tę Biblię i przynieśli taką maciupką, kieszonkową, o, taką. Nie mogłem na niej siedzieć, no więc przeczytałem całe Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Hej, hej... – Dźgnął mnie, żując batonik, wciąż tylko jadł batoniki, bo zrujnował sobie żołądek w więzieniu i nic innego nie trawił. – ...Wiesz, że w tej całej Biblii są naprawdę niezłe momenty. – Wyjaśnił mi, co to znaczy „sadzić się”. – Każdy, kto ma niedługo wyjść z kicia i zaczyna gadać o dacie wypiski, „sadzi się” przed innymi, którzy muszą dalej siedzieć. Bierze się go wtedy za kark i mówi: „Przestań się tak sadzić!”. Jak ktoś się sadzi, od razu ma do tyłu, ty mnie rozumiesz?

– Nie będę się sadził, Henry.

– Jak tylko ktoś się zaczyna sadzić, to zaraz szlag mnie trafia i tak się wkurzam, że mógłbym zabić. Wiesz, dlaczego całe życie siedzę w pudle? Bo puściły mi nerwy, kiedy miałem trzynaście lat, byłem w kinie z takim jednym chłopakiem i on powiedział świństwo na moją matkę... no, wiesz, to brzydkie słowo... na co ja wyjąłem scyzoryk i chlasnąłem mu gardło, chyba bym go zabił, gdyby mnie nie odciągnęli. Sędzia zapytał: „Czy wiedziałeś, co robisz, kiedy zaatakowałeś kolegę?”. „Tak jest, Wysoki Sądzie, wiedziałem. Chciałem zabić tego skurwysyna i nadal chcę”. No i nie dali mi kuratora, tylko poszedłem wprost do poprawczaka. Od siedzenia w izolatce dostałem w dodatku hemoroidów. Nigdy nie idź do federalnego więzienia, te są najgorsze. Cholera, mógłbym tak nawijać całą noc, od dawna z nikim nie gadałem. Nawet nie wiesz, jak dobrze się czuję po wyjściu. Tyś sobie siedział w autobusie, kiedy wsiadłem... jak przejeżdżał przez Terre Haute... co sobie myślałeś?

– Siedziałem sobie po prostu i jechałem.

– A ja śpiewałem. Siadłem koło ciebie, bo bałem się sięść przy jakiejś laluni ze strachu, że mi odbije i włoży jej rękę pod sukienkę. Muszę ździebko poczekać.

– Jeszcze jedna odsiadka i dostaniesz dożywocie. Weź teraz lepiej na wstrzymanie.

– Właśnie tak sobie planuję, jeden szkopuł w tym, że czasem szlag mnie trafia i wtedy sam nie wiem, co robię.

Jechał do swojego brata i bratowej, miał z nimi zamieszkać; załatwili mu pracę w Kolorado. Bilet kupiły mu władze, miał pozostawać pod kuratelą. Był takim młodym szczeniakiem jak niegdyś Dean; krew mu wrzała w żyłach, że aż go rozsadzało; szlag go trafiał; ale nie miał w sobie tej rdzennej, dziwnej świętości, która by go ratowała od żelaznego przeznaczenia.

– Bądź koleś i przypilnuj, żeby mnie szlag nie trafiał w Denver, co, Sal? Może dojadę cało do brata.

Kiedy przyjechaliśmy do Denver, poprowadziłem go za rękę na ulicę Larimer, żeby zastawić jego ubranie z wypiski. Stary Żyd natychmiast poznał, z czym ma do czynienia, jeszcze zanim je odpakował do połowy.

– Nie chcę tu tego barachła. Dostaję je codziennie od chłopców z Canyon City.

Na ulicy Larimer roіło się od byłych więźniów, którzy usiłowali sprzedać swoje garnitury więziennego kroju. Henry został więc z tym łachem w papierowej torbie pod pachą, a paradował w nowiutkich džinsach i sportowej koszuli. Wstąpiliśmy do baru Glenarm, dawnego baru Deana – po drodze Henry wyrzucił garnitur do śmietnika – i stamtąd zadzwoniłem do Tima Graya. Był już wieczór.

– To ty? – parsknął Tim Gray. – Zaraz tam będę.

Po dziesięciu minutach wparował do baru ze Stanem Shephardem. Obaj wrócili z podróży do Francji i byli niestety rozczarowani życiem w Denver. Polubili Henry’ego, stawiali mu piwo. On z kolei zaczął na prawo i lewo wyrzucać swoje więzienne pieniądze. Znow się zanurzyłem w cichą, ciemną noc Denver z jego świętymi zaułkami i obłędnymi domami. Zaczęliśmy rundę po wszystkich barach w mieście, zajazdach w zachodnim Colfax, murzyńskich spelunkach Five Points, wszędzie.

Stan Shephard od lat chciał mnie poznać i teraz po raz pierwszy znaleźliśmy się razem w stanie zawieszenia przed nową przygodą.

– Sal, od przyjazdu z Francji po prostu nie wiem, co ze sobą zrobić. Czy to prawda, że jedziesz do Meksyku? Jak rany koguta, mógłbym jechać z tobą? Mogę skombinować sto dolców, a zaraz po przyjeździe zapiszę się w ramach uprawnień dla byłych żołnierzy do college’u Mexico City.

W porządku, decyzja zapadła, Stan jedzie ze mną. To był smukły, nieśmiały chłopak z Denver, miał szopę na głowie, szeroki uśmiech blagiera i powolne, niewymuszone ruchy Gary Coopera. „Jak rany koguta!” – rzucił, wsadził sobie kciuki za pasek i poszedł ulicą, kołyszając się na boki, ale wolno. Jego dziadek wciąż go tylko rugał. Przedtem sprzeciwiał się jego podróży do Francji, a teraz sprzeciwiał się pomysłowi wyjazdu do Meksyku. Stan snuł się po Denver jak włóczęga z powodu kłótni z dziadkiem. Tego wieczoru, kiedy skończyliśmy już pić i powstrzymaliśmy Henry’ego, żeby szlag go nie trafił w Hot Shoppe w Colfax, Stan rąbnął się spać w pokoju hotelowym Henry’ego przy Glenarm.

– Nawet nie mogę wrócić późno do domu, bo dziadek zaraz robi mi awanturę, po czym wieżdza na matkę. Mówię ci, Sal, muszę się jak najszybciej wyrwać z Denver, bo zwariuję.

No, a ja się zatrzymałem u Tima Graya, a potem Babe Rawlins wyszykowała mi klawy pokoik w suterenie, gdzie przez cały tydzień każdy wieczór kończył się balem. Henry oddał

się do swojego brata i nigdy go więcej nie widzieliśmy, nie dowiemy się więc, czy od tamtej pory ktokolwiek próbował się przed nim sadzić, czy siedzi znów za kratkami, czy też wolny jak ptak szaleje pod osłoną nocy.

Przez cały tydzień Tim Gray, Stan, Babe i ja przesiadywaliśmy popołudniami w cudownych barach Denver, gdzie kelnerki noszą spodnie i rzucają nieśmiałe, sympatyczne spojrzenia, nie takie usztywnione kelnerki, tylko kelnerki, które zakochują się w swoich gościach, mewają płomienne romanse, wściekają się, przejmują, cierpią od jednego baru do drugiego; wieczory spędzaliśmy w Five Points, słuchając jazzu, popijając w obłądnych barach murzyńskich i nawijając do piątej rano w mojej suterenie. Południe zwykle zastawało nas rozwalonych na podwórku za domem Babe wśród dzieciaków z Denver, które bawiły się w kowbojów, w Indian, i spadały na nas z kwitnących drzew wiśni. Świetnie się bawiłem, otworzył się przede mną cały świat, bo nie nękały mnie żadne sny. Stan i ja kombinowaliśmy, że namówimy Tima Graya na wyjazd z nami, ale Tim był przykuty do Denver.

Szykowałem się już do wyjazdu do Meksyku, kiedy pewnego wieczoru raptem zadzwonił do mnie z Denver Doll i powiedział:

– No to zgadnij, Sal, kto przyjeżdża do Denver? – Nie miałem pojęcia. – Już jest w drodze, mam wiadomość z dobrze poinformowanych źródeł. Dean kupił samochód i jedzie tu do ciebie.

Naraz wyobraziłem sobie Deana jako płonącego, drżącego, przerażającego Anioła, który pędzi ku mnie drogą, nadciąga z zawrotną prędkością jak chmura, ściga mnie jak Zawołowany Podróżny po równinie i na mnie spada. Ujrzałem jego wielką twarz nad równinami, ten szalony, kościsty cel i błyszczące oczy; ujrzałem jego skrzydła; ujrzałem jego stary rozklekotany rydwan, z którego tryskały tysiące roziskrzonych ogni; ujrzałem ścieżkę, jaką wypalił na drodze; zaznaczył nawet własną drogę, kiedy sunął przez kukurydzę, przez miasta, niszcząc mosty, osuszając rzeki. Przybył na Zachód niczym gniew. Wiedziałem, że Dean znów oszalał. Nie było mowy o tym, żeby wysyłał pieniądze którejkolwiek żonie, skoro wyjął wszystkie oszczędności z banku i kupił wóz. Wszystko wisiało w powietrzu, ubaw i w ogóle. Za nim dymiły zwęglone ruiny. Mknął znów na Zachód przez ten skamłący, okropny kontynent i niedługo się tu zjawi. Przygotowaliśmy się pośpiesznie do jego przyjazdu. Wieść niosła, że Dean ma zamiar zawieźć mnie tym wozem do Meksyku.

– Myślisz, że pozwoli mi z wami jechać? – zapytał Stan z obawą.

– Pogadam z nim – odparłem ponuro. Nie wiedzieliśmy, czego się po nim spodziewać.

– Gdzie będzie spał? Co będzie jadł? Czy są tu dla niego jakieś dziewczyny?

Przypominało to groźbę przyjazdu jakiegoś Gargantui; należało poszerzyć rynsztoki w

Denver i ukrócić pewne prawa, żeby pomieściły tego udręczonego kolosa i jego wybuchy ekstazy.

### 3

Kiedy Dean przyjechał, wszystko wyglądało jak na starym filmie. Było złociste popołudnie, siedziałem właśnie w domu Babe. Słowo o tym domu. Jej matka wyjechała do Europy. Jej ciotkę przyzwoitkę nazywano Siostrą Miłosierdzia; miała siedemdziesiąt pięć lat, ale wigor młódki. W rodzinie Rawlinsów, która jest rozproszona po całym Zachodzie, wiecznie przenosiła się z jednego domu do drugiego i wszędzie pomagała, jak tylko mogła. Dawnymi laty miała mnóstwo synów. Wszyscy się rozjechali; wszyscy ją opuścili. Była stara, lecz ciekawiło ją wszystko, co robiliśmy i mówiliśmy. Kiwała smętnie głową, kiedy pociągaliśmy whisky w salonie.

– Mógłbyś w tym celu wyjść na podwórko, młody człowieku.

Na górze – a owego lata był tam swoisty pensjonat – mieszkał chłopak imieniem Tom, beznadziejnie zakochany w Babe. Podobno pochodził z bogatej rodziny, przyjechał z Vermont, gdzie czekała go kariera i tak dalej, ale wolał być z Babe. Wieczorami przesiadywał w salonie, chowając rozpaloną twarz za gazetą, słyszał każde nasze słowo, ale nie dawał tego po sobie poznać. Twarz mu płonęła zwłaszcza wtedy, kiedy Babe coś powiedziała. Kiedy zmuszaliśmy go, żeby odłożył gazetę, patrzył na nas z niewymowną nudą i cierpieniem.

– Co? A, tak, i ja tak sądzę.

Przeważnie mówił tylko tyle.

Siostra Miłosierdzia siedziała w swoim kącie, robiła na drutach i obserwowała nas swoimi ptasimi oczami. Miała grać rolę przyzwoitki, dbać o to, żeby nikt nie kłął. Babe siedziała roześmiana na kanapie. Tim Gray, Stan Shephard i ja rozwaleni w fotelach. Biedny Tom cierpiał katusze. Wstał, ziewnął i powiedział: „No tak, kolejny dzień, kolejny dolar, dobranoc”, i znikł na górze. Babe nie miała z niego pożytku jako z kochanka. Sama kochała się w Timie Grayu; ten natomiast wywijał się z jej objęć jak piskorz. Siedzieliśmy tak w słoneczne popołudnie przed kolacją, kiedy Dean zajechał pod dom swoim gruchotem i wyskoczył, w tweedowym garniturze, w kamizelce, z zegarkiem na dewizce.

– Hę! Hę! – dobiegło mnie z ulicy. Był z nim Roy Johnson, który niedawno wrócił z Frisco ze swoją żoną Dorothy i znów mieszkał w Denver. Wszyscy znów byli w Denver.

Wyszedłem na ganek.

– I co, mój drogi – odezwał się Dean, wyciągając swoją wielką rękę. – Widzę, że wszystko w porządku. Cześć, cześć, cześć – przywitał wszystkich. – O, kogo ja widzę, Tim Gray, Stan Shephard, moje uszanowanie. – Przedstawiliśmy go Siostrze Miłosierdzia. – A, taa, moje uszanowanie. To mój przyjaciel, Roy Johnson, był tak miły i mnie tu przyprowadził, he, he! Jak rany! Ekh! ekh! Major Kuku, proszę pana – powiedział, wyciągając rękę do Toma, który się na niego gapił. – Taaa, taaa. I co, Sal, jaki jest plan, staruszkę? Kiedy ruszamy do Meksyku? Jutro po południu? Bomba, bomba! Ehe, a teraz, Sal, mam dokładnie szesnaście minut, żeby dotrzeć do domu Eda Dunkela, gdzie odbieram swój stary zegarek kolejarski, który zdążyłbym jeszcze przed zamknięciem zastawić na ulicy Larimer, tymczasem muszę działać tak szybko i precyzyjnie, jak tylko mi czas pozwoli, żeby sprawdzić, czy przypadkiem w Jiggs' Buffet albo w jakimś innym barze nie ma mojego starego, a potem jestem umówiony u fryzjera, u którego Doll zawsze kazał mi się strzyc, a ja nie zmieniłem się przez te lata i dlatego się go trzymam... ekh! ekh! Punkt szósta! Punktualnie, słyszysz? Masz tu być, bo ja wpadam, żeby cię zabrać do Roya Johnsona, puścimy sobie Gillespiego i co tam jeszcze wybierzemy z bopu, na godzinkę relaksu, zanim wieczór rozwinie się zgodnie z planem, jaki ty, Tim, Stan i Babe mieliście na dzisiaj, nie wiedząc o moim przyjeździe, który, nawiasem mówiąc, nastąpił dokładnie trzy kwadransy temu w moim starym fordzie z trzydziestego siódmego, o, widzisz, stoi tam zaparkowany, po drodze miałem tylko jeden dłuższy postój w Kansas City, gdzie odwiedziłem swojego kuzyna, nie Sama Brady'ego, ale młodszego...

Mówiąc to wszystko, zrzucił szybko marynarkę i wkładał podkoszulek w niszy salonu, gdzie nikt go nie mógł widzieć, i przekładał zegarek do drugiej pary spodni, które wyjął z tego samego starego wysłużonego kufra.

– A Inez? – spytałem. – Co się stało w Nowym Jorku?

– Oficjalnie, Sal, celem tej podróży jest załatwienie rozwodu w Meksyku, tańszego i szybszego niż gdzie indziej. Dostałem wreszcie zgodę od Camille, wszystko jest w porządku, wszystko jest jak należy, wszystko jest cacy, no więc obaj wiemy, że teraz absolutnie nie ma się czym przejmować, prawda, Sal?

No cóż, nie ma sprawy, zawsze jestem gotów pojechać za Deanem, więc zaczęliśmy wszyscy na gwałt zmieniać plan, żeby zorganizować huczną noc, i była to niezapomniana noc. Urządziliśmy prywatkę w domu brata Eda Dunkela. Dwaj z jego braci są kierowcami autobusowymi. Siedzieli tam przerażeni wszystkim, co się działo. Stół zastawiony elegancko, ciasto, trunki. Ed Dunkel miał minę człowieka szczęśliwego, dobrze ustawionego w życiu.

– I co, ułożyło ci się z Galatea?

– A jakże – odparł Ed – wszystko gra. Wybieram się na uniwersytet w Denver, no wiesz, ja i Roy.

– A co będziesz studiował?

– No, socjologię i tak dalej. Powiedz, stary, Dean to chyba z roku na rok świruje coraz bardziej, prawda?

– Żebyś wiedział.

Była tam też Galatea Dunkel. Usiłowała z kimś porozmawiać, ale Dean angażował wszystkich. Stał i grał przed Shephardem, Timem, Babe i mną, a myśmy siedzieli rzędem na kuchennych krzesłach ustawionych pod ścianą. Za nim nerwowo krążył Ed Dunkel. Jego nieszczęsny brat został zepchnięty na dalszy plan.

– Łup! Łup! – mówił Dean, szarpiąc na sobie koszulę, czochrając się po brzuchu, podskakując. – Taaa, no to jesteśmy wszyscy razem, za nami przetoczyło się kilkanaście lat, a mimo to sami widzicie, że nikt się właściwie nie zmienił, coś niesamowitego, ta trwa... trwa... łość... w zasadzie dowodzi, że mam tu przed sobą talię kart, którymi mogę każdemu wywróżyć dość dokładnie przyszłość. – To była jego świńska talia.

Dorothy i Roy Johnson siedzieli sztywno w kącie. Była to ponura prywatka. Naraz Dean zamilkł, usiadł na krześle kuchennym między Stanem a mną, zapatrzył się przed siebie z kamiennym, psim zdumieniem w oczach i na nikogo nie zwracał uwagi. Po prostu na chwilę znikł, żeby nabrać energii. Gdyby go wtedy dotknąć, zakołysałby się jak głaz wsparty na kamyku nad skalną przepaścią. Mógł runąć w dół albo kołysać się tylko jak skała. Po chwili ów głaz przemienił się momentalnie w kwiat, twarz rozpromieniła się cudownym uśmiechem, rozejrzał się dokoła jak ktoś, kto się właśnie budzi, i powiedział:

– Ech, ile ja tu widzę wokół siebie sympatycznych osób. Coś nadzwyczajnego! Wiesz, Sal, tak jak mówiłem Min dosłownie kilka dni temu, no wiesz, urp, ech, tak! – Wstał, przeszedł przez cały pokój z ręką wyciągniętą do jednego z kierowców autobusowych obecnych na tej prywatce. – Sie masz. Nazywam się Dean Moriarty. Tak, świetnie cię pamiętam. Wszystko w porządku? No, no. Co za wspaniałe ciasto. Mogę się poczęstować? Sam jeden? Bo taki jestem biedny. – Siostra Eda mu pozwoliła – Och, cudownie. Ludzie są tacy mili. Stawiają na stole ciasta i inne pyszności, a wszystko to w imię cudownych drobnych przyjemności i rozkoszy. Hmm, ech, tak, cudownie, wspaniałe, hę, hę, o raju!

I stał tak, kołysząc się pośrodku pokoju, zajadając ciasto, i patrzył na wszystkich z przejęciem. Odwrócił się i rozejrzał. Wszystko go zachwycało, dosłownie wszystko, co widział. W pokoju ludzie rozmawiali w grupkach, a on mówił: „Tak! Jasna sprawa!”. Aż zeszytniał na widok obrazu na ścianie. Podeszedł, przyjrzał się bliżej, odstał do tyłu,

pochylił się, podskoczył, chciał go obejrzeć ze wszystkich możliwych stron, pod każdym kątem, aż podarł na sobie podkoszulek w tej ekstazie: „Niech mnie cholera!”. Nie miał pojęcia, jak go odbierają inni, niewiele go to zresztą obchodziło. Ludzie zaczęli teraz patrzeć na Deana z macierzyńską i ojcowską tkliwością na twarzach. Wreszcie był Aniołem, a zawsze wiedziałem, że w końcu nim zostanie; ale tak jak każdy Anioł nadal miał swoje manie i furie, a tego wieczoru, kiedy wszyscy wyszliśmy z prywatki i ruszyliśmy całą rozwrzeszczaną bandą do baru w hotelu Windsor, Dean upił się w sposób szalony, demoniczny i seraficzny.

Pamiętajcie, że Windsor, dawniej hotel wielkiej gorączki złota w Denver i pod wieloma innymi względami ciekawy obiekt – w sporym barze na dole nadal widnieją w ścianach dziury po kulach – niegdyś był domem Deana. Mieszkał tu ze swoim ojcem w jednym z pokoi na górze. Nie był więc turystą. Pił w tym barze jak duch własnego ojca; wlewał w siebie wino, piwo i whisky zupełnie jak wodę. Twarz miał purpurową, spoconą, grzmiał i darł się przy barze, zataczał na parkiecie, gdzie tańczyli zmysłowo faceci z Zachodu z dziewczynami, próbował zagrać coś na fortepianie, rzucał się obejmować byłych więźniów i pokrzykiwał z nimi w tym zgiełku. Tymczasem nasza paczka obsiadła dwa olbrzymie stoły zestawione razem. Był tam Denver D. Doll, Dorothy i Roy Johnsonowie, przyjaciółka Dorothy z Buffalo w Wyoming, Stan, Tim Gray, Babe, ja, Ed Dunkel, Tom Snark i jeszcze kilka osób, w sumie trzynaścioro. Doll świetnie się bawił – wziął automat z orzeszkami, postawił na stole przed sobą, wrzucał do środka jednocentówki i zjadał fistaszki. Zaproponował, żeby każdy z nas coś napisał na kartce pocztowej, którą wyślemy do Carla Marksa w Nowym Jorku. Powypisywaliśmy różne idiotyzmy. Noc na ulicy Larimer wypełniała głośna muzyka skrzypiec. „Ale klawo!” – ryczał Doll. W toalecie Dean i ja waliliśmy w drzwi, usiłując je wyłamać, ale miały trzy centymetry grubości. Złamałem sobie środkowy palec, ale dopiero nazajutrz zdałem sobie z tego sprawę. Byliśmy pijani w sztok. W pewnej chwili na naszych stołach stało pięćdziesiąt szklanek piwa. Wystarczyło je obejść i z każdej pociągnąć łyk. Przyłączyli się do nas byli więźniowie z Canyon City i zaczęli z nami bełkotać. W hallu przy wejściu do baru rozsiedli się pod starym tykającym zegarem podstarzali, niegdysiejsi poszukiwacze złota, oparci na swoich laskach, rozmarzeni. Znali takie szaleństwo z lepszych czasów. Wszystko wirowało. Wszędzie odbywały się prywatki. Przyjęcie trwało nawet na zamku, dokąd wszyscy pojechaliśmy – wszyscy oprócz Deana, który pobiegł gdzie indziej – usiedliśmy tam, na zamku, wokół wielkiego stołu w hallu i wrzeszczeliśmy. Na zewnątrz był basen i grotty. Wreszcie znalazłem ten zamek, w którym wielki wąż świata miał właśnie podnieść łeb. Potem, późną nocą, już tylko Dean, ja, Stan

Shephard, Tim Gray, Ed Dunkel i Tommy Snark siedzieliśmy w jednym samochodzie, a wszystko było przed nami. Pojechaliśmy do dzielnicy meksykańskiej, wstąpiliśmy do Five Points, kręciliśmy się po mieście. Stan Shephard dosłownie szalał z radości. Bez przerwy wykrzykiwał: „O, skurczybyk! Jak rany koguta!”, tym swoim wysokim, piskliwym głosem i klepał się w kolana. Dean dostał bzika na jego punkcie. Powtarzał wszystko, co Stan powiedział, gwizdał z podziwu i ocierał pot z twarzy.

– Ale będziemy mieli ubaw, Sal, jadąc do Meksyku z takim facetem jak Stan! Tak!

Była to nasza ostatnia noc w świętym Denver, balowaliśmy więc hucznie i z fasonem. Skończyło się na winie przy świecy w suterenie, a Siostra Miłosierdzia snuła się na górze w koszuli nocnej, z latarką. Był z nami pewien Murzyn, na imię miał Gomez. Kręcił się po Five Points na pełnym luzie. Na jego widok Tommy Snark zawołał:

– Hej, jesteś Johnny?

Gomez cofnął się, przeszedł jeszcze raz koło nas i rzucił:

– Mógłbyś powtórzyć?

– Pytałem, czy jesteś Johnny?

Gomez odplynął i spróbował jeszcze raz.

– A teraz bardziej ci go przypominam? Bo robię wszystko, żeby być tym Johnnym, ale jakoś mi nie wychodzi.

– Wiesz co, stary, chodź z nami! – zawołał Dean, na co Gomez wskoczył do wozu i odjechaliśmy. W suterenie porozumiewaliśmy się obłądnym szeptem, żeby nie zakłócać spokoju sąsiadom. O dziewiątej rano wyszli wszyscy oprócz Deana i Shepharda, którzy nadal pytlowali jak pomyleńcy. Ludzie zaczęli wstawać, żeby zrobić śniadanie, i usłyszeli dziwne podziemne okrzyki: „Tak! Tak!”. Babe przygotowała duże śniadanie. Czas było zmywać się do Meksyku.

Dean odstawił samochód do najbliższego warsztatu i odpicował go, jak się tylko dało. To był ford '37, sedan, w którym prawie drzwi nie miały zawiasów, tylko były przywiązane do ramy. Prawy fotel z przodu też był zepsuty, siedziało się więc na wpeł leżąc, z twarzą zwróconą do poobijanego dachu.

– Zupełnie jak Min i Bill – powiedział Dean. – Będziemy prychać i telepać się do Meksyku. Zabierze nam to ładnych kilka dni.

Sprawdziłem na mapie – w sumie przeszło półtora tysiąca kilometrów, głównie przez Teksas do granicy w Laredo, a potem kolejne 1227 kilometrów przez cały Meksyk do wielkiego miasta opodal spękanego przesmyku i gór Oaxaca. Nie mogłem sobie wyobrazić tej podróży. Zapowiadała się najbardziej bajecznie ze wszystkich. To już nie ta regularna trasa

wschód-zachód, tylko magiczne południe. Jawiła nam się wizja całej półkuli zachodniej ciągnącej się zwałiscie w dół aż do Ziemi Ognistej, a my mkniemy po tym zakrzywieniu świata w inne tropiki i w inne światy.

– Stary, wreszcie dotrzemy do TEGO CZEGOŚ! – powiedział Dean z absolutną ufnością. Postukał mnie w ramię. – Poczekaj, a się przekonasz. Hoo! Uii!

Poszedłem z Shephardem pomóc mu załatwić ostatnią sprawę w Denver i poznałem jego nieszczęsnego dziadka, który stał w drzwiach domu i powtarzał:

– Stan-Stan-Stan.

– Co takiego, dziadku?

– Nie jedź.

– Och, to już ustalone, muszę teraz jechać. Dlaczego mi to robisz?

Starszy pan miał siwe włosy, duże migdałowe oczy i napiętą szyję szaleńca.

– Stan – powiedział zwyczajnie – nie jedź. Nie każ staremu dziadkowi płakać. Nie zostawiaj mnie znów samego.

Aż mi się serce krajało na ten widok.

– Dean – zwrócił się starszy pan do mnie – nie odbieraj mi Stana. Kiedy był malutki, brałem go do parku i wprowadzałem w świat łabędzi. Potem jego siostrzyczka utonęła w tamtym stawie. Proszę cię, nie zabieraj mi mojego chłopca.

– Nic z tego – odparł Stan. – Wyjeżdżamy, i to zaraz. Do widzenia.

Wyrwał się z objęć dziadka. Dziadek wziął go za rękę.

– Stan, Stan, Stan, nie jedź, nie jedź, nie jedź.

Uciekliśmy jak niepyszni, ze spuszczoneymi głowami, a starszy pan nadal stał na progu swojego domku przy bocznej uliczce Denver, gdzie w drzwiach wisiały sznury paciorków, a w saloniku stały tapicerowane meble. Był blady jak płótno. Wciąż jeszcze wołał Stana. Jakby go sparaliżowało, nie myślał wcale odchodzić z tego progu, tylko stał tak i mruczał: „Stan” i „nie jedź”, patrząc z trwogą za nami, kiedy skręcaliśmy za róg.

– Boże drogi, Shep, nie wiem, co powiedzieć.

– Daj spokój! – jęknął Stan. – On tak zawsze.

W banku spotkaliśmy się z matką Stana, która wyjmowała dla niego pieniądze. Była to cudowna siwowłosa kobieta, z wyglądu wciąż jeszcze młoda. Oboje stali na marmurowej posadzce banku i rozmawiali szeptem. Stan miał na sobie strój dzinsowy, kurtkę i wszystko co trzeba, rzeczywiście sprawiał wrażenie kogoś, kto wybiera się właśnie do Meksyku. Tak wyglądały jego więzi emocjonalne z Denver, a on jechał z tym rozognionym nowicjuszem Deanem. Dean wypadł z za rogu, akurat zdążył na umówione z nami spotkanie. Pani Shephard

nalegała, żebyśmy wypili u niej kawę.

– Opiekujcie się moim Stanem – poprosiła. – Trudno przewidzieć, co się może zdarzyć w takim kraju.

– Wszyscy będziemy pilnować się nawzajem! – upewniłem ją.

Stan i jego matka szli trochę z przodu, ja za nimi z szalonym Deanem; opowiadał mi o napisach wyskrobanych na ścianach toalet na Wschodzie i na Zachodzie.

– Są zupełnie inne. Na Wschodzie wypisują żarciki, stare dowcipy i oczywiste skojarzenia, skatologiczne kawałki i rysunki; na Zachodzie wypisują po prostu swoje imiona i ksywki, byli tutaj Red O'Hara, Blufftown Montana, data, pełna powaga, coś jak na przykład Ed Dunkel, a to z powodu tej potwornej samotności, która różni się ździebko, no, ociupinkę, kiedy przejechać na drugą stronę Missisipi.

Właśnie przed nami szedł taki samotny facet, bo matka Shepharda była cudowną matką i patrzyła na jego wyjazd ze ściśniętym sercem, ale wiedziała, że chłopak musi jechać. Widziałem, że ucieka od swojego dziadka. No więc było nas trzech – Dean szukał ojca, mój nie żył, a Stan uciekał od swojego dziadka – i ruszaliśmy razem w tę noc. Stan pocałował matkę w tłumie przetaczającym się Siedemnastą Ulicą, matka wsiadła do taksówki i pomachała nam na odjazd. Do widzenia, do widzenia.

Pod domem Babe wsiadliśmy do samochodu, z nią też się pożegnaliśmy. Tim zabrał się z nami do swojego domu pod Denver. Tego dnia Babe wyglądała prześlicznie; miała długie blond włosy jak Szwedka, na słońcu wyszły jej piegi. Wyglądała dokładnie tak samo jak w dzieciństwie. Oczy zaszyły jej mgiełką. Miała ewentualnie dojechać do nas później z Timem, ale nie dojechała. Do widzenia, do widzenia.

Ruszyliśmy przed siebie. Zostawiliśmy Tima na podwórku jego domu na równinach, obejrzałem się, żeby popatrzeć, jak Tim Gray niknie na równinie. Ten dziwny facet stał tam całe dwie minuty, spoglądał za nami i snuł Bóg wie jakie smętne rozmyślenia. Robił się coraz mniejszy, ale wciąż stał bez ruchu z jedną ręką na sznurze od bielizny, niczym kapitan, a ja wykręcałem się do tyłu, żeby się na niego napatrzeć, aż zmienił się w rosnącą nieobecność w przestrzeni, a przestrzenią był widok na wschód w stronę Kansas, i dalej, hen daleko, mój dom w Atlantis.

Teraz obróciliśmy swój gruchoczący ryjek na południe, kierując się na Castle Rock w Kolorado, słońce czerwieniało, a masyw gór na zachodzie wyglądał zupełnie jak piwiarnia na Brooklynie o listopadowym zmierzchu. Hen, wysoko, w fioletowych cieniach skały ktoś wędrował z zapamiętaniem, ale nie mogliśmy dojrzeć kto; może to ten siwowłosy starzec, którego przed laty wyczułem intuicyjnie na szczytach. Zacatecan Jack. Coraz bardziej się do

mnie zbliżał, czasem wręcz czułem na plecach jego oddech. Rozmywało się też za nami Denver niczym miasto z soli, dymy nikły w powietrzu i ginęły nam z oczu.

## 4

Był maj. Ale jak sielskie popołudnia w Kolorado z jego farmami, rowami nawadniającymi i cienistymi kotlinkami – dokąd mali chłopcy chodzą popływać – mogą zrodzić takiego owada jak ten, który ugryzł Stana Shepharda? Stan wystawił rękę przez połamane drzwi, jechał i gadał sobie w najlepsze, gdy wtem nadleciał jakiś owad i wraził mu w tę rękę długie żądło, na co chłopak aż zawył. Owad pochodził z amerykańskiego popołudnia. Stan szarpnął, klepnął się w rękę i wyciągnął żądło. Po kilku minutach ręka zaczęła puchnąć, a bolała okropnie. Dean i ja nie mieliśmy pojęcia, co to takiego. Musieliśmy odczekać, żeby się przekonać, czy opuchlizna nie zejdzie sama.

Jechaliśmy więc w nieznaną, na południe, i zaledwie pięć kilometrów od domu, od starego domu dzieciństwa, jakiś dziwny, szalony, egzotyczny owad wyfrunął z tajemnych odmętów zniszczenia i zasiał nam strach w sercach.

– Co to może być?

– Nie znam tu żadnego owada, który mógłby spowodować taką opuchliznę.

– Cholera!

Cała podróż nabrała jakiegoś złowróżbnego, potępieńczego charakteru. Jechaliśmy dalej. Z ręką Stana było coraz gorzej. Zatrzymamy się przy najbliższym szpitalu, żeby chłopak dostał zastrzyk z penicyliny. Minęliśmy Castle Rock, o zmierzchu dotarliśmy do Colorado Springs. Po prawej majaczył wielki cień szczytu Pike. Potoczyliśmy się w dół szosą do Pueblo.

– Tysiące razy jeździłem tędy stopem – powiedział Dean. – Którejś nocy schowałem się dokładnie za tym drucianym ogrodzeniem, bo nagle, tak zupełnie bez powodu, ogarnął mnie potworny strach.

Wszyscy postanowiliśmy opowiedzieć o swoim życiu, ale kolejno, jeden po drugim, pierwszy Stan.

– Przed nami daleka droga – zagaił Dean – musicie więc naprawdę podejść do tego z sercem i przywoływać wszystkie szczegóły, jakie wam przyjdą do głowy, a i tak nie powie się wszystkiego. – Spokojnie, spokojnie – przestrzegł Stana, który rozpoczął swoją opowieść – ty

też musisz się odprężyć.

Stan nawijał o swoim życiu, kiedy mknęliśmy przez ciemności. Rozpoczął od przeżyć we Francji, ale żeby ominąć narastające jak zwykle trudności, cofnął się i zaczął od początku, od dzieciństwa w Denver. Razem z Deanem porównywali czasy, kiedy widywali się, jeżdżąc szaleńczo na rowerach.

– Widzę, że zapomniałeś o jeszcze jednym zdarzeniu... pamiętasz warsztat Arapahoe? Rzuciłem ci piłkę na rogu, a tyś ją odbił pięścią w moją stronę i wpadła do rynsztoka. Chodziliśmy wtedy do powszechniaka. Pamiętasz teraz?

Stan był podniecony, rozgorączkowany. Chciał opowiedzieć Deanowi dosłownie wszystko. Dean był teraz sędzią, starcem, arbitrem, słuchaczem, aprobował, przytakiwał.

– Tak, tak, mów dalej.

Minęliśmy Walsenburg; naraz minęliśmy Trinidad, gdzie Chad King siedział przy jakimś ognisku, może w gronie antropologów, i tak jak niegdyś też opowiadał o swoim życiu, ale nie śniło mu się, że w tej właśnie chwili możemy przejeżdżać tą szosą, zmierzając do Meksyku, opowiadając o własnym życiu. O, smutna amerykańska nocy! I zaraz znaleźliśmy się w Nowym Meksyku, minęliśmy zaokrąglone szczyty Raton, zatrzymaliśmy się wygodnie przy barku, marząc o hamburgerach, kilka zawinęliśmy w serwetkę, żeby zjeść po przekroczeniu granicy.

– Sal, musimy pokonać cały Teksas wzdłuż – oznajmił Dean. – Wcześniej przemierzaliśmy go wszerz. Jest dokładnie tak samo długi. Za kilka minut będziemy w Teksasie, a opuścimy go dopiero jutro o tej porze, i to bez żadnych postojów. Pomyśl tylko.

Jechaliśmy dalej. Po drugiej stronie olbrzymiej równiny nocy leżało pierwsze teksaskie miasto, Dalhart, przez które przejeżdżałem w roku 1947. Leżało, migocząc na ciemnej podłodze ziemi, osiemdziesiąt kilometrów od szosy. Wokół w blasku księżyca pustkowia porośnięte krzakami jadłoszynu. Na horyzoncie wisiał księżyc. Nabral ciała, zrobił się wielki, rdzawy, potem dojrzał, przetoczył się, aż wyparła go poranna gwiazda i w okna zaczęło nam zawiewać rosę... a myśmy toczyli się dalej. Po Dalhart – pustym miasteczku jak pudełko – namierzaliśmy Amarillo, dokąd dotarliśmy rano pośród wietrznych, łopoczących traw, które zaledwie przed kilku laty falowały wokół skupiska namiotów ze skór bizonów. Dzisiaj znajdowały się tam stacje benzynowe i nowe szafy grające z 1950 roku z olbrzymimi, bogato zdobionymi ryjkami, otworami na dziesięciocentówki i okropnymi piosenkami. Przez całą drogę z Amarillo do Childress Dean i ja bombardowaliśmy Stana fabułami kolejnych przeczytanych przez nas książek, a ten wciąż się dopraszał o nowe, bo chciał wiedzieć. W Childress w gorącym słońcu skręciliśmy prosto na południe w boczną drogę i przemknęliśmy

przez bezmierne pustkowia do Paducah, Guthrie i Abilene. Teraz Dean musiał się przespać, no więc Stan i ja usiedliśmy z przodu i prowadziliśmy. Stary wóz grzał, improwizował, brnął naprzód. Z tych lśniących połaci ziemi zawiewało na nas wielkie chmury piaszczystego wiatru. Stan toczył wciąż swoje opowieści o Monte Carlo, o Cagnes-sur-Mer i o błękitnych miejscach pod Menton, gdzie śniadolicy ludzie przechadzają się między białymi murami. Teksas jest niezemski: zajechaliśmy wolno do Abilene, wszyscy się obudzili, żeby je obejrzeć.

– Wyobraźcie sobie: tak mieszkać w tym miasteczku półtora tysiąca kilometrów od wielkich miast. Ho, ho, tam przy torach, stare miasteczko Abilene, dokąd kowboje pędzili bydło z całego Teksasu, urządzali sobie strzelaniny, doprowadzając szeryfów do szału, i pili na umór. Patrzcie no! – darł się Dean przez okno, z ustami wykrzywionymi jak W.C. Fields. Nie przejmował się Teksasem ani żadnym innym miejscem. Rumiani Teksańczycy nie zwracali na niego uwagi, tylko pomykali rozgrzanymi chodnikami. Zatrzymaliśmy się za miastem, przy szosie na południe, żeby coś zjeść. Zmierzch wydawał się oddalony o milion kilometrów, kiedy ruszyliśmy dalej w kierunku Coleman i Brady – serca Teksasu, pustkowia porośniętego jedynie zaroślami, tylko gdzieniegdzie dom opodal spragnionego strumyka, po czym objazd osiemdziesiąt kilometrów polną drogą i nieprzerwany skwar.

– Stary wypalony Meksyk jest jeszcze daleko stąd – powiedział Dean sennie z tylnego siedzenia – no więc grzejcie, chłopcy, to przed świtkiem będziemy całować señority, bo ten stary fordziak potrafi grzać, jak tylko ktoś umie do niego przemówić i popuścić wodze, najwyżej tyłek mu odpadnie, ale nie przejmujcie się tym, zanim dojedziemy na miejsce.

I zasnął.

Wziąłem kierownicę i dojechałem do Fredericksburga, gdzie znów krzyżowały się moje drogi ze starą mapą, bo właśnie tam Marylou i ja trzymaliśmy się za ręce pewnego śnieżnego poranka w roku 1949, ale gdzie była teraz Marylou? „Dmuchaj!” – ryknął Dean przez sen, bo pewno śnił o jazzie we Frisco, a może o czekającym nas meksykańskim mambo. Stan nie przestawał gadać; poprzedniego wieczoru Dean go rozkręcił i teraz gadał, jakby nigdy nie miał przestać. Dotarł już do Anglii, opowiadał swoje przygody ze stopu na angielskiej drodze z Londynu do Liverpoolu, nosił wtedy długie włosy i wyświechtane spodnie, a dziwni brytyjscy kierowcy ciężarówek podwozili go w pomrokach europejskiej pustki. Wszyscy mieliśmy oczy zaczerwienione od ciągłych wiatrów, mistralu owiewającego stary Teksas. Każdy z nas miał w sercu kamień, wiedzieliśmy, że zbliżamy się do celu, chociaż powoli. Wóz, drżąc z wysiłku, ledwo wyciągał sześćdziesiątkę. Z Fredericksburga zjeżdżaliśmy w dół wielkimi wyżynnymi równinami Zachodu. O przednią szybę zaczęły się

rozbijać muszki.

– Chłopaki, wjeżdżamy teraz w gorącą okolicę, szczury pustynne i tequila. A ja po raz pierwszy dotarłem tak daleko na południe Teksasu – dodał Dean z niejakim zdziwieniem. – Niech to cholera! Tu właśnie przyjeżdża w zimie mój stary, cwany stary włóczęga.

Naraz znaleźliśmy się w łące tropikalnym skwarze u podnóża ośmiokilometrowego wzniesienia, a wysoko przed sobą zobaczyliśmy światła starego San Antonio. Wyraźnie się czuło, że to naprawdę kiedyś było terytorium meksykańskie. Domy przy drodze wyglądały zupełnie inaczej, stacje benzynowe bardziej obskurne, mniej latarni ulicznych. Dean z rozkoszą przejął kierownicę, żeby nas wwieźć do San Antonio. Zajechaliśmy do miasta od strony pustkowi nędznych meksykańskich, typowych dla Południa chałup bez piwnic, na każdym ganku stare fotele na biegunach. Podjechaliśmy pod obłądną stację benzynową, żeby nasmarować wóz. Stali tam Meksykanie w gorącym świetle zawieszonych u góry żarówek, aż szerniałych od letniego robactwa doliny, sięgali do skrzyni z napojami, wyciągali butelki piwa i rzucali pieniądze sprzedawcy. Tak spędzały czas całe rodziny. Wszędzie wokół chałupy, omdlewające drzewa, a w powietrzu zapach dzikiego cynamonu. Nadeszła grupa szalonych meksykańskich nastolatek z chłopakami.

– Hoo! – zawołał Dean. – *Si! Mañana!* Zewsząd dobiegała muzyka, i to najrozmaitsze rytmy. Stan i ja wypiliśmy po ileś butelek piwa i trochę się zaprawiliśmy. Już jedną nogą byliśmy poza Ameryką, a jednak zdecydowanie w niej tkwiliśmy, w samym sercu największego obłędu. Droga śmigali krążowniki szos. San Antonio, ah-haa!

– Teraz, stareńcy, posłuchajcie, moglibyśmy parę godzin pobalować w San Antone, no bo najpierw musimy znaleźć szpital, żeby zrobili coś Stanowi z tą ręką, a ja i ty, Sal, pokręcimy się trochę i będziemy się upajać tymi ulicami... zobacz te domy po drugiej stronie, można dosłownie zajrzeć do pokoju frontowego, gdzie wylegują się śliczności córeczki z pismami „Prawdziwa Miłość” w rękach, fiuu! Chodźcie, jedziemy!

Krążyliśmy przez jakiś czas bez celu, pytając przechodniów o najbliższy szpital. Mieścił się w pobliżu centrum, gdzie wszystko wyglądało bardziej schludnie, po amerykańsku, nawet kilka takich niby drapaczy chmur, sporo neonów i sklepów znanych sieci handlowych, tyle że samochody wypryskujące z mroku poruszały się po mieście, jak gdyby nie obowiązywały tam żadne przepisy drogowe. Zaparkowaliśmy wóz na podjeździe do szpitala i ja poszedłem ze Stanem do internisty, a Dean został w samochodzie, żeby się przebrać. W korytarzu szpitalnym pełno biednych Meksykanek, jedne w ciąży, inne chore albo z chorymi małymi dziećmi. Smutny widok. Przypomniała mi się biedna Terry, zacząłem się zastanawiać, co ona teraz porabia. Stan musiał czekać bitą godzinę, żeby przyszedł

internista i obejrzał jego spuchniętą rękę. Zakażenie miało swoją nazwę, ale żadnemu z nas nie chciało jej się nawet powtórzyć. Dali mu zastrzyk z penicyliny.

W tym czasie Dean i ja poszliśmy się upajać ulicami meksykańskiego San Antonio. Dokoła wonne, łagodne powietrze – najłagodniejsze, jakie w życiu wdychałem – ciemno, tajemniczo, gwarno. Naraz w bzyjących ciemnościach ukazały się sylwetki dziewcząt w białych bandanach. Dean łąził w milczeniu.

– Och, to jest zbyt cudowne, żeby cokolwiek robić! – rzucił szeptem. – Będziemy tak łązić, żeby wszystko zobaczyć. Patrz! Patrz! Obłędna speluna bilardowa w San Antonio.

Weszliśmy. W środku dwunastu chłopaków grało przy trzech stołach, sami Meksykanie. Dean i ja kupiliśmy sobie coca-cole, wrzucaliśmy dwudziestopięciocentówki do szafy grającej, puszczał Wynonie Blues Harrisa, Lionela Hamptona, Lucky Millindera i podrygiwaliśmy. W pewnej chwili Dean kazał mi patrzeć.

– Zerknij teraz kątem oka, kiedy słuchamy, jak Wynonie zawodzi o cacku swojej małej, i kiedy, jak powiadasz, wdychamy łagodne powietrze, przyważ tego chłopaczka, tego kulawego, który gra tam przy pierwszym stoliku, obiekt podśmiejuków całej speluny, widzisz, przez całe życie wszyscy robią z niego podśmiejuki. Tamci są bezwzględni, ale go kochają.

Kaleka był zdeformowanym karłem, miał wielką piękną twarz, dużo za dużą, w której lśniły wilgocią ogromne piwne oczy.

– Widzisz, Sal, meksykański Tom Snark z San Antonio, wszystko się na świecie powtarza. Widzisz, dostaje od nich w dupę kijem bilardowym? Ha-ha-ha! Posłuchaj, jak się śmieją. Widzisz, chłopak chce wygrać, założył się o cztery kawałki. Patrz! Patrz! – Patrzyliśmy obaj, jak ten anielski młody karzeł celuje do bandy. Chybił. Tamci ryknęli śmiechem. – Och, stary – rzucił Dean. – A teraz patrz. – Złapali chłopaka za kark i tarłosili go rozbawieni. Chłopak piszczał. Wyszedł dumnie w tę noc, rzuciwszy przedtem za siebie nieśmiałe, rozkoszne spojrzenie. – Och, stary, strasznie chciałbym poznać tego bombowego chłopaczka, jego myśli i dowiedzieć się, z jakimi dziewczynami się zadaje, och, stary, jestem na haju od tego powietrza!

Wyszliśmy na dwór i zaliczyliśmy kilka ciemnych, tajemniczych przecznic. Za zarośniętymi jak dżungla podwórkami skryły się liczne domy; przebłyski dziewczyn w frontowych pokojach, dziewczyny na gankach, dziewczyny w krzakach z chłopakami. – Że też nie znałem wcześniej tego szalonego San Antonio! Pomyśl, jak będzie w Meksyku. Jedźmy już! Jedźmy!

Popędziliśmy z powrotem do szpitala. Stan był już po wszystkim, twierdził, że czuje

się znacznie lepiej. Objęliśmy go z dwóch stron i opowiedzieliśmy mu dokładnie, co robiliśmy.

Teraz mogliśmy pokonać te ostatnie dwieście czterdzieści kilometrów do magicznej granicy. Wskoczyliśmy do wozu i hajda! Byłem tak zmordowany, że przespałem całą drogę przez Dilley i Encinal do Laredo, obudziłem się dopiero o drugiej nad ranem, kiedy chłopcy parkowali wóz przed barkiem.

– Ach – westchnął Dean – koniec Teksasu, koniec Ameryki, dalej już nieznane.

Było niesamowicie gorąco – wszyscy pociliśmy się jak rude myszy. Ani kropli nocnej rosy, ani krztyny powietrza, nic, tylko miliardy ciem rozbijających się o żarówki i ohydny, cuchnący zapach płynącej nocą rozgrzanej rzeki – Rio Grande, która zaczyna się w chłodnych strumieniach Gór Skalistych, a kończy, rzeźbiąc słynne w świecie doliny, żeby przemieszać w wielkiej zatoce ich skwar z błotami Missisipi.

Laredo miało tego ranka złowrogi wygląd. Kręcili się tam najrozmaitsi taksówkarze i sępy nadgraniczne, polując na różne okazje. A nie trafiało się ich wiele; za późna pora. Było to dno i rynsztok Ameryki, gdzie osiadają największe męty, dokąd muszą jechać błądzący ludzie, żeby znaleźć się w pobliżu tego konkretnego gdzie indziej, do którego mogą się niepostrzeżenie prześlizgnąć. W ciężkim, lepkim jak syrop powietrzu łągł się przemyt. Gliniarze byli czerwoni na twarzach, ponurzy, spoceni, żadnej buńczuczności. Kelnerki były brudne, odrażające. Wyczuwało się o krok tę olbrzymią obecność wielkiego Meksyku i niemal czuło nosem zapach miliarda tortilli, smażących się i dymiących w noc. Nie mieliśmy pojęcia, jaki naprawdę będzie Meksyk. Znów znajdowaliśmy się na poziomie morza, a kiedy próbowaliśmy coś przegryźć, jakoś nie mogliśmy nic przełknąć. Zapakowałem więc żarcie w serwetki na dalszą podróż. Czuliśmy się okropnie i smętnie. Ale wszystko się zmieniło, kiedy przejechaliśmy tajemniczy most przez rzekę i nasze koła dotknęły oficjalnej meksykańskiej ziemi, chociaż było to tylko przejście graniczne dla samochodów. Po drugiej stronie ulicy zaczynał się Meksyk. Rozejrzeliśmy się z ciekawością. Ku naszemu zdumieniu wszystko zgadzało się dokładnie z naszym wyobrażeniem o Meksyku. Była trzecia nad ranem, przed obskurnymi, dziobatymi sklepikami wałęsały się spore grupy facetów w słomkowych kapeluszach i białych spodniach.

– Patrz... na... tych... faciów! – wyszeptał Dean. – Oo – zachłysnął się cicho – czekaj, czekaj.

Wyszli funkcjonariusze meksykańscy z uśmiechami na twarzach, spytali, czy bylibyśmy tak uprzejmi wyjąć bagaż. Co też zrobiliśmy. Nie mogliśmy oderwać oczu od tamtej strony ulicy. Marzyliśmy tylko o tym, żeby tam zaraz skoczyć i zagubić się w tych

tajemniczych hiszpańskich uliczkach. To było tylko Nuevo Laredo, ale dla nas wyglądało jak święta Lhasa.

– Stary, ci faceci sterczą tu całą noc – wyszeptał Dean. Pośpieszyliśmy, żeby załatwić sprawę dokumentów.

Ostrzeżono nas, żebyśmy odtąd, po przekroczeniu granicy, nie pili wody z kranu. Meksykanie przejrzeni nasz bagaż bardzo pobieżnie. Wcale nie wyglądali na urzędników. Byli leniwi i dobroduszeni. Dean nie mógł się na nich napatrzeć. Zwrócił się do mnie.

– Nie do wiary! Widzisz, jacy w tym kraju są gliniarze. – Przetarł oczy. – Ja chyba śnię.

Następnie musieliśmy wymienić pieniądze. Zobaczyliśmy na stole wielkie stosy pesos, dowiedzieliśmy się, że na amerykańskiego dolara wchodzi osiem pesos czy coś koło tego. Wymieniliśmy większość forsy i z dziką radością napchaliśmy sobie kieszenie wielkimi plikami banknotów.

## 5

I wtedy spojrzeliśmy na Meksyk z nieśmiałością i za ciekawieniem, obserwowani w tę noc spod tajemniczych rond kapeluszy przez dziesiątki meksykańskich faciów. Dalej była muzyka i całonocne restauracje z dymem wylewającym się przez drzwi.

– Fiuu – szepnął cicho Dean.

– To wszystko – powiedział z uśmiechem meksykański strażnik. – Macie, chłopcy, z głowy. Jedźcie dalej. Witamy w Mehiko. Dobrze się bawcie. Pilnujcie pieniędzy. Uważajcie, jak jedziecie. Mówię to wam prywatnie, na imię mi Red, wszyscy tak do mnie mówią. W razie czego pytajcie o Reda. Dobrze jedźcie. Nie przejmujcie się. Wszystko jest w porządku. W Mehiko nietrudno się dobrze bawić.

– Tak jest! – Dean aż zadrżał i przeszliśmy na miękkich nogach prosto do Meksyku po drugiej stronie ulicy. Zostawiliśmy zaparkowany samochód i wszyscy trzej ruszyliśmy ramię w ramię hiszpańską ulicą w sam środek przyćmionych borych świateł. W aurze nocy starcy siedzieli na krzesłach, wyglądali jak narkomani i wieszczce z Dalekiego Wschodu. Żaden z nich na nas właściwie nie patrzył, a mimo to wszyscy śledzili każdy nasz krok. Skręciliśmy ostro w lewo do zadymionego barku, w środku rozbrzmiewała muzyka gitar campo z amerykańskiej szafy grającej z lat trzydziestych. Na stołkach siedzieli meksykańscy

taksówkarze w samych koszulach i meksykańscy hipsterzy w słomkowych kapeluszach, opychając się bezkształtnymi tortillami, fasolą, tacos i czym tam jeszcze. Kupiliśmy trzy butelki zimnego piwa – nazywało się *cerveza* – po około trzydzieści meksykańskich centów, czyli dziesięć amerykańskich za butelkę. Kupiliśmy meksykańskie papierosy po sześć centów za paczkę. Nie mogliśmy się napatrzeć na te swoje niesamowite meksykańskie pieniądze, które tyle były warte, bawiliśmy się nimi, rozglądali wokół i uśmiechali do wszystkich. Za plecami zostawiliśmy całą Amerykę i wszystko, co Dean i ja wiedzieliśmy dotąd o życiu, o życiu w drodze. Wreszcie, na końcu drogi, znaleźliśmy magiczną ziemię, nigdy nam się nie śniło, że ta magia może być tak olbrzymia.

– Pomyśl o tych wszystkich faciach, którzy sterczą tu przez całą noc – powiedział szeptem Dean – i pomyśl o tym wielkim kontynencie przed nami, o tych ogromnych górach Sierra Madre, które oglądaliśmy w kinie, o dżunglach ciągnących się aż na południowy kraniec, o tym pustynnym płaskowyżu tak wielkim jak nasz, który sięga aż do Gwatemali i Bóg wie dokąd, uu-uu! Co robimy? Co robimy? Jedziemy!

Wyszliśmy stamtąd i wróciliśmy do samochodu. Ostatni rzut oka na Amerykę za gorącymi światłami mostu na Rio Grande, po czym odwróciliśmy się do niej plecami, zderzakiem, i pomknęliśmy naprzód.

W jednej chwili znaleźliśmy się na pustyni i przez osiemdziesiąt kilometrów równin nie zobaczyliśmy ani jednego światła, ani jednego samochodu. Nad Zatokę Meksykańską nadciągał właśnie świt, po obu stronach drogi zaczęły się ukazywać zjawiskowe sylwetki kaktusów juka i saguaro.

– Co za nawiedzony kraj! – wykrzyknąłem.

Dean i ja całkiem się rozbudziliśmy. W Laredo byliśmy półżywi. Stan, który przekraczał już w życiu granicę, spał sobie w najlepsze na tylnym siedzeniu. Dean i ja mieliśmy przed sobą cały Meksyk.

– A teraz, Sal, zostawiamy wszystko za sobą i wkraczamy w nowy, nieznany etap. Tyle lat, kłopotów, ubawów, a teraz coś takiego! Możemy więc spokojnie nie myśleć o niczym innym, jak tylko pruć naprzód, wyciągając szyje tak jak teraz, kapujesz, i rozumieć świat tak jak, szczerze, uczciwie mówiąc, żadni Amerykanie dotąd go nie rozumieli, bo przecież tu byli. Wojna z Meksykiem. Przejeżdżali tędy z armatami.

– Ta droga – dodałem – to zarazem szlak dawnych amerykańskich zbrodniarzy, którzy czmychali przez granicę i jechali aż do starego Monterrey, no więc jeśli wyjrzysz na tę szarzejącą pustynię i wyobrazisz sobie ducha starego awanturnika z Tombstone, jak galopuje na samotne wygnanie w nieznaną, to zobaczysz dalej...

– To jest świat – powiedział Dean. – Mój Boże! – zawołał, wałąc w kierownicę. – To jest świat! Jak nas droga doprowadzi, możemy pojechać dalej do Ameryki Południowej. Pomyśl tylko! O skurczysyn! Jasna cholera! – Pomknęliśmy dalej. Zaraz świt się rozpostarł i zaczęły się wyłaniać białe piaski pustyni, a gdzieniegdzie w oddali pojedyncze chaty. Dean zwolnił, żeby im się przyjrzeć. – Prawdziwe obskurne chaty, stary, jakie można spotkać tylko w Dolinie Śmierci, tyle że te są znacznie gorsze. Ci ludzie nie dbają o pozory. – Pierwsze miasteczko przed nami zaznaczone na mapie nazywało się Sabinas Hidalgo. Wyglądaliśmy go z utęsknieniem.

– A droga wcale się tak bardzo nie różni od amerykańskiej – wołał Dean – poza jednym obłądnym szczegółem, bo zauważ, o tu, na słupkach są wypisane kilometry i cykają odległość do Mexico City. Kapujesz, to jedyne duże miasto w całym kraju, wszystko tam zmierza. – Do metropolii było jeszcze tylko 767 mil; w kilometrach liczba przekraczała tysiąc. – Cholera! Jedzie się! – wołał Dean.

Na chwilę zamknąłem oczy, bo byłem tak strasznie zmordowany, słyszałem tylko, jak Dean wali pięściami w kierownicę i powtarza: „Cholera!”, „Ale ubaw!”, „Co za kraj!” i „Tak!”. Około siódmej rano dotarliśmy przez pustynię do Sabinas Hidalgo. Zwolniliśmy zupełnie, żeby mu się przyjrzeć. Obudziliśmy Stana na tylnym siedzeniu. Siedzieliśmy wyprostowani, żeby napawać się widokami. Główna ulica była zabłocona i pełna dziur. Po obu stronach brudne, wałące się frontony domów z gliny suszonej na słońcu. Środkiem jezdni szły juczne osły z pakunkami. Z mrocznych sionek przyglądały nam się bose kobiety. Ulica była kompletnie zapchana ludźmi idącymi pieszo, rozpoczynającymi nowy dzień na meksykańskiej prowincji. Gapili się na nas starcy z sumiastymi wąsami. Niesłychanie intrygował ich widok trzech brodatych, zaszarganych amerykańskich młodzieńców zamiast typowych dobrze ubranych turystów. Prztelepaliśmy się główną ulicą z prędkością piętnastu kilometrów na godzinę, napawając się tym wszystkim. Przemaszerowała nam przed nosem grupa dziewcząt. Kiedy je mijaliśmy, jedna spytała:

– Dokąd jedziesz, człowieku?

Odwrociłem się do Deana zdumiony.

– Słyszałeś, co ona powiedziała?

Dean był tak oszołomiony, że nadal jechał wolno i mówił:

– Tak, słyszałem, słyszałem jak cholera, o rajcu, o rany, już sam nie wiem, co ze sobą zrobić, taki jestem podniecony i upojony w tym porannym świecie. W końcu dotarliśmy do nieba. Nie mogłoby być bardziej na luzie, nie mogłoby być bardziej klawo, nie mogłoby być jakkolwiek inaczej.

– No to zawróćmy i poderwijmy je! – zaproponowałem.

– Tak – odparł Dean i jechał dalej przed siebie z prędkością dziesięciu kilometrów na godzinę. Zupełnie go to wszystko zważyło z nóg, nie musiał robić tego, co zwykle robiłby w Ameryce. – Po drodze spotkamy ich jeszcze miliony! – powiedział. W końcu jednak zawrócił i znów przejechał koło tamtych dziewczyn. Szły do pracy w polu; uśmiechały się do nas. Dean gapił się na nie skamieniałym wzrokiem. – Cholera – mruknął pod nosem. – Ech! Aż za wspaniałe, żeby mogło być prawdziwe. Baby, baby. Zwłaszcza teraz, Sal, w moim stanie i położeniu, upajam się wnętrzami miejscowych domów, tymi wdechowymi sionkami, jak zajrzeć do środka, to widać słomiane wyrka, w których śpią małe śniade dzieciaki, ale już się kręcą, żeby się obudzić, myśli im krzepną w głowach wyjąłowionych snem, osobowości wstają, a ich matki gotują śniadanie w żelaznych garnkach, no i przyuważ te ich okiennice zamiast okien i na tych starców, starcy są na pełnym luzie, genialni, nic ich nie bierze. Nie ma tu cienia podejrzliwości, nic w tym rodzaju. Wszyscy są na luzie, wszyscy patrzą na człowieka szczerymi piwnymi oczami i nic nie mówią, tylko patrzą, a wszystkie cechy ludzkie w tym spojrzeniu są łagodne, stonowane, ale są. Pomyśl o tych wszystkich idiotyzmach, jakie czytałeś o Meksyku, o śpiącym gringo i inne brednie... albo nie mniejsze brednie o szmaciarzach Meksach... a prawda wygląda tak, że ludzie są tu szczerzy, mili i nie wciskają kitu. Nie mogę się nadziwić.

Wychowany na surowej drodze nocy Dean musiał sam pojechać w świat, żeby to zobaczyć. Garbił się nad kierownicą, patrzył na obie strony, toczył się powoli. Za Sabinas Hidalgo stanęliśmy, żeby nabrać benzyny. Zgromadzenie miejscowych farmerów z sumiastymi wąsami, w słomkowych kapeluszach, dudniło i dowcipkowało przed staroświeckimi pompami benzynowymi. W polu jakiś starzec, dzierżąc w ręku witkę, włókł się za swym osłem. Wzeszło czyste słońce nad czystymi, prastarymi poczynaniami ludzi.

Wróciliśmy na swoją drogę do Monterrey. Przed nami wyrosły wielkie góry w ośnieżonych czapach; pomknęliśmy wprost na nie. Szczelina między nimi rozszerzyła się, tworząc przełęcz, w którą się zapuściliśmy. Wciągu kilku minut zostawiliśmy za sobą jadłoszynową pustynię i pięliśmy się w chłodnym powietrzu drogą obwarowaną od strony przepaści kamiennym murem, a na skalistych zboczach wielkimi, białymi literami wypisane nazwiska prezydentów – ALEMAN! Nikogo nie spotkaliśmy na tej podniebnej drodze. Wiła się między chmurami i doprowadziła nas do wielkiego płaskowyżu na szczycie. Po drugiej stronie płaskowyżu duże przemysłowe miasto Monterrey przypominałoby wjazd do Detroit pośród wysokich, długich murów fabryk, gdyby nie wygrzewające się przed nim w słońcu na trawie osły i zatłoczone skupiska domów z gliny suszonej na słońcu, pod drzwiami kręciły się

tysiące tułaczycy hipsterów, z okien wyglądały dziwki, wszędzie dziwne sklepy, w których mogli sprzedawać dosłownie wszystko, i wąskie chodniki, na których naród kłębił się jak w Hongkongu.

– Jeju! – darł się Dean. – A wszystko w tym słońcu. Sal, przyważyłeś meksykańskie słońce? Człowiek od razu jest na haju. Uuuu! Chce mi się tak jechać bez końca... ta droga sama prowadzi!!

Zaproponowaliśmy, żeby po drodze zakosztować uroków Monterrey, ale Dean chciał dotrzeć do Mexico City w błyskawicznym tempie, a poza tym wiedział, że droga będzie jeszcze ciekawsza, zwłaszcza przed nami, zawsze ta przed nami. Jechał jak szatan, w ogóle nie odpoczywał. Stan i ja byliśmy kompletnie wyczerpani, machnęliśmy ręką i poszliśmy spać. Wyjrzałem w Monterrey, zobaczyłem dwa ogromne, dziwaczne bliźniacze szczyty za Starym Monterrey, za które dawniej uciekali zbrodniarze.

Przed nami było Montemorelos, znów zjazd w górę w rejon. Zrobiło się nieznośnie gorąco, jakoś dziwnie. Dean musiał mnie koniecznie obudzić, żebym to zobaczył.

– Patrz, Sal, tego nie możesz przegapić.

Spojrzałem. Przejeżdżaliśmy przez mokradła, przy drodze co jakiś czas szły grupy dziwnych Meksykanów w wystrzępionych łachach, z maczetami zwisającymi na sznurowych pasach, niektórzy siekli krzaki. Wszyscy przystawali, żeby nam się przyjrzeć, twarze bez wyrazu. Od czasu do czasu dostrzegaliśmy przez splątany busz pokryte strzechą iście afrykańskie chaty z bambusowymi ścianami, takie chaty sklecone z patyków. Dziwne młode dziewczyny, ciemne jak księżyc, gapiły się z tajemniczych ganków tonących w zieleni.

– Ech, stary, jak ja bym chętnie stanął i pofiglował z tymi ślicznotkami – zawołał Dean – ale zauważ, że zawsze gdzieś w pobliżu kręci się starsza pani albo starszy pan, przeważnie gdzieś z tyłu, czasem o sto metrów, zbiera sobie gałązki, chrust albo dogląda zwierząt. Dziewczyny nigdy nie są same. W tym kraju nikt nigdy nie jest sam. Kiedyś ty spał, ja upajałem się tą drogą i tym krajem, ech, gdybym się tak mógł podzielić z tobą wszystkimi myślami, stary! – Był cały spocony. Oczy nabiegły mu krwią, szalone, a przy tym łagodne i pełne tkliwości – znalazł ludzi podobnych do siebie. Toczył się przez bezkresne mokradła ze stałą prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. – Sal, okolica chyba długo się nie zmieni. Jak poprowadzisz, to ja się prześpię.

Przejąłem kierownicę i jechałem zatopiony we własnych myślach przez Linares, przez gorącą, płaską, bagnistą okolicę, przez parującą Rio Soto la Marina pod Hidalgo i dalej. Rozwarła się przede mną wielka, bujna, dzunglowa dolina z długimi zielonymi polami uprawnymi. Z wąskiego, staroświeckiego mostu patrzyły za nami grupy mężczyzn. Płynęła

gorąca rzeka. Zaczęliśmy się pięć coraz wyżej, aż znów ukazała się pustynna okolica. Zbliżaliśmy się do miasta Gregoria. Chłopcy spali, byłem więc sam w swojej wieczności za kółkiem, a droga biegła prosto jak strzała. To coś zupełnie innego niż przejazd przez Karolinę, Teksas, Arizonę czy Illinois; przypominało to raczej jeżdżenie po całym świecie i docieranie do miejsc, gdzie człowiek nareszcie poznaje sam siebie wśród indiańskich fellachów tego świata, nieodzowny trud ludzi naprawdę pierwotnych, skamlącą ludzkość, która ciągnie się w pasie równikowym wokół brzucha świata od Malajów (długiego paznokcia Chin) przez wielki subkontynent indyjski, przez Arabię, przez Maroko do takich samych pustyń i dżungli Meksyku i dalej, aż do fal Polinezji, do mistycznego Syjamu Żółtych Szat i dalej, dalej, toteż człowiek pod przegniłymi murami Kadyksu w Hiszpanii słyszy to samo żałosne zawodzenie, co dwadzieścia tysięcy kilometrów dalej w czeluściach Benares, Stolicy Świata. Ci ludzie byli z całą pewnością Indianami i zupełnie nie przypominali tych wszystkich Pedro i Pancho z idiotycznego folkloru cywilizowanej Ameryki – mieli wysoko zarysowane kości policzkowe, skośne oczy i łagodne obejście; nie byli głupcami, nie byli błaznami; byli wielkimi, poważnymi Indianami, źródłem ludzkości i jej ojcami. Fale są domeną Chińczyków, lecz ziemia jest z pewnością domeną Indian. Tak nieodzownie, jak skały na pustyni są domeną pustyni „historii”. Ci ludzie wiedzieli o tym, kiedy przejeżdżaliśmy, ostentacyjnie zarozumiali, potrząsający trzosem Amerykanie, którzy świetnie się bawią w ich kraju; wiedzieli, kto jest ojcem, a kto synem prastarego życia na ziemi, i nie komentowali. Kiedy bowiem na świat „historii” przyjdzie zniszczenie i znów powróci apokalipsa fellachów, jak już wracała po wielekroć, ludzie wciąż będą wyglądać tymi samymi oczami z jaskiń Meksyku, a także z jaskiń Bali, gdzie wszystko się zaczęło, gdzie wykarmiono piersią Adama i nauczono go poznawać. Takie myśli snuły mi się po głowie, kiedy prowadziłem wóz do gorącego, spieczonego słońcem miasteczka Gregoria.

Wcześniej, jeszcze w San Antonio, obiecałem Deanowi żartem, że załatwię mu dziewczynę. To był zakład, a zarazem wyzwanie. Kiedy podjechałem na stację benzynową pod słoneczną Gregorią, z drugiej strony szosy nadszedł chłopak; ledwie powłócząc nogami, taskał olbrzymią osłonę do przedniej szyby i zagadnął, czy bym jej nie kupił.

– Ty się ona podoba? Sześćdziesiąt pesos. *Habla Español? Sesenta peso.* Na imię Victor.

– Nie – odparłem dla żartu – kupiłbym señoritę.

– Jasne, jasne! – zawołał podniecony. – Sprowadzę ci dziewczyn każda chwila. Teraz za gorąc – dodał z obrzydzeniem. – Nie być dobrych dziewczyn, kiedy taki gorąc. Czekaj wieczora. Podobać się ta osłona?

Nie chciałem osłony, tylko dziewczyn. Obudziłem Deana.

– Hej, stary, obiecałem ci w Teksasie, że załatwię ci dziewczynę. No to już, rozprostuj kości i obudź się, mój drogi. Dziewczyny na nas czekają.

– Co? Co? – zawołał, zrywając się nieprzytomny. – Gdzie? Gdzie?

– Ten chłopak, Victor, pokaże nam gdzie.

– No to chodźmy, chodźmy! – Dean wyskoczył z wozu, uściskał Victorowi rękę. W pobliżu stacji kręciła się grupka innych chłopaków, wszyscy się uśmiechali, połowa była boso, wszyscy mieli wyświechtane słomkowe kapelusze. – Stary – zwrócił się do mnie Dean – czy to nie miło tak spędzać popołudnie? Znacznie większy luz niż w salach bilardowych Denver. Victor, masz dziewczyny? Gdzie? *A donde?* – zawołał po hiszpańsku. – Widzisz, Sal, mówię po hiszpańsku.

– Spytaj go, czy nie dałoby się tu kupić maryški. Hej, mały, masz ma-ri-hu-anę?

Chłopak kiwnął poważnie głową.

– Jasne, każda chwila, człowieku. Chodź ze mną.

– Hiii! Uiii! Hooo! – darł się Dean. Był już zupełnie rozbudzony, podskakiwał na tej ospałej meksykańskiej ulicy. – Chodźmy razem! – Rozdawałem papierosy Lucky Strike innym chłopcom. Mieli z nas sporą radochę, zwłaszcza z Deana. Gadali między sobą, zasłaniając usta złożonymi rękami, wymieniali uwagi na temat pomyłonego Amerykanina – Widzisz, Sal, jak o nas gadają i jak na nas patrzą. Nie mogę, co za świat!

Victor wsiadł do wozu, ruszyliśmy. Stan Shephard do tej pory smacznie spał, ale obudził się na ten obłęd.

Wjechaliśmy w głąb pustyni po drugiej stronie miasteczka, skręciliśmy w porytą koleinami polną drogę, na której wóz podskakiwał jak nigdy dotąd. Zobaczyliśmy dom Victora. Przycupnął na skraju kaktusowych równin, urozmaiconych kilkoma drzewami, takie pudełko z gliny suszonej na słońcu, na podwórku wylegiwało się kilku mężczyzn.

– Kto to? – zawołał podniecony Dean.

– Tamto moi bracia. Matka też w domu. Siostra też. Moja rodzina. Sam ożeniony, mieszkam centrum.

– A co na to matka? – zdumiał się Dean. – Co mówi o marihuanie?

– Załatwiać ją dla mnie.

Czekaliśmy w samochodzie, Victor wysiadł, podskoczył do domu, rzucił kilka słów starszej pani, na co ta natychmiast się odwróciła, poszła do ogrodu za domem i zaczęła zbierać suche liście marihuany, które zerwano z łądyg i zostawiono, żeby wyschły na słońcu pustyni. Tymczasem bracia Victora uśmiechali się spod drzewa. Zbierali się, żeby nas poznać,

ale minęła dłuższa chwila, zanim się podnieśli i podeszli do nas. Wrócił Victor ze zniewalającym uśmiechem.

– Wiesz, stary – powiedział Dean – ten Victor jest najbardziej rozkosznym, bombowym, nawiedzonym żrebakiem, jakiego spotkałem w życiu. Patrz tylko na niego, patrz, jak on wolno, na luzie chodzi. Tu się w ogóle nie trzeba śpieszyć.

Do samochodu zawiewał jednostajny, natarczywy pustylny wiatr. Było bardzo gorąco.

– Widzi, jaki gorąco? – spytał Victor, siadając z Deanem na przednim siedzeniu i wskazując na rozpalony dach forda. – A jak wy mieć ma-ri-huana, to już nie być gorąco. Ty tylko czeka.

– Tak – odparł Dean, poprawiając ciemne okulary na nosie – czekam. Żebyś wiedział, Victor.

Właśnie zbliżał się do nas leniwym krokiem wysoki brat Victora z garścią trawy na kawałku gazety. Położył ją Victorowi na kolanach, po czym oparł się od niechcienia o drzwi samochodu, żeby kiwnąć głową, uśmiechnąć się do nas i powiedzieć: „Cześć”. Dean skinął głową i też się serdecznie uśmiechnął do niego. Nikt nic nie mówił; wszystko było w porządku. Victor zaczął robić największego skręta, jakiego świat widział. Skręcił (z rozdartej szarej papierowej torby) coś, co przypominało olbrzymie cygaro Corona pełne trawy. Było naprawdę ogromne. Dean gapił się na niego wytrzeszczonymi oczyma. Victor zapalił je niedbałym ruchem i puścił w obieg. Kiedy człowiek sztachnął się czymś takim, to zupełnie jakby pochylając się nad kominem, wciągnął powietrze. Do gardła wpadał jeden wielki żar. Wstrzymywaliśmy oddechy i wypuszczaliśmy powietrze mniej więcej równocześnie. Już po chwili wszyscy byliśmy na haju. Pot ściał się nam na czołach, naraz zrobiło się tak jak na plaży w Acapulco. Wyjrzałem przez tylną szybę samochodu, a drugi, najdziwniejszy z braci Victora – wysoki Indianin, Peruviańczyk, z szarfą przez ramię – opierał się z uśmiechem o słupek, zbyt nieśmiały, żeby podejść i podać nam rękę. Miało się wrażenie, że cały wóz jest otoczony braćmi, bo po stronie Deana zjawiał się jeszcze jeden. Wtedy stało się coś bardzo dziwnego. Wszyscy byli na takim haju, że zwykłe konwenanse stały się zbędne, skupiliśmy się na sprawach, które nas akurat najbardziej interesowały, doszło więc do niesamowitej sceny, kiedy Amerykanie i Meksykanie ćpali razem na pustyni, a co więcej, oglądali sobie z bliska twarze, pory skóry, zgrubienia na palcach i kości policzkowe speszone wobec innego świata. No więc indiańscy bracia zaczęli mówić o nas ściszym głosem i wymieniać uwagi; widać było, jak patrzą, mierzą, porównują swoje wrażenia albo się nawzajem korygują i mitygują: „Tak, tak”.

Z kolei Dean, Stan i ja wymienialiśmy uwagi na ich temat po angielsku.

– Patrz na tego tajemniczego brata z tyłu, który nie ruszył jeszcze od tamtego słupka i nie zmniejszył ani o włos intensywności tego swojego błogiego, dziwaczного, nieśmiałego uśmiechu? A ten tu po mojej lewej, starszy, bardziej pewny siebie, ale smutny, taki jakby zdołowany, może nawet jak włóczęga, taki z miasta, no i ten Victor tak szacownie ożeniony... sam widzisz, obnosi się jak jakiś cholerny król Egiptu. To prawdziwi faceci. W życiu czegoś takiego nie widziałem. Teraz gadają i zastanawiają się nad nami, widzisz? Podobnie jak my, tyle że na swój sposób, ich ciekawość pewno idzie w kierunku naszych ubiorów... tak samo zresztą jak nasza, ale największa niesamowitość jest tu, w wozie, i zobacz, jakie to niesamowite, że śmiejemy się zupełnie inaczej niż oni, a może nawet to, że zupełnie inaczej od nich pachniemy. Mimo to dałbym sobie uciąć rękę, żeby się dowiedzieć, co o nas mówią.

– I Dean spróbował. – Hej, Victor, stary, co twój brat właśnie powiedział?

Victor zwrócił smętne piwne oczy na Deana.

– Tak, tak.

– Nie, nie zrozumiałeś mojego pytania. O czym wy, chłopcy, gadacie?

– Och – powiedział Victor z wielkim zakłopotaniem – wy nie smakować ta marihuana?

– Coś ty, jest świetna, tak! Ale o czym wy gadacie?

– Gadacie? Tak, my gadacie. Jak wam podobać Meksyk?

Trudno było się przebić przez zwykły język. Wszyscy znów zamilkliśmy, byliśmy na haju, napawaliśmy się po prostu wiatrem z pustyni, a po głowach chodziły nam odrębne narodowościowo, rasowo i osobowościowo, sięgające wieczności myśli.

Przyszła pora na dziewczyny. Bracia wycofali się na swoje pozycje pod drzewem, matka przyglądała się nam z osłonecznionych drzwi, a myśmy poturlali się wyboistą drogą z powrotem do miasta.

Tyle że teraz wyboje nie sprawiały nam przykrości; była to najprzyjemniejsza, najcudowniejsza wzburzona podróż pod słońcem, niczym po błękitnej toni morskiej, a nienaturalny blask, jakby ze złota, opromieniał twarz Deana, kiedy kazał nam wczuć się w resory wozu i załapać się na jazdę. Podskakiwaliśmy w górę i w dół, nawet Victor zrozumiał i też się śmiał. Później wyciągnął rękę, żeby nam wskazać drogę do dziewczyn, a Dean spojrział w lewo z niewymowną rozkoszą, wychylił się w tamtą stronę, zakręcił kierownicą, po czym dowiózł nas gładko i pewnie na miejsce, słuchając po drodze łamańców językowych Victora, powtarzając ceremonialnie, pompatycznie:

– Tak, jasna sprawa! Nie mam cienia wątpliwości! Zdecydowanie, stary! O, na pewno! Coś takiego, tre-le-morele, twoje słowa to miód na moje serce! Jak najbardziej! Tak mi mów!

Na co Victor mówił poważnie z tą niesłychaną hiszpańską elokwencją. Przez jedną szaloną chwilę zdawało mi się, że Dean wszystko rozumie, co tamten mówi, kierując się jedynie obłądną intuicją i genialnym darem objawienia, przedziwnie natchnionym przez jego promienną radość. Tak bardzo mi w tamtej chwili przypominał Franklina Delano Roosevelta – jakieś złudzenie moich płonących oczu i pływającego mózgu – że aż się wyprostowałem na siedzeniu i jęknąłem ze zdumienia. W miriadach igiełek niebiańskiej promienistości musiałem się wysilać, żeby dojrzeć postać Deana, a jawił mi się jako Bóg. Byłem na takim haju, że musiałem odchylić głowę na oparcie; podskakiwanie wozu na wybojach przyprawiało mnie o dreszcze ekstazy. Na samą myśl o wyjrzeniu przez okno na Meksyk – który był teraz czymś innym w mojej głowie – przechodziły mnie ciarki tak jak na widok owianego cudowną zagadką, błyszczącego kufra skarbów, gdyż boimy się nań spojrzeć ze względu na oczy, wzrok się przed nim cofa, tyle tych skarbów i bogactw, że trudno ogarnąć je naraz spojrzeniem. Przełknąłem ślinę. Ujrzałem złoto, które się lało strumieniami z nieba przez sponiewierany dach naszego starego pocziwego wozu, przez moje gałki oczne, wprost do środka; to coś było wszędzie. Wyjrzałem przez okno na gorące, słoneczne ulice, zobaczyłem w drzwiach kobietę, pomyślałem sobie, że słyszy każde nasze słowo i kiwa do siebie głową – typowe paranoiczne wizje spowodowane trawą. Ale strumień złota nie przestawał płynąć. Na dłuższy czas straciłem w głębszych partiach umysłu świadomość tego, co robimy, oprzytomniałem nieco później, kiedy podniosłem wzrok znad ognia i ciszy, jakbym obudził się ze snu na świat albo z pustki na sen, i wtedy powiedzieli mi, że zaparkowaliśmy przed domem Victora, a on już stał przy drzwiach samochodu z malutkim synkiem na ręku i nam go pokazywał.

– Widzą mojego małego? Imię ma Pérez, sześć miesięcy wieku.

– Coś takiego – odezwał się Dean, który twarz miał wciąż odmienioną zalewem najwyższej przyjemności, wręcz błogości – to najpiękniejsze dziecko, jakie w życiu widziałem. Spójrzcie na te jego oczy. No, Sal i Stan – powiedział, zwracając się do nas z powagą i tkliwością – chciałbym, żebyście zwrócili szczegól-ną uwagę na oczy tego małego meksykańskiego chłopczyka, syna naszego wspaniałego przyjaciela, Victora, i dostrzegli, że wyrośnie na mężczyznę z wyraźną, odrębną duszą, która będzie przemawiała przez te okna jego oczu, bo tak cudowne oczy wróżą i zapowiadają niewątpliwie najcudowniejszą duszę.

To była piękna mowa. I piękne dziecko. Victor spojrział smętnie na swojego aniołka. W tym momencie każdy z nas chciał mieć takiego synka. Nasza żarliwość wobec duszy tego dzieciaka była tak wielka, że mały coś wyczuł i zaczął się krzywić, a po chwili gorzko się rozplakał, przepełniła go nieodgadniona żalność, której nie potrafiliśmy nijak ukoić, bo sięgała

zbyt głęboko w nieprzebrane tajemnice i w czas. Próbowaliśmy wszystkiego; Victor całował go w szyję i kołysał, Dean gruchał, ja pogłaskałem jego małe rączki. Ale on zawodził coraz głośniej.

– Ach – powiedział Dean – tak strasznie mi przykro, Victor, że przez nas jest smutny.

– Wcale nie smutny, dziecki płacz.

W drzwiach za plecami Victora, zbyt nieśmiała, żeby wyjść, stała boso jego żona, czekając z niespokojną tkliwością, aż znów będzie mogła wziąć dzieciątko na ręce, tak śniade i delikatne. Victor, pokazawszy nam dziecko, wsiadł z powrotem do wozu i dumnie wycelował ręką w prawo.

– Tak – powiedział Dean, szarpnął wóz i skierował go w wąskie, iście algierskie uliczki, w których zewsząd patrzyły na nas życzliwie zaciekawione twarze. Przyjechaliśmy do burdelu. Był to okazały stiukowy przybytek lśniący w złotym słońcu. Na ulicy, opierając się o okiennice, które otwierały się do środka, stali dwaj ospali, znudzeni gliniarze w obwisłych spodniach, którzy rzucili nam przelotne zaciekawione spojrzenia, kiedy wchodziliśmy do środka, a zabawiliśmy tam bite trzy godziny, hulając pod ich nosami, po czym, wychodząc o zmroku, za namową Victora daliśmy im równowartość dwudziestu czterech centów od łebka, zgodnie z przyjętym zwyczajem.

W środku zastaliśmy dziewczęta. Jedne polegiwały na kanapach ustawionych na parkiecie, inne zaprawiały się przy długim barze po prawej. Pośrodku wznosił się łuk, który prowadził do małych klitek zupełnie jak kabiny na publicznych, komunalnych plażach, gdzie ludzie przebierają się w kostiumy kąpielowe. Kabiny znajdowały się już na osłonecznionym podwórku. Za barem stał właściciel, młody facet, który natychmiast wybiegł, kiedy powiedzieliśmy mu, że chcemy posłuchać muzyki mambo, po czym wrócił ze stosem płyt, głównie w wykonaniu Pereza Prado, i puścił je przez głośnik. Już po chwili całe miasto Gregoria słyszało, że w Sala de Baile naprawdę się baluje. A na sali łomot muzyki był tak potężny – bo w ten sposób powinno się korzystać z szafy grającej i w tym celu ją skonstruowano – że momentalnie Deanem, Stanem i mną wstrząsnął dreszcz, bo uświadomiliśmy sobie, że nigdy nie mieliśmy śmiałości puszczać muzyki tak głośno, jak byśmy chcieli, a tak właśnie chcieliśmy. Dudniła i grzmiała prosto w nas. Nie minęło kilka minut, a połowa okolicznych mieszkańców oblegała okna, patrząc, jak Americanos tańczą z dziewczynami. Wszyscy stali na gołej ziemi pod domem, ramię w ramię z gliniarzami, zaglądali do środka obojętnie, jakby mimochodem. *More Mambo Jambo, Chattanooga de Mambo, Mambo Numero Ocho* – wszystkie te niesamowite numery dźwięczały i huczały w to złociste, tajemnicze popołudnie niczym dźwięki, które człowiek spodziewa się usłyszeć w

ostatnim dniu świata, w dniu Drugiego Przyjścia. Trąbki rozbrzmiewały tak głośno, że chyba słyhać je było wyraźnie na pustyni, gdzie zresztą trąbki się narodziły. Bębny waliły jak oszalałe. Rytm mambo to rytm konga znad Konga, rzeki Afryki i całego świata; tak naprawdę jest to rytm świata. Um-to, ta-pum-um-ta, la-pu-pum. Z głośnia spływały na nas fortepianowe *montunos*. Okrzyki lidera zespołu przypominały wielkie ochy i achy. Ostatnie chorusy trąbki razem z kulminacyjnymi uderzeniami perkusji na bębnach konga i bongo z genialnego, szalonego albumu Chattanooga na chwilę sparaliżowały rozkręconego Deana, aż przeszedł go dreszcz i oblał pot; a kiedy trąbki kąsały senne powietrze swoim rozedrganym echem niczym w jaskini albo w jamie, Dean wytrzeszczył duże okrągłe oczy, jak gdyby zobaczył diabła, po czym mocno je zacisnął. Ja sam trząłem się jak marionetka; słyszałem, jak trąbki młóca widzianą przeze mnie światłość, i dygotałem od stóp do głów.

Przy szybkim *Mambo Jambo* odstawiliśmy szalony taniec z dziewczynami. Mimo swojego delirium zaczęliśmy rozróżniać ich charaktery. Dziewczyny były genialne. Aż dziwne, że najbardziej obłądna z nich była pół Indianką, pół białą, pochodziła z Wenezueli i miała tylko osiemnaście lat. Sprawiała wrażenie dziewczyny z dobrego domu. Bóg raczej wiedzieć, co robiła, kurwiąc się w Meksyku, mając tyle lat, takie delikatne liczko i niewinny wygląd. Musiał ją do tego skłonić jakiś straszliwy smutek. Piła bez umiaru. Nalewała trunki, kiedy zdawało się, że zaraz zwymiotuje poprzednie. Bez przerwy wywracała szklanki, bo chodziło też o to, żebyśmy tam wydali jak najwięcej pieniędzy. Spowita w biały dzień zwiewnym peniuarem tańczyła jak oszalała z Deanem, wczepiła mu się w szyję i błagała, bez końca błagała o wszystko. Dean był tak zapruty, że nie wiedział nawet, od czego zacząć, od dziewczyn czy od mambo. Dziewczyny rozbiegły się do swoich kabin. Do mnie się przyczepiła gruba, nieciekawa panienka ze szczeniakiem, która się rozzłościła na mnie za to, że zniechęciłem jej psa, bo wciąż usiłował mnie ugryźć. Poszła wreszcie na kompromis i odstawiła go na zaplecze, ale zanim wróciła, zdążyła mnie już poderwać inna dziewczyna, trochę ładniejsza, chociaż nie z tych najładniejszych, która wpiła mi się w szyję jak pijawka. Usiłowałem się oswobodzić, żeby się zająć ciemnoskórą szesnastolatką, która siedziała po drugiej stronie sali, wpatrując się markotnie we własny pępek przez otwór w krótkiej koszulowej sukience. Nic z tego. Stan zabawiał się z piętnastolatką, która miała skórę koloru migdałów i sukienkę częściowo porozpinaną i od góry, i od dołu. Jeden wielki obłąd. W oknie wisiało przynajmniej dwudziestu facetów i patrzyło.

W pewnej chwili nadeszła matka tej małej ciemnoskórej dziewczyny – właściwie nie ciemnoskórej, a tylko śniadej – żeby wygłosić córce krótkie, smutne przemówienie. Na ten widok zbytnio się zawstydyłem, żeby próbować z tą, której naprawdę chciałem. Dałem się

swojej pijawce zaprowadzić na zaplecze, gdzie – jak we śnie – przy huku i łoskocie kolejnych głośników w środku przez pół godziny katowaliśmy łóżko. To był zwykły kwadratowy pokój szalowany drewnem, bez sufitu, w jednym kącie święty obrazek, w drugim miska do mycia. Po ciemnym korytarzu niósł się głos dziewcząt: *Agua, agua caliente!* – co znaczy „ciepła woda”. Stan i Dean też gdzieś znikli. Moja dziewczyna policzyła mi trzydzieści pesos, czyli jakieś trzy i pół dolara, po czym uprosiła dodatkowe dziesięć pesos, wdając się w długą opowieść o czymś tam. Nie znałem wartości meksykańskich pieniędzy; czułem się, jakbym miał milion pesos. Sypnąłem jej tę forszę. Wróciliśmy do tańca. Na ulicy zebrał się jeszcze większy tłumek. Gliniarze mieli jak zawsze znudzone miny. Śliczna Wenezuelka Deana wyciągnęła mnie za drzwi do kolejnego dziwnego baru, który najwyraźniej też należał do burdelu. Gadał tutaj młody barman zajęty wycieraniem szklanek, a obok siedział staruszek z sumiastym wąsem i dyskutował zawzięcie. I tutaj przez kolejny głośnik ryczało mambo. Zupełnie jakby cały świat był nastawiony na cały regulator. Wenezuelka wisiała mi na szyi i błagała o trunki. Barman nie chciał jej nic podać. Dziewczyna nie przestawała błagać, a kiedy jej wreszcie podał, wylała wszystko na siebie, ale tym razem wcale nie umyślnie, bo dostrzegłem zażenowanie w jej biednych, zapadniętych, zagubionych oczach.

– Daj spokój, mała – powiedziałem. Musiałem ją podtrzymywać na stołku, bo wciąż się zsuwała. W życiu nie widziałem bardziej pijanej kobiety, a miała tylko osiemnaście lat. Postawiłem jej kolejnego kielicha; szarpała mnie za spodnie, błagając o litość. Golnęła sobie. Nie miałem serca z nią zaczynać. Moja dziewczyna miała koło trzydziestki i lepiej sobie radziła. Kiedy Wenezuelka wiała się i cierpiała katusze w moich ramionach, miałem ochotę wziąć ją na zaplecze, rozebrać i tylko z nią pogadać – tak sobie przyrzekłem w duchu. Odchodziłem od zmysłów z pożądania tej małej i tamtej drugiej ciemnoskórej dziewczyny.

Biedny Victor przez cały ten czas stał przy mosiężnej barierce, tyłem do kontuaru, i podskakiwał z radości, że jego trzech przyjaciele Amerykanie tak dobrze się bawią. Stawialiśmy mu trunki. Oczy aż mu się rwały do kobiet, ale nie poszedłby z żadną, bo był wierny żonie. Dean wcisnął mu forszę. W tym szalonym zamęcie miałem okazję zobaczyć, do czego Dean jest zdolny. Był tak nieprzytomny, że kiedy spojrzałem mu w twarz, nie wiedział nawet, kim jestem. Powiedział tylko: „Taaa, taaa!”. Wydawało się, że to się nigdy nie skończy. Zupełnie jak jakiś długi, zjawiskowy sen z tysiąca i jednej nocy przeżywany po południu w innym życiu – Ali Baba, zaułki, kurtyzany. Znowu wybiegłem ze swoją dziewczyną do jej pokoju; Dean i Stan zamienili się dziewczynami; zniknęliśmy na chwilę z pola widzenia i publiczność musiała czekać, aż widowisko znowu potoczy się dalej. Popołudnie zaczęło się chylić, ochłodziło się.

Niedługo w starej, bombowej Gregorii zapadnie tajemniczy wieczór. Mambo nie odpuszczało ani na chwilę, dawało czadu niczym bezkresna podróż w dżungli. Nie mogłem oderwać wprost oczu od małej ciemnoskórej dziewczyny, ależ ona chodziła, jak królowa, nawet kiedy ponury barman zaganiał ją do takich przyziemnych posług jak przyniesienie nam trunków czy zamiecenie zaplecza. Ze wszystkich dziewcząt to ona najbardziej potrzebowała pieniędzy; może matka przyszła do niej po pieniądze dla jej malutkich sióstr i braci. Meksykanie są biedni. Nigdy, przenigdy nie przyszłoby mi do głowy po prostu do niej podejść i dać jej trochę pieniędzy. Podejrzewam, że przyjęłaby je z pewną dozą pogardy, a sam wzdragałem się przed pogardą osób jej pokroju. W całym swoim obłędzie po prostu zakochałem się w niej na te kilka godzin; odczuwałem dobrze sobie znane w takich wypadkach cierpienie, pchnięcie na wskroś umysłu, te same westchnienia, ten sam ból, a nade wszystko ten sam opór i strach przed podejściem do dziewczyny. Co dziwniejsze, Dean i Stan też do niej nie podchodzili; i pomyśleć tylko, że właśnie niepodważalna godność skazywała ją na ubóstwo w tym obłędnym starym burdelu. W pewnej chwili zobaczyłem, że Dean nachylił się do niej niczym posąg, gotów ulecieć, z wyrazem zamroczenia na twarzy, a dziewczyną rzuciła mu chłodne, monarsze spojrzenie, aż przestał czochrać się po brzuchu, wlepił w nią wzrok i wreszcie skłonił głowę. Bo była królową.

W tym całym galimatiasie Victor zaczął nas raptem szarpać za ręce i dawać gorączkowe znaki.

– Co się stało?

Usiłował na różne sposoby nam to wytłumaczyć. W końcu podbiegł do baru, wyrwał czek barmanowi, który rzucił mu spojrzenie spode łba, i przyniósł nam, żebyśmy zobaczyli. Rachunek przekraczał trzysta pesos, czyli trzydzieści sześć dolarów amerykańskich, w każdym burdelu byłaby to nielicha suma. Mimo to nie mogliśmy otrzeźwieć, wcale nie chcieliśmy stamtąd wychodzić. Chociaż padaliśmy już z nóg, nadal chcieliśmy się bawić ze wspaniałymi dziewczynami w tym dziwnym raju tysiąca i jednej nocy, który wreszcie znaleźliśmy przy końcu trudnej, jakże trudnej drogi. Zapadał wieczór, musieliśmy kończyć imprezę; zrozumiał to Dean, zaczął marszczyć czoło, intensywnie myśleć, starając się otrząsnąć, aż wreszcie ja podsunąłem, że trzeba natychmiast opuścić lokal.

– Stary, tyle jeszcze przed nami, że nawet się nie spostrzeżesz.

– Dobrze mówisz! – zawołał Dean ze szklanym wzrokiem, po czym odwrócił się do swojej Wenezuelki. Dziewczyna w końcu padła i leżała teraz na drewnianej ławie, spod jedwabiów wystawały białe nogi. Publika w oknie nacieszyła się już widowiskiem; za nimi zaczynały pełgać czerwone cienie, skądś dobiegł płacz tulonego do snu niemowlaka, co mi

przypomniało, że jestem w Meksyku, a nie w jakimś pornograficznym, haszysowym śnie na jawie w niebie.

Wytoczyliśmy się na dwór; zapomnieliśmy o Stanie; wróciliśmy po niego do środka, gdzie klaniał się szarmancko wieczornym dziwkom, które właśnie przyszły na nocną zmianę. Chciał zaczynać wszystko od nowa. Kiedy Stan jest pijany, porusza się ociężale, jakby miał trzy metry wzrostu i nie sposób go wtedy odciągnąć od kobiet. Poza tym kobiety lgną do niego jak bluszcz. Upierał się, żeby zostać, żeby wypróbować te nowsze, dziwniejsze, bardziej profesjonalne *señoritas*. Dean i ja rąbnęliśmy go w plecy i wyciągnęliśmy z lokalu. Machał wszystkim namiętnie na pożegnanie – dziewczętom, gliniarzom, tłumom gapiów, dzieciakom na ulicy; posyłał całusy na wszystkie strony, całusy odbierane owacyjnie przez Gregorię, zataczał się dumnie od jednej grupy do drugiej, usiłował coś do nich mówić, żeby przekazać swoją radość i miłość do całego świata w to cudowne popołudnie życia. Wszyscy się śmiali; niektórzy poklepywali go po plecach. Dean podbiegł, wręczył policjantom cztery pesos, uścisnął im ręce, uśmiechnął się, ukłonił. Następnie wskoczył do wozu, a poznane przez nas dziewczęta, nawet Wenezuelka, którą obudzono na to pożegnanie, obstały samochód, kuląc się w swoich zwiewnych szatkach, gruchały i całowały nas na pożegnanie, a Wenezuelka wręcz się rozpląkała – chociaż wiedzieliśmy, że nie z naszego powodu, wcale nie z naszego powodu, to dobrze, naprawdę dobrze nam to zrobiło. Moja śniada sympatia znikła w mrokach wnętrza. Wszystko się skończyło. Ruszyliśmy naprzód, zostawiając za sobą radość i balowanie za setki pesos, przekonani, że mamy za sobą niezły dzień pracy. Niemilknące mambo ścigało nas jeszcze przez kilka przecznic. Wszystko się skończyło.

– Żegnaj, Gregorio! – zawołał Dean, posyłając miasteczku całusa.

Victor był dumny z nas i dumny z siebie.

– Teraz chcesz kąpiel? – spytał.

Tak, wszyscy mieliśmy ochotę na rozkoszną kąpiel.

Wtedy skierował nas do najdziwniejszego miejsca pod słońcem; jakieś półtora kilometra za miastem przy szosie mieściła się zwykła łaźnia w amerykańskim stylu, pełna dzieciarni pluskającej się w basenie, a w kamiennym budynku prysznic za kilka centavos od łebka, mydło i ręcznik od łaźniebnego. Obok znajdował się smętny park zabaw dla dzieci z huśtawkami, zepsutą karuzelą, ale w nienagłym czerwonym słońcu wszystko wydawało się dziwne i piękne. Stan i ja dostaliśmy ręczniki, po czym wskoczyliśmy prosto pod lodowate prysznic, skąd wyszliśmy całkiem odświeżeni. Dean nie zdecydował się na prysznic, widzieliśmy go hen, daleko, po drugiej stronie smętnego parku, jak spaceruje ramię w ramię z pocziwym Victorem, rozprawia ze swadą, życzliwie, a nawet nachyla się ku niemu

podniecony, żeby coś wyjaśnić, i wali przy tym pięścią w dłoń. Po czym znów ruszali ramię w ramię, spacerowali dalej. Czas było pożegnać się z Victorem, Dean korzystał więc z okazji, żeby побыć z nim trochę sam, obejrzeć park, poznać poglądy tego chłopaka na różne sprawy, no i w ogóle załapać się na niego, jak to tylko Dean potrafi.

Victor bardzo posmutniał, że musimy już jechać.

– Wy jak wrócić do Gregoria, zobaczyć mnie?

– Jasna sprawa, stary! – powiedział Dean. Obiecał nawet, że zabierze Victora do Stanów, skoro tak bardzo mu na tym zależy. Victor odparł, że musi to przemyśleć.

– Mam żona i dziecko... a nie mam ani forsy... rozumiem.

Jego rozbrajający, uprzejmy uśmiech promieniał na tle czerwieni, kiedy machaliśmy do niego z samochodu. Za nim ciągnął się smutny park, bawiły się dzieci.

## 6

Zaraz za Gregorią droga zaczęła opadać, po obu stronach wyrosły wielkie drzewa, a kiedy się ściemniło, dobiegł nas stamtąd chrzęst miliardów owadów, który brzmiał jak jeden wielki piskliwy, jazgoczący ryk.

– HUUU! – zawołał Dean, po czym włączył przednie światła, ale nie działały. – Co! Co! Cholera, i co teraz? – Zaczął walić z wściekłością w deskę rozdzielczą. – O rany, musimy przejechać przez dżunglę bez świateł, pomyślcie tylko, groza, będę widział tylko wtedy, jak nadjedzie jakiś inny wóz, a tu przecież nie ma żadnych wozów! No i żadnych świateł. I co teraz robić, cholera jasna?

– Jedźmy. A może powinniśmy zawrócić?

– O nie, nigdy! Jedziemy. Ledwo widzę drogę. Ale damy sobie radę. – Mknęliśmy więc przez atramentowe ciemności w tym huku owadów, kiedy owionął nas wielki fetor, niemal odór zgnilizny, i wtedy przypomniał sobie, że na mapie tuż za Gregorią zaczyna się Zwrotnik Raka. – Jesteśmy w nowej strefie tropikalnej! Stąd ten zapach! Powąchajcie!

Wychyliłem głowę przez okno; owady rozbijały mi się na twarzy; z chwilą gdy nastawiłem ucho na wiatr, rozległ się wielki jazgot. Naraz światła znów się włączyły, dźgały przed siebie, oświetlając samotną drogę, która biegła między litymi ścianami obwisłych, wężowatych drzew, wysokich chyba na trzydzieści metrów.

– O skurwysyn! – zawołał Stan z tyłu. – Jak rany koguta!

Wciąż był na haju. Naraz uprzytomniliśmy sobie, że wciąż jest na haju i że cała ta dżungla, nasze kłopoty, nie docierają do jego rozanielonej duszy. Wszyscy zaczęliśmy się śmiać.

– A, do diabła! Rzućmy się w tę przeklętą dżunglę, będziemy w niej dzisiaj spać, jedziemy! – rozdarł się Dean. – Stary Stan ma rację. Stary Stan się nie przejmuje! Jest na haju przez te kobiety, trawę i to szalone, nieziemskie, nie-do-zniesienia mambo ryczące tak głośno, że nadal dudni mi w bębenkach... uiii! Jest na takim haju, że wie, co robi!

Zdjęliśmy podkoszulki i grzaliśmy tak, półnaczy, przez dżunglę. Żadnych miasteczek, nic, tylko zatracona dżungla ciągnąca się kilometrami, zjazd w dół, coraz bardziej parno, owady jazgoczące coraz głośniej, roślinność coraz wyższa, smród coraz bardziej przegniły i duszący, aż zaczęliśmy się do niego przyzwyczajać, wręcz go polubiliśmy.

– Chętnie rozebrałbym się do naga i tarzał się bez końca w tej dżungli – powiedział Dean. – Ech, do diabła, stary, tak właśnie zrobię, jak tylko znajdę dobre miejsce.

Naraz ukazało nam się Limon, miasteczko w dżungli, kilka burych świateł, mroczne cienie, nad głową ogromne niebo i grupa mężczyzn przed bezładnym skupiskiem drewnianych chat – tropikalne skrzyżowanie dróg.

Zatrzymaliśmy się w niewyobrażalnej błogości. Było gorąco jak w piecu chlebowym w czerwcową noc w Nowym Orleanie. Na całej ulicy siedziały w ciemnościach całe rodziny, zagadane; od czasu do czasu przechodziły obok dziewczęta, bardzo młodziutkie, chciały tylko rzucić na nas okiem. Były bose i brudne. Oparliśmy się o drewniany ganek obskurnego sklepu ogólnego, gdzie stały worki mąki, gniły świeże ananasy, a ladę obsiadły muchy. Paliła się tam jedna lampa oliwna, na zewnątrz jeszcze kilka burych świateł, a resztę spowijała czern, czern, czern. Byliśmy już tak zmęczeni, że natychmiast musieliśmy się walnąć spać, postawiliśmy wóz kilka metrów dalej na polnej drodze, na skraju miasteczka. Było tak niesłychanie gorąco, że nie dawało się zasnąć. No więc Dean wyjął koc, rozłożył go na miękkim, gorącym piachu pośrodku drogi i walnął się spać. Stan wyciągnął się na przednim siedzeniu forda, z obu stron zostawił otwarte drzwi, żeby mieć przewiew, ale nie było nawet najlżejszego podmuchu wiatru. Ja, na tylnym siedzeniu, męczyłem się zlany potem. Wysiadłem z wozu, stałem, kołysząc się w tej czerni. Całe miasteczko zaraz też poszło spać; słychać było tylko szczekanie psów. Jak tu w ogóle zasnąć? Mieliśmy już całe piersi, ręce, łydki pogryzione przez tysiące moskitów. Wtedy przyszedł mi do głowy genialny pomysł – wskoczyłem na stalowy dach wozu i położyłem się na wznak. Tam też nie było powiewu, ale stal miała w sobie pewien chłód, który osuszył mi pot na plecach, ściał tysiące martwych owadów w zakrzepłą powłokę na moim ciele, co mi uprzytomniło, że dżungla wchłania człowieka i

człowiek staje się jej częścią. Leżenie na dachu samochodu z twarzą zwróconą do czarnego nieba przypominało leżenie w zamkniętym kufrze w letnią noc. Po raz pierwszy w życiu pogoda nie była czymś, co mnie dotykało, pieściło, przyprawiało o mróz w kościach albo pot, lecz stała się częścią mnie. Aura i ja złączyliśmy się w jedno. Chmary delikatnych, mikroskopijnych muszek wachlowały mi we śnie twarz, odbierałem to jako coś bardzo miłego i kojącego. Niebo było bezgwiazdne, całkiem niewidoczne, ciężkie. Mógłbym tak leżeć całą noc z twarzą wystawioną ku niebiosom i nie odczułbym większej przykrości, niż gdybym leżał przykryty aksamitną zasłoną. Martwe owady mieszały się z moją krwią; żywe moskity przelewały dalsze jej miarki; skóra zaczęła mnie swędzieć, duszący, przegniły odór dżungli przeniknął mnie całego, od włosów i twarzy po stopy i palce u nóg. Byłem oczywiście boso. Żeby osuszyć trochę pot, włożyłem zawałany owadami podkoszulek i znów się położyłem. Kłębek ciemności na jeszcze czarniejszej drodze wskazywał, gdzie śpi Dean. Słyszałem jego chrapanie. Stan też chrapał.

Od czasu do czasu w miasteczku błyskało przyćmione światło, to szeryf robił obchód ze słabą latarką, pomrukując sobie pod nosem w tę noc dżungli. W pewnej chwili zobaczyłem, jak jego światełko sunie, podrygując, w naszą stronę, usłyszałem jego ciche kroki na matach piasku i roślinności. Przystanął, oświetlił samochód. Usiadłem, spojrzałem na niego. Drżącym, niemal płaczliwym, a przy tym nadzwyczaj ciepłym głosem spytał:

– *Dormiendo?* – wskazując Deana na drodze. Wiedziałem, że to znaczy „spać”.

– *Si, dormiendo.*

– *Bueno, bueno* – powiedział do siebie, po czym z pewnym ociąganiem i smutkiem odwrócił się i podjął swój samotny obchód. Bóg nigdy nie stworzył w Ameryce tak cudownego policjanta. Żadnych podejrzeń, żadnych awantur, żadnego zawracania głowy; był strażnikiem śpiącego miasta, koniec, kropka.

Wróciłem na swoje łóżko ze stali, wyciągnąłem się z rozłożonymi rękami. Nie wiedziałem nawet, czy nad głową mam gałęzie, czy niebo, ale nie miało to najmniejszego znaczenia. Otworzyłem usta i zaciągałem się głęboko powietrzem dżungli. Nie było to zresztą powietrze, o nie, lecz namacalna, żywa emanacja drzew i mokradeł. Do rana nie zmrużyłem oka. Gdzieś za tym gąszczem zaczęły pisać koguty, obwieszczające świt. Nadal nie było powietrza ani podmuchu wiatru, ani rosy, tylko ta sama ociężałość Zwrotnika Raka przyszpilała nas do ziemi, do której należały nasze swędzące ciała. Na niebie ani śladu świtania. Naraz usłyszałem w ciemnościach zaciekle ujadanie psów, po czym dobiegło mnie słabe klip-klop końskich podków. Stukot był coraz bliżej. Co to może być za szalony jeździec nocy? I wtedy zobaczyłem zjawę – biały koń, biały jak duch, kłusował drogą wprost na

Deana. Za nim ujadały na wypródki psy. Nie widziałem ich, były to stare, brudne psy dżungli, tylko tego konia, ale koń był biały jak śnieg, wielki, niemal fosforyzujący, łatwo widoczny. Nie zląkłem się o Deana. Koń go zobaczył, przebiegł kłusem tuż obok jego głowy, minął samochód jak statek, zarżał cicho, po czym pomknął dalej przez miasteczko, ścigany przez uprzykrzone psy, i zniknął, klip-klop, znów w dżungli po drugiej stronie, skąd dobiegł mnie tylko słaby tętent kopyt cichnący w lesie. Psy uspokoiły się i usiadły, żeby się wylizać. Co to był za koń? Co za mit, duch, co za zjawą? Opowiedziałem o tym Deanowi, kiedy się obudził. Uważał, że mi się to śniło. Po czym przypomniał sobie mgliście, że śnił mu się biały koń, a ja go upewniłem, że to nie był sen. Powoli obudził się Stan Shephard. I znów przy najmniejszym ruchu ociekaliśmy potem. Nadal było ciemno choć oko wykol.

– Zapalmy wóz, niech trochę powieje! – zawołałem. – Umieram już od tego gorąca.

– Dobrze mówisz!

Wyjechaliśmy z miasta, pędziliśmy obłądną szosą, wiatr rozwiewał nam włosy. Świt nadciągnął raptownie szarą mgiełką, odsłaniając gęstwiny na mokradłach zatopionych po obu stronach drogi, gdzie stały wysokie, opuszczone krzewy winorośli, które chyliły się i kłaniały nad spletanym podłożem. Przez chwilę pruliśmy wzdłuż torów kolejowych. Przed nami wyrósł dziwny maszt radiostacji Ciudad Mante, zupełnie jakbyśmy byli w Nebrasce. Znaleźliśmy stację benzynową, zatankowaliśmy, a ostatnie owady nocnej dżungli cisnęły się czarną masą do żarówek i padały, trzepocząc skrzydłami, u naszych stóp całymi wijącymi się chmurami, jedne miały skrzydła rozpiętości przynajmniej dziesięciu centymetrów, inne to napawające grozą ważki, dostatecznie duże, żeby pożreć ptaka, tysiące olbrzymich brzęczących moskitów i nieznanych z nazwy najrozmaitszych przypominających pająki owadów. Wciąż podskakiwałem na chodniku ze strachu przed nimi; w końcu wziętem nogi za pas, skryłem się w samochodzie, patrząc z przerażeniem na ziemię, gdzie roily się nam pod kołami.

– Jedźmy! – zawołałem.

Deanowi i Stanowi wcale te owady nie przeszkadzały; wyjęli sobie mission orange z pojemnika z lodem, wypili spokojnie dwie butelki, po czym kopnęli je na bok. Koszule i spodnie mieli, podobnie jak ja, uwalane krwią i czernią tysięcy martwych owadów. Zaczęliśmy wachać swoje ubrania.

– Wiecie, chyba polubię ten zapach – powiedział Stan. – Bo nie czuję już własnego.

– To dziwny, dobry zapach – stwierdził Dean. – Nie zmieniam koszuli aż do Mexico City. Chcę to wszystko wchłonać, zapamiętać.

I znów ruszyliśmy naprzód, żeby pęd powietrza owionął nam rozpalone, oblepione

twarze.

Wtedy zamajaczyły przed nami góry, całe w zieleni. Po tym podejździe znów się znajdziemy na wielkim centralnym płaskowyżu, a dalej prosta droga do Mexico City. Dosłownie migiem pokonaliśmy wysokość półtora tysiąca metrów pośród zamglonych przełęczy, z których rozciągał się widok na parujące żółte nurty półtora kilometra niżej. Była to wielka rzeka. Moctezuma. Po drodze mijaliśmy bardzo dziwnych Indian. Stanowili odrębny naród, naród górskich Indian, odciętych od świata z wyjątkiem tej Drogi Panamerykańskiej. Byli niscy, krępi, ciemnoskórzy, mieli zepsute zęby; nieśli na grzbietach niesamowite ciężary. Między olbrzymimi, bujnie porośniętymi wąwozami było widać łąty pól uprawnych na stromych zboczach. Indianie chodzili w dół i w górę zboczy, pracowali w polu. Dean jechał teraz niecałe dziesięć kilometrów na godzinę, żeby się przyjrzeć.

– Fiuuu, nie sądziłem, że coś takiego istnieje!

Wysoko, na najwyższym szczycie, co najmniej tak wysokim jak szczyty Gór Skalistych, rosły banany. Dean aż wysiadł z wozu, żeby nam to pokazać, żeby postać tam, czochrając się po brzuchu. Znajdowaliśmy się na występie skalnym, gdzie mała chatynka kryta strzechą przycupnęła nad przepaścią świata. Słońce tworzyło złociste mgiełki, które przesłaniały Moctezumę, teraz już ponad półtora kilometra w dole.

Na podwórku przed chatą stała trzyletnia indiańska dziewczynka z palcem w buzi, przyglądała nam się wielkimi piwnymi oczyma.

– Pewno w życiu nie widziała, żeby ktoś tu zaparkował! – sapnął Dean. – Cześć, mała. Dzień dobry. Lubisz nas? – Dziewczynka speszona odwróciła wzrok i wyduła usta. Zaczęliśmy rozmawiać, a ona znów przypatrywała nam się z palcem w buzi. – O raju, szkoda, że nie mam jej co dać! Pomyśl tylko, urodzić się tak i mieszkać na tym występie, a ten występ to cały twój świat. Jej ojciec spuszcza pewno linę tam do wąwozu, wyciąga ananasy z jaskini i rąbie drzewo pod kątem osiemdziesięciu stopni, a w dole przepaść. Dziewczynka nigdy, ale to nigdy stąd nie wyjedzie, nie dowie się o istnieniu szerokiego świata. To dopiero naród. Pomyślcie, jakiego muszą mieć obłądnego wodza! Pewno dalej od drogi, nad tamtym urwiskiem, wiele kilometrów w głąb musi być jeszcze bardziej dziko i dziwnie, taaa, bo ta Droga Panamerykańska cywilizuje trochę ten naród przy szosie. Zobacz, jak pot perli się tej małej na czole. – Dean wyciągnął palec z grymasem cierpienia na twarzy. – To nie taki pot jak nasz, patrz, jaki tłusty, i zawsze tam jest, bo tu zawsze, przez okrągły rok, jest gorąco, ta mała nie wie, co znaczy się nie pocić, urodziła się w pocie i w pocie umrze. – Pot na jej czole był ciężki, niemrawy; nawet nie ściekał; kroplił się tam i lśnił jak najlepsza oliwa z oliwek. – Jaki to musi mieć wpływ na ich dusze! Ale te ich skryte troski, oceny, pragnienia muszą się

różnić od naszych!

Dean prowadził dalej, szczęka mu opadała ze zdumienia, jechał piętnaście kilometrów na godzinę, bo nie chciał przegapić żadnej istoty ludzkiej po drodze. Wciąż pięliśmy się pod górę.

W miarę jak wjeżdżaliśmy wyżej, powietrze stawało się coraz chłodniejsze, a indiańskie dziewczęta przy drodze miały szale zarzucone na głowy i ramiona. Machały do nas rozpaczliwie; stanęliśmy, żeby się zorientować, o co chodzi. Chciały nam sprzedać małe kawałki kryształu górskiego. Patrzyły na nas tymi wielkimi piwnymi niewinnymi oczyma z tak serdeczną intensywnością, że żaden z nas nie miał do nich najmniejszych seksualnych ciągot; poza tym wszystkie były młodziutkie, niektóre miały jedenaście lat, chociaż wyglądały prawie na trzydzieści.

– Patrz, co za oczy! – szepnął Dean. Przypominały oczy Najświętszej Marii Panny, kiedy była dzieckiem. Widzieliśmy w nich czułe, wyrozumiałe spojrzenie Jezusa. Patrzyły nam prosto w oczy bez mrugnięcia powiek. Przetarliśmy swoje rozbiegane niebieskie oczy i znów spojrzeliśmy. A one nadal świdrowały nas smutnym, hipnotycznym blaskiem. Kiedy dziewczęta coś mówiły, od razu stawały się rozgorączkowane, prawie że głupie. Tylko w milczeniu były sobą. – Dopiero niedawno nauczyły się sprzedawać kryształy, bo tę szosę zbudowano jakieś dziesięć lat temu... przedtem cały ten naród musiał chyba milczeć!

Dziewczęta trajkotały wokół wozu. Jedna wyjątkowo uczuciowa mała uczepliła się spoconej ręki Deana. Trajkotała coś w swoim narzeczu.

– No tak, no tak, kochana – powiedział Dean czule, niemal ze smutkiem.

Wysiadł z wozu, zaczął szperać w sfatygowanym kufrze z tyłu – tym samym starym wysłużonym amerykańskim kufrze – i wyciągnął zegarek. Pokazał go małej. Dziewczynka aż pisnęła z uciechy. Inne skupiły się wokół ze zdumieniem. Wtedy Dean postukał ją w rękę, prosząc o „najcudniejszy, najczystszy, najmniejszy kryształ, który sama wybrałaś dla mnie w górach”. Znalazł jeden nie większy od jagody. I wtedy podał jej dyndający zegarek. Buzie im się rozdziawiły jak buzie dzieci śpiewających w chórze. Mała szczęściara przytuliła zegarek do podartych łachmanów na piersi. Dziewczęta głaskały Deana, dziękowały. A on stał wśród nich z łachmaniarską twarzą zwróconą ku słońcu, wypatrując kolejnej, najwyższej, ostatecznej przełęczy i wyglądał jak Prorok, który do nich zstąpił. Wrócił do wozu. Dziewczęta z żalem przyjęły nasz odjazd. Niezmiernie długo machały i biegly za nami, kiedy pięliśmy się pod górę prostą, stromą przełęczą. Skręciliśmy i nigdy ich już nie zobaczyliśmy, a one nadal za nami biegly.

– Aż mi się serce kraje! – zawołał Dean, waląc się w piersi. – Jak daleko mogłyby się

posunąć w swoim oddaniu i zadziwieniu? Co się z nimi stanie? Czy próbowałyby biec za samochodem przez całą drogę aż do Mexico City, gdybyśmy jechali dostatecznie wolno?

– Tak – odparłem z głębokim przeświadczeniem.

Dotarliśmy na oszałamiające wysokości Sierra Madre Oriental. W mgiełce lśniły złociste bananowce. Za kamiennymi ścianami wzdłuż przepaści ziewały wielkie mgły. Poniżej Moctezuma wiła się jak cienka złota nitka na zielonej macie dżungli. Mijaliśmy dziwne przydrożne miasteczka na tym szczycie świata, gdzie otuleni szalami Indianie przyglądali się nam spod rond kapeluszy i *rebozos*. Życie było tam gęste, mroczne, starożytne. Patrzyli oczyma jastrzębi na Deana, poważnego i szalonego zarazem za swoim obłąkańczym kółkiem. Wszyscy mieli wyciągnięte ręce. Zeszli z gór i wyżyn, żeby wyciągnąć ręce ku czemuś, co w ich mniemaniu cywilizacja ma im do zaoferowania, a nie podejrzewali nawet, ile niesie w sobie smutku, nędzy i rozczarowań. Nie wiedzieli, że powstała taka bomba, która może rozłupać wszystkie nasze drogi i mosty, obrócić je w perzynę, a my pewnego dnia zostaniemy tak biedni jak oni i będziemy zupełnie tak samo wyciągać ręce. Przejeżdżał obok nich z grzechotem nasz rozklekotany ford, stary fordziak z amerykańskich lat trzydziestych, po czym zniknął w tumanie kurzu.

Dotarliśmy do obrzeży ostatniego płaskowyżu. Słońce było teraz złote, powietrze wyraziście błękitne, a pustynia ze swoimi rzadko rozsianymi rzekami była orgią piaszczystej, gorącej przestrzeni, raptownie przerywanej cieniami drzew biblijnych. Teraz Dean spał, a Stan prowadził. Ukazali się pasterze ubrani jak za starożytnych czasów w długie powiewające szaty, kobieta niosła złote pęki lnu, mężczyźni trzymali w rękach kije. Pod olbrzymimi drzewami migoczącej pustyni siedzieli pasterze i rozprawiali, owce – umęczone na tym słońcu – wzniewały kurz.

– Stary, stary – zawołałem do Deana – obudź się i zobacz tych pasterzy, obudź się i zobacz złoty świat, z którego przyszedł Jezus, przekonaj się na własne oczy!

Poderwał głowę z oparcia, rzucił okiem na tę scenę w niknącym czerwonym słońcu i znów zapadł w sen. Kiedy się obudził, opisał mi ją ze wszystkimi szczegółami i powiedział:

– Tak, stary, cieszę się, że kazałeś mi to obejrzeć. Boże mój, co ja teraz pocznę? Dokąd się udam? – Poczochrał się po brzuchu, wznosił zaczerwienione oczy do nieba, omal się nie rozplakał.

Zbliżaliśmy się nieuchronnie do kresu podróży. Po obu stronach ciągnęły się wielkie pola; zbawienny wiatr owiewał rozsiane z rzadka zagajniki olbrzymich drzew i stare misje mieniające się łososiowym kolorem w świetle zachodzącego słońca. Nad tym wszystkim bliskie, ogromne, różane chmury.

– O zmierzchu Mexico City!

Dotarliśmy do celu, w sumie trzy tysiące kilometrów od popołudniowych podwórek Denver do tych rozległych biblijnych rejonów świata, zbliżaliśmy się właśnie do końca drogi.

– Zmieniamy te upačkane owadami podkoszulki?

– Diabła tam, prujemy w nich do miasta.

Dojeżdżaliśmy do Mexico City.

Krótką przełęcz górską wyniosła nas raptem na wzniesienie, z którego zobaczyliśmy całe Mexico City rozciągnięte poniżej w kraterze wulkanu, rzygające miejskimi dymami i pierwszymi światłami zapalonymi o zmierzchu. Śmignęliśmy w dół, prosto na Bulwar Insurgentes, prosto do serca miasta przy Reforma. Na olbrzymich, smętnych polach dzieciaki grały w nogę, wzniecały tumany kurzu. Podjeżdżali do nas taksówkarze, pytając, czy nie mamy ochoty na dziewczyny. Nie, teraz nie mieliśmy ochoty na dziewczyny. Długie nędzne rudery z gliny suszonej na słońcu ciągnęły się aż na równinę; w zasnuwających się cieniem zaułkach widzieliśmy samotne postaci. Wkrótce zapadł wieczór. I wtedy miasto rozbrzmiało gwarem, naraz przejeżdżaliśmy obok zatłoczonych kawiarni, kin, feerii świateł. Krzyczeli coś do nas gazeciarze. Przechodzili boso mechanicy, z kluczami, w łachmanach. Zwariowani indiańscy kierowcy, też boso, zajeżdżali nam drogę, otaczali nas, trąbili, wprowadzali obłęd na jezdni. Zgiełk był nie do opisanego. Meksykańskie samochody nie mają tłumików. Wszyscy bez przerwy naciskają radośnie klaksony.

– Fiuuu! – wołał Dean. – Uwaga!

Lawirował wozem w tym ruchu i bawił się z wszystkimi. Prowadził jak Indianin. Wjechał na rondo przy Bulwarze Reforma i jeździł po nim w kółko; osiem ulic strzelało w nas samochodami ze wszystkich stron, z lewej, z prawej, *izquierda*, z przeciwka, a on tylko wrzeszczał i podskakiwał z radości.

– To jest ruch, o jakim zawsze marzyłem! Wszyscy prują!

Śmignęła karetka. Amerykańskie karetki przedzierają się przez ruch uliczny z wyciem syren; wspaniałe karetki indiańskich fellachów tego świata po prostu mkną przez miasto z prędkością stu trzydziestu kilometrów na godzinę i wszyscy muszą zjechać z drogi, bo nie zatrzymują się dla nikogo, w żadnych okolicznościach, tylko pędzą wprost przed siebie. Karetka znikła nam z pola widzenia, ślizgając się dosłownie po jezdni w szczelinie rozwierającej się pośród galimatiasu śródmiejskiego ruchu. Kierowcami byli Indianie. Ludzie, w tym i starsze panie, biegli do autobusów, które nigdy się nie zatrzymywały. Młodzi biznesmeni z Mexico City robili zakłady, biegali hurmą za autobusami, po czym wskakiwali jak sportowcy. Kierowcy autobusów prowadzili boso, w podkoszulkach, drwili sobie ze

wszystkich i jeździli jak wariaci, siedzieli nisko, pochyleni nad niskimi, ogromnymi kierownicami. Nad głowami paliły im się święte obrazki. Światła w autobusach były brązowe i zielonkawe, na drewnianych ławach rzędy ciemnych twarzy.

W centrum Mexico City tysiące hipsterów, w obwisłych słomkowych kapeluszach i w kurtkach z długimi połami na gołych ciałach, szlajały się po głównym szlaku, jedni sprzedawali krucyfiksy i trawę w zaułkach, inni klęczeli w beatnikowskich kaplicach obok meksykańskich teatrów burleski w szopach. Niektóre zaułki były zwirowane, miały otwarte rynsztoki, a małe drzwi prowadziły do knajpek nie większych od sporej szafy, wciśniętych w ściany z gliny suszonej na słońcu. Trzeba było przeskoczyć rów, żeby sobie golnąć, a na dnie tego rowu znajdowało się starożytne jezioro Azteków. Człowiek wychodził z baru plecami do ściany i przemykał się bokiem na ulicę. Podawano tam kawę z rumem i z korzeniami. Wszędzie dudniło mambo. Setki dziwek stały rzędem w ciemnych, wąskich uliczkach, ich smutne oczy spozierały ku nam z błyskiem pośród nocy. Snuliśmy się w obłądnie i we śnie. Zjedliśmy cudowne befsztyki po czterdzieści osiem centów w dziwnej, wykładanej kafelkami meksykańskiej jadłodajni, gdzie całe pokolenia marimbistów stały przy jednej wielkiej marimbie – a obok wędrowni śpiewający gitarzyści, no i starcy na rogach ulic, którzy dmuchali w trąbki. Mijało się kwaśny odór barów *pulque*; za dwa centy można tam było dostać szklanekę soku z kaktusa. Nic nie zamierało; ulice tętniły życiem przez całą noc. Zebracy spali owinięci afiszami reklamowymi zdartymi z płotów. Całe ich rodziny przesiadywały na chodnikach, grały na małych fletach, śmiały się prosto w noc. Wystawiały im tylko bose stopy, płonęły nikłym blaskiem ich świeczki, cały Meksyk był jednym wielkim obozowiskiem cygańskim. Na rogach ulic stare kobiety okrawały gotowane mięso z krowich głów, zawijały jego kawałki w placki tortilla i podawały je z pikantnym sosem na serwetkach z gazet. Było to wielkie, ostateczne, nawiedzone miasto fellachów niewinnych niewinnością dziecka, miasto, które spodziewaliśmy się znaleźć przy końcu drogi. Dean kroczył z rękoma zwieszonymi po bokach zupełnie jak kataleptyczny duch wskrzeszony przez czarownika, z rozdziawionymi ustami, roziskrzonymi oczyma, i prowadził tę swoją łachmaniarską, świętą wycieczkę trwającą aż do świtu, kiedy to znaleźliśmy się na polu z chłopcem w słomkowym kapeluszu, który śmiał się, nawiązywał z nami rozmowę, chciał grać w „orientuj się”, bo nic tam się nigdy nie kończyło.

Wtedy dostałem gorączki, zacząłem majaczyć, straciłem przytomność. Czerwonka. Wyrzałem spoza mrocznych zawirowań w swojej głowie i zrozumiałem, że leżę w łóżku dwa i pół tysiąca metrów nad poziomem morza, na dachu świata, zrozumiałem też, że przeżyłem całe życie i wiele innych żywotów w biednej atomistycznej łupinie swojego ciała, nawiedzały

mnie wszelkie sny. Widziałem też, jak Dean pochyla się nad kuchennym stołem. Ale to było kilka wieczorów później, Dean wyjeżdżał już z Mexico City.

– Stary, co ty wyprawiasz? – jęknąłem.

– Biedny Sal, biedny Sal, zachorował. Stan się tobą zajmie. A teraz posłuchaj, jeśli możesz się przebić przez tę chorobę. Dostałem właśnie akt rozwodu od Camille, no więc jadę dziś wieczór do Inez do Nowego Jorku, jeśli tylko wóz wytrzyma.

– I znów ta cała kołomyja? – zawołałem.

– I znów ta cała kołomyja, stary druhu. Muszę wracać do swojego życia. Szkoda, że nie mogę z tobą zostać. Bardzo chciałbym tu wrócić.

Złapałem się za napięty skurczami brzuch i stęknąłem. Kiedy znów podniosłem wzrok, śmiały, szlachetny Dean stał ze swoim starym sfatygowanym kufrem i na mnie patrzył. Już go nie poznawałem, o czym wiedział i okazał swoje współczucie, podciągnął mi koce na ramiona.

– Tak, tak, tak, muszę już jechać. Stary Sal w gorączce. Do widzenia, stary. – I już go nie było.

Po dwunastu godzinach tej nieszczęsnej gorączki wreszcie zrozumiałem, że wyjechał. O tej porze, późną nocą, jechał samotnie przez bananowe góry.

Kiedy doszedłem trochę do siebie, zrozumiałem, co z niego za drań, ale musiałem też zrozumieć niesłychaną złożoność jego życia, która kazała mu zostawić mnie tam chorego, żeby mógł dalej sobie radzić ze swoimi żonami i żalami.

– No, dobra, Dean, nic już nie mówię.

## Część piąta

Dean wyjechał z Mexico City, w Gregorii znów się spotkał z Victorem, pogonił ten stary wóz aż do Lake Charles w Luizjanie, zanim w końcu odpadł mu po drodze tyłek, z czym Dean od początku się liczył. Zatelegrafował więc do Inez po pieniądze na bilet lotniczy i resztę drogi przebył samolotem. Kiedy dotarł do Nowego Jorku z papierami rozwodowymi w ręku, natychmiast zabrał Inez do Newark i tam wzięli ślub; przekonywał ją, że wszystko jest w porządku, że nie ma się czym przejmować, i wysuwał logiczne argumenty tam, gdzie nie było nic, tylko bezmierne, smutne obawy, po czym jeszcze tego samego wieczoru wskoczył do autobusu i puścił się znów przez ten okropny kontynent do San Francisco, żeby się tam połączyć z Camille i dwiema córeczkami. Był więc teraz trzykrotnie żonaty, dwukrotnie rozwiedziony i mieszkał z drugą żoną.

Jesienią ja też ruszyłem z powrotem do domu i pewnego wieczoru, tuż za przejściem granicznym Laredo, w Dilley, w Teksasie, stałem na szosie pod latarnią, o którą rozbijały się letnie ćmy, gdy wtem usłyszałem dochodzący z ciemności odgłos kroków, i oto nadszedł, człapiąc, postawny siwowłosy starzec z rozwianą czupryną, z tobołkami na plecach, a mijając mnie, rzucił: „Idź, opłakuj człowieka” – i poczłapał dalej w te ciemności. Czy to miało znaczyć, że powinienem wreszcie wybrać się w pieszą pielgrzymkę mrocznymi drogami wokół Ameryki? Wytężyłem siły i pośpieszyłem do Nowego Jorku, gdzie pewnego wieczoru stałem na ciemnej ulicy Manhattanu i krzyczałem do okna na poddaszu, bo sądziłem, że moi znajomi urządzają tam prywatkę. Ale jakaś ładna dziewczyna wychyliła głowę przez okno i zapytała:

– Tak? Kto tam?

– Sal Paradise – odparłem i usłyszałem, jak moje nazwisko odbija się echem na smutnej, pustej ulicy.

– Chodź na górę – zawołała. – Właśnie robię gorącą czekoladę.

No więc wszedłem i znalazłem tam dziewczynę z czystymi, niewinnymi, kochanymi oczyma, której zawsze szukałem, i to od tak dawna. Przyrzekliśmy sobie kochać się do szaleństwa. W zimie mieliśmy zamiar wynieść się do San Francisco, przewieźć tam wszystkie swoje wysłużone meble i swój nędzny dobytek rozklekotaną półciężarówką. Napisałem do

Deana, zawiadamiając go o tym. W odpowiedzi dostałem długi list na pięćdziesiąt stron, w którym Dean opisywał swoją młodość w Denver i obiecywał, że przyjedzie po mnie, osobiście wybierze tę starą ciężarówkę i odwiezie nas do domu. Mieliśmy sześć tygodni na to, żeby zebrać forsy na ciężarówkę, zaczęliśmy więc pracować i liczyć każdego centa. Ale Dean zjawił się niespodziewanie pięć i pół tygodnia wcześniej, no i nikt z nas nie miał forsy, żeby wcielić w życie ten plan.

Pewnej nocy wyszedłem na spacer i wróciłem do swojej dziewczyny, żeby jej opowiedzieć, o czym myślałem na spacerze. Stała w naszej ciemnej klitce z dziwnym uśmiechem. Sporo już jej zdążyłem powiedzieć, kiedy raptem tknęła mnie cisza panująca w pokoju, rozejrzałem się i zobaczyłem na radiu wyświechtaną książkę. Wiedziałem, że to Proust Deana, jego nawiedzona, popołudniowa wieczność. Zobaczyłem jak przez sen, że wychodzi na palcach, bez butów, z ciemnego korytarza. Nie mógł już mówić. Podskakiwał, śmiał się, jękał, machał rękami i wykrztusił:

– Och, och, słuchajcie, ale uważnie. – Zamieniliśmy się w słuch. Ale on już zapomniał, co chciał powiedzieć. – Naprawdę, posłuchajcie... halo. Zobacz, drogi Salu... cudowna Lauro... przyjechałem... już mnie nie ma... ale czekajcie... a, tak! – I patrzył z kamiennym smutkiem we własne ręce. – Nie mogę już mówić... czy wy rozumiecie, że to jest... albo może być... Ale posłuchajcie! – Wszyscy zamieniliśmy się w słuch. Dean zasłuchał się w odgłosy nocy. – Tak! – szepnął mi z lękiem. – No i sam widzisz... nie trzeba już nawet mówić... a na tym nie koniec.

– Dean, ale dlaczego przyjechałeś tak wcześniej?

– Ech – rzucił, patrząc, jak gdyby zobaczył mnie po raz pierwszy na oczy – tak wcześniej, no tak. Bo my... będziemy wiedzieli... to znaczy sam nie wiem. Przyjechałem koleją... wagonami służbowymi... starymi wagonami, co mają drewniane twarde ławy... przez Teksas... całą drogę grałem na flecie i na drewnianej okarynie. – Wyjął swój nowy drewniany flet. Zagrał na nim kilka piskliwych tonów, podskoczył na palcach. – Widzisz? – spytał. – Ale wiedz, Sal, że mogę gadać jak zawsze, mam ci zresztą mnóstwo do powiedzenia, bo mimo że mam łeb żrebaka, zaczytywałem się bombowym Proustem, jadąc przez cały kraj, i upajałem się tyloma rzeczami, o których nigdy nie będę miał CZASU ci opowiedzieć, a przecież JESZCZE nie pogadaliśmy o Meksyku i o naszym pożegnaniu tam w gorączce... ale nie ma potrzeby mówić. Bezwzględnie, teraz, tak?

– Dobra, to nic nie mówmy.

Ale on już zaczął opowiadać o tym, co robił, kiedy wstąpił po drodze do LA, z najdrobniejszymi szczegółami, jak odwiedził pewną rodzinę, zjadł kolację, pogadał z ojcem,

synami, siostrami, jak wszyscy z osobna wyglądali, co jedli, jakie mieli meble, myśli, zainteresowania, a nawet dusze; trzy godziny ciągnął te drobiazgowo relacje, a na koniec powiedział:

– Ale wiesz, tak NAPRAWDĘ chciałem ci opowiedzieć... sporo później... o Arkansas, jeździe pociągiem... grze na flecie... grze w karty z chłopakami moją świńską talią... wygrałem forszę, dmuchałem solówkę na okarynie... dla marynarzy. Długa, koszmarna podróż pięć dni i nocy tylko po to, żeby cię ZOBACZYĆ, Sal.

– A co z Camille?

– Dała mi oczywiście zgodę, czeka na mnie. Camille i ja wszystko sobie uładziliśmy, tym razem już na zawsze...

– A Inez?

– Chciałbym... chciałbym, żeby wróciła ze mną do Frisco i zamieszkała po drugiej stronie miasta... nie uważasz? Sam nie wiem, po co przyjechałem. – Później powiedział w nagłym przypiływie zdumienia z rozdziawionymi ustami: – A, no tak, oczywiście, chciałem zobaczyć twoją cudowną dziewczynę i ciebie... tak się cieszę... Kocham cię jak zawsze.

Został w Nowym Jorku przez trzy dni, czynił pośpieszne przygotowania, żeby wrócić pociągiem, bo miał darmowe bilety kolejowe, żeby znów przemierzyć cały kontynent, pięć dni i nocy w zakurzonych nędznych wagonach, na twardych ławkach, ale myśmy oczywiście nie mieli forsy na ciężarówkę, no więc nie mogliśmy z nim pojechać. Spędził jedną noc z Inez, wyjaśniał, pocił się, kłócił, ale wyrzuciła go z domu. Na mój adres przyszedł do niego list. Widziałem go. Był od Camille. „Serce mi pękało, kiedy patrzyłam, jak przechodzisz z workiem przez te tory. Modlę się bez przerwy, żebyś wrócił cało... Chciałabym, żeby Sal przyjechał tu ze swoją przyjaciółką i żeby zamieszkali na tej samej ulicy... Wiem, że wrócisz cało, ale nie mogę przestać się zamartwiać – teraz, kiedy wszystko już postanowiliśmy... Kochany Dean, kończy się pierwsza połowa stulecia. Zapraszam Cię z miłością i pocałunkami, żebyś spędził z nami drugą połowę. Wszystkie na Ciebie czekamy. [Podpisy] Camille, Amy i mała Joanie”. Czyli Dean ułożył sobie życie ze swoją najbardziej wytrwałą, najbardziej rozgoryczoną, najmądrzejszą żoną, Camille, za co w jego imieniu dziękowałem Bogu.

Ostatni raz widziałem go w smutnych i dziwnych okolicznościach. W Nowym Jorku zjawił się Remi Boncoeur, objechawszy ładnych kilka razy świat na statkach. Chciałem, żeby poznał Deana. W końcu doszło do spotkania, ale Dean nie mógł już mówić, nic więc nie powiedział i Remi się od niego odwrócił. Remi zdobył bilety na koncert Duke'a Ellingtona w Metropolitan Opera, bardzo chciał, żebyśmy razem z Laurą poszli z nim i z jego dziewczyną.

Był teraz gruby i smutny, ale pozostał dżentelmenem do szpiku kości, chciał wszystko robić jak należy, co nieustannie podkreślał. Poprosił więc swojego bukmachera, żeby nas zawiózł na ten koncert cadillakiem. Była mroźna zimowa noc. Siedzieliśmy w cadillacu, gotowi do odjazdu. Dean stał ze swoim workiem na krawężniku, gotów do odjazdu na dworzec kolejowy Penn i dalej, przez cały kraj.

– Do widzenia, Dean – powiedziałem. – Naprawdę żałuję, że muszę jechać na ten koncert.

– Myślisz, że mógłbym pojechać z wami do Czterdziestej Ulicy? – spytał szeptem. – Chciałbym być z tobą jak najdłużej, mój drogi, a ponadto tu, w tym całym Nowym Jorku, jest tak cholernie zimno...

Poszeptałem z Remim. Nie, nie zgadza się, lubi mnie, ale nie lubi moich przyjaciół kretynów. Zaraz zacznę mu znów rujnować dobrze zaplanowany wieczór, tak jak to już raz zrobiłem z Rolandem Majorem w San Francisco w roku 1947.

– Nie ma mowy, Sal!

Biedny Remi, specjalnie na ten wieczór wyszykował sobie krawat; kazał tam wymalować replikę biletów na koncert, a także wypisać Sal i Laura, Remi i Vicki, imię jego dziewczyny, oraz kilka ponurych dowcipów i niektóre ze swoich ulubionych powiedzonek, na przykład: „Nie nauczysz starego mistrza grać na nową nutę”.

No więc Dean nie mógł przejechać z nami przez miasto, pozostawało mi więc tylko usiąść na tylnym siedzeniu cadillaca i mu pomachać. Bukmacher za kierownicą też nie chciał mieć nic wspólnego z Deanem. Dean, obdarty, w pogryzionym przez mole płaszczu, kupionym specjalnie na mrozy Wschodu, odszedł sam, znikł mi z oczu, skręciwszy za róg Siódmej Alei, ze wzrokiem wbitym w ulicę, znów kierując się przed siebie. Biedna mała Laura, moja maleńka, której opowiedziałem przedtem wszystko o Deanie, omal się nie rozplakała.

– Och, nie powinniśmy go tak puszczać samego. Co teraz robić?

Stary Dean odszedł, pomyślałem, a na głos powiedziałem:

– Da sobie radę.

I tak pojechaliśmy na smutny, obmierzły koncert, którego całkiem mi się już odechciało, bo myślałem tylko o Deanie, o tym, jak dotarł do pociągu, jak przejechał pięć tysięcy kilometrów przez ten okropny kraj, nie wiedząc właściwie, po co przyjechał, poza tym, że chciał się zobaczyć ze mną.

Kiedy więc słońce chyli się nad Ameryką, a ja siedzę na starym, zniszczonym nabrzeżu rzeki, patrzę na ogromne, ogromne niebo nad New Jersey i czuję cały ten surowy

kraj toczący się jednym wielkim nieprawdopodobnym masywem aż na Zachodnie Wybrzeże, widzę całą tę pędzącą drogę, wszystkich ludzi śniących w jego bezmiarze, i w Iowa, to wiem, że dzieci muszą płakać tu, w tym kraju, w którym pozwala się dzieciom płakać, i że dzisiaj gwiazdy wyjdą na niebo – nie wiecie, że Pan Bóg jest Misiem Puchatkiem? – wieczorna gwiazda musi spaść i sypnąć na prerię brylantowymi, przyćmionymi iskrami tuż przed nadejściem szczelnej nocy, która błogosławi ziemi, zasnuwa wszystkie rzeki, przysłania szczyty i zwija pod siebie krańcowy brzeg, i nikt, ale to nikt nie wie, co kogo czeka, pominąwszy opuszczone łachmany starości, wtedy myśli zaprzęta mi Dean Moriarty, a nawet Stary Dean Moriarty, ojciec, którego nigdy nie odnaleźliśmy, myśli zaprzęta mi Dean Moriarty.